



IAN WEIR

TRUPIARZ

Rozrachunek **Williamia Starlinga**, z potwornych zbrodni i diabelskich dążeń wraz z wyznaniem nazwisk sprawców i ujawnieniem skrytych czynów bezecnych, przedstawiony tu w świetle dnia i spisany jego własną ręką w roku 1816

imprint

IAN WEIR
TRUPIARZ

Rozrachunek **Williamia Starlinga**, z potwornych zbrodni i diabelskich dążeń wraz z wyznaniem nazwisk sprawców i ujawnieniem skrytych czynów bezecnych, przedstawiony tu w świetle dnia i spisany jego własną ręką w roku 1816

Z języka angielskiego przełożyła Agnieszka Śmiechowska

imprint

Prolog

Londyn

1 maja 1816 roku

W ciemności chłodnej wiosennej nocy u wylotu gnojowo-moczowego ścieku nazywanego Fleet Ditch stał rozkraczony mężczyzna z biodrami wypchniętymi do przodu i jednookim kolegą w dłoni, wydając pełne ulgi „aaaaaach”. To właśnie tam wszystko się zaczęło – założywszy, że o czymkolwiek można powiedzieć, że gdzieś się zaczęło, a nie jest po prostu jedną wielką plątaniną konsekwencji wijącą się wstecz aż do pierwszego fiku-miku Adama z Ewą. Ale to był ten moment – właśnie ten – gdy wydarzenia nieodwołalnie zaczęły się toczyć, coraz szybciej, na złamanie karku, w dół zbrocza rozgorączkowanych intencji, aż na samym dole dno się obrywa i lecimy na łeb, na szyję ku wiecznemu potępieniu.

W takim właśnie punkcie zwrotnym stoi Dick Whycher.

Dick był kancelistą w biurze armatora. Wyszedł na jednego z kumplem, czeladnikiem stolarskim nazwiskiem Toby Fegen. Odwiedzili już rozmaite speluny w krętych uliczkach wzdłuż rzeki, a teraz chwiejnym krokiem zmierzali w stronę domu. Toby prowadził, a światło z byczego oka jego lampy miało się w mroku jak latarnia na maszcie statku. Ulice były śliskie od deszczu po niedawnej burzy i Toby, człapiąc, rozchlapывał kałuże.

– Sekundeczkę – rzucił Dick, który poczuł zew natury.

– Na twoim miejscu – ostrzegł Toby, widząc, co zamierza jego kumpel – nie robiłbym tego. Mówiłem ci już.

W odpowiedzi Dick beknął i pogmerał w portkach.

To było jakąś minutę temu, bowiem Dick Whycher umiał szczać jak nikt. Było to dla niego źródłem dumy, podobnie jak jego zęby, w większości niespróchniałe. Co prawda włosy mu się przeredzały, ale któż jest doskonały! A zresztą Dick Whycher i tak nosił kapelusz z niskim rondem, który tkwił na jego głowie pod zawadiackim kątem, podczas gdy jego właściciel, zapatrzony w noc, wsłuchiwał się w pluszczące odgłosy z dołu. Jak na Londyn noc była wyjątkowo pogodna. Godzinę temu przeszła burza i teraz mocno świeciły gwiazdy, mrugając w dół na szczającego Dicka. Przepęliło go to nagłym zachwytem, jak gdyby uchylono mu rąbka wielkiej tajemnicy wszechświata i jego w nim specjalnego miejsca, którą, gdyby tylko był odrobinę bardziej trzeźwy, mógłby pojąć w akcie oślepiającej przemiany.

– Wiem, że mi nie wierzysz, Dick – ciągnął ponuro Toby Fegen. – Ja tylko mówię, że to fakt.

Toby stanął tuż obok, ale guziki jego portek były dokładnie zapięte. Pewien marynarz opowiedział mu kiedyś o stworzeniu, czymś na kształt małego węgorza z zębami, zamieszkującym rzeki jakiegoś zdradzieckiego miejsca jak Afryka lub może Peru, które potrafiło płynąć w górę strumienia moczu, kiedy szczało się do wody, prosto w samotne oko zmił mieszkającej między nogami, czego konsekwencje były zbyt szokujące, by się nad nimi rozwodzić. Marynarz znał kiedyś mężczyznę, któremu się to przytrafiło i który w następstwie zmarł po trzech dniach wycia. Prócz tego, to była nauka.

Toby Fegen nie był człowiekiem uczonym, ale o nauce wiedział. To był nowy, zuchwały wiek odkryć, a ona parła do przodu, co dzień odwalając nowe głązy i wykrzykując na widok tego, co się wiło pod nimi. Byli ludzie z teleskopami, przez które oglądali gwiazdy, i ludzie wznoszący się w balonach pod niebo. I jeśli istniały mikroskopijne węgorze w Afryce lub może Peru, Toby z pewnością nie zamierzał lać do Fleet Ditch. Kanał był cuchnący, parujący i zatkany zdechłymi psami, kotami, gryzoniami, a może i czymś jeszcze gorszym. Bóg jeden wie, jakie zębiska mógłby mieć węgorzyk żyjący w czymś takim!

– Jezu – powiedział nagle Toby.

– Yyy? – zareagował Dick, ciągle wpatrując się w niebo.

Toby uniósł latarnię, by lepiej widzieć.

– Tam na dole.

– Co?

– T a m.

Dick zaczął się uważniej przyglądać.

Kupa szmat, uznał w pierwszej chwili. Tuż poniżej ginących meandrów jego moczu połyskujących w nikłym świetle latarni. Tyle że to nie były szmaty.

– Jezu Alojzy Chryste na kiju! – krzyknął Toby.

Facet leżał na plecach, na wpół zanurzony w szlamie. Małeńki człowiek w kamizelce, która kiedyś była czerwona, z pałkowatymi nogami rozrzuconymi na boki, z otwartymi oczami ślepo wpatrującymi się w tego, kto obecnie na niego szczał. Jedno ramię miał odrzucone, jakby chciał sięgnąć po okulary, które wystawały z błota tuż poza zasięgiem jego rąk. Pęknięte okrągłe szkła pochwyciły światło i zalśniły.

Dick Whycher od razu wiedział, co powinni zrobić.

– Guy’s Hospital – rzucił. – Za mostem. Wyciągniemy go i tam zabierzemy. Zabierzemy go do chirurgów.

– Facet jest martwy! I nie tak po prostu martwy, on jest zamordowany! Patrz, ktoś mu poderznął gardło! – W świetle latarni rana rozłaziła się, jakby rozwarta w makabrycznym uśmiechu. – Zmyjemy się, Dick. To właśnie zrobimy. Zanim ktoś się zjawi i pomyśli, że mieliśmy z tym coś wspólnego.

Ale Dick już zląził do kanału i wołał, by Toby do niego dołączył.

– Dick! – jęczał Toby. – Nic mu po szpitalu, żaden chirurg nie przyniesie mu już pożytku!

– Ale chirurdzy mogą mieć pożytek z niego. I zapłacą. Cztery funty, tyle będzie za tego tu... A to jest o cztery funty więcej niż ty jesteś wart, kwicząc i machając łapskami. Weźmiemy go na portiernię w Guy’s Hospital. Mają specjalne drzwi na tyłach.

– Skąd...

– Bo wiem. Spotkałem kiedyś jednego takiego, dobra? A teraz pomóżże!

Dick Whycher zdawał się zawsze wiedzieć, co trzeba. Znał człowieka lub kogoś, kto znał człowieka. Albo mieszkał zaraz obok jego pociotka. Dzięki temu był odpowiednio zorientowany, jeśli chodzi o najistotniejsze informacje z londyńskich spelun i ciemnych zaułków, wypłukane niczym błyszczące monety z rynsztokowego mułu. Teraz stał po kolana w szlamie

i z chłupotem wyciągał małego człowieka, jednocześnie dając znaki Toby,emu Fegenowi, by ten zrobił z siebie jakiś użytek.

Jeszcze przez moment Toby stał jak wryty. To nie było w porządku. Człowiek został zamordowany, a chirurdzy byli cmentarnymi upiorami i wystarczył jeden fatalny niefort, tylko tyle, by kaprawooki konstabl wyszedł z za rogu z latarnią i pełnym zaskoczenia sapnięciem. A wtedy wszystko skończy się dwiema szyjami w pętłach i wspólnym tańcem Toby,ego i Dicka na wietrze w Newgate. Śmierć, i to bez udziału zębatych węgorzyków.

Z drugiej strony – cztery funty to cztery funty.

Z dławiącym przeczuciem nieszczęścia Toby odłożył latarnię i ześlizgnął się po nabrzeżu.

*

I tak sprawy zmieniły bieg.

Potworna rekonstrukcja aktu narodzin – tak by to zapewne wyglądało, gdybyście to obserwowali w ciemnościach z zaułka, otoczeni gnijącymi kadłubami domów tłoczącymi się wokół niczym banda oprychów o złych zamiarach, chociaż nie mam pojęcia, co takie pocziwe dusze miałyby robić w tej podłej okolicy o tak późnej porze. Dwie położne, po kolana w szlamie, przeklinające w świetle księżyca, wyciągnęły powykręcane noworodka, bladego i ociekającego wodami, a potem z kanału dalej po bruku, trzymając między sobą niemowlę z wiszącą głową i stopami szorującymi po ziemi, udały się do Domu Śmierci, na stół, do chirurgów, a w szczególności do jednego. Do człowieka nazwiskiem Dionysus Atherton, którego czyny, równie genialne jak niewysłowione, leżą u podstaw mających nastąpić wydarzeń.

A oto ja u kresu historii, piszący te słowa przy ogarku świecy w małej kamiennej izbie, z niedalekimi dzwonami u Świętego Pawła odliczającymi pozostałe mi dni i godziny. W takiej chwili chciałoby się podsumować sprawy. Zrobić rachunek sumienia z całego życia: dobre uczynki po jednej stronie w pojedynczej, żałośnie niewielkiej kolumnie – Chryste, czy naprawdę jest ich tak mało? – naprzeciw niekończących się spisów niskich pobudek, złośliwości i zła, kolejnych stron, całych tomów szans zaprzepaszczonych. W takiej chwili można by się zwrócić ku modlitwie.

Tak na wszelki wypadek, bo przecież nigdy nie wiadomo, prawda? Może rzeczywiście istnieje coś dalej, choć Meg Nancarrow powiedziała, że nie – że nie ma nic prócz ciemności, prócz starej nocy bijącej ogromnymi jastrzębimi skrzydłami – a wszak kto jak kto, ale Meg powinna znać prawdę lepiej niż ktokolwiek inny na tej ziemi. W chwili takiej jak ta można by zawodzić w głos w poczuciu rosnącego strachu i opuszczenia. Będę pisał najszybciej, jak potrafię. Jest tyle do powiedzenia i tak niewiele czasu zostało na opowiadanie. Chcę, żebyście wiedzieli, co zrobił Dionysus Atherton. Musicie poznać fakty i ocenić sami. Co zrobił Waszemu Wielce Unizonemu Narratorowi, a przede wszystkim, co zrobił innym: Bobowi Eldritchowi, który podniósł się z tamtego stołu z pawim krzykiem, Meg Nancarrow i mojemu biednemu przyjacielowi Isaacowi Blissowi. Poznacie popełnione ohydne czyny i jeszcze gorsze ich konsekwencje. W pogoni za ideą bycia czymś więcej niż ludźmi zerwano te więzy, które stanowią o naszym człowieczeństwie. Ale kiedy skończycie, będziecie znać prawdę. Osiągnę przynajmniej tyle. Dokonałem swoich wyborów, zrobiłem, co zrobiłem, i nie mam prawa teraz płakać z tego powodu.

Jeśli was kto zapyta, powiedzcie, że się uśmiechałem.

Część pierwsza

*8 kwietnia 1816 roku
Cztery tygodnie wcześniej*

Dla Dionysusa Athertona dzień zaczął się wspaniale, przeciwnie niż dla Ronalda Peake'a.

Zabawił się Peake w umieranie. Wspiął się chwiejnie bez asysty po schodach i już przy szafocie uniósł głowę i rzucił wyzywająco do zgromadzonego tłumu: „Wkrótce poznam Wielką Tajemnicę!”. Jednak głos mu się załamał przy ostatniej sylabie, a dalej – jak można się spodziewać – był już zupełny kanał. Peake był zapuszczonym małym człowieczkiem, trucicielem. Zaczął kwilić, kiedy pan Langley, egzekutor, wiązał mu pętlę i nakładał biały kaptur. Wraz ze swym ostatnim swobodnym oddechem wzywał swoją matkę – co stanowiło taki kanał, że bardziej już się nie da, zważywszy na fakt, że to ją właśnie otruł. Potem wszelkie słowa zniknęły wraz z głuchym odgłosem naprężonego konopnego sznura, a z dwudziestu tysięcy gardeł zgromadzonych przed więzieniem Newgate w ten rześki kwietniowy poranek wzniósł się potężny ryk.

Dionysus Atherton sprawdził czas na swoim chronometrze i zanotował: zrzucony minutę po ósmej.

Obecnie Obiekt rzucił się niczym ryba na haczyku, jako że pan Langley nie zepchnął go daleko, jedynie zwyczajowe sześć cali. Stopień uduszenia zależał od szeregu czynników, a żaden nie okazał się przychylny Ronaldowi Peake,owi, którego waga – jak wprawnym okiem ocenił Atherton – nie przekraczała stu dwunastu funtów[1]. Co gorsza, Peake nie miał przyjaciół, którzy zaoferowaliby finansową zachętę, a bez niej pan Langley nie

woskował liny. W celi śmierci skazaniec się załamał i przyznał do otrucia matki, starszawej wdowy, z którą spędził całe swe dorosłe życie, jako powód podając to, że karmiła go pomyjami. Tę rewelację szczegółowo podano w jego *Ostatniej spowiedzi*. Ów dokument, wydrukowany naprędce w formie gazetki, był uświęconą wiekiem tradycją przy wieszaniu i sprzedawano go za pensa. Wielebny doktor Cotton, duchowy powiernik więźniów z Newgate, był powszechnie uważany za źródło informacji, za które drukarze całkiem przyzwoicie płacili. Cztery minuty po ósmej drgawki nagle ustały, by po chwili powrócić ze zdwojoną siłą.

Atherton stał w najgęstszym tłumie. Tu, w cieniu szubienicy, napierano na niego z każdej strony, co czyniło posługiwanie się ołówkiem i notesem wielce niewygodnym. Powinien był wykupić miejsce w oknie sklepu naprzeciw lub na pobliskim balkonie, między młodymi pączusiami i dobrze odkarmionymi rodzinkami. Tam mógłby bez przeszkód prowadzić obserwacje z przenikliwym naukowym chłodem, ale to nie pobudziłoby tak bardzo jego soków życiowych jak stanie w ciżbie. I nic tak nie stymuluje krążeń jak wieszanie.

– Tyle w nim życia – zauważył na głos.

– No cóż, już nie na długo, bracie. Ale też wywija! Ten tu przetańczy całom drogę na cmentarz. Czapki z głów wy tam z przodu! – Brudaska wciśnięta pod jego łokieć, stojąca na czubkach palców, by lepiej widzieć, łypała na niego z ukosa. – Gryzipiórek, co? Jeden z tych, co to biorom pensa za linijkę, he?

W odpowiedzi Atherton zaśmiał się pod nosem.

– Wienc nie? Nie, nie wyglondasz na takiego... Niechlujne małe z nich skurwiele. To co w takim razie robisz, przystojniaczku?

– Rozszerzam zakres ludzkich możliwości.

Byłaby całkiem ponętna w kwiecie wieku, ze wszystkimi zębami i urokiem młodości. Nawet teraz – w wieku co najmniej dwudziestu dwóch lat – zachowała radosną gotowość do pieprzenia się. Atherton uznał, że powinna mieć na imię Kwiatuszek.

– Mam pokój – powiedziała Kwiatuszek. – Niedaleko. Rozszerze dla ciebie coś innego, jeśli masz ochotę.

Peake od kilku chwil wisiał niczym pusty worek, ale teraz drgnął i znów zaczął się rzucać. Został uznany za martwego dwanaście po ósmej, potem siedemnaście po ósmej i znowu o ósmej trzydzieści trzy. Wszelkie ruchy

ostatecznie ustały o ósmej czterdzieści osiem i zgon ogłoszono dwie minuty po dziewiątej. Ale kiedy ten moment rzeczywiście nastąpił, i czy w ogóle nastąpił w chwili, gdy wisielca odcięto i położono na wozie, nikt nie mógł z całkowitą pewnością stwierdzić. Mechanizm śmierci pozostawał ciągle zagadką, mimo rozwoju nauki. Dionysus Atherton wiedział to równie dobrze jak wielu innych w Londynie. Była to niemal tak wielka tajemnica, jak to, co następuje później.

*

Pokój Kwiatuszka był na Seacoal Lane, ale zatrzymali się w podwórku nieopodal. Śmierdziało tam szczykami i jeszcze czymś gorszym, ale było stosunkowo ustronnie i Kwiatuszek została odpowiednio zachęcona do przyjęcia pozycji klęczącej. Poranne słońce wysyłało ciepłe promienie pomiędzy budynki. Atherton wystawił do nich twarz, kiedy Kwiatuszek ściągała mu z bioder bryczesy. Nic nie mogło się z tym równać: promienie słońca na twarzy i kwietniowy wietrzyk łagodnie igrający między nogami, podczas gdy dziewczka raźnie robiła swoje. Atherton rozłożył ramiona. Wyobraził sobie, że stoi na balkonie w Rzymie, błogosławiąc tłumy.

Po wszystkim dał jej pół gwinei. Cokolwiek by o nim mówić, z pewnością nie miał węża w kieszeni. Za cztery dziesiąta dotarł do zakładu *Bowell and Son* w rojowisku ulic na tyłach *St Bart's Hospital*. Na szyldzie nad drzwiami umieszczono trumnę.

Na miejscu został poinformowany, że *Peake* jest już w piwnicy, przywieziony przed kilkoma minutami powozem z *Newgate*.

– Ile minut temu?

Właściciel zakładu pogrzebowego spojrzął na zegarek.

– Siedem.

O dziewiątej czterdzieści dziewięć na podwórzu dało się słyszeć stukot kopyt. O dziewiątej pięćdziesiąt jeden klient został przeładowany. Owszem, pan *Bowell* może zapewnić, że podane czasy są dokładne. Jego chronometr był instrumentem o wielkiej precyzji. Należał kiedyś do jego dziadka, potem do ojca, a oni obaj – podobnie jak obecny pan *Bowell* – byli niezwykle punktualni.

Atherton zmarszczył brwi. *Nieboszczyk* odcięty o dziewiątej dwie, załadowany do powozu dwie minuty później. A potem kolejne czterdzieści

pięć minut zajęło mu dotarcie tutaj? Niecałe pół mili?

– Ocean ludzkości, panie Atherton. Kłębowisko żywych.

Przedsiębiorca pogrzebowy westchnieniem wyraził bezcelowość wszelkich ludzkich dążeń. Jego posępna twarz z kwadratową szczęką i wysokimi kośćmi policzkowymi osobliwie kojarzyła się z trumną. Można by się zastanawiać, czy taki już się urodził, czy też zawdzięczał swój wygląd dobrze znanemu, choć niepotwierdzonemu naukowo zjawisku upodabniania się właścicieli do swoich psów.

– Czy życzy pan sobie obejrzeć Obiekt?

Życzył sobie, choć nie podobało mu się owe czterdzieści pięć minut. W obecnej sytuacji opóźnienie nie robiło różnicy, ponieważ nie zamierzał poddawać tego akurat ciała zabiegom innym niż sekcja – zwyczajowe krojenie w cuchnącej, paskudnej kostnicy szpitala Świętego Tomasza. Ale były inne procedury, a w szczególności jedna, do których zbierał dane i układał plan. Czterdzieści pięć minut mogłoby stanowić przeszkodę, gdyby zamierzał ją przeprowadzić akurat na tym szubieniczniku z Newgate.

– Wieczorem przyślę po niego mojego człowieka – powiedział. – Proszę go dla mnie do tego czasu przechować.

Przedsiębiorca pogrzebowy skinął trumienną głową. To żaden kłopot, a nawet gdyby był, to i tak dla pana Athertona podjąłby się go z radością. Pan Atherton był zawsze dobry i niezwykle hojny, co zapewne się nie zmieni również i przy tej okazji. Tu nastąpiło drganie policzków, po którym z wysiłkiem uniosły się kąciki ust, jakby uśmiech pana Bowella był wynikiem pracy dźwigni i bloczków.

– A jak się miewa chłopiec? – spytał nagle Atherton.

Uśmiech zmienił się w wyraz ubolewania.

– Ma pan na myśli czeladnika? Nadal pośród żywych, panie Atherton, nadal pośród żywych. Nadal z nami na tym padole łez. Ale słabnie.

*

Chłopak nazywał się Isaac Bliss. Kiedy zeszli po schodach, leżał skulony na ławie, z plecami wygiętymi niczym obręcz beczki.

Warsztat mieścił się w piwnicy, wilgotnej i pachnącej trocinami, z deskami opartymi o jedną ze ścian i zarysem trumny na stojaku. Nieco światła trafiało tam przez małe okienko wychodzące na podwórze.

W słoneczne dni pyłki kurzu tańczyły przed Isaakiem, nic natomiast nie tańczyło za nim, bo znajdowało się tam pomieszczenie, gdzie przechowywano Obiekty przed preparacją. Isaac czuł je za plecami, gdy pracował. Tuż za ścianą, wpatrzone w krokwie niewidzącymi oczami. Czasem, słysząc skrzypienie starych desek, wyobrażał sobie, że to trzeszczą kręgi szyjne, kiedy zmarli wolno obracają twarze w jego kierunku. „Dzyń, dzyń”, dźwięczały pensy spadające z ich powiek.

– Masz gościa, Bliss – powiedział pan Bowell.

Isaac obrócił się, ale nie wyprostował. Nigdy się nie prostował. Z tego właśnie powodu został tanio nabyty w przytułku w Lamb's Conduit Fields, jako że pokrzywione znajdy oddawano ze zniżką.

– Przyszedł pan medyk. Odwiedził cię znowu, z dobroci serca.

– Witaj, młody Isaacu – odezwał się Atherton z przyjacielskim uśmiechem. Zauważył chłopca kilka tygodni temu i już kilka razy tu wracał.

Isaac odskoczył, na ile tylko pozwalał mu kręgosłup wygięty w pałąk.

– Wynocha! – warknął.

– Bliss! – wykrzyknął przedsiębiorca.

– Okłamał mnie pan, panie Bowell. Żaden z niego doktor, to c h i r u r g! Wypowiedział to słowo tak, jakby miało moc wzywania złego.

– Kto ci naopowiadał takich rzeczy? – Usta pana Bowella wygięły się dramatycznie.

U szczytu schodów coś się poruszyło. Czaił się tam Thos Bowell Młodszy: pryszczaty młodzieniec w wieku około szesnastu lat, starający się nie wyglądać jak młoda żmija, która nie ma nic lepszego do roboty, jak dręczyć upośledzonych czeladników.

Jego rodziciel tymczasem kontynuował karcącym tonem:

– Ten dżentelmen jest twoim dobroczyńcą, Bliss. To jemu zawdzięczasz swój los!

To prawda. Gdy przedsiębiorca pogrzebowy odkrył, że Isaac jest bardziej upośledzony, niż sądził, zamierzał odesłać go do przytułku. Jednak Atherton zauważył chłopca i zainterweniował, oferując Bowellowi zwrot kosztów jego utrzymania wraz z pewnym naddatkiem dla wynagrodzenia fadygi. Teraz przyklęknął na jedno kolano i patrząc szczerze w oczy Isaaca, rzucił:

– Chcę ci pomóc.

- Wiem, czego pan chce.
- Czy ból się nasila?
- Nie ma żadnego bólu.
- Czy trudniej ci oddychać?
- Wcale.

Krzywizna kręgosłupa z każdą wizytą Athertona stawała się coraz większa. Dzisiaj w płucach pojawił się charkot. Oczy Isaaca zdawały się ogromne i zapadnięte.

– Nic mi nie jest. Jestem zdrow jak ryba! Proszę iść pomagać komuś innemu.

Miał dwanaście lat. Isaakiem Blissem nazwano go w przytułku w Lamb's Conduit Fields, który był znany z nadawania pensjonariuszom dziwacznych nazwisk. Jedynym przyjacielem Isaaca był Augustus Rectitude. Obaj byli codziennie dręczeni przez dziewczynkę nazwiskiem Janet Friendly[2].

- Pozwól mi osłuchać twoje płuca.
- Nie – warknął Isaac, kuląc się jeszcze bardziej.
- Nie skrzywdzę cię.
- Nie wsadzi mnie pan tam! – wybuchnął chłopiec. – Nie na jedną z tych pańskich półek!
- Jakich półek?
- Tych, które ma pan w tym zamkniętym pokoju w pańskim domu pełnym grozy! Jagniątko z dwiema głowami, mały krokodyl i wszelkie inne nienazwane okropieństwa pozamykane w słoikach!

Bowell Młodszy ciągle się wiercił na szczycie schodów, więc Atherton rzucił mu mordercze spojrzenie.

– W moim domu nie ma takiego pokoju ani takiej półki. Nie mam też podobnych zamiarów – powiedział. – Masz na to moje słowo, słowo przyjaciela.

Przemawiał z prawdziwą żarliwością ten Dionysus Atherton. Miał niezwykle błękitne oczy. Najbardziej błękitne oczy, jakie kiedykolwiek istniały na ziemi.

– Powiem ci coś jeszcze. Natura jest najprzebieglejszym z lekarzy. Widziałem ludzi będących w gorszym stanie niż ty – wielu takich, Isaacu, wszyscy spisani na straty – którzy budzili się pewnego pięknego ranka, stawali na nogi i dawali swojemu doktorowi prztyczka w nos. Widziałem to wiele razy. Dawali mu prztyczka, wykrzykując: „Figę warte, doktoru,

twoje proszki i mikstury!”. – Pochylił się i zniżył głos, a błękitne oczy stały się nagle całym światem chłopaka. – Według mojej prywatnej opinii, młody Isaacu, możesz przeżyć nas wszystkich. Zatem proszę cię o przysługę, jak przyjaciel przyjaciele. W dniu mojego pogrzebu – oby nadszedł za wiele długich lat od dziś – w dniu mojego pogrzebu, kiedy będzie cię mijał kondukt żałobny, musisz się na chwilę zatrzymać i powiedzieć temu, kto akurat znajdzie się obok: „Oto odszedł człowiek, którego znałem w młodości. Robił, co w jego mocy, i niósł pomoc, jak tylko potrafił. Oby dobry Bóg wybaczył mu resztę”. A potem, młody Isaacu – teraz będzie najważniejsze – musisz podnieść rękę w geście szacunku dla mnie i pstryknąć palcami.

Mówię wam, gdybyście to widzieli, wasze serca rozpląnęłyby się jak masło na patelni, bo w oczach Isaaca pojawiła się isierka prawdziwej nadziei. To był jeden z jakże wielu darów Athertona. Miał takie zdolności uspokajania i perswazji, że nie było innego sposobu, jak tylko mu uwierzyć. I przysięgam, że kiedy powoli pojawiał się uśmiech – w tym jednym promiennobłękitnym momencie – Dionysus Atherton sam w to wszystko wierzył.

Wsunął chłopcu w dłoń sześć pensów.

– No! – wykrzyknął pan Bowell. – No, Bliss, co się mówi swojemu dobroczyńcy?

Wygięty niczym obręcz Isaac wykręcił szyję, by spojrzeć na chirurga. Z drżącym uśmiechem na ustach wyciągnął w górę wykrzywioną rękę i pstryknął palcami.

Atherton klasnął w dłonie z zachwytem.

– Dobra robota, młody Isaacu!

Na zewnątrz zatrzymał się jeszcze, by zamienić słówko z Bowellem Młodszym. Wyjaśnił mu, co zwykł robić ze zmijami dręczącymi ułomnych. (Sam opis sprawił, że młody Thos przez sześć nocy z rzędu zrywał się, bełkocząc z przerażenia). Potem wręczył przedsiębiorcy dodatkową gwineę.

– Proszę dobrze traktować Isaaca – powiedział cicho. – Rozumiemy się, panie Bowell? Skolioza jest bardzo zaawansowana i nic już nie można zrobić. Ale to istota ludzka i zasługuje na troskę. Niech nie pracuje za ciężko. Proszę zadbać, by miał dość jedzenia i koc. A kiedy umrze, proszę mnie niezwłocznie zawiadomić.

*

Moglibyście spytać Waszego Wielce Uniżonego Narratora: skąd o tym wszystkim wiesz? Byłeś tam i widziałeś to na własne oczy? Podczas egzekucji, u Bowella lub w tym podwórzu przy Limeburner Lane, gdzie Dionysus Atherton wyobrażał sobie, że jest wyniesiony ponad tłumy, podczas gdy główka Kwiatuszka podskakiwała w tył i w przód? Czy byłeś w jego głowie, by usłyszeć najskrytsze myśli i poznać najgłębsze sekrety jego serca?

Prawda jest taka, że nie, nie byłem. Nie tamtego dnia ani też w wiele innych dni. Jednak wiem, co robił Atherton w każdym z tych miejsc. Wytropiłem fragmenty układanki jeden za drugim i złożyłem je w całość. O tak, Wasz Wielce Uniżony ma ogromny talent do zagadek i równie wielki do myszkowania, co sami zrozumiecie po należyтым wprowadzeniu w tę historię.

Tak więc owszem, wiem, co zrobił Dionysus Atherton. Wiem, co zrobił później oraz co myślał, kiedy to robił. A czego nie wiem, to mogę odgadnąć, ponieważ go z n a m. Poznałem jego serce jak własne.

Spójrzcie teraz na niego, jak kroczy Aldersgate Street.

Ulice nadal wypełniał tłum – wracający z egzekucji, turkoczące wozy, hałaśliwi woźnicy i zataczające się pijaczki pośród świętej cierpliwości porządnych obywateli ściskających mocno swe żony, a jeszcze mocniej sakiewki. Przed barem kilka rynsztokowych nimf wymieniało docinki z przechodzącą obok grupą elegancików, hałaśliwych młodych ogierów. Za rogiem póletatowy oficer oparł jedną z ich sióstr o ścianę i posuwał ją ku ogromnemu zgorszeniu wszystkich przyzwoitych przechodniów i jeszcze większej uciechu bandy czeladników, którzy zainicjowali obrzucanie pary kochanków grudami końskiego łajna. Innymi słowy, Londyn w całej krasie w owym roku 1816.

Minął rok od Waterloo. Bonaparte był na wygnaniu na Wyspie Świętej Heleny, a nasze czerwone kurtki wróciły do domów. Wielu z nich czegoś brakowało. Widywało się Toma Lobstera[3] skaczącego na jednej nodze po ulicach Londynu lub siedzącego na rogu z czapką w dłoni. Ot, żołnierska dola. Na Pye Corner jest nawet piwiarnia o takiej nazwie – Żołnierska Dola – która wkrótce pojawi się w naszej historii. Nazwał ją tak dawny właściciel, który stracił rękę i obie nogi w jakiejś morskiej bitwie. Jednak

po dekadzie niepokoju i zaciskania pasa po Metropolii krążyła już nowa energia. Pojawiło się poczucie, że wiele jest możliwości, a niewiele zakazów. Paradoksalne wrażenie, że coś bezpowrotnie się rozpadło, choć trudno zgadnąć, co konkretnie, i że zaczynało narastać coś nowego i pulsującego. Panowała atmosfera poszukiwania, dążenia i pojmowania, a Atherton uosabiał Ducha Czasów. Wręcz się nim skrzył.

Krocząc pośród tłumu, wzrostem przewyższał większość przechodniów o głowę, a urodą – o niebo. Miał na sobie płowe bryczesy i błękitny płaszcz, a jego włosy były długie i złote. Wzywałby człowieka do trefienia loków co rano, tyle że nigdy nie miał do tego cierpliwości. Miał zatem dziką fryzurę, która bardziej do niego pasowała.

Przeciął Cannon Street i skierował się ku Tamizie, zmierzając do Guy's Hospital, gdzie był najjaśniejszą wschodzącą gwiazdą na chirurgicznym firmamencie. Szpital stał na południowym brzegu rzeki, którą Atherton postanowił przebyć wynajętą łodzią.

Przyspieszył kroku.

Dokądkolwiek zmierzał, zawsze spieszno mu było dotrzeć na miejsce, a gdy już tam był, chciał się znaleźć gdzieś indziej. Tego dnia zerwał się na długo przed brzaskiem, by nadzorować sekcję, a nieraz był nadal na nogach, gdy nadchodził kolejny świt. W Guy's Hospital pracował niczym huragan, ciągnąc za sobą wielbiących go studentów. Podczas wykładów niewiele zwalniał, chodząc tam i z powrotem i wyrzucając z siebie potok słów.

Również w chirurgii nikt nie dorównywał mu tempem, nawet jego szkolny kolega Alec Comrie, którego prędkość była wprost legendarna. I z całą pewnością nikt nie sięgał po skalpel z większą ochotą niż on. Nikt nie był choć w połowie tak szybki, zwłaszcza wtedy, gdy wrzeszczącego pacjenta należało przytrzymać siłą. Wyjątek stanowiła praca przy stole prosektorskim. Tam – w Domu Śmierci pełnym szczurów, smrodu, grozy i wróbli (o, opowiem jeszcze o wróblach) i pokrojonych, wyszczerzonych trupów – Atherton był wcielonym bezruchem. Potrafił godzinami stać w intensywnym skupieniu, oddzielając warstwy tkanek oszczędnie odmierzonymi ruchami.

„Wkrótce poznam Wielką Tajemnicę!”

Tak brzmiały ostatnie słowa Ronalda Peake'a na szafocie: teraz Peake już ją zna, prawda? Dziesięć minut po jedenastej w ten poniedziałkowy

poranek, w momencie, gdy Atherton przekraczał Tamizę, wyglądając jak ktoś, kto mógłby równie dobrze nakazać, by jej wody się przed nim rozstały, truciciel docierał właśnie do innego brzegu. Wiedział już coś, o czym chirurg nie miał pojęcia.

Jeszcze nie.

Kiedy Jemmy Cheese był bardzo młody, jego brat Edward ostrzegał go przed paleniskiem kominka. Ziało niczym otchłań na środku pokoju i gdyby Jemmy zbyt blisko do niego zbliżył, sam diabeł wyskoczyłby z wrzaskiem, by wciągnąć go tam, gdzie wciągał wszystkich innych chłopców bawiących się swoimi siusiakami. No chyba że najpierw dopadłaby go żarłoczna wiedźma i chwyciła szponami za tyłek, kiedy kuczał. Skutkiem tego Jemmy spędził dzieciństwo z wnętrznościami skręconymi lepkiem strachem.

Dzisiaj w nocy czuł się podobnie.

Przecinając Whitechapel Road, zwolnił kroku, przełożył worek na drugie ramię i rzucił czujne spojrzenie w niebo, bo nie podobał mu się jakoś ten księżyc.

– Nie ma strachu – mruknął Mały Hollis, przemykając obok.

Jednak księżyc zawsze jest zły. Ten tutaj wślizgnął się za chmury, pograżając wszystko z powrotem w ciemnościach. Robił to już od jakiegoś czasu. Znikał, ale potem znów wysuwał róg, paskudnie biały i zdradziecki, niczym stara chytra kurwa wytrzeszczająca ślepią zza okna.

Jemmy ruszył, czując, że wnętrzności kurczą mu się jeszcze bardziej. Ktoś może zrzuciłby winę na ostrygi chlupoczące w rytm jego długich i ciężkich kroków – zjadł ich dwa tuziny i popił litrem portera, jako że dzisiejsze zadanie nie należało do tych, których można się podjąć na trzeźwo. Ale tu nie chodziło o ostrygi. To ten znany, lecz niespodziewany i mdlący strach przed szponami wiedźmy zaciskającymi się nagle na gołym ciele. Jemmy’emu zaświtało w głowie, że doświadcza właśnie tego, no,

jakże to się nazywa... przeczucia, kiedy to człowiek wie, że zaraz wydarzy się coś potwornego.

Wcześniej spotkał Małego Hollisa w tawernie Żołnierska Dola, gdzie z reguły zaczynały się te noce. Po posiłku wyruszyli okreśną drogą do zaułka, gdzie ukrył narzędzia. Znajdowali się teraz na Radcliffe Highway, skręcającej łukiem ku wschodowi, w kierunku cmentarza St George-in-the-East.

Prieczucie. Do Jemmy'ego dotarło, że miał przeczucie. Było dostatecznie silne, by kazać mu się zatrzymać i niemal zmusić do ruszenia pędem z powrotem do domu, do Meg. Tylko jak by to wyjaśnił bratu? Ned dostałby szalu, nazwałby go *obtusus*[4] i obrzucił jeszcze gorszymi obelgami, z których wiele byłoby po łacinie, ponieważ Edward – Ned – Cheshire był uczony, mądrzejszy od samych chirurgów. Miał lombard niedaleko Farringdon Road i zamierzał zostać dentystą.

Księżyc znowu wychynął zza chmur i oświetlił Małego Hollisa oglądającego się do tyłu.

– Tędy – syknął, przywołując Jemmy'ego gestem.

Cmentarz był otoczony murem najeżonym u szczytu kolcami i niewątpliwie również tłuczonym szkłem. Takie właśnie żalosne sztuczki wymyślają teraz, by powstrzymać Trupiarzy. Szeroka brama frontowa i boczna, znacznie mniejsza – ta była otwarta, jak obiecał Ned, a załatwił to z zakrystianem. Brama skrzypiała na zardzewiałych zawiasach, a drzewa rosnące wzdłuż muru poruszały się niespokojnie. Bezlistne gałęzie trzeszczały.

– Zaczekaj! – rzucił Jemmy.

Coś było nie tak.

Jemmy Cheese nie był stworzony do tej roboty, nawet w swoich najlepszych czasach. Przede wszystkim miał na to zbyt bujną wyobraźnię. Ale dzisiejszej nocy coś było bardzo nie w porządku.

Jednak Mały Hollis już się przekradł, a gniew Neda byłby nie do zniesienia. A co najgorsze, jego ukochana Meg mogłaby po raz dziesięcioletni potrząsnąć głową, jak to ona potrafi, i spytać, co do diabła ma z nim zrobić.

Zatem ruszył.

Cmentarze, niepielone ogrody śmierci, były rozsiane po całej Metropolii. St George-in-the-East był jednym z większych: trzy akry ropiejącego

rozkładu z nagrobkami sterczącymi krzywo niczym zęby staruchy. Cmentarz służył parafii liczącej czterdzieści tysięcy dusz, a londyńczycy – niech ich Bóg błogosławi – umierali w niesłabnącym tempie. Należało ich pochować i zostawić w spokoju aż do dnia Sądu Ostatecznego, w którym zbudzi ich dźwięk trąby Archanioła Gabriela – lub do czasu, gdy Mały Hollis, Jemmy Cheese lub im podobni wyłonią się z mroku nocy z łopatami i workami w dłoniach. Mały Hollis zaryzykował odrobinę światła z latarenki i uchylił bramę na cal. W żółtej poświacie zobaczyli grób, którego szukali: kopiec świeżej ziemi po porannym pochówku i prosty biały krzyż.

Były tam też kamyki i małe białe muszelki, na pierwszy rzut oka rozrzucone przypadkowo. Należało je ostrożnie usunąć, a po ekshumacji pieczołowicie poukładać z powrotem, bowiem w rzeczywistości nie było w nich nic przypadkowego. Przebiegli przyjaciele zmarłego układali takie aranżacje bezpośrednio po pogrzebie, by potem wrócić i sprawdzić, czy zmieniły położenie. Jeśli zmieniły, od razu wiedzieli, że do grobu dobrali się Trupiarze. Wtedy wybuchały okrzyki wściekłości, chwymano za łopaty i jeśli grób okazywał się pusty, krzyczano jeszcze głośniejszym głosem i miotano straszliwe przekleństwa. Podobne zdarzenia często prowokowały dalsze akcje. Rozkopywano sąsiednie groby, co nieraz prowadziło do odkrycia, że i one są puste. W skrajnych przypadkach okazywało się, że cały cmentarz został tak ogołoceny, iż zdawało się, jakby pochowani zmarli byli tak święci, iż sam Wszechmogący uniósł ich wprost na swe łono, sprzątnąwszy ich z talerza oburzoną robakom.

Podobne odkrycia były zawsze niefortunne dla profesji Trupiarzy. W gazetach pojawiały się wściekłe donosy i zdawano czujność, wysyłając węszących strażników. A co gorsza, nocami na cmentarzu przychodzili przyjaciele niedawno zmarłych. Czaili się w ciemnościach z pałkami.

Mały Hollis postawił lampę i zaczęli.

To, co mieli zrobić, było koniecznością. Każdy Trupiarz w Anglii wam to powie. I każdy chirurg. W samym Londynie były setki chirurgów i studentów medycyny – nie mówiąc o reszcie kraju. Pracowali w szpitalach i prywatnych szkołach anatomii, których były dziesiątki, a każdy z nich potrzebował zwłok do krojenia. Jakże inaczej mieli się uczyć i eksperymentować? Chyba że na żywych pacjentach, przywiązanych do łóżka i wrzeszczących. Ponieważ prawo zezwalało Królewskiej Akademii

Chirurgii na przejęcie na własność czterech morderców powieszonych w Newgate rocznie – i tylko czterech – pozostałe ciała chirurdzy i anatomowie zdobywali dzięki Trupiarzom – cmentarnym hienom.

Kopało się wąski skośny rów od strony głowy: na tym polegała cała sztuka. Łopaty były drewniane, bo takie robią mniej hałasu. Zajmowało to godzinę lub więcej, jeśli ziemia została ubita, a trumnę zakopano głęboko. Jednak należyte grzebanie było kosztowne, a ten Obiekt zarabiał jako woźnica. Biedacy nie byli zbyt pieczołowicie zakopywani. Często upychano ich nawet po trzech w jednym grobie, a ten na górze był zakopany nie głębiej niż ziemniak.

Na głębokości nie większej niż dwie stopy łopata Jemmy'ego głucho stuknęła. Zgarnęli tyle ziemi, by odsłonić koniec trumny i Jemmy sięgnął po łom, aby podważyć wieko. Chwycił tanie drewno i uniósł wraz z przykrywającą je ziemią – delikatnie, by nie hałasować. Mały Hollis zahaczył kotwiczkę o całun i odsunął się, kiedy Jemmy zaparł się obcasami o ziemię i zaczął ciągnąć linę niczym rybak sieci.

Wiatr poruszał gałęziami drzew, które trzeszczeniem obwieszczały swe zatrwożenie, jakby wzburzone, iż podobna niegodziwość istnieje na tym świecie. Kiedy ciało osunęło się na ziemię, twarz woźnicy wyjrzała spod całunu jak posiniaczona larwa odwinięta z potwornego kokonu. To właśnie twarze prześladowały Jemmy'ego: poprzecinane błękitnymi żyłami, upiornie blade, z luźnymi szczękami. Wydawało mu się, że było coś, co powinien zrobić lub powiedzieć, tylko nie wiedział co.

Kiedyś zwierzył się z tego Meg. Tamtego dnia piła dżin i go wyśmiała. „Powiedz im, żeby wstali i zaczęli chodzić” – powiedziała. Taka była Meg, kiedy wypła kilka głębszych. Gniewna, o tak, była najbardziej gniewną osobą, jaką znał. Trzymała gniew pod korkiem, lecz on wrzał tam w głębi, a dżin działał jak korkociąg.

Jemmy zapakował woźnicę do worka, po czym zasypali z powrotem grób. Zdawało się, że ten Obiekt był wyjątkowy. Jeden z chirurgów, pan Atherton, był szczególnie zainteresowany rozkrojeniem go na swoim stole, za który to przywilej płacił ekstra – sześć funtów, czyli o połowę więcej niż zwykła stawka. Jemmy nie pytał dlaczego. Często tak było, że chirurdzy leczyli Obiekt za życia i chcieli potem przeanalizować skutki terapii. Śledzili losy dawnych pacjentów, przez lata czekając na swoją szansę.

Cztery funty za dużego – to była normalna cena. Obiekty występowały jeszcze w trzech innych rozmiarach: większy mały, mały i płód. Z definicji małe mierzyły mniej niż trzy stopy i były wyceniane od cala. Jemmy nienawidził małych, bo prześladowały go najgorzej ze wszystkich. Martwe dzieci nawiedzały go w nocy. Bezpańskie widma z pustką w oczach, drapiące palcami w jego okno. Budził się z krzykiem, zlany potem. Czasem Meg się z tego powodu wściekała, ale kiedy indziej była łagodna. „Nie ma się czego bać – mówiła. – Wszystko w porządku, Jemmy. Jesteś bezpieczny z Meg”.

Nie tak dawno sądziła, że sama może być w ciąży. Na tę wiadomość serce Jemmy’ego aż podskoczyło z radości i zaczął ją błagać, by nie szła do staruchy dwie ulice dalej, która załatwiała tego typu sprawy.

„Niby jak tacy jak my mieliby wychować dziecko?” Postawiła to pytanie w gniewie, bo tego dnia dzin znów płynął w jej żyłach. „Zaopiekowałbym się wami” – odpowiedział. „Ty?! – prychnęła. – Ty zająłbyś się dzieckiem? A w ogóle to skąd ci przyszło do głowy, że ono jest twoje?”

To go zmiądzzyło. Trochę. Musiał się przejść, żeby to przemyśleć. Jednak wrócił, uznawszy, że nic nie szkodzi.

„Zaopiekowałbym się nim tak czy inaczej – powiedział jej. – Jakby było kogo innego, toby może było szczęśliwsze. I pewnie mądrzejsze”.

Skłęta go za te słowa, ale wzrok jej w końcu złagodniał, a potem go przytuliła. Kilka tygodni później, kiedy przyszło krwawienie i straciła dziecko, była równie smutna jak on. Odtąd zawsze już była smutna.

Meg zdawała się prawie tak mądra jak brat Jemmy’ego, Ned. Wprawiało go w zdumienie, że ktoś tak mądry chce z nim być. Meg czytała książki i od czasu do czasu bezskutecznie starała się nauczyć tego i jego, ale jej brakowało cierpliwości, a on jakoś nigdy nie mógł tego pojąć. Nie umiał złożyć liter razem, jak to robili mądrzy ludzie. Kiedy udało mu się parę przyszpilić, zaraz rozłaziły się i przekręcały.

Ale Jemmy miał inne przymioty. Był lojalny do grobowej deski – jak mawiała Meg – i niezwykle silny. Kochała tę jego siłę. Nocami mościła się pod jej osłoną, jakby była dzieckiem.

Nie miała wykidajły do ochrony, od kiedy opuściła burdel Matki Peachum, gdzie mieszkała, zanim zaczęła się spotykać z Jemmym i gdzie dziewczyn pilnował najbardziej pokiereszowany mięśniak w Seven Dials. Jednak kiedy pewien facet źle ją potraktował, to Jemmy dowiedział się, kto

to taki, i poszedł go naprostować. Miał gołębie serce i nie lubił swojej roboty – odzyskiwania pieniędzy, które Ned pożyczał nierobom. Ale ważył sto pięć kilogramów i kiedyś w ramach zakładu położył się na plecach, a po klatce piersiowej przejechał mu wóz. Musielibyście stanąć na skrzynce jabłek, żeby spojrzeć Jemmy’emu w oczy, czego nie chcielibyście rzecz jasna robić, kiedy był zdenerwowany. A był zdenerwowany tego dnia, kiedy poszedł naprostować tamtego faceta. I rzeczywiście naprostował go niebywale. Wieść się rozeszła i od tego czasu mężczyźni zrobili się znacznie miłsi dla Meg.

– Chodźmy! – syknął Mały Hollis. Za długo tu zabawili i nie mogli pozwolić, by ktoś ich zobaczył.

Nie dalej jak dwa miesiące temu pewien Trupiarz został zlinczowany w Dublinie. Zmaltretowany na miazgę i powieszony na latarni. Tak robił tłum, kiedy dorwał któregoś z nich – a wszystko z powodu Sądu Ostatecznego. W owym dniu powstaniecie, by stanąć przed swym Stwórcą, i macie się stawić w jednym kawałku. Ale nie będziecie mogli tego zrobić, jeśli was wykopano i pokrojono, nieprawdaż? Trąby zagrają, a wy będziecie stać pookrawani jak te resztki bożonarodzeniowych gęsi. To dlatego rabowanie grobów wzbudza taką grozę i dlatego ludzie tak nienawidzą Trupiarzy.

Złe przeczucie Jemmy’ego zmieniło się w ściskające gardło przerażenie. Coś było nie tak, był tego pewien. Może grób? Może kamyczki nie zostały ułożone jak trzeba? Zawahał się, spojrzął i przeraził się na widok własnego cienia. Zdzirowaty księżyc znowu wychylił się za jego plecami.

Przygarbiony Mały Hollis szybko zmykał. Jego dupa, szersza niż ramiona, podskakiwała wysoko, jakby niesiona kopniakami. To nadawało mu prawdziwie gryzoniowaty wygląd, jak zapewne zauważyłby Jemmy, gdyby miał w zwyczaju robić złośliwe obserwacje na temat swoich przyjaciół. Ale nie miał tego w zwyczaju. Hollis przebył już połowę drogi do bramy. Noddy Sprockett czekał na nich z wozem zaraz za murem. Dziesięć minut wcześniej słyszeli stukot kopyt Starego Jeroboama.

Na grobie nieopodal leżały kwiaty, gałązki przewiązane wstążeczką. Kierując się impulsem, Jemmy zatrzymał się i pomyślał, że zabierze je do domu dla Meg. Ona weźmie je niby niedbale, ale w głębi serca będzie zadowolona.

Zobaczył ich, kiedy się odwrócił. Dwie widmowe postaci w świetle księżyca.

Zmarli. Zrozumiał to natychmiast, ze ścinającą krew w żyłach pewnością. Zawsze wiedział, że musi do tego dojść, że zmarli wstaną z grobów, by się zemścić. Porwą go i wciągną w dół, do spółki z Kiblową Wiedźmą i Diabłem z Kominka.

Mały Hollis odwrócił się, słysząc jego wrzask.

– Chryste! To straż! – krzyknął.

Ale to nie była ani straż, ani wstające z grobowców upiory. Było znacznie gorzej: kuzyni zmarłego woźnicy.

To jednak wyjdzie na jaw dopiero później, podczas procesu. Zostali wysłani na cmentarz, by strzec grobu przed takim właśnie złupieniem. Kiedy zjawili się rabusie, był z nimi jeszcze trzeci, który po krótkiej wymianie nerwowych szeptów wymknął się, by zawiadomić innych przyjaciół woźnicy czekających nieopodal w pogotowiu. Co prawda ściskali w dłoniach solidne pałki, jednak po rozważeniu swoich szans w starciu z tym dużym uznali, że wynik może nie być zadowalający.

Za murem rozległy się wściekłe krzyki, potem rzenie konia i oddalający się stukot kopyt. Stary Jeroboam zmusił się do desperackiego wysiłku i unosił właśnie Noddy,ego Sprocketta ku ocaleniu. Mały Hollis zmykał w drugą stronę, odrzuciwszy na bok łopatę. Jak na kogoś z tak potężną dupą osiągał zadziwiającą prędkość.

I tak Jemmy został sam, stojąc jak wryty, w świetle księżyca i z trupem na ramieniu, podczas gdy przyjaciele woźnicy wlewali się przez bramę. Najpierw czterech, a potem więcej i więcej.

Jemmy chciałby powiedzieć: „Złożę waszego przyjaciela z powrotem do ziemi, przysięgam na wszystkie świętości. Wykopię kogoś innego”, ale od razu usłyszał:

– Zabić go!

Chciałby powiedzieć: „Nie, czekajcie! Proszę. Muszę zanieść te kwiaty Meg”.

– Zabić!

Upuścił ciało i uniósł pięści. Ale oni już go dopadli i zaczęli tłuc pałkami.

Pozwólcie, że teraz wam opowiem o chirurgach.

W najlepszych dniach epoki georgiańskiej, kiedy John Hunter[5] zaczynał swoją karierę, było całkiem inaczej. Pół wieku temu lekarze mogli oczekiwać pewnego poważania, błyszcząc połączanymi laskami i wykształceniem. Ale chirurdzy? Balwierze z aspiracjami, których ambicje nie mogły sięgać wyżej niż zakład w zaułku i czerwona szmata zawieszona na tyczce. Oszuści i nieudacznicy, którzy nigdy nawet nie stali obok uniwersytetu. Uczyli się, terminując u starszych oszustów, dłużej praktykujących nieudacznictwo, doskonaląc tam swój nieudacznicki warsztat poprzez nieuczenie się niczego nowego. Nadawali się jedynie do wrywania zębów i nastawiania kości, a nierzadko i do tego niespecjalnie.

Ale do 1793 roku, gdy Johna Huntera zawiodło serce i ten wielki człowiek poznał Wielką Tajemnicę, wiele się zmieniło. Chirurgia stawała się nauką, ze wszystkimi tego konsekwencjami: pozycją społeczną, królewską walutą i pacjentami – niech ich Bóg błogosławi – którzy przeżywali. Hunter słynął w całej Europie ze swej wiedzy anatomicznej, miał piękny dom w Earls Court i wynajmował drugi na Leicester Square. Teraz, zaledwie kilka lat później, chirurg mógł mierzyć jeszcze wyżej. Pan Astley Cooper był gwiazdą północy, której blaskiem kierowali się wszyscy zdolni i ambitni młodzi ludzie, tacy jak Dionysus Atherton. Mówiono, że jest bliski tytułu szlacheckiego, ze swymi dochodami przekraczającymi dwadzieścia tysięcy funtów rocznie, z posiadłością w Gadebridge, dużym domem na Conduit Street i służącym, który z samych łapówek od pacjentów wyciągał sześćset funtów rocznie.

Alec Comrie był lepszy niż oni wszyscy.

Mieszkał nad sklepem z dżinem w Cripplegate. Miał dwa pokoje: poczekalnię i gabinet, które wynajmował od kobiety nazwiskiem Maggs, właścicielki sklepu wykonującej również prace domowe, gdy dopadało ją natchnienie. Miał także chłopca do pomocy, który spał w składziku na poddaszu i w życiu nie zarobił sześciu pensów na łapówkach, jak sam pogodnie zauważał. „Nawet sześciu pensów, wasza miłość, ani nawet trzech. Właściwie to nawet pieprzonej jednopensówki, proszę mi wybaczyć niewyszukany język. Ale jestem wdzięczny, bo wolę być uczciwym człowiekiem. Zatem, czy jest pan dżentelmenem, który ma czasem chętkę na odrobinę hazardu na popołudniowym spacerze?”

Najrozsądniej było odrzucić tę ofertę.

Miał zgrabną sylwetkę, ów chłopak chirurga, zwłaszcza z pewnej odległości. Strojnisz, wyelegantowany podług najnowszej lub prawie najnowszej mody. Jednak z bliska stroje okazywały się znoszone, a on sam nie wyższy niż kilka cali ponad pięć stóp. Miał ciekawą ciemną twarz, złożoną z samych trójkątów, jedwabną chusteczkę, którą zwędził ze straganu tego ranka i zwycięski uśmiech, świecący niczym wschodzące słońce. Miał też trzy kubki i ziarnko grochu, które, jak zapewniał, znajdowało się pod jednym z nich – wystarczyło tylko uważnie obserwować jego zwinne palce, by bez trudu odgadnąć – „oj, a to pech, sir!” – pod którym.

Nazywał się Will Starling i to właśnie on jest Waszym Wielce Uniżonym Narratorem.

Tak więc wreszcie się spotykamy, ja i wy, twarzą w twarz. Jestem zaszczycony, mogąc was poznać, bez wątplenia. Wyobraźcie sobie mój ukłon, a ja pozostaję z nadzieją, że was nie rozczarował.

Pan Comrie wynajął te pokoje, kiedy wróciliśmy z Europy, gdzie pracował jako chirurg wojskowy – siedem lat na Półwyspie z Wellingtonem, który wielce go cenił. Krążyła nawet plotka, że książę nadał mu przydomek Szkocki Pancernik, po tym jak Comrie z niewiarygodną sprawnością przeprowadził wysoce delikatny zabieg na książęcym wacku, który – niech to zostanie między nami – był potężnych rozmiarów.

Radzę wam potraktować tę konkretną historię z przymrużeniem oka, jako że sam ją wymyśliłem. Niemniej jednak zręczność pana Comriego była

legendarna – po bitwie pod Salamanką przeprowadził prawie dwieście amputacji w ciągu dwudziestu czterech godzin. Taka jest prawda, jak babcię Kocham! Dokładnie sto osiemdziesiąt siedem, wiem, bo sam liczyłem. Mógł odciąć wam nogę w dwie minuty, a rękę o połowę szybciej. Z braku środków przeciwbólowych szybkość była dobrodziejstwem. Ordynansi układali kończyny na osobnych stertach: giry na jednej, łapska na drugiej. Kiedy pan Comrie potrzebował obu rąk, chwycił nóż w zęby.

Pamiętam młodego porucznika rano po szturmie na Badajoz, opartego o ścianę stodoły, która służyła za szpital polowy, tępo wpatrującego się w swoją prawą nogę. Kulas zaczynał się całkiem normalnie, by nagle zmienić kierunek pod fantazyjnym kątem. Złamanie było umiejscowione powyżej kolana, co oznaczało, że trzeba wyłuskać kość ze stawu biodrowego. Pan Comrie powiedział mi to bezceremonialnie, jak rzeźnik walący barana w łeb.

– Umrę? – spytał młody porucznik.

– O ile nie zoperuję natychmiast.

Nie było innego sposobu z takim fatalnym złamaniem. A właściwie z jakimkolwiek złamaniem. Należało usunąć kończynę.

– Jestem u bram – powiedział porucznik. Zdaje się, że miał żyłkę poety.

– Leżę u Czarnych Bram samej Śmierci.

– Ale ja właśnie nadciągam – rzucił pan Comrie.

Chodził na uniwersytet w Edynburgu, chociaż wychował się gdzieś dalej na północy – sądzę, że w Dunfermline, nie to, że bym się znał, w życiu nie byłem na północ od Lichfield. Ale w nagłej potrzebie stawał się wyjątkowo szkocki.

– Brezent! – krzyknął do ordynansów.

Byliśmy na zewnątrz i paskudny deszcz szczał na nas z nieba. W takich warunkach trzymano brezent nad operującym chirurgiem, a deszcz wygrywał na nim werble.

– Nóż! – rzucił w kierunku Waszego Wielce Uniżonego.

Młody porucznik zaczął szlochać.

– Nadchodzę – powiedział pan Comrie – i przynoszę ze sobą stal i wrzaski. Ale sprowadzę cię z powrotem.

I tak też zrobił. Usunięcie nogi zajęło mu pięć minut, bo wyjęcie ze stawu jest zawsze trudniejsze. Porucznik zemdlał w połowie operacji, ale potem szybko się ocknął. Dwa tygodnie później siedział na sienniku,

przegrywając pieniądze u Willa Starlinga. Niedawno słyszałem, że wrócił do Londynu i recytował ballady na rogach ulic.

Taka jest prawda. Również – na wypadek, gdybyście się zastanawiali – w kwestii wacka lorda Wellingtona. Ale ponieważ nie należy to do historii, którą wam teraz opowiadam, równie dobrze możecie zapomnieć, że o tym wspominałem.

Po Waterloo pan Comrie zdecydował się otworzyć cywilną praktykę w Londynie. „To tylko kwestia czasu – mówił tego dnia w kwietniu 1816 roku. – Tylko kwestia czasu”.

Zwykle nie był zbyt rozmowny. Ale miał zwyczaj mówienia do siebie, jak gdyby uparte powtarzanie pewnych zdań miało sprawić, że coś się urzeczywistni.

- Pacjenci zaczną przychodzić.
- Oczywiście, że tak – zgadzałem się dzielnie.
- To tylko kwestia czasu.
- Zgadza się.
- Będą wchodzić po tych schodach.

Siedział w gabinecie, a Wasz Wielce Uniżony zaglądał z półpiętra. Gabinet był urządzonej po spartańsku i bardzo czysty – chirurg, maniak czystości, wierzył, że pacjentom takie warunki służą. To było jego prywatne przekonanie, niepoparte naukowo, a kiedy pan Comrie powziął przekonanie, było ono niezłomne. Stały tam dwa drewniane krzesła i drewniana ława do badania pacjentów. Pod nią skrzynia wypełniona trocinami do wchłaniania krwi, która w przeciwnym razie przesiąkała przez deski w podłodze i kapłała na głowę pani Maggs w sklepie z dżinem. Przy jednej ścianie ustawiono stół z przyrządami chirurgicznymi ułożonymi na zielonym rypсовym obrusie. Wasz Wielce Uniżony czyścił je pod koniec każdego dnia, a często również po każdym zabiegu. Alec Comrie był rzemieślnikiem, a rzemieślnik szanuje swoje narzędzia. Nad stołem wisiała szafka zawierająca buteleczki i fiołki – maści i płyny do nacierania, trochę alkoholu i mały zapas laudanum, choć pan Comrie nie używał go zbyt wiele, jako że miało ograniczone zdolności łagodzenia znacznego bólu. Ponadto uważał, że ból to zmartwienie pacjenta, który powinien sobie z nim radzić we własnym zakresie.

Na ścianach wisiały rysunki anatomiczne: przekrój mózgu i ludzkie postaci ukazane bez skóry, by zaprezentować organy wewnętrzne. Kiedy

zaglądałem od progu, pan Comrie właśnie uzupełnia tę kolekcję, wieszając na honorowym miejscu oprawiony szkic ołówkiem autorstwa rysownika medycznego Charlesa Bella. Przedstawiał on ranę postrzałową moszny uwiecznioną po bitwie pod La Coruña. Sam operował kilka takich przypadków. Rany tego typu zdarzały się częściej, niż moglibyście sądzić, i powstawały z reguły wtedy, kiedy Tom Lobster przyklękał do strzału z nisko wiszącymi klejnotami. Znalazł ten rysunek wczoraj na ulicznym straganie w Holborn i aż krzyknął z zachwytem.

W rzeczy samej – był znakomity: szczegółowy, pedantyczny i przerażający. Kunszt Bella odpowiadał kunsztowi pana Comriego. Szkic przedstawiał tylko biodra i podbrzusze w zbliżeniu, z potwornie opuchniętą moszną pośrodku, prawdę mówiąc, bardzo podobną do wielkiej figi na martwej naturze, tyle że figa zwykle nie ma rany wlotowej po jednej stronie i wylotowej po drugiej, z wystającym z niej ogonem figowych flaków. Było w tym pewne przewrotne piękno. Pozostawało jednak pytanie, czy aby na pewno obraz powinien wisieć na tej ścianie.

Zadałem je ostrożnie. Należało być ostrożnym, kwestionując decyzje pana Comriego.

– A co z nim nie tak? – zjeżył się.

Zapewniłem go, że nic. Tyle że to była ściana jego gabinetu, gdzie mogli przyjść i tak już przerażeni pacjenci.

Zaripostował, że przecież inni chirurdzy mieli szkielety. Atherton na ten przykład miał czaszkę.

– A jednak – powiedziałem. – Moszna...

Po chwili niechętnie skinął głową.

– No dobrze – zgodził się. – Damy.

Właściwie to miałem raczej na myśli dżentelmenów. Jedno spojrzenie na tę konkretną mosznę wystarczyłoby wam, byście popędzili prosto do sklepu z dżinem. Niemniej nie drążyłem tematu, a pan Comrie już po chwili zdjął rysunek i położył go niechętnie na jednym z krzeseł.

– Przyjdą – powiedział znowu.

– Na pewno.

– To tylko kwestia czasu.

– Nic innego.

– Nauczę się tej sztuczki.

Miał na myśli umiejętność, jaką posiadał między innymi Astley Cooper. Atherton również. Obaj potrafili promieniować taką empatią, że pacjenci brali głęboki oddech i rozluźniali zwieracze, przynajmniej do czasu, kiedy zobaczyli narzędzia. Idąc do gabinetu Athertona w Crutched Friars, spotykaliście się z czystym ukojeniem. Tutaj, nad sklepem z dżinem, był tylko warczący Szkot z piłą do kości.

– Znam swoje braki, Williamie – mruknął, zwracając ku mnie zawstydzoną twarz, jak gdyby mnie zawiódł. Nigdy tego nie zrobił, ani razu, przez wszystkie te lata, kiedy byliśmy razem. I nigdy nie zawiódł w czymkolwiek, co miało dopiero nastąpić.

– Znam swoje braki i mogę się zmienić.

Lecz oczywiście nie mógł. Nikt z nas tego nie potrafi, prawda?

Wtedy usłyszeliśmy na dole podniesione głosy. Pani Maggs domagała się podania przyczyny wizyty, a kobiecy głos nalegał na spotkanie z chirurgiem.

– Ejże, nie możesz tak po prostu...

– Puszczaj!

Na schodach zadudniły kroki i w progu stanęła kobieta. Była drobna i żylasta, z dziko rozwianymi włosami i wielkimi ciemnymi oczami osadzonymi w wąskiej twarzy. Miała zbyt ostre rysy, by można ją było uznać za ładną, a jednak była niemal piękna, o ile takie małe zawzięte coś może być piękne. Jej ubiór wyglądał niestarannie i rwał się jej oddech.

– Załatwili go! Rozbili mu głowę! Niech się smażą w piekle! I pan też... To wszystko pańska sprawka!

– Moja sprawka? – Pan Comrie był zakłopotany.

– Twoja! Jego... Tego drugiego, Athertona! Całej waszej przeklętej zgrai!

– Jeśli nie zacznie pani mówić do rzeczy, nie będę mógł pani pomóc. Kim jesteś, kobieto, i co się stało?

– Przekłęte morderstwo, to się stało! Zabili mojego Jemmy'ego!

Meg Nancarrow zaklęła dziko i wybuchnęła płaczem.

Zataszczyli Jemmy'ego Cheese'a pod areszt na Giltspur Street. Odnalezienie go zajęło Meg cały ranek, który nastąpił po tym, jak dowiedziała się od Małego Hollisa, co zaszło na cmentarzu. Kiedy dotarła na Giltspur Street, znalazła go żywego, ale w bardzo ciężkim stanie – tak ciężkim, że gorzej być nie mogło. Popędziła do St Bart's Hospital, by sprowadzić chirurga, ale nikt się nie kwapił biec tylko po to, by ocalić życie Trupiarza. Ktoś podał jej nazwisko pana Comriego i jego adres na Cripplegate.

– Dobrze – mruknął. – Pójdę.

– Więc pospiesz się pan, do cholery!

Sięgnął po marynarkę, tę mniej poplamioną. Ruszył za nim z kieszonkowym zestawem narzędzi zawiniętych w skórę, który zabieraliśmy do wezwań.

Areszt przy Giltspur Street znajdował się na wschodnim krańcu St Sepulchre's, zaraz na północ od Newgate i nie dalej niż rzut kamieniem od Żołnierskiej Doli, gdzie zaczęły się wszystkie nieszczęścia Jemmy'ego. W areszcie trzymano głównie nieszczęśników siedzących za długi, ale przyprowadzano tu również nocnych aresztantów, ponieważ posterunki straży nie mogły przetrzymywać więźniów. To straż przywlekła tu Jemmy'ego.

Ściągnął ich rejwach na cmentarzu, jak podejrzewała Meg. Przyjaciele woźnicy mieli zamiar powiesić Jemmy'ego, jak to zrobiono z Trupiarzem w Dublinie, tyle że zdawało im się, że już i tak go zatłukli na śmierć. „Powieśmy go tak czy inaczej!” – zawołał któryś, ale inni nie byli tacy

pewni, a dwóch lub trzech zaczęło się zastanawiać, czy zabicie człowieka było właśnie tym, co chcieli zrobić, i czy prawo nie miałoby przypadkiem czegoś do powiedzenia w tej kwestii. Tak się sprawy miały, kiedy napatoczyli się dwaj starszawi strażnicy z chwytakami, świecąc byczym okiem latarni i krzyżąc: „Hej tam, hej tam! Do kaduka!”. Kiedy banda zaczęła się rozpraszać, strażnicy sprowadzili wózek z osłem, należący do wcześniej wstającego straganiarza, i zawieźli Jemmy’ego Cheese’a na Giltspur Street.

– Myśleli, że... umrze... skurwiele. – Meg wyrzucała z siebie urywane frazy, kiedy pędziliśmy na miejsce. – Że zdechnie w drodze, że będą mogli go zabrać do St Bart’s i sprzedać chirurgom... – W jej wzroku było piekące oskarżenie. – Sprzedać go takim jak on.

Pan Comrie nie przejmował się takimi zarzutami, bo nasłuchiwał się przekleństw pod swoim adresem wyrzaskiwanych przez rannych żołnierzy w połowie Europy. Przez stu osiemdziesięciu siedmiu jednego dnia po Salamance. Ja jednak brałem rzeczy bardziej do siebie, niejako w jego imieniu.

– Taki jak on – odezwałem się – spieszy przez połowę Metropolii, żeby pani pomóc.

– Wiem o tym!

Przepełniała ją rozpacz, więc musiała coś z nią zrobić. Wściekłość była sposobem na jej zagłuszenie. To był idealny moment, żeby porzucić temat, czego naturalnie nie uczyniłem.

– Spieszy przez połowę Metropolii – powtórzyłem, bo podobało mi się brzmienie tej frazy. Mam słabość do miodopłynnych wyrażen i szczególne upodobanie do błyskotliwych słów, takich jak „miodopłynny”, które znalazłem pewnej nocy w słowniku Sama Johnsona. – Ciekawość bierze, ileż zarobi za swój trud?

– Zapłata! – wykrzyknęła Meg. – Więc to jest teraz ważne, co?

– Nikogo nie obchodzi zapłata – powiedział pan Comrie.

Ale zaczynał się denerwować, bo zatrzymała się tuż przed nim. Na środku Long Lane, koło Smithfield Market pełnego hałaśliwych krów, wśród przechodniów, którzy zwalniali kroku, by się pogapić na naszą barwną gromadkę. Przybrudzona turkawka drąca się na zażenowanego szkockiego chirurga i młodego W. Starlinga stojącego obok i żałującego, że się nie zamknął, kiedy była ku temu dobra okazja.

– Tu i teraz? Na kolanach w stercie końskiego gówna? No to załatwmy sprawę!

Kto inny zareagowałby pewnie inaczej. Dionysus Atherton wskazałby stertę, ale pan Comrie po prostu poczerwieniał jak burak.

– Spokojnie – powiedział. – Pani przyjaciel mnie potrzebuje.

Ruszył przed siebie, a ja za nim. Meg Nancarrow popatrzyła po gapiach, jakby wyzywając ich, by nazwali ją wyuzdaną i niedorzeczną. Patrzyła, notując w pamięci każdą z tych twarzy, jakby w wolnej chwili zamierzała wrócić i poderżnąć im gardła. A potem pobiegła za nami.

– Niech mnie jasny kutas strzeli! – mruknął do mnie pan Comrie. Miał wyraz twarzy jak żołnierze w bitwie, kiedy widzą urwaną nogę kręcącą młynki w powietrzu sześć stóp nad ziemią. – Będą z nią kłopoty.

*

Jemmy’ego Cheese’a trzymali w małej kamiennej celi z pryczą i drewnianym kubłem. Był to jakby przedsionek większego pomieszczenia, w którym siedziało z pół tuzina innych więźniów. Jemmy leżał na plecach, cały w sińcach i pancerzu z zakrzepłej krwi. Połowa jego głowy była groteskowo spuchnięta, a jego oczy wyglądały jak szpary. Pomyślałem, że przypomina nieszczęśliwego trolla, który spadł ze szczytu góry prosto na głowę.

– Czy jest nadzieja? – spytała Meg Nancarrow.

Przystanąła w drzwiach, ściskając swój szal. Jej głos był niski i ochrypły, kiedy nie używała go jako broni.

Pan Comrie nie odpowiedział. Sprawdziwszy długie kości w poszukiwaniu złamań, badał teraz czaszkę pod zmatowiałymi włosami. Jego palce były długie i zwinne – niezwykle palce przy krótkich i nabitych ramionach, jako że chirurg był poza tym typem o mocnym korpusie na kabłąkowatych nogach. Jego postura lepiej pasowała do zapaśnika na wiejskim festynie lub chłopa wydlubującego głazy z pól.

– Nie ma złamań w kończynach – powiedział po chwili – ale jest wklęsłe pęknięcie czaszki.

– Co pan zrobi? – spytała Meg.

– Wrócę jutro. Zobaczę, czy przeżyje noc.

– A wtedy?

- Zobaczą, co można zrobić.
 - Mogę mu jakoś pomóc?
 - Niech go pani umyje.
 - Jak trupa?
 - Oddycha. Proszę utrzymywać go w cieple.
 - Czy jest nadzieja? – spytała ponownie.
 - Niewiele. Ile pani potrzebuje?
- Popatrzyła na niego, a potem skinęła głową.

*

Następnego ranka Jemmy Cheese ciągle leżał blady niczym śmierć. Ale oddychał.

– Jest silny – powiedziała Meg. Siedziała przy nim przez całą noc, jak poinformował nas więzienny dozorca, kiedy się zjawiliśmy. – Silniejszy, niż można by uwierzyć.

Był tam ktoś jeszcze. Tyczkowaty mężczyzna w wieku około trzydziestu jeden lub dwóch lat, łysiejący i w okularach. Miał zaciśnięte usta, kobiece dłonie i był niewiele wyższy niż Wasz Wielce Uniżony. Paskudny i pedantyczny, w starej brązowej marynarce i jaskrawoczerwonej kamizelce.

– *Ecce homo* – odezwał się Edward Cheshire, znany również jako Wujek Cheese. – Spójrz pan na mego brata, panie Comrie. Upadł nisko i zapada się coraz głębiej. Ojej, ojej, i cóż ja pocznę?

Potrząsnął głową i spojrział w bok, niczym jakaś boleściwa odmiana rudzika. Idealnie okrągłe szkła jego okularów pochwyciły światło z jedyne okienka i zalśniły.

– Idź wykopywać własne trupy, Ned – powiedziała Meg. – Idź sam ściągać swoje długi, sam wyrywaj ludziom krwawicę z gardła!

Udał, że tego nie usłyszał.

– *Media vita mortus sumus* – powiedział. – W kwiecie życia umieramy.

W rzeczy samej tak się to właśnie tłumaczyło, jak później sprawdziłem w słowniku. Lub przynajmniej mniej więcej tak, wzięwszy pod uwagę niedoskonałości składni. A któż śmiały w takiej chwili czynić człowiekowi wyrzuty z powodu niewłaściwej deklinacji?

Znałem, rzecz jasna, Wujka Cheese'a, pan Comrie też. Każdy chirurg w Londynie go znał. Prowadził lombard w zaułku na tyłach Old Street, gdzie stał właśnie za ladą, kiedy przed godziną przybył tam Mały Hollis ze straszną wiadomością o jego bracie. Natychmiast zamknął sklep, przeklinając po łacinie nasiąkniętego brandy człowieka, który właśnie przytaszczył pod zastaw ciepłe kurtki swoich dzieci – teraz, na wiosnę. Większość klientów Cheese'a była tego rodzaju, chociaż najbardziej lukratywny obrót miał towarami, którymi nigdy nie ozdabiał witryny: Obiektami. Dużymi, małymi i płodami. Dodatkowo na boku handlował też zębami, podobnie jak inni w branży Trupiarzy, zbierając je, by odsprzedać dentystom. Wiele protez zębowych w Londynie zawdzięczało swe istnienie Edwardowi Cheshire'owi, który był niezawodnym źródłem pięknych, świeżych trzonowców w rozsądnej cenie, niejednokrotnie nadal z kawałkami dziąseł. Ponadto prowadził jeszcze inną działalność, pożyczając pieniądze wszystkim, którzy cienko przędli. Studenci medycyny z Borough Hospitals zwracali się do niego w potrzebie, podobnie jak wielu innych – hazardziści i nędzarze, wdowy i darmozjady, uczciwi mechanicy, którym powinęła się noga – wliczając w to jednego czy dwóch trzymanyh tu, na Giltspur Street, za długi. Wujek Cheese odpowiadał na te potrzeby, naliczając odsetki w systemie tygodniowym. Jeśli dłużnikom nie udawało się zapłacić, wysyłał swojego brata, by z nimi pogadał.

Brata, który teraz leżał przed nim. Z wyrazu twarzy można było odgadnąć jego myśli: Metropolia pełna oszustów, a Jemmy Cheese leży tu bez ducha.

– Ojej – powiedział. – Ojej, ojej, ojej.

Pan Comrie szybko podjął decyzję.

– Będę operował, by zmniejszyć ucisk na mózg – rzucił i zaczął podwijać rękawy.

Przytaszczyłem dziś rano pełen zestaw instrumentów, biorąc pod uwagę taką ewentualność. Pan Comrie trzymał je w metalowej skrzynce z czasów wojska.

– Pół korony – powiedział do Edwarda Cheshire'a. – Zanim zacznę. Bez tego nie mogę pomóc.

Nie sposób opisać słowami rozżalenia Neda, że chirurg stosuje tak bezczelne wymuszenie.

– Ludzkie życie... – zaczął.

- Daj temu człowiekowi pieniądze – powiedziała Meg.
- Wujek Cheese wyprostował się na całą wysokość, na jaką było go stać.
- Czy może pan zagwarantować, że operacja się powiedzie?
- Oczywiście, że nie – odpowiedział pan Comrie.
- A to, że jeśli przeżyje, będzie taki jak przedtem?
- Nie.
- No cóż...

Wujek Cheese był człowiekiem interesu. Negocjując warunki, czuł się jak ryba w wodzie. Sześciopięciopięć z góry i kolejna, jeśli Jemmy przetrwa zabieg. Trzecia w dniu, w którym usiądzie i spojrzy obojgiem oczu w tym samym kierunku. I nie będzie się ślinił. A ostatnia, gdy zupełnie wyzdrowieje i będzie w stanie wykonywać wszystkie czynności niezbędne do tego, by prowadzić pełne i szczęśliwe życie.

- Takie jak mówienie pełnymi zdaniami – powiedział Wujek Cheese – oraz kontrolowanie zwieraczy i pobieranie znacznych sum pieniędzy od...
- Daj mu tę pieprzoną monetę – wycedziła Meg.

Jej głos był zdławiony nie tyle z rozpacz, ile ze złości tak intensywnej, że potrzebowała całej swej siły, aby ją powstrzymać. To było niesamowite, patrzeć na ten gniew gnieźdzący się w samym szpiku kości niczym żar. Gdyby wzięła zbyt głęboki oddech, nastąpiłby zapłon. Jeśli dostarczyłaby mu tlenu, buchnęłyby płomienie, rozświetlając jej wielkie ciemne oczy od środka. Rozszalałby się pożar, topił kamienne ściany i palił drewniane belki, aż cały posterunek przy Giltspur Street stanąłby w płomieniach, a ona, wrzeszcząc w szalonym tańcu, podpalałaby kolejne dachy Londynu.

Ned Cheshire wyciągnął pół korony. Podał monetę panu Comriemu, który przekazał ją mnie.

- Znajdź kowala. Biegiem.

*

Kiedy wróciłem, połowa głowy Jemmy'ego była ogolona, a jego prycza została przeniesiona do większej celi, gdzie było lepsze światło. Pan Comrie sięgnął po trepan solidnej belgijskiej produkcji. Jemmy pozostawał w miłosiernej nieprzytomności, gdzie w połowie operacji dołączył do niego strażnik, blednąc i osuwając się na posadzkę z głuchym odgłosem. Strażnicy i więźniowie stłoczyli się przy wejściu niczym gęsi, by popatrzeć,

bowiem zabieg chirurgiczny to rzadka atrakcja, niemal tak dobra jak wieszanie – w pewien sposób nawet lepsza, zważywszy na to, iż jej ostateczny rezultat nie jest taki pewny.

Trepanacja zajęła kilka minut. Kiedy końcówka z ostrzem piły dotknęła czaszki, pan Comrie zaczął obracać uchwyt w kształcie litery T zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ostrze miało kształt stożka o średnicy szylinga na końcu, z buforami, które ograniczały głębokość wiercenia, co zapobiegało uszkodzeniu mózgu. Mimo to zabieg wymagał wyjątkowej ostrożności, bo czaszki występują w różnych grubościach i aż nazbyt łatwo wwiercić się o tę odrobinę zbyt głęboko. Kiedy powstała dziura zmniejszająca nacisk, pan Comrie uniósł wklęsnięte krawędzie pęknięcia, wyławiając opuszkami okruchy kości, szokująco białe na tle mózgu różowego niczym płatki kwiatów. Następnie wstawił w to miejsce monetę – spłaszczoną jak opłatek przez kowala, którego znalazłem przy Paternoster Lane – a potem zaszył z powrotem skórę głowy. Pan Comrie był mistrzem igły i nici: szyl niczym zawodowa szwaczka.

W końcu opatrzył i zabandażował ranę. Twarz Jemmy’ego Cheese’a była woskowa i blada.

– Jeśli się ocknie, będzie chciał wody – powiedział pan Comrie, wstając.
– Nie dajcie mu zbyt dużo.

– Pół korony – powiedział Edward Cheshire. – W jego g ł o w i e.

Mógłbym przysiąc, że zapamiętywał to miejsce z zamiarem odzyskania własności, jeśli jego brat przeniósłby się na łono Wszechmogącego. Ale oczywiście moneta została stracona. Wychodząc, mamrotał przekleństwa.

Pan Comrie również wyszedł, a gapie rozeszli się, zostawiając mnie samego z Meg i Jemmym. Siedziała cicho i nieruchomo przy pryczy w ukośnych promieniach światła wpadających przez okno. Cienie nadały jej twarzy zmizerniały wygląd i zrozumiałem, że była młodsza, niż sądziłem. Niewiele starsza niż ja. Miałem dziewiętnaście lat, co mogę stwierdzić z całą pewnością, bo w przytułku trzymano dokumenty – chociaż nie mogę wam powiedzieć, kto był moim ojcem, dokąd udała się moja matka po tym, jak zostawiła mnie w zawiniątku, ani też jakie imię otrzymałem po urodzeniu.

– Wrócę wieczorem – powiedziałem, zbierając narzędzia. – Przyniosę leczniczą esencję. Będzie pani mogła jej użyć przy zmianie opatrunku.

Mój narząd współczucia został pobudzony. Ponadto jestem też bezwstydną cyrkową małpą, jak zapewne sami już zaczęliście podejrzewać, i chciałem się popisać moją wiedzą medyczną.

– To nalewka z alkoholu wydestylowanego z wina na lawendzie i olejku z lebidki. Niezwykle wysoko wydajna. – Kolejne słowo podejrzane u Sama Johnsona. – I stymulująca procesy lecznicze. Przygotuję ją dla pani wcześniej, jako że posiadam pewną skromną wiedzę farmaceutyczną, której nabrałem niejako przy okazji...

Meg Nancarrow jakby zapomniała o moim istnieniu. Jej ciemne włosy opadły, zasłaniając twarz.

Spróbowałem ponownie.

– Obudzi się. Zobaczysz pani. Widziałem takich, którzy wyglądali dziesięć razy gorzej, a jednak dochodzili do siebie... Mnóstwo takich przypadków, kiedy byliśmy w Iberii z lordem Wellingtonem. Ocalaliśmy ludzi z kulami muszkietowymi w czaszce. My, czyli pan Comrie – dodałem. – Ja sam jestem, mówiąc dokładniej, jego asystentem. Jakkolwiek okazałem się pomocny, jak sam wielokrotnie podkreślał. Pan Comrie jest bardzo dobry. Naprawdę bardzo dobry, mimo pozorów.

Widziałem kiedyś balon napełniony gorącym powietrzem, który unosił się ponad ogrodami Vauxhall, podczas gdy tłum obserwował go z zapartym tchem. Rozpoczęło się to wielce obiecująco, ale jak tylko uniósł się ponad korony drzew, powietrze zaczęło z niego uchodzić i prawie natychmiast wytracił wysokość. Poleciał jeszcze kawałek, po czym poddał się i osiadł w gąszczu ciernistego janowca, gdzie zawisł przekrzywiony z poplątanymi linami, a kulejący aeronauci wyciągali z siebie kolce. Tak właśnie się teraz poczułem.

– Nie pozwolę, by chirurdzy cię dorwali, Jemmy. – Meg mówiła bardzo cicho, przemywając mu czoło szmatką zmoczoną w deszczówce. – Nie dostaną cię, jeśli umrzesz. Zaniosę cię na własnym grzbiecie nad morze, jeśli będzie trzeba... Rozpalę ogień na brzegu i cię spalę. Obiecuję ci to, mój kochany. A jeśli do mnie nie wrócisz, psy mogą sobie szczać na popioły. Sama na nie naszczam, przysięgam na rany Chrystusa! Podciągnę spódnice, rozkraczę się i wyszczam do ostatniej kropli, jeśli mnie zostawisz i umrzesz, sukinsynu... Proszę, Jemmy, niech cię szlag, nie odchodź!

Londyński przytułek został zbudowany przez filantropa, kapitana żeglugi morskiej Thomasa Corama, na terenie dawnego boiska do krykieta w Lamb's Conduit Fields. Przycupnął – i tam pozostaje po dziś dzień – na końcu szerokiej drogi po północnej stronie Guilford Street, gdzie chaos Metropolii zaczyna się przerzedzać i przechodzi z wolna w pola i nieużytki. Za półkolistym murem z żelazną bramą są trzymane małe owoce grzechu, jak głosi powszechna opinia o tym miejscu. Podrzutki zebrane pod skrzydłami Thomasa Corama to latorośle cnotliwych kobiet, które upadły. Są tam dwa proste ceglane budynki i kaplica wychodzące na otwarty dziedziniec. W zachodnim skrzydle rezydują małe owoce rodzaju męskiego, a we wschodnim – żeńskiego.

Przed przyjęciem dziecka zarządcy wymagają świadectwa, że matka wcześniej dobrze się prowadziła, do czego, miejmy nadzieję, powróci z pomocą boską, kiedy tylko złoży swój mały ciężar na inne barki. Ponadto wymaga się dowodu, że ojciec dziecka ją opuścił. Jeśli oba warunki zostaną spełnione, matka może pójść w swoją stronę, pozostawiając niemowlę pod stałą opieką instytucji, czego znakiem jest odtąd nowe imię i nazwisko nadane mu przez zarządców. Do czasu, gdy Wasz Wielce Uniżony przybył pod żelazną bramę, wena dawno już opuściła lub wręcz przeciwnie – poniosła zarządców, tryskając obficie z fontanny przewrotnej ekscentryczności. Skutkiem tego towarzyszami dziecięcych zabaw Willa Starlinga byli admirał Benbow i Richard Shovel, nie wspominając Edwarda Plantageneta i małej spryciary nazwiskiem Female Child[6], w której kochałem się przez wiele lat bez cienia nadziei ani okrucu wzajemności.

Tak naprawdę podrzutki nie spędzały swoich pierwszych lat życia w przytułku. Po przyjęciu były oddawane mamkom w Kent, gdzie i ja mieszkałem do ukończenia lat czterech. Mam okruchy wspomnień z tamtych dni, ale nic, co składałoby się w jakąś całość: biała chmura na błękitnym niebie, chłód ubitego klepiska na moim gołym tyłku, złowrogie oko ogromnego kurczaka. Przede wszystkim jednak pamiętam – lub wydaje mi się, że pamiętam – czerwoną dłoń podtrzymującą wielką, białą, poprzecinaną niebieskimi żyłkami pierś. Nie mogę wiele powiedzieć wam o jej właścicielce z wyjątkiem tego, że musiała być dostatecznie dobra dla podrzutek powierzonych jej opiece. W końcu oto jestem, nadal żywy.

Potem dotelepano mnie na wozie do Londynu i dostarczono do przytułku, gdzie pozostałem przez następne dziesięć lat. Ubierano nas tam w mundurki i uczono czytać Biblię – a przynajmniej chłopców. Przekazywano też fragmenty wiedzy z różnych dziedzin, jednak nie było to nic specjalnie ambitnego. Dziewczynki, jak przypuszczano, aspirowały do zawodów związanych ze służbą domową, podczas gdy chłopcy kończyli zwykle w piechocie lub marynarce. Podrzutek nadawał się na mięso armatnie równie dobrze jak każdy inny młody człowiek.

W wieku lat czternastu podrzutki były oddawane do terminu u pracodawców. Ja wpadłem w oko kominiarzowi.

– Czy jest uczciwy i godny zaufania? – Kominiarz domagał się odpowiedzi od zarządców, którzy obstawili mnie z obu stron.

– O tak! – zapewnili go, łącząc w żywe oczy. – To jest chłopiec wprost stworzony do gmerania w kominach.

– Dam z siebie wszystko, sir – zapewniłem go z uśmiechem szczerym niczym boska obietnica zbawienia. – Nie zawiodę pana.

Poszedłem z nim tego samego popołudnia. Następnego ranka odwrócił się na moment, a kiedy się obejrzał, zobaczył oddalającego się stracha na wróble, małego, a z każdą sekundą coraz mniejszego.

*

Kilka miesięcy później wstąpiłem do armii. Wcześniej wybrałem się do Kent z zamiarem odnalezienia mojej dawnej mamki. Zdawało mi się, że mogła wiedzieć coś o mojej matce, która nigdy nie wróciła po mnie do Lamb's Conduit Fields. Jak dokładnie zamierzałem odnaleźć starą mamkę,

pozostaje dla mnie tajemnicą, jako że nie dysponowałem żadnymi informacjami z wyjątkiem opisu jednej potężnej piersi. I jeszcze kurczaka, który z pewnością już dawno nie żył. Tak czy inaczej, zboczyłem z kursu i zamiast tego wylądowałem w Southampton, gdzie uśmiechem zdobyłem pracę na stanowisku karczmarczyka w tawernie Pod Lunetą.

Była to speluna niedaleko doków, obsługująca żeglarzy i ich dziwki. Pewnego wieczoru przyszła grupa werbunkowa z Dziewięćdziesiątej Piątej Kompanii Strzelców i kiedy sprzątałem stoły, zauważył mnie sierżant o czerwonej twarzy, grzmiącym śmiechu i wspaniałych bokobrodach. Wraz z porannym odpływem mieli wyruszać do Hiszpanii i niech go licho, jeśli zna powód, dla którego Wasz Wielce Uniżony nie miałby popłynąć z nimi. Stawiał mi napitek, poklepywał po plecach i wykrzykiwał, jakże przystojny byłbym w jaskrawoczerwonym mundurze. Jeden z jego towarzyszy zerwał z siebie kurtkę i nałożył na mnie, by to udowodnić. Rękawy były o połowę dłuższe od moich rąk, a talia wypadła gdzieś w okolicy kolan, lecz Sierżant Bokobrodaty przysięgał, że nie stanowiło to przeszkody, bo znaleźlibyśmy miniaturowy muszkiet oraz krawca, który zmniejszyłby mundur. Do tego czasu służyłbym jako werblista prowadzący żołnierzy do bitwy. Ludzie krzyczeliby „hurrraaa”, przepowiadał, a dziewczęta padałyby zemdlone na plecy ze spódnicami zadartymi na głowy.

W rzeczywistości wcale nie byli grupą werbunkową. Mój nowy przyjaciel był zwyczajnym Piechocińcem Bokobrodatym, który uznał pomysł ubrania Waszego Wielce Uniżonego w mundur za wielce zabawny, a ja byłem takim naiwniakiem, że tego nie dostrzegłem. Ale z drugiej strony, czegoż można wymagać od chłopca, który wyruszył z Londynu do Kent w poszukiwaniu gigantycznego cycka i zamiast tego wylądował w Southampton? Tak więc obudziłem się na okręcie wojennym pośrodku kanału La Manche z łomotaniem w głowie i skutkami nocnej libacji na koszuli. Resztę podróży spędziłem, rzygając do kubła, i muszę powiedzieć, że w życiu nie widziałem milszego widoku niż hiszpańskie wybrzeże wyłaniające się z gęstej mgły.

Statek zarzucił kotwicę i sprowadzono nas na brzeg. Właśnie szedłem na chwiejnych nogach w kierunku zbawczego stałego lądu, kiedy usłyszałem z tyłu odgłosy zamieszania. Jakiś żołnierz spadł z trapu, co odkryłem pośród narastającego zgiełku, kiedy znoszono go na brzeg. Jego kompani tłoczyli się wokół niego, wołając o pomoc. Znalaziono nosze i przeniesiono

go do portowej tawerny, gdzie położono go na drewnianym stole, zrzuciwszy uprzednio naczynia. Nagle napierający tłum się rozstał wśród okrzyków, że przybył chirurg.

Przeszedł przez nich niczym człowiek zmagający się z porywistym wiatrem: pochylony do przodu, rozpychając się ramionami, z głową wysuniętą niczym żółw. Jedno spojrzenie wystarczyło mu, by stwierdzić, że noga została paskudnie złamana.

– Ty tam! – warknął. – Wyjmij paluch z dupy i zrób z siebie użytek.

Przecisnąłem się bliżej, by lepiej widzieć – taki już miałem zły nawyk. Ciekawość, piekło i te sprawy. Ale przecież z pewnością nie warczał na mnie...

– Tak, ty! Biegnij i przynieś moje narzędzia. Powiedz, że pan Comrie kazał.

Narzędzia były nadal na statku, tak powiedział, więc popłynąłem tam z okrzykiem: „Rozkazy od pana chirurga!” i zostałem wciągnięty na pokład jak szczur po nieudanej ucieczce. Ale spodobało mi się wypowiedanie słów „rozkazy chirurga”. To fraza, jak odkryłem, od której nadyma się chłopięca klatka piersiowa. Zatem zrobiłem, co mi kazano, wróciłem na statek i zszedłem pod pokład po drabinie za złoścącym podoficerem.

Pan Comrie dzielił małą kabinę z trzema oficerami połowymi. Przechowywał narzędzia pod koją w płaskiej, prostokątnej, metalowej skrzynce, mocno podrapanej i powgniatanej. Otworzyłem ją jedynie po to, by się upewnić, i oto były tam, w pełnym blasku.

Przy odrobinie szczęścia nigdy nie zobaczycie narzędzi chirurga, ułożonych równiutko w rzędach, każde na swoim miejscu, z wojskową precyzją. Przeznaczenia większości z nich mogłem się jedynie domyślać, choć aż nazbyt szybko miałem się dowiedzieć, do czego służyły. Były tam igły, nóż do amputacji z kościaną rękojeścią oraz dwa inne, mniejsze, i jeszcze jeden, długi, ze straszliwie zakrzywionym ostrzem, dokładnie taki, jakie trzymali w zębach arabscy piraci podczas abordażu w krwawej opowieści przygodowej z tanich broszurek. Kleszcze, pincety, haki chirurgiczne, długa smukła fiołka na kule z muszkietu, świder do kości czaszki i lśniący druczany piłka do palców. Były tam też trzy różne piły do kości – największa przypominała ręczną piłkę z wymiennym ostrzem. Na pierwszy rzut oka było widać, że to piły do kości. Pomiedzy nimi leżał kamień do ostrzenia. Jak się wkrótce miałem przekonać, ostrzenie narzędzi

było stałym zmartwieniem chirurgów polowych. Jeśli mają wam usunąć kończynę, postarajcie się być pierwsi w kolejce. Po godzinie lub dwóch ostrza zaczynają się kleszczyć jak przy cięciu świeżego drewna.

Przysięgam, że naprawdę lśniły w przyćmionym świetle sączącym się przez iluminator. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że młodszy oficer patrzy na mnie z ukosa. Oczywiście było wiadomo, o czym myśli. Skrzynka cennych narzędzi w rękach cwane go małego hultaja, takiego jak Wasz Wielce Uniżony.

– Masz pojęcie, ile to może być warte? – wycedził.

Tak, przyznaję, przemknęło mi to przez głowę: zamknąć skrzynkę, błysnąć uśmiechem i migiem do najbliższego lombardu. Lecz tego popołudnia zwyciężyła ciekawość – nie nazwę tego cnotą – i zrobiłem, co mi kazano. Ściskając skrzynkę pod pachą, zaniósłem ją z powrotem, niczym katamita niosący rytualne noże do kapłana czekającego z obnażonymi ramionami przed ołtarzem. Albo nie, nie katamita – złe słowo – właśnie sprawdziłem je w słowniku Sama Johnsona... Miałem raczej na myśli: akolita.

Tłum w tawernie jeszcze zgęstniał, a pośród niego czekał niecierpliwie pan Comrie.

– Jesteś! Połóż je na ławie obok mnie, w zasięgu ręki.

Ranny leżał na stole, unosząc się na łokciu, i domagał się, by przed nastawianiem kości dać mu jeszcze jedno piwo. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że to Bokobrodaty. Pan Comrie nie zwracał na niego uwagi.

– Ty, ty, ty i ty – powiedział, dźgając palcem czterech krzepkich żołnierzy. – Przytrzymajcie go.

Wymienili niespokojne spojrzenia, ale zrobili, co kazał.

– Nóż – rzucił w moim kierunku.

– Nóż?! – wrzasnął Bokobrody, kiedy spłynęło na niego zrozumienie.

– Najlepiej zrobić to od razu – poinformował go chirurg. – Póki jest pan nadal w pełni sił. Większe szanse przeżycia, mniejsze cierpienie.

– Nie utnie mi pan nogi! Nastaw ją pan!

– Nie zagoi się. Zacznie się jątrzyć i gnić, potem będzie gangrena. Śmierć w ciągu tygodnia, i to w męczarniach.

– Niech pan posłucha – odezwał się ktoś. – To jego cholerny kulas. Jego decyzja.

Najwyraźniej jednak tak nie było.

– Nóż – warknął do mnie pan Comrie. – Nie ten. Ten drugi, z zakrzywionym ostrzem.

Nóż arabskiego pirata. Służył on – jak miałem się za chwilę przekonać – do przecinania skóry i mięśni. Wielu chirurgów nadal stosowało technikę znaną pod nazwą Mistrzowskiego Kręgu, czyli jedno zamaszyste okrężne cięcie. Zamiast tego pan Comrie ciął po linii litery V, co pozostawiało dłuższe kawałki luźnej skóry, które można było następnie zeszyć na kikucie. Znacznie mniej bólu i większa szansa na wygojenie bez gnicia.

– Trzymajcie go mocno – rozkazał czterem krzepkim wojakom, którzy byli już równie kredowobiali jak Bokobrodaty.

– Nie! – zawył ranny.

– Dwie minuty i będzie po wszystkim. Dwie minuty z całego życia.

I tak właśnie było. Ciął aż do kości, gładko niczym niedzielną pieczeń, i warknął, by podać mu największą piłę. Dwie minuty później zażądał igły i nici. Tymczasem Wasz Wielce Uniżony, który rzygał przez całą drogę z Southampton, całkiem nieźle trzymał swój żołądek na wodzy, podając żądane narzędzia i obserwując wszystko z fascynacją i czymś bardzo podobnym do grozy. Szczerze mówiąc, sam siebie trochę przerażałem. Można by sądzić, że człowiek powinien być bardziej roztrzęsiony na widok cierpienia. Zamiast tego byłem raczej zachwycony – przerażającymi umiejętnościami pana Comriego i świadomością, że sam spisałem się koncertowo. Po wszystkim szukałem jakichś słów pocieszenia, jakie mógłbym zaoferować biednemu Bokobrodatemu, który jęczał przejmująco, kiedy go wynoszono.

– Dobra robota. – To było najlepsze, na co było mnie stać. – Zobacz pan, będzie pan zdrów jak ryba! Zanim się pan obejrzy, będzie pan z powrotem na nogach. – Skrzywiłem się. – Chciałem powiedzieć: na nodze...

Pan Comrie wycierał ręce z krwi. Miał nią również przesiąkniętą koszulę, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. Chrząknąłem i stałem w oczekiwaniu na jakiś szorstki komplement z jego strony.

– Możesz wyczyścić narzędzia – burknął, zapominając najwyraźniej o tym, że nie byłem jego służącym.

– A co, jeśli i tak umrze? – spytałem. – Po tym, jak go trzymali, a on krzyczał, żeby pan przestał.

– W takim razie przynajmniej dałem mu szansę. To wszystko, o co człowiek może prosić w starciu ze Starym Kościejem.

Starym Kościejem?

– Tym klekoczącym jegomościem. Z kosą. Kiedy będą czyste – dodał – zawiń je w płótno, nim włożysz je z powrotem do skrzynki.

Zawahałem się, ale nie mogłem się powstrzymać, by zapytać:

– To ile one kosztują?

Spojrzał lodowato.

– Skórę z twojego grzbietu.

– Pewnie tak – przyznałem i wziąłem się do czyszczenia narzędzi.

Pan Comrie nadal mierzył mnie wzrokiem.

– Widziałem cię na statku – powiedział. – Uciekasz z domu? A może po prostu go nie masz?

– Wydaje mi się, że to wyłącznie moja sprawa.

Powiedziałem to z niedbałym wzruszeniem ramion, takim, które wyróżnia londyńskich chłopaków, prawdziwych twardzieli, od wszelkich innych typów chłopaków. Na przykład takich, którzy stali, chlipiąc, na drodze do Southampton z poczuciem, że świat jest zdecydowanie zbyt wielki i nie ma na nim nikogo, kto by się przejął, gdyby zakończyli żywot w najbliższym rowie.

– Jestem tu, by zostać żołnierzem.

Wydał z siebie jedną urwaną sylabę. Najwyraźniej był to śmiech.

– Żołnierzem, co? Lepiej zrobisz, trzymając się mnie.

– Mało prawdopodobne – zachnąłem się, postanawiając, że go nie polubię.

– Ile masz lat?

– Osiemnaście.

– A ja jestem portugalskim królem.

– No to szesnaście.

– Czternaście.

Sięgnął po marynarkę, którą wcześniej powiesił na oparciu krzesła. Dwaj przerażeni hiszpańscy pomocnicy karczmarza przynieśli trociny przydatne do zebrania krwi z podłogi. Było widać, że będą potrzebowali więcej trocin.

– Miałem czternaście lat, kiedy umarł mój ojciec – powiedział niespodziewanie. – Najprzód, lata przed nim, zmarła moja matka.

Właśnie tak powiedział: n a j p r z ó d. Wzruszyłem ramionami.

– Przynieś nogę – rzucił.

– Co?

Wskazał ręką. Odcięty kulas Bokobrodatego leżał na ławie nieopodal, wabiąc muchy.

– Zakopujemy je.

– Nie przyjmuję od pana rozkazów!

A jednak przyjąłem. I okazało się, że noga jest cięższa, niż można by się spodziewać. Podniosłem ją i ruszyłem za nim do drzwi.

Odtąd szedłem za Alekiem Comriem przez kolejne pięć lat po szpitalach Iberii. Na początku jako chłopiec na posyłki, ale z czasem zacząłem pomagać w zabiegach. Nauczyłem się nawet podwiązywania arterii po amputacjach, ponieważ okazało się, że mam dryg do tego typu rzeczy – bystre oko i zwinne palce. Potem podążyłem za nim z powrotem przez kanał, obrzygując każdą milę morską po drodze, aż do Londynu. Odkryłem, że miasto dumnie kroczy wraz z duchem czasu, więc zacząłem robić wszystko, by dumnie kroczyć wraz z nim. I moglibyśmy tak żyć przez wiele lat: Wasz Wielce Uniżony dokazujący i popisujący się jak cyrkowy kucyk i Alec Comrie nacinający czyraki w Cripplegate. Jemmy Cheese mógłby umrzeć – lub przeżyć: wspomnienie o nim wyblakłoby w naszej pamięci, a wraz z nim wspomnienie o Meg Nancarrow. Dionysus Atherton powoli dążyłby do mrocznego upadku bez dalszych konsekwencji dla Willa Starlinga, a wielka kula obracałaby się, obracała, obracała wśród niebios, dokładnie tak, jak przewidywał to stary Kopernik.

Ale wtedy nadeszła noc Boba Eldritch'a i Wilków.

Bob Eldritch zaległ w garkuchni na Russel Street wraz z Dionysusem Athertonem i tuzinem innych członków Klubu Wilków. Potwierdzili to świadkowie. Byli tam również adwokat nazwiskiem Tom Sheldrake, dwóch lub trzech kompanów z Izby Adwokackiej oraz kilku ludzi teatru. Imiona tych pozostałych są nieistotne, chociaż mam je w swoich notatkach. Podały mi je dziewczęta obsługujące gości, kiedy poszedłem tam kilka dni później z zamiarem prześledzenia drogi, jaką pokonał tego wieczoru Atherton, doprowadzając do katastrofy, stanowiącej kulminację tej nocy.

Atherton przyjechał o szóstej. Na jego widok Tom Sheldrake wykrzyknął przerażonym głosem:

– Nie! Jeszcze nie! Wszak Bob Eldritch jest nadal żywy!

Bob roześmiał się uprzejmie. Był krągłym, łagodnym radcą prawnym około trzydziestu dwóch lub trzydziestu trzech lat, miał wdowi szpic i wykręconą nogę, która sprawiała, że chodząc, niezgrabnie utykał.

– Odstąp, nieprzejednana Nemesis! – krzyknął Tom Sheldrake do Athertona, a potem rzucił się, by osłonić przyjaciela w dramatycznym geście, jak zrobiłby to bohater na scenie, będąc przekonany – lub udając przekonanie – że chirurg nieubłaganie prześladował Boba z niecnym zamiarem przestudiowania jego deformacji. Tom był błyskotliwym gościem. – Odstąp, powiadam, bowiem Bob Eldritch nie dojrzał jeszcze do marynowania!

Bob znów zaśmiał się boleśnie. Ogólnie rzecz ujmując, akceptował warunki swojej przyjaźni z Sheldrake'em, które obejmowały gotowość do regularnego kładzenia się na grzbiecie, aby anemicznie machać ogonem

i łapkami w powietrzu, oraz ciche przyzwolenie, by życie Toma było pisane dramatyczną czcionką, podczas gdy jego własne trwało w nawiasach.

– Czołem, Atherton! – rzucił, a jego uśmiech ofiary słabo maskował skrywaną obawę, że w rzeczy samej był obserwowany z zawodową ciekawością.

Chirurg odpowiedział na powitanie i mrugnął niemal uspokajająco.

– Czy w Londynie jest jakieś wino? – zapytał, zwracając się do pozostałych. – Jeśli jest, przynieście je!

Podniosły się radosne okrzyki. Często tak było w obecności Athertona. Jego uśmiech jaśniał pośród gęstego dymu.

Pomieszczenie było niskie i obskurne, z zatłuszczonymi stołami i ciemnymi blatami wzdłuż jednej ze ścian. Skład serwowanych tam pasztecików poddawano żaźartej debacie. Tom Sheldrake utrzymywał, że nieobecność szczurów mogłaby być optymistycznym sygnałem, gdyby nie to, że nie było również kotów. Lecz Tom zawsze się zgrywał, z miną smutnego psa, jak rzecz ujmowali jego przyjaciele. Poza tym ta cała obskurność pasowała Wilkom – byli to bowiem szorstcy, niebezpieczni ludzie, w gromadzie dzicy niczym banda rozbójników. A garkuchnia działała tuż za rogiem Drury Lane, gdzie pan Edmund Kean robił za największego aktora. Tego wieczoru miał grać sir Gilesa Overreacha w sztuce Philipa Massingera *Nowy sposób na stare długi*. Tę rolę odgrywał już dwie noce wcześniej, kiedy to był o włos od zabicia Lorda Byrona.

W chwili pojawienia się Athertona jeden z Wilków był właśnie w trakcie odtwarzania zapaści poety.

– Lord Byron we własnej osobie! – wykrzyknął Bob Eldritch. – Dwie noce temu, Atherton. Słyszałeś?

Atherton słyszał, podobnie jak połowa Londynu.

– Napad drgawek – rzucił Bob. – I to przez występ Keana. Końcowy akt, kiedy Overreach wpada we wściekłość i szaleje...

– Kobiety wpadają w histerię – wtrącił Tom Sheldrake, dla pewności, że historia zostanie należycie opowiedziana. – Wrzeszczą wniebogłosy i mdleją. Pozostali aktorzy na scenie bledną, pani Glover musi się oprzeć na krześle... i wtedy nagle pada Byron. We własnej łóżki pada, powiadam, jak powalony byk, chwytając się za gardło i tocząc pianę.

– No może niedokładnie tocząc pianę. – Bob Eldritch w drobnym przypływie niezależności odważył się sprostować. – Nie w ujęciu

medycznym...

– Tocząc pianę, drogi panie, z ust.

– I czy, ściśle mówiąc, powalony byk może chwycić się za gardło...

– Idź, Bob, znajdź sobie półkę anatoma i usadź się na niej.

– No dobrze, dobrze... jednak...

– Par doprowadzony do konwulsji przez sztukę aktora! Przez najwspanialszy pokaz namiętności kiedykolwiek widziany na deskach angielskiego teatru! Jakiegokolwiek teatru, jeśli wolno mi wyrazić osobistą opinię, na świecie – tego byliśmy świadkami, ci z nas, którzy mieli zaszczyt być w Drury Lane dwie noce temu.

– Jednakże, trzymając się suchych faktów... – W mamrotaniu Boba pobrzmiwały tony buntu. – Nie przypominam sobie, żebyś ty tam był.

– Panowie, a zaliczam do tej kategorii również mego przyjaciela Boba Eldritch, mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie może on wnieść w kwestii szczegółów...

– W rzeczy samej, Tom, to ja opisałem ci, jak...

– Panowie i damy również, bowiem zauważyłem wśród nas kilka przedstawioelek płci pięknej... i pomijając kwestię, czy mój przyjaciel Bob Eldritch użyłby określenia „damy”, z tym całym swoim obstawaniem przy „suchych faktach”... do jasnej cholery, Bob, zamknij jadaczkę i unieś kufel! Damy i panowie, znakomitości i ty, Bobie, cześć panu Edmundowi Keanowi!

Ryk aprobaty wprawił w drżenie krokwie. Atherton wył wraz z innymi, ponieważ był to *raison d'être*[7] Klubu Wilków, który powstał za sprawą pana Edmunda Keana i istniał po to, by wyciem wyrażać aprobatę dla niego, jako dla największego aktora swojego pokolenia. W te noce, kiedy Kean nie grał, wyciem demonstrowali dezaprobatę dla jego scenicznych rywali, z których wielu, będąc aroganckimi i parweniuszowskimi aktorzynami, zasługiwało na to, by rykiem wygonić ich ze sceny. W sumie było trzydziestu lub czterdziestu Wilków – ludzi teatru o mniejszych lub większych zdolnościach oraz przedstawicieli innych profesji – wliczając tych, których obecność, podobnie jak w przypadku Athertona, była sporadyczna. Zgromadzeni w pełnej liczbie, w rzeczy samej wyli niezwykle głośno.

Kolejne Wilki się schodziły, ale nadal było ich mniej niż dwudziestu. Więcej miało czekać w teatrze, a potem cała wataha zamierzała się udać do

Fountain Court, bowiem dzisiaj była jedna z tych nocy, kiedy wino płynęło niczym rzeki Babilonu, a dziewice ryglowały drzwi w przypływie grozy – albo i nie, zależnie od dziewicy. W międzyczasie zgromadzone gardła wyły tak dziko, że można było sobie wyobrazić, jak dźwięk dociera do uszu samego Edmunda Keana, który właśnie przepasywał lędźwie, szykując się w garderobie do wieczornego występu. Procedura ta obejmowała spore ilości wina oraz drugą parę lędźwi, należącą do jakiejś córki Koryntu. Później, w przerwach między aktami, dołączała trzecia, a nawet czwarta para lędźwi. Edmund Kean był uosobieniem swojej epoki.

Po spektaklu miał się udać do Fountain Court wraz z Tomem Sheldrake'em, Bobem Eldritchem i Dionysusem Athertonem. Los chciał, że miał tam być także Wasz Wielce Uniżony.

*

Tamtego popołudnia siedziałem na posterunku na Giltspur Street. Minęły trzy dni od operacji i Jemmy ciągle żył. Przytomny, przynajmniej częściowo, leżał w więziennym półmroku z na wpół otwartymi oczami, lecz zdawał się niepokojąco ciepły, a jego oddech był chrapliwy i płytki.

– Nadchodzi gorączka – powiedziała Meg.

– Powiem panu Comriemu.

– Pieprzyć to, co on może zrobić...

Oczywiście musiałem się z tym zgodzić.

Miała spięte włosy i inną sukienkę, z prostą wełnianą spódnicą w pokutnej szarości, zapewne więc poszła w którymś momencie do domu. Teraz jednak siedziała przy boku Jemmy'ego, gdzie ją ostatnio zostawiłem. Zmoczyła szmatkę w chłodnej wodzie i przykładła ją do jego twarzy i szyi, miękko nucąc coś pozbawionego melodii i niewypowiedziane smutnego. W tamtym momencie wydała mi się nie kochanką, lecz wymizerowaną młodą matką, opiekującą się monstrualnym dzieckiem.

Przyszedłem zmienić Jemmy'emu opatrunek. Meg wstała, bym mógł to zrobić, i po chwili poczułem na ramieniu dotyk jej ręki.

– Masz dobre serce – powiedziała zakłopotana. – Nie spodobałeś mi się ani trochę, ale byłeś dla nas dobry.

Niewiele starsza ode mnie – i młodsza od mojej matki, kiedy jej wzrok spoczął na mnie po raz ostatni. Właśnie to mi przyszło do głowy, gdy

podniosłem na nią wzrok. Cóż za osobliwa myśl! Nigdy nie widziałem matki poza niemowlęctwem, ani nawet jej podobizny, chociaż zarządca w przytułku powiedział mi kiedyś, że była szczupła i ciemna. „Jak ty, tyle że normalna. Mała i dość ładna, o ile dobrze pamiętam, a nie koścista i skarłata”. Zastanawiałem się teraz, jaki wyraz gościł na twarzy mojej mamy, kiedy po raz ostatni patrzyła na swojego podrzutka – kruche, nieładne stworzenie odwzajemniające jej spojrzenie – i czy wyglądała tak jak Meg Nancarrow w tym momencie, z kurtyną ciemnych włosów opadających na czyste osamotnienie.

– Wrócę jutro rano – powiedziałem i odnotowałem, że mój głos stał się zachrypnięty.

*

Wróciłem do Cripplegate i znalazłem pana Comriego siedzącego samotnie w gabinecie i osuszającego butelkę piwa. Zareagował na wieści o Jemmy dokładnie tak, jak się tego spodziewałem.

– A co, u diabła, miałbym zrobić? Jeśli ma żyć, będzie żył. Ale nie będzie.

Wstał i krzywiąc się, sięgnął po marynarkę.

– Chce pan, żebym poszedł z panem? – spytałem.

– E tam! – powiedział, machając ręką, jakby rozganiał muchy.

Tak więc gdy pan Comrie kroczył w kierunku Giltspur Street, ja podążyłem na zachód, zmierzając na Drury Lane. Zamierzałem pójść na sztukę, ale przede wszystkim miałem nadzieję ujrzeć pannę Annie Smollet.

Panna Smollet była najbardziej czarującą aktorką w Londynie. Takie było moje osobiste zdanie, choć w rzeczywistości większość uważała inaczej, co tłumaczyło fakt, że obecnie sprzedawała kwiaty na ulicy przed teatrem. Byłem w niej mocno zakochany od kilku tygodni, od kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy na scenie Thespis – walącego się podrzędnego kabaretu w Whitechappel.

Wcześniej zdarzało mi się to od czasu do czasu – zakochać się w aktorce. Ale tym razem było inaczej.

Chciała występować w jednym z prawdziwych teatrów, czyli w Drury Lane lub Covent Garden, dlatego stała teraz przed gmachem w nadziei, że pozna kogoś – głównego aktora lub zarządzającego – który zamarłby w pół

kroku na widok jej urody i wykrzyknął: „Oto moja Desdemona!”. Jak dotąd nie miała szczęścia, ale nie traciła nadziei. Był to, jak zaczynałem pojmować, jej szczególny dar. Jedni aktorzy mają talent do tragedii, inni do komedii, a wielkim talentem Annie Smollet była nadzieja. Często płaciła trzy pensy, by wejść i obejrzeć sztukę, jako że wiele można się nauczyć, bacznie obserwując. Raz czy dwa towarzyszyła również przez jakieś dwadzieścia minut dżentelmenowi w prywatnej łoży, jak czyniły młode kobiety pewnego autoramentu, obawiam się bowiem, że Annie Smollet nie była lepsza, niż powinna. Jednakże jak wielu z nas jest?

Kiedy przyszedłem, stała na rogu Russel Street: szczupła postać pośród ruchliwego tłumu z różami w wiklinowym koszyku. Jaskrawozielona sukienka podkreślała jej oczy i rudoblonde loki opadające spod czepka. Nie jestem pewien, czy nazwalibyście ją piękną. Może raczej ładną. Ot, dziewczyna, jaka mogłaby mieszkać na końcu ulicy. Ale miała w sobie tę manierę bycia – bo czyż mogłoby być inaczej? – aktorką. I tę jaśniejącą wiarę w przyszłość.

– Dzień dobry, panno Smollet – powiedziałem.

W pierwszym momencie spojrzała ponad moją głowę, jak wszyscy. Kiedy w końcu namierzyła mnie wzrokiem, przez chwilę jej twarz była bez wyrazu, po czym rozjaśniła się uśmiechem.

– To znowu pan – powiedziała bardzo uprzejmie.

Widziałem ją zeszłego wieczoru. Właściwie osiem na dziesięć zeszłych wieczorów. Za każdym razem kupowałem kwiat.

– Róża, sir?

– Pod każdym innym imieniem...

– Proszę?

– ...pachniałaby równie słodko.

Ćwiczyłem to wcześniej w wyobraźni, zakładając, że rozpozna cytat, jednak spojrzała na mnie zdziwiona.

– Tak – dodałem pośpiesznie. – Poproszę różę.

Kwiat był zwiędły już o ósmej rano, kiedy kupiła pełne wiadro na stoisku w Covent Garden, a mijające godziny wcale nie poprawiły jego wyglądu. Jednak nadal była to róża, i to od panny Annie Smollet. Wyjęła ją z koszyka i kiedy podawałem jej pensa, już z powrotem przeczesywała wzrokiem tłum w poszukiwaniu następnego klienta lub jeszcze lepiej dyrektora teatru spieszącego z rozłożonymi szeroko ramionami. Pachniała pomarańczami.

– Mówiłem pani, że widziałem jej występ w Thespis?

Mówiłem jej to w osiem z dziesięciu poprzednich wieczorów. Ale przynajmniej odzyskałem część jej uwagi.

– Jestem wdzięczna, że mnie pan zapamiętał.

– Zapamiętać panią? Panno Smollet, jest pani w y p a l o n a.

– Słucham?

– Niczym piętno na mej pamięci. Kiedy zamknę oczy, widzę panią.

Musiała to chyba przemyśleć.

– Nie sądzę, bym była aż tak dobra, czyż nie?

– Panno Smollet, była pani olśnieniem. Jaśniała pani niczym jutrzienka.

Bądźmy szczerzy: to było żalosne. Ktoś taki jak Wasz Wielce Uniżony aspirujący do panny Smollet? Nie była wiele wyższa ode mnie – nie tu leżał problem. Ale spójrzcie na nią, a potem na mnie: podrabiany elegancik ze zwiędłą różą i ciemną gębą, która składała się wyłącznie z ostrych czubków i trójkątów. Z drugiej strony, nie była tak całkiem nieprzystojna ta gęba. Były dziewczęta, które tak uważały, i kilka takich, które to nawet powiedziały. Poza tym miałem swój uśmiech, umiałem gadać i – spójrzcie tylko – sprawiłem, że panna Smollet się rozpromieniła.

Grała w komicznej adaptacji *Antoniusza i Kleopatry*, czyli w dramacie pana Szekspira z piosenkami i rymowankami zamiast tekstu mówionego. Podobnie jak pozostałe drugorzędne teatry Thespis nie miał licencji na dialogi. Były one zastrzeżone prawem dla dwóch patentowych teatrów, jako że obawiano się, iż będą zachęcać do buntu, podżegać głupców i posłać wściekłą tłuszcę w noc z zamiarem podpalenia parlamentu. Annie Smollet wystąpiła w roli egipskiej służącej i grała zachwycająco w czarnej peruce i oszałamiająco przezroczyściej szacie. Jej żalobna rozpacz w momencie, gdy zmija wgryzła się w Kleopatrze, była tak sugestywna, że królowa okazała się w tej scenie całkiem zbędna.

Ufałem, że panna Smollet będzie na scenie Drury Lane dzisiejszego wieczoru, o czym jej powiedziałem. Lub może w Covent Garden, grająca Julię i Rozalindę.

– Obie naraz? – wykrzyknęła, udając, że nie rozumie.

– I Kleopatrze też, wszystkie w jednej sztuce. Wierzę, że jest pani jedyną aktorką w Londynie, która uciągnęłaby wszystkie.

– Obciągnęłaby raczej! Już widać, do czego zmierza – zachichotał jakiś głos obok. – Obłeśny mały czort.

Dwie z przyjaciółek panny Smollet dołączyły do nas, wymalowane i wystrojone. Też były aktorkami, mniej więcej, jednak w międzyczasie praktykowały – bardziej niż ona pogodzone z losem – najstarszy zawód świata. Ta, która tak błyskotliwie odezwała się przed chwilą (figlarne stworzenie z oczami niczym borsuk) faktycznie była znajomą pana Edmunda Keana, o czym dowiedziałem się później. W rzeczywistości znała go bardzo dobrze przez blisko dziesięć minut minionego listopada, podczas drugiej przerwy *Ryszarda III*. Teraz stała, parszając z uciechy.

Panna Smollet zarumieniła się niezwykle apetycznie i uniosła jedną rękę, by to ukryć. Podejrzewam, że chciała raczej zasłonić usta, bo obawiam się, że jej zęby oglądane z bliska nie wyglądały tak, jak się miało nadzieję. Jednak jej niedoskonałości sprawiały, że kochałem ją jeszcze bardziej.

Borsuczycyca i jej kuma ruszyły przed siebie, a Annie Smollet poszła z nimi, nie oglądając się ani razu.

Tymczasem ja, upychając różę w butonierce, przeciskałem się przez tłum zebrany wokół wejścia do teatru Drury Lane, gdzie ludzie ustawiali się w kolejce, by ujrzeć pana Edmunda Keana – setkami, a potem tysiącami – już od czwartej po południu.

*

Teatr był czarodziejskim miejscem, rozjarzonym światłami, z salą na trzy tysiące osób, stłoczonych pośród dymu z lamp oliwnych i kandelabrow. W trakcie pantomimy i muzycznego interludium panował ogromny gwar, jak zawsze w teatrze. Czy to cholernie dobra sztuka, czy też gówniana, a nawet całkiem odpychająca – każda zapewniała bogaty materiał do omawiania. Poza tym połowa publiczności i tak wcale nie przychodziła po to, by cokolwiek oglądać. Byli bardziej zainteresowani spotkaniem z przyjaciółmi, zapewnianiem sobie butelczyny wina czy też szybkimi transakcjami w głębi łoży z jedną z dziesiątek ladacznic.

Bilet za trzy pensy pozwolił mi się przepchnąć na tył przejścia otaczającego widownię, gdzie zostałem zaklinowany tak ciasno, że mogłem unieść obie stopy ponad podłogę. Za dodatkowe trzy szylingi i sześć pensów mogłem się znaleźć na górze, w łoży, pod warunkiem że miałbym taką forszę w kieszeni, a nie miałem, i założywszy, że dałbym radę wydobyć się z tego ścisku, co było niemożliwe. Tak więc robiłem, co w mojej mocy,

by oddychać i od czasu do czasu dojrzyć mignięcie ruchu na scenie poprzez smrodliwą ścianę ludzkości.

Oglądanie Keana w czasie gry było jak czytanie Szekspira przy świetle błyskawic. Tak ktoś powiedział – Coleridge, jak sądzę – i chciałbym móc wam oświadczyć, czy się z tym zgadzam. Wcześniej widziałem go dwukrotnie i za każdym razem było tak samo: wrażenie maleńkiej ciemnej figurki, znacznie mniejszej, niż byście się spodziewali, rzucającej się spazmatycznie po scenie. Ponad zgiełk wybijał się jego głos, niespodziewanie chrapliwy, zupełnie nieprzypominający dźwięcznego instrumentu, jakim władał Philip Kemble i jakiego oczekiwano od wszystkich aktorów. Ale to wszystko, co mogę powiedzieć. Żadnych konwulsji wśród publiczności. Żadnych poetów chwytających się za gardło jak powalone byki. Podejrzewam, że nie można mieć wszystkiego w jednej sztuce.

Zostałem jeszcze na występie komediowym, po którym powinienem był iść do domu, do Cripplegate, ale podsłuchiłem coś, co mówiła Borsuczycza, kiedy zgarniała Annie Smollet.

- Jesteśmy zaproszone – powiedziała. – Wszystkie, po sztuce.
- Zaproszone dokąd? – zapytała Annie.
- Do Kotłowni, moja gołąbeczko. Gdzie indziej mieliby iść?
- Masz na myśli Wilki?
- Oczywiście!

*

Kotłownia była klubem serwującym posiłki przy niezobowiązującej rozrywce. Podobne miejsca wyrastały w Londynie jak grzyby po deszczu. Ten mieścił się w Fountain Court, u stóp wąskiego przesmyku cuchnącego po równo drożdżami i uryną. Piwnica z niskim sufitem, ciężkimi krokwiemi, barem w kształcie podkowy oraz podestem, na którym kilka nocy w tygodniu oferowano rozrywkę. Na piętrze był też prywatny pokój, gdzie zgromadziła się już pewna liczba Wilków, tam bowiem miała się odbyć ich libacja.

Znalazłem sobie ławę pod ścianą na dole niedaleko drzwi, gdzie usadowiłem się z dzbanem piwa. W pobliskim kącie trio nieprzyjemnych typów rozmawiało mrukliwym szeptem o koledze, który przegiął, tłukąc

marudera w okolicy doków i teraz czekał w lochach na swoją kolejkę. Przerwali na chwilę, kiedy na scenie podjęto na nowo program rozrywkowy w wykonaniu czerwonego na twarzy tenora w zmaltretowanym kapeluszu, który żałośnie terlikał o córce szczurołapa pragnącej poślubić ukochanego i – jak to często bywa z tymi sprawami – kończącej żywot w Tamizie w noc zaślubin. Nigdzie nie było śladu panny Smollet ani Borsuczycy. Co ja właściwie sobie myślałem? Jeśli w ogóle przyszły, poszły na górę do prywatnego pokoju. Wyobrażacie sobie, że zapraszają tam do kompanii kogoś w rodzaju Waszego Wielce Uniżonego, ze ściśniętym sercem i więdnącą różą w butonierce?

Kiedy córka szczurołapa była wyławiana z rzeki, bawiłem się myślą, by zaproponować grę w trzy kubki moim sąsiadom – tym, których przyjaciel zamordował marynarza i teraz czekał w więzieniu Newgate, aż go powieszą – jednak po namyśle uznałem, że lepiej nie. Już chciałem się poddać i sobie pójść, kiedy na zewnątrz wybuchło zamieszanie. Krzyki w przejściu, kwik protestu, a potem fala rehotliwego śmiechu. Drzwi stanęły otworem i do środka wpadł kłęb hulaków, nieuprzejmie przerywając ukochanemu utopionej córki szczurołapa ze złamanym sercem, który właśnie zamierzał z żalu poderżnąć sobie gardło.

Pośród nich był ciemny, wąty człowiek zamroczony alkoholem, z kroczącymi córami Koryntu po obu stronach. Zachwiał się, ale złapał równowagę. Głowy się odwróciły i w tym momencie zyskał stopę wzrostu. Nie zmyślam. Urósł na naszych oczach. Jego źrenice były czarne i – przysięgam na Boga – błysnęły. Molekuły wokół niego zaczęły tańczyć.

– *Humani nihil a me alienum puto!* – wykrzyknął, cytując Terencjusza.

Tak, sprawdziłem to. „Nic, co ludzkie, nie jest mi obce!”

Znów się zachwiał i pobladł, a potem odwrócił się do mnie po królewsku, zgiął się wpół z wdziękiem akrobaty i puścił pawia na moje buty.

Pan Edmund Kean, we własnej osobie.

Pod jednym ramieniem owego wielkiego człowieka była Borsuczycyca, a pod drugim jej przyjaciółka. Tom Sheldrake i Bob Eldritch podążali tuż za nimi. Tom zanosił się histerycznym śmiechem, podczas gdy Bob z grymasem na twarzy kontemplował swoją przesiąkniętą uryną nogawkę.

Wyglądało na to, że zatrzymali się w kilku lokalach po drodze z Drury Lane i Kean dopiero co skończył sikać w przejściu na zewnątrz. Pomogła

mu w tym Borsuczycyca, która trzymała mu fujarę. Właśnie ćwiczyła się w sztuce kaligrafii, wypisując swoje imię na ścianie, kiedy to niespodziewanie ręka jej się omsknęła, kierując strumień na Boba Eldritch'a. Tak więc Bob stał na swojej niesprofanowanej nodze, potrząsając drugą niczym kot, który w coś wdepnął, gdy ostatni członek tej wesołej grupy przekraczał próg.

Pan Dionysus Atherton. A u jego ramienia Annie Smollet, śmiejąca się nader ślicznie z czegoś, co właśnie powiedział, i o ułamek sekundy za późno przypominająca sobie, by zakryć usta. Nawet mnie nie zauważyła, kiedy mnie mijali – zgiętego wpół, zatem jeszcze niższego niż zwykle, jako że ścierałem wymiociny z butów słomą z podłogi. To były oficerki, całkiem eleganckie. Byłem wyjątkowo dumny z tych butów.

Ale Atherton mnie zobaczył i natychmiast rozpoznał. Dostrzegłem przelotny grymas głębokiego niesmaku, jaki zawsze gościł na jego twarzy na widok Waszego Wielce Unizonego, od chwili pierwszego szoku, kiedy zobaczył mnie na swoim progu pewnego jesiennego wieczoru ponad pół roku wcześniej. Potem ruszył dalej, wspinając się po schodach, z panną Annie Smollet przytuloną do jego ramienia.

*

Długi i prostokątny pokój nad Kotłownią zdobiły kilimy. W te noce, kiedy zbierał się Klub Wilków, pomieszczenie było skąpane w świetle dymiących lamp niczym jaskinia Alladyna. Mogło tam się zmieścić sześćdziesięciu mężczyzn lub więcej, ściśniętych wokół stołu, który uginał się od półmisków i błyszczał butelkami i karafkami. Oczywiście były tam też kobiety, siedzące na kolanach i karmione słodyczami, miętoszone pod jęczącym blatem lub sadzane na nim, by pojęczeć pośród głośnych wiwatów i radosnych okrzyków zachęty. Klub Wilków, oprócz chodzenia do teatrów, był organizacją filantropijną. Zbierali datki na potrzebujących i rozdawali gęsi na Boże Narodzenie. I niech mnie jasny kutas strzeli! – jak powiedziałby pan Comrie. Naprawdę umieli wyc.

Minęła godzina, a ja nadal siedziałem w knajpie na dole. Obecnie rozrywkę zapewniał mężczyzna, który żonglował, śpiewając jednocześnie sprośne piosenki. W międzyczasie rozstawiłem w kącie swoje trzy kubki – zrobiłem to w stanie przygnębienia i lekkomyślności, bez względu na

rozsądek i logikę, bowiem Wasz Wielce Uniżony był właśnie tego typu głupcem. „Właśnie tak, sir. Proszę spróbować jeszcze raz, a z pewnością tym razem pan wygra. Oj, a to pech!” Odgłosy biesiady w pokoju na górze przybierały na sile, wzmacniane rykami i śpiewem. Aż nagle usłyszałem wrzask panny Annie Smollet.

Zerwałem się na równe nogi i popędziłem na górę. Wpadłszy do pokoju, zobaczyłem, że wszyscy – Wilki i kobiety – stoją zmieszani i coś krzyczą. Za zgromadzonymi postaciami zauważyłem stół zarzucony jedzeniem i skorupami naczyń, a pośród tego wszystkiego dojrzałem obiekt mojej adoracji, zapłakany i ściskający podartą zieloną sukienkę.

Dopiero później zdołałem złożyć to wszystko do kupy.

Zaczęło się od dwóch służących, którzy wnieśli prosię na wielkim cynowym półmisku. Prosiak spotkał się z obojętnością, jednakże półmisek stał się dla Toma Sheldrake’a nagłą inspiracją do odtworzenia narodzin Wenus. Naczynie miało służyć za muszlę, zasłona zaś za falujące tło. Brakowało jedynie samej bogini, która podzieliłaby się swoimi wdziękami i uwolniła burzę loków.

I tu na scenę wchodzi Annie Smollet.

– Och nie – powiedziała prędko. – Nie, naprawdę.

Było jej dobrze tu, gdzie jest: na kolanach Dionysusa Athertona, który karmił ją słodyczami.

Rubaszne wycie na zachętę sprawiło, że przyszła Wenus aż się skuliła. Atherton się roześmiał i postawił ją na nogi, a Tom Sheldrake wyciągnął do niej dłoń.

– Proszę, nie... Nie, naprawdę, sir, nie mogłabym...

Na jej ładnej buzi zagościła panika. Jej warkocze się rozplotły, ale nie zamierzała się rozebrać, za żadną cenę, nawet z ochoczą pomocą Toma. Doprawdy, nie chciała stanąć naga na półmisku, a kiedy Sheldrake nalegał, uderzyła go, ku uciesze zgromadzonych.

– Niech pan przestanie! – krzyknęła Wenus i zaczęła płakać.

Jeśli sprawy przybrałyby inny obrót, Tom Sheldrake mógłby się zawahać i zastanowić. Któraś z kobiet mogłaby wstać i jej pomóc, obejmując ją opiekuńczym ramieniem. Być może nawet Borsuczyca, bądź co bądź najlepsza przyjaciółka, jednak w tym momencie wstał Bob Eldritch.

W ciągu kilku ostatnich godzin drwiono z niego, przerywano mu, zakrzyczano go i szczano na niego. To był tego rodzaju wieczór dla Boba

Eldritch. To było tego rodzaju życie. Bob pełen był wstydu i wina. Teraz swym przenikliwym prawniczym umysłem dotarł do sedna sprawy i pojął, że panna Smollet tylko udaje cnotkę. Dlatego w pijackim rzucie chwycił ją za dekolt.

Panna Smollet straciła oddech. Piersi wypadły z rozdarcia sukienki – mlecznobiałe kule, na Boga, dokładnie takie, jak w niepozornie oprawionych tomach, które Bob Eldritch potajemnie kupował od pewnych księgarzy w cichych uliczkach niedaleko Paternoster Square.

– Och, sir, fe! – krzyknęła, dokładnie tak, jak egzaltowane dziewice zwykły były wołać na tych stronicach, co utwierdziło Boba w jego przekonaniu, że była to gra, tylko gra.

Tom Sheldrake nie wierzył własnym oczom.

– Dalej na nią, Bob, ty pomarszczony ogierze!

Panna Smollet wrzasnęła, padając na stół z Bobem Eldritchem na sobie. Pośród wielkiego ryku towarzyszy szarpnął bryczesy, by uwolnić ową straszliwą maszynę, z pomocą której Lord Ruchalot na stronach wspomnianych oprawionych ksiązek przypuścił szturm na Świątynię Błony Dziewiczej.

Jednakże był pewien problem. Bryczesy złośliwie się zaplątały, jakby chciały udaremnić zamiary Kochliwego Rycerza. Pochylił się, klęknął i zaklął zdławionym głosem. Zdradzieckie gacie nie ustępowały, czego nigdy nie doświadczył Lord Ruchalot, podczas gdy jego Wspaniały Instrument szalał wygięty w udęce. Twarz Boba stała się purpurowa, kolorem przypominając pieczone prosię. Wybałuszył oczy, wielkie niczym cebule. Zamachał anemicznie jedną ręką, niczym gąsiątko próbujące latać, a drugą chwycił się za gardło. Podczas gdy Wilki tarzały się ze śmiechu, Bob Eldritch bezgłośnie zawył i przewrócił się na bok.

*

W tym właśnie momencie wpadłem do pokoju. Żywy obraz, jaki ukazał się moim oczom, w niczym nie przypominał tego, co miał na myśli Tom Sheldrake, kiedy wprawiał to wszystko w ruch. Kłębiący się biesiadnicy, ruina wieczerzy, prosię leżące na podłodze z raciczkami w stronę nieba i panna Smollet, kuląca się żałościwie na stole, ściskająca w dłoniach strzępy

sukienki. Przepchnąwszy się w ścisku, zerwałem z siebie płaszcz i owinąłem go, jak najlepiej umiałem, wokół jej ramion.

– Co oni zrobili! – wykrzyknąłem, gotów pozabijać ich wszystkich.

Śmiech zaczął cichnąć. Nie to, żebym z początku w ogóle to zauważył – moje serce było pełne gniewu i Annie Smollet. Ale wrzaski powoli ustępowały miejsca konsternacji.

– Chryste, spójrzcie na niego! – rzuciła Borsuczycza.

Bob Eldritch leżał na plecach. Jego twarz miała teraz kolor głębokiego fioletu, a jego nogi podrygiwały.

– No już, Bob! – wrzasnął Tom Sheldrake. – Żarty żartami, sir, ale posuwa się pan za daleko.

Lecz Bob już posunął się za daleko. Pokonał znaczącą część długiej, ciemnej drogi i jeśli nie zostałby przywołany z powrotem z gorączkowym pośpiechem, nigdy by już nie powrócił. Widziałem to jasno, mimo tumultu i rozpraszej mnie Annie Smollet, która szlochała mi na piersi. Atherton również to widział. Krzyknął na Wilki, by się odsunęły, rzucił się do przodu i uklęknął.

– Wstawaj, Bobie Eldritch! – rozkazał Sheldrake. – Za chwilę wszyscy stracimy cierpliwość.

Tymczasem Bob Eldritch przestał się już w ogóle poruszać. Atherton wsadził mu palce do gardła, ale nie dosięgał. Krzyknął, że potrzebny nóż.

Kandyzowana śliwka: oto, co się okazało. Jakiś dowcipniś rzucił ją w chwili natchnienia, kiedy Bob napinał się z rozdziawionymi ustami, zmagając się z bryczesami.

Atherton miał już nóż w ręce i ciął ostrym końcem, robiąc nacięcie w kształcie krzyża u podstawy tchawicy Boba. Krew wypłynęła obficie, ale nie zabulgotała. Jeśli byłby przepływ powietrza, byłyby też piana.

– Chryste Wszchemogący! – wrzasnęła Borsuczycza. – Czy on jest martwy?

– Nikt tu nie jest martwy! – ryknął Tom Sheldrake. To właśnie Tom – oczywiście, że on – rzucił kandyzowaną śliwkę. – Bobie Eldritch, rusz kulasami!

Atherton zawijał Boba w swój płaszcz i krzyczał o więcej okryć. Potrzebował koców. I miecha – tak, miecha do kominka – prędko.

– Czy on nie żyje? – Borsuczycza nie dawała za wygraną.

Atherton sięgnął po miech. Wcisnął jego czubek w nacięcie, które zrobił w tchawicy, i zaczął pompować, jak gdyby Boba Eldritch można było napompować niczym balon i wydostać z przerażających tarapatów. Jak gdyby mógł pęcznieć i puchnąć, by potem w cudowny sposób, i za pomocą zręcznie umieszczonego korka, powstać niczym Łazarz. Jego pierś uniosła się i opadła, a potem znowu uniosła się i opadła za sprawą wysiłków Athertona, sprawiając, że gapie zaczęli krzyczeć z nadzieją. Lecz kiedy miech został usunięty, powietrze uszło z płuc Boba z cichutkim świstem, jakby bezzębny człowiek próbował zagwizdać. Bardzo powoli się zapadł i więcej nie poruszył.

Tom Sheldrake był teraz równie blady jak trup. Trząsł się jak osikowy liść.

– Łajdak z ciebie, Bobie Eldritch! – krzyknął. – Jeśli ci się zdaje, że możesz sobie umrzeć ot tak, to niedoczekanie! Bądź mężczyzną, sir, i wstawaj!

– Wezwijcie powóz – zarządził Atherton. – Szybko!

– Powóz? – wykrzyknął Tom Sheldrake. – Dokąd go pan zabierasz?!

– Do mojego domu.

– O nie, sir! – zawył Tom Sheldrake. – To potworne. Nie zrobi pan tego! Powiadam, że nie będzie pan miał Boba Eldritch na swojej półce!

Lecz nie to było zamiarem Dionysusa Athertona. O nie. On planował coś zgoła innego.

Atherton miał dom w Crutched Friars, w pobliżu Trinity Square. Nie była to specjalnie modna dzielnica – z całą pewnością nie Mayfair – ale w sercu miasta i niezbyt daleko od Guy’s Hospital po drugiej stronie rzeki. Sam dom był niczego sobie, duży i wolno stojący, ze stajnią na tyłach, jak przystało na siedzibę człowieka pnącego się po szczeblach kariery.

Panna Phyllida Deakins żyła w tym domu w śmiertelnym strachu.

Była córką duchownego i ukochaną dziewczynką swego ojca. Wcześniej zajmowała stanowisko guwernantki, przyzwoitej chrześcijańskiej guwernantki w przyzwoitym chrześcijańskim domu, z oknem wychodzącym na wschód słońca w Devonshire oraz dwoma jasnymi aniołkami powierzonymi jej opiece. Teraz została skazana na Crutched Friars.

Życie pod jednym dachem z chirurgiem było w najlepszym razie niepokojące. Pacjenci skradający się na konsultacje i nagłe wrzaski zza zamkniętych drzwi. Poza tym we wszystkich tego typu domach odbywały się sekcje zwłok, każdy w Londynie o tym wiedział. A Flitty Deakins śmiertelnie bała się sekcji. Być rozciągniętym nago na stole, by anatom mógł się chytrze gapić... Być krojonym, rozrywany i rozczłonkowanym, by nigdy nie powstać z martwych w jednym kawałku i musieć stanąć twarzą w twarz z wiecznością z brakującymi kończynami i żebrami sterczącymi na boki... Od wprowadzenia się do tego potwornego domu prześladowały ją straszne sny, w których budziła się w dzień Bożego Narodzenia na stole, na miejscu gęsi, z kołędnikami zgromadzonymi wokół i panem Athertonem, złocistym i jaśniejącym, z wielkim srebrnym

widelcem w jednej dłoni i nożem w drugiej, wykrzykującym: „Zatem komu białe mięsko, a komu czerwone? I które z dzieci dostanie kuperek?”.

Czy sobie na to zasłużyła? Może tak. Flitty Deakins, jako chrześcijanka, dopuszczała taką możliwość. Być może zasłużyła na te tortury, a nawet o wiele więcej. W końcu ktoś z nas mógł powiedzieć, że zasłużył na jakąkolwiek nagrodę za wyjątkiem boskiej sprawiedliwości za grzechy? A panna Deakins nagrzeszyła w taki sposób, że anieli załamywali ręce nad jej nędzną duszą. Jednakże nadal nie mogła uwierzyć, że zasłużyła na aż tak wiele cierpienia.

Horror zaczynał się tuż za progiem, gdzie w holu ustawiono złożony w całość szkielet tygrysa. Słup przy schodach oplatał wijący się szkielet gronostaja, a dalej było nieskończenie gorzej, bowiem na końcu holu znajdował się Pokój Zbiorów pana Athertona. Tuż obok biblioteczki stał tam ludzki szkielet, a organy, członki i bezbożne deformacje pływały w zamkniętych słoikach na półkach wzdłuż ściany. Patrzyły pustymi oczami bez cienia nadziei na pannę Deakins, kiedy skrobała podłogę, jako że był to jeden z jej obowiązków, by klękać w tym bezbożnym miejscu i skrobać ją, jak gdyby jakakolwiek woda na tej ziemi mogła zmyć ją do czysta.

Często podczas harówki była obserwowana przez Odenkirka, człowieka pana Athertona. Był on kreaturą z kątów i narożników – zwykł wychylać się z nich zupełnie niespodziewanie, każąc się wam tłumaczyć, co kombinujecie. Miewał uśmiech na twarzy, owszem, choć nie częściej niż każdy inny wyraz, jednak nie był to uśmiech chrześcijanina, tylko krzywe cięcie w poprzek oblicza. Rozwalał się na stołku i przez godzinę palił swoją krótką glinianą fajkę, patrząc, jak pracujesz, z nogami rozrzuconymi na boki, jako że były długie i chude, podobnie jak reszta Odenkirka, z wyjątkiem stóp i dłoni. Dłonie były ogromne, dobre do zakłuwania świń, którym to zajęciem parał się na początku. Zaczynał od szlachtowania prosiaków, ale od tego czasu robił o wiele gorsze rzeczy. O tak, znacznie gorsze. Flitty Deakins o tym wiedziała, bo przeprowadziła dochodzenie i pozyskała pewne fakty, od których zjeżyłyby się wam włosy na głowie.

Odenkirk miałby ochotę chwycić was tymi swoimi szlachtującymi świnie rękami. Wyobrażał to sobie, a wtedy jego uśmiech stawał się istic wilczy. Miał całkowicie siwe włosy, co nie było normalne, bo był młodym człowiekiem. Zwykł nagle głośno cmokać i ni z tego, ni z owego mówić:

„Nie oszukasz mnie, panno Phyllido Deakins”. Potem z głębi jego gardła wydobywał się chichot. „Znam cię. Rozgryzłem cię. Może on sam nie wie i najpewniej nic by go to nie obeszło, nawet gdyby wiedział, ale biorę na siebie ustalanie, z czym mam do czynienia. Ciebie rozgryzłem w tydzień”.

Pod koniec każdego znojnego dnia Flitty Deakins zakradała się ze świecą na górę do łóżka, które dzieliła z kucharką. Szła obok tygrysa i gronostaja aż na drugie piętro, gdzie czekał zielonooki Hindus w turbanie. W niektóre noce pozwalał jej przejść, ale innym razem skakał i zatapiał kły w jej ramieniu. Panna Deakins była mocno uzależniona od laudanum, które powodowało halucynacje.

Jednak Pokój Zbiorów był całkiem realny, podobnie jak tygrys, gronostaj i Odenkirk. Oraz udreka Flitty Deakins.

– Dwie noce temu, panie Starling. Od tamtego czasu nie przespałam ani sekundy i przysięgam, że mogę już nigdy więcej nie zasnąć. Bo za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę tę unoszącą się kredowobiałą twarz i słyszę ten przerażający wrzask.

Opisywała mi to późnym rankiem. Cisnęliśmy się oboje za stołem w Pod Kaczką i Delfinem na Leadenhall Street, w ciemnym kącie najdalej od drzwi. Panna Deakins nigdy nie chodziła do takich podłych miejsc, nigdy też nie piła dzinu, jednakże ten jeden raz poczuła, że musi przyjąć choćby naparstek – „maleńki naparsteczek, panie Starling, najmniejszy, jaki tu podają, i nie więcej niż jeden, no może dwa, ale w żadnym razie więcej” – ponieważ jej nerwy były w strzępach.

Spotkaliśmy się przypadkiem kilka minut wcześniej na ulicy. Zналиśmy się, można rzec, bo widziałem ją kilka razy w domu Athertona, kiedy byłem tam z tą czy inną sprawą od pana Comriego. Właśnie tam zmierzałem tego ranka, kiedy panna Deakins wyszła nagle z apteki – wysoka i skromna, ubrana na czarno w sukienkę, która wisiała na niej luźno i bezkształtnie niczym habit. Zawsze chodziła w czerni, jak gdyby w żałobie po utraconym szczęściu. Kiedy wyszedłem z za rogu prosto na nią, zaparło jej dech, ale potem, poznawszy mnie, lekko się uspokoiła.

– Pan Starling, prawda? Ależ oczywiście... to tylko mój przyjaciel, pan Starling, człowiek pana Comriego. Ależ mnie pan wystraszył.

Najwyraźniej coś było nie tak, nawet jak na standardy nerwowości panny Deakins, więc zwolniłem. Poza tym od czasu tamtej strasznej nocy

w Kotłowni dręczyło mnie pewne pytanie, więc po chwili niezobowiązującej pogawędki je zadałem.

– Do Crutched Friars pewnej nocy został przywieziony mężczyzna. Nie przypuszczam, że słyszała pani, co się wydarzyło?

– Mężczyzna?

– Dwie noce temu, mężczyzna nazwiskiem Eldritch. Atherton przywiózł go powozem nieco po północy. Umarł – musiał umrzeć, bo jego pogrzeb jest w niedzielę. Jednak nie mogę przestać się zastanawiać... Panno Deakins, czy dobrze się pani czuje?

Zaczęła drzeć.

– Och, panie Starling... – wyszeptała. – To ta potworna noc!

*

Powiedziała, że usłyszała nadjeżdżający powóz. Odenkirk pośpieszył mu na spotkanie. Panna Deakins rozpoznała jego głos i kilka chwil później ujrzała go przez okno, jak trzymał latarnię i wskazywał drogę przez podwórze na tyłach domu. Snop światła oświetlał trzech mężczyzn, dźwigających coś bezwładnego i ciężkiego. Był z nimi pan Atherton. Panna Deakins usłyszała, jak ich ponagła, mówiąc, że minęło już blisko czterdzieści minut.

– Czterdzieści minut? – zapytał Odenkirk, niepewny co do tego, co Atherton miał na myśli.

– Od kiedy ten człowiek umarł. Zatem może jeszcze nie być za późno.

– Za późno na co?

– Szybciej!

W głębi podwórza majaczyła w ciemnościach stajnia.

Flitty Deakins żyła w śmiertelnym strachu przed tym miejscem. Bez wątpienia było nigdyś wykorzystywane zgodnie ze swoim przeznaczeniem, czyli do trzymania koni, ale teraz pan Atherton hodował tam inne stworzenia, zamorskie bestie: pawie, leniwce, kazuary i jeszcze inne, których nazwy mogła jedynie zgadywać. Słyszała je o każdej porze. Prześladowały ją w koszmarach, a kiedyś bladym świtem obudziła się w łóżku i zobaczyła twarz samego diabła, patrzącą na nią przez okno. Jej wrzask sparaliżował kucharkę i sprowadził pana Athertona. Warczał na nią, dopóki nie zdołała wyjąkać opisu, a wtedy on wzburzony popędził gdzieś,

wołając do Odenkirka, że uciekł pawian. Była to poważna sprawa. Odenkirk później jej powiedział, śmiejąc się jak to on – złowieszczo – że stworzenie było niebezpieczne.

– Niebezpieczne?! To stworzenie nie jest niebezpieczne. To stworzenie jest jednym z czterech ksiąg piekieł we własnej osobie, zwabionym nikkzemnością tego domu! Och, panie Starling, drogi młody panie Starling, nie ma pan pojęcia, co to za dom!

Tak naprawdę to doskonale wiedziałem, co się działo w domach chirurgów, jako że sam mieszkałem w jednym z nich. Pan Comrie nie miał stajni do zapełnienia stworami przeznaczonymi do studiów anatomicznych ani też nigdy nie zawierał tak licznych transakcji z Trupiarzami jak Atherton, jednak od czasu do czasu i w Cripplegate nocami działy się rzeczy, jakie prześladowały pannę Deakins. Tupanie i stłumione przekleństwa na schodach, ordynarni mężczyźni w zamszowych kurtkach przyjeżdżający ciemną nocą z ciężkimi worami, które trzeba było ukryć do czasu, aż przyjedzie wóz, by odtransportować je do Domu Śmierci na sekcję. Panna Deakins musiała to wiedzieć, lecz być może jej potrzeba posiadania przyjaciela – jakiegokolwiek przyjaciela, choćby pomocnika chirurga, którego widziała nie więcej niż pięć razy w życiu – była tak wielka, że w wyobraźni stworzyła sobie całkiem innego Willa Starlinga i otwierała teraz przed nim swoje skołatane serce.

Nie była stara. Zgaduję, że nie przekroczyła trzydziestki, jednak jej włosy były poprzetykane srebrem, a twarz wyglądała mizernie od laudanum. Ale tam, Pod Kaczką i Delfinem, w migotliwym świetle kominka, mogłaby być wiedźmą w jaskini.

– Stajnia – wyszeptała. – Widziałam, jak go tam zanoszą... to... to były zwłoki. Od razu to wiedziałam, panie Starling, tak jak teraz siedzę tu przed panem. Nieśli śmiertelne szczątki istoty ludzkiej.

W stajni był strych, do którego wchodziło się po drewnianej drabinie przez klapę w podłodze. Trzymano ją zamkniętą na kłódkę i rygiel. Flitty Deakins nie widziała tego na własne oczy, bo jej stopa nigdy by w stajni nie stała, ale inni widzieli. Krążyły pogłoski. Na tym strychu było też małe pęknięte okno, przez które panna Deakins od czasu do czasu widziała w przelocie jakiś ruch. Teraz zobaczyła ciemne postaci poruszające się w świetle latarni Odenkirka. Układali coś na stole.

– Stałam jak słup soli, panie Starling. S k a m i e n i a ł a – obrócona w kamień – w prawdziwym, pierwotnym tego słowa znaczeniu. – Wiedziała takie rzeczy, ponieważ była kiedyś guwernantką mającą w swej pieczy dwa jasne aniołki.

– A gdzie pani wtedy była, panno Deakins?

To pytanie wytrąciło ją z równowagi.

– W Devonshire, panie Starling, mówiłam panu.

– Chodziło mi o to, gdzie pani stała. Dwie noce temu, kiedy pani patrzyła.

Chciałem sobie wszystko poukładać w głowie. Nawet tam, Pod Kaczką i Delfinem, tak blisko miejsca, gdzie się to wszystko zaczęło, czułem, że muszę mieć jasny osąd.

– Stałam w mojej sypialni, rzecz jasna. Obudziły mnie głosy i podeszłam do okna.

Ja jednak wiedziałem, że pomieszczenia dla służby w Crutched Friars wychodziły na południe i na wschód, a nie na północ, gdzie znajdowała się stajnia. Gabinet Athertona był na tyłach domu, na drugim piętrze. Gabinet, w którym trzymał laudanum.

Przyjrzałem się jej z bliska. Nie wydawała się odurzona, choć oczywiście nie sposób mieć pewności z tymi, którzy od dawna tkwią w nałogu. Chwyła kieliszek oburącz, patrząc w dół z taką zapiekłą udręką, iż zdawało się, że widzi w nim wydarzenia tamtej nocy, niczym Cyganka czytająca z kryształowej kuli.

Tak więc zakradła się korytarzem, by wykraść zakorkowaną brązową butelkę z gabinetu Athertona. Wyobraziłem sobie, jak w migotliwym blasku świecy wyciąga rękę w stronę szafki. Nagle: dźwięk nadjeżdżającego powozu, panna Deakins zastyga, głosy na zewnątrz przyciągają ją do okna z pełną grozy fascynacją.

– I co pani zobaczyła?

Panna Deakins zamknęła oczy i wciągnęła powietrze.

– Panno Deakins?

– Zobaczyłam rękę.

– Rękę?

– Podnoszącą się.

– Nie rozumiem, co pani ma na myśli.

A jednak zaczynałem się domyślać. Pierwsze zimne domysły zaczęły pełznąć w górę mojego kręgosłupa.

– Byli zajęci ciałem – powiedziała. – Trupem na strychu, na stole. Robili... coś. Odenkirk i pan Atherton.

– Jakie „coś”?

Nie umiała powiedzieć. Nie chciała sobie nawet wyobrazić. Potem się odsunęli. Nastąpił nagły błysk, który rozświetlił strych na mgnienie oka, i zobaczyła ich niczym aktorów na scenie. A potem ręka się uniosła.

– Ręka zmarłego?

– Tak.

– Podnieśli rękę zmarłego?

– O nie. Zmarły sam ją podniósł.

Powinna mi to opowiadać o północy. Powinna być spowita żółtą mgłą. Tymczasem pochyliła się do mnie, a jej oczy błyszczały gorączkowo.

– Podniósł rękę, panie Starling. Wyciągnął ją, niczym dusza potępiona sięgająca z grobu.

– A potem?

– Opadła.

Ręka opadła z powrotem. Ale ponownie nastąpił błysk i znowu się uniosła. Tym razem poruszając palcami, zaciskając dłoń. W owym rozbłysku panna Deakins zobaczyła rzucające się tu i tam ciemne postaci.

– A potem?

– Był następny rozbłysk.

– Ramię znowu się uniosło?

– Nie, panie Starling. Biedny, kochany panie Starling. – Gdyby to było tylko tyle, panna Deakins mogłaby jeszcze mieć nadzieję na sen. – Za trzecim razem on powstał.

Mężczyzna, który leżał na stole, chwiejnie uniósł się do pionu. Usiadł w rozbłysku światła, a potem obrócił głowę. Z włosami na sztorc i oczami jak jajka patrzył poprzez noc wprost na Phyllidę Deakins.

– A potem wrzasnął. Och, panie Starling... Och, ten wrzask!

Ten krzyk przejmującej samotności będzie ją prześladował do końca życia, przez wszystkie noce, jakie ją jeszcze czekają, będzie ją ścigał, dokądkolwiek by poszła, aż zawlecze ją w końcu – była tego pewna – do bram Bedlam Hospital. Takiego wrzasku nie usłyszy ponownie aż do dnia, gdy zmarli powstaną na końcu czasu, by zmierzyć się ze Straszliwym

Sądem. Kiedy chwyciła mnie oburącz za nadgarstek, stało się dla mnie jasne, o ile w ogóle kiedykolwiek w to wątpiłem, że Flitty Deakins jest szalona. Obłąkana, a na dodatek uzależniona od opium, kobieta napastowana przez zielonookiego Hindusa na półpiętrze.

Ale co, jeśli to, co mówiła, było prawdą? To pytanie pojawiło się ze ściskającą moszną intensywnością.

– I co się zdarzyło potem? Człowiek usiadł – powiada pani – trup...
Mówi pani, że spojrział na panią. Ale co dalej?

Panna Deakins skuliła się, patrząc ponad moim ramieniem.

Odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę opartego o drewniany słup za nami. Długiego szarego człowieka z uśmiechem przecinającym twarz.

– Patrzcie państwo, czyż to nie śliczna parka? – wycedził Odenkirk.

*

Tego wieczoru pan Comrie był w swoim gabinecie i robił notatki. Przerwał, kiedy uzmysłowił sobie, co do niego mówię, i powoli zamknął notes.

– A ciebie to może b a w i? – zapytał.

Zdaje się, że trochę chichotałem, relacjonując tę historię. Tak jak chichocze człowiek nie do końca pewien, co ma sądzić o tym, co usłyszał.

– Nie – powiedziałem bez przekonania.

– Więc przestań się głupawo uśmiechać i mów, co masz powiedzieć.

Zatem powiedziałem. Patrzył na mnie w skupieniu, aż skończyłem. Zegar tykał głośniejszy niż jakikolwiek inny zegar, od kiedy istniał czas.

Oni dwaj – Atherton i Comrie – mieszkali w jednej kwaterze jako studenci chirurgii na uniwersytecie w Edynburgu lata temu. W pewnym sensie byli przyjaciółmi, nawet dobrymi, jakkolwiek trudno to sobie wyobrazić, i pozostali przyjaciółmi po dziś dzień, choć nie przypuszczam, by czyniło ich to równymi sobie, a już na pewno nie w oczach Athertona.

Kiedy skończyłem, zapadła cisza. Zegar ciągle tykał.

– Próba ożywienia zwłok – odezwał się w końcu.

– Tak.

– Według słów tej Deakins.

– Założywszy, że możemy wierzyć...

– Właśnie. Laudanum i zielonooki Hindus.

– Prawda.

– I jeden z chirurgów robiących największą karierę w Londynie. – Comrie zrobił kwaśną minę. – Coś jeszcze chcesz mi opowiedzieć, Williamie?

Już teraz czułem się jak idiota, ale w rzeczy samej, było coś jeszcze.

– Grożono nam – powiedziałem.

– Słucham?

– Jego człowiek natknął się na nas. Odenkirk. Dał nam to do zrozumienia.

– Groził ci?

– I pannie Deakins.

– Tak bezpośrednio?

Niezupełnie. Tak naprawdę zaczekał, aż Flitty Deakins czmychnęła z Kaczki i Delfina, a potem przysunął sobie stołek i usiadł obok mnie. „Co ci mówiła? Co, przyjacielu Starling? – zapytał. – Ta Deakins mieląca wielką czerwoną szmatą w gębie”. A potem nachylił się poufale z kumpłowskim uśmiechem. „Cokolwiek zdaje się jej, że widziała i słyszała, to jej się tylko zdaje. Bierze opium. Jest jego niewolnicą i złodziejką, biedaczka, a poza tym kłamliwą suką, choć niechętnie to mówię... Tak więc, cokolwiek ci teraz powiedziała, zatrzymaj to dla siebie. Tak? Najlepiej zapomnij, że to słyszałeś, przyjacielu. Lubię tę plugawą kurwę i szanuję cię, więc przykro byłoby mi patrzeć, jak dzieje się wam krzywda”.

Naszpicowałem panu Comriemu obraz sytuacji. Słuchał, a jego oczy zwęzły się w szpary. Kiedy skończyłem, burknął:

– Można go zrozumieć, wzięwszy pod uwagę źródło twoich informacji.

– Więc... nic nie zrobimy?

– Oczywiście, że coś zrobimy, Williamie. Przyniesiesz mi moją cholerną kolację, jeśli jesteś tak dobry – pieróg z Czarnego Łabędzia i ćwierć kwarty brandy. A ja ze swej strony to skonsumuję.

Otworzył ponownie notes, odwrócił się do mnie plecami i usiadł tak, jak go zastałem: okrakiem na krześle, gryzmołąc piórem i drapiąc się wolną ręką pod pachą, elegancki jak pniak na katowskim podwórzu. A za nim stał wielmożny W. Starling, zgaszony i z zadrą w sercu.

Pierwsze pytanie brzmi po prostu: czym jest życie?

Było ono obecnie przedmiotem żywej debaty w środowisku medycznym i ogólnie rzecz ujmując, ukształtowały się dwie szkoły. Pierwszą tworzyli Hunterianie. John Hunter w ciągu swej długiej i wybitnej kariery w zawodzie doszedł do przekonania, że istnieje Siła Życiowa, krążąca wraz z krwią, będąca źródłem i iskrą egzystencji. Nie była ona jasno zdefiniowana, lecz w oczywisty sposób musiała być czymś zbliżonym do duszy. Hunter doszedł do tej teorii w późnych latach swego życia, kiedy to nawet najściślejsze naukowe umysły mogą skłaniać się ku wiedzy mistycznej. Jednak teoria ta nadal oddziaływała na wielu, a zeszłej zimy chirurg John Abernethy – uczeń Huntera i Szkot jak on – wygłosił dobrze przyjętą serię wykładów na ten temat w Royal College of Surgeons w Lincoln's Inn Fields.

Drugą szkołę stanowili Materialiści, następcy Francuza nazwiskiem Bichat, który utrzymywał, że Siła Życiowa jest równie realna jak elfy w lesie i że życie jako takie jest ni mniej, ni więcej tylko sumą fizjologicznych funkcji powstrzymujących śmierć. Kropka. Punkt widzenia Materialistów był ostatnio rozgłaszany przez Williama Lawrence'a, dawnego studenta Abernethy'ego, obecnie wyniesionego na stanowisko demonstratora anatomii w St Bart's. Tej wiosny wygłosił on własną serię publicznych wykładów, wieszając psy na mistycyzmie oraz swym dawnym nauczycielu.

Prowadzi nas to do drugiego pytania: kiedy człowiek jest rzeczywiście martwy? To zagadnienie o wiele bardziej drażliwe, niż można by przypuszczać.

Są, rzecz jasna, oznaki widoczne dla każdego. Człowiek jest martwy, kiedy zaczyna śmierdzieć, a wdowa po nim okrywa się kirem. Jest martwy, kiedy jego przyjaciele wyolbrzymiają jego zasługi, a robaki biorą się do roboty. Lecz co składa się na ten konkretny moment, kiedy człowiek przechodzi na drugą stronę?

Brak oddychania? Z pewnością nie, w przeciwnym razie uznalibyśmy, że wielu powstało z martwych. Nie dalej jak sześć tygodni wcześniej widziałem, jak Alec Comrie ożywił dziecko, które utonęło w wezbranym po deszczu kanale. Była martwa od co najmniej piętnastu minut – mała dziewczynka leżąca na stole w tawernie, kiedy Comrie oderwany od obiadu wpadł do środka na swoich pałkowatych nogach. Roztarł jej zimne

kończyny i owinął ją kocami, bo przede wszystkim należało ją ogrzać. Następnie chwycił ją od tyłu i ścisnął, wciskając pięścią jej brzuch, tuż poniżej mostka, a wtedy ona wykrztusiła brązowy szlam, zwymiotowała ścieki, a potem otworzyła oczy. Wśród zdumienia i radości szlochała i wołała siostrę, którą odnaleziono w sklepie z dzinem dwie ulice dalej, zajęta strzelaniem oczami do wojaka.

A może śmierć była wtedy, gdy przestawało pracować serce? Lecz przecież serca bywały ponownie uruchamiane. Serca powieszonych ludzi robiły to same z siebie – odcinano ich, asystujący chirurg stwierdzał zgon, a oni wracali do życia u stóp szubienicy. Mógłbym wam opowiedzieć o jeszcze innym człowieku, nieżyjącym od dwóch dni, który usiadł na stole prosektorskim w Domu Śmierci w Guy's Hospital i zaskrzeczał zdziwiony na widok anatomów zabierających się właśnie do cięcia.

Wszystko to prowadzi do trzeciego pytania, znacznie mroczniejszego. Kiedy człowiek jest naprawdę martwy i przewieziony, blady i zimny, na drugi brzeg Styksu – kiedy Stary Kościej otoczył go ramieniem i przeprowadził przez bramę w ciemność – czy nauka nadal może sprowadzić go z powrotem?

Podejmowano takie próby. Włoch nazwiskiem Aldini próbował tego zaledwie kilka lat wcześniej tu, w Londynie. Jego wuj, Luigi Galvani, eksperymentował na żabach, podłączając do nich ogniwa Volty za pomocą przewodów i przepuszczając przez nie prąd, ale Aldini poszedł dalej. Spróbował elektryzować zwłoki niegodziwca Georga Forstera, który utopił żonę i dziecko w kanale i został za to stracony w Newgate. Aldini wszedł w posiadanie ciała – jednego z owych czterech przydzielanych zgodnie z prawem Królewskiej Akademii Chirurgii na potrzeby badań – i przetransportował je do wcześniej przygotowanego pobliskiego domu.

Były tam rynny, każda zawierająca czterdzieści miedzianych dysków i czterdzieści cynkowych. Nacięto zwłoki i podłączono metalowe pręty. W obecności członków Królewskiej Akademii oraz tłumu cisnącego się wokół domu i rosnącego z każdą minutą Aldini włączył prąd. Pierwsza fala sprawiła, że szczeka Forstera zaczęła drzeć, jakby miał zacząć głośno jęczeć i wyrzucić z siebie jakąś straszną wiadomość z zaświatów. Otworzył jedno upiorne oko i się gapił. Drugie podejście sprawiło, że podniósł rękę i zacisnął dłoń, jednocześnie poruszając nogami i biodrami jak człowiek, który poszedłby już swoją drogą, jeśli tylko umiałby postawić stopy na

ziemi. Nie osiągnięto niczego bardziej dramatycznego, lecz i tak wielu z obecnych w pokoju zbladło, kiedy twarz Obiektu wykrzywił konwulsyjny grymas. Aldini zdołał wywołać ruch jeszcze trzy godziny później, podłączając prąd do ucha i odbytnicy.

*

– Lecz oczywiście – powiedział beznamiętnie Dionysus Atherton – był to jedynie eksperyment naukowy.

– Tak przynajmniej utrzymywał Aldini.

– Czytałeś jego rozprawę, Alec, podobnie jak ja. Było to ćwiczenie ze stymulowania mięśni. Aldini nigdy nie marzył o ożywianiu zmarłych.

– Nie? – pan Comrie przechylił głowę. Zachodzące słońce znajdowało się dokładnie za Athertonem, rozświetlając go złocistą poświatą, i jego przyjaciel, patrząc na niego, był zmuszony mrużyć oczy. – Wiem, co powiedział, Dionysusie, lecz nie mogę z całą pewnością stwierdzić, o czym śni ktokolwiek z ludzi. Ty potrafisz?

– Może i nie – zaśmiał się Atherton. – Na pewno nie „z pewnością”, jak mówisz. I prawdą jest, że ludzie miewają marzenia.

– Niektóre z nich przeraziłyby diabła w piekle.

– Diabła w piekle? Biedny Alec. Oto i wyłazi twoja północna dziecinność, by chwycić cię za kostki. Wszystkie te niedziele w Kirk w otoczeniu kalwińskich ciotek...

– A jednak.

– A jednak co? Czemu stoimy tu, rozprawiając o marzeniach Aldiniego?

– Sam podjąłeś próby. Dwie noce temu.

Atherton zamierzał odejść w kierunku powozu, który właśnie przywołał Odenkirk, ale teraz zatrzymał się i przez moment stał nieruchomo – prawie równie nieruchomo jak Wasz Wielce Uniżony, którego szczeka opadła wraz z pierwszymi słowami pana Comriego i który teraz zamarł w przedziwnej mieszance radości i złych przeczuć. Założyłem, że temat został definitywnie zamknięty po próbach podjęcia go tamtego wieczoru. Najwyraźniej nie został.

– Kto ci naopowiadał takich bajek? – spytał po chwili Atherton. Zwracał się do przyjaciela, ale patrzył na Willa Starlinga.

– Zatem zaprzeczasz? – spytał Comrie.

Staliśmy w ginącym świetle kwietniowego popołudnia na dziedzińcu Guy's Hospital. Była to – jest – szeroka, przyjemna przestrzeń, z trzech stron otoczona budynkami szpitala; z czwartej strony była brama, zza której dochodził gwar St Thomas Street, a pośrodku stał pomnik założyciela, Thomasa Guya, z dobrotliwym wyrazem twarzy. Obok przepływali studenci: niektórzy szli w stronę pobliskiej siostrzanej instytucji, St Thomas's Hospital, lub – co bardziej prawdopodobne – do jednej z wielu tawern w okolicy. Ponad nami, w jednym czy dwóch oknach na oddziałach, mizerna twarz zerknęła przelotnie w stronę życia i światła.

Atherton tego popołudnia wykładał. Kiedy wykład się skończył, studenci otoczyli go niczym wróble karmiciela. Zdołałem się do niego precyzyjnie i przekazać mu notatkę skreśloną ręką mojego pracodawcy: pozdrowienia od pana Comriego i zapytanie, czy pan Atherton zechciałby mu poświęcić chwilę. Zdawał się nie zauważać mojej obecności, ale po minucie czy dwóch zobaczyłem, że zerka na kartkę.

Pan Comrie czekał przy pomniku na dziedzińcu.

– Obawiam się, że jak dotąd żadnych wieści – oznajmił Atherton tytułem wstępu. – Ale spodziewam się ich wkrótce.

Sądził, że Szkot przyszedł w sprawie ewentualnej posady dla siebie, tu, w Guy's Hospital, na stanowisku demonstratora anatomii na jedno popołudnie w tygodniu. Comrie poprosił Athertona, by ten go polecił – ta prośba o przysługę raniła jego dumę.

– Bez obaw – wesoło kontynuował Atherton. – Wkrótce sprawa będzie załatwiona. A następnego ranka zabierzemy cię do krawca. Prawdziwego, Alec, z dwojgiem sprawnych oczu i przeciwstawnymi kciukami w towarzystwie czterech innych palców u każdej ręki, zamiast tego ślepcy po amputacji, którego, jak się zdaje, jesteś stałym klientem. Na Boga, ten twój płaszcz jest niewart śmieciarza!

Pan Comrie wymamrotał sztywne wyrazy wdzięczności, a kiedy Atherton szykował się do odejścia, dosadnie i bez ostrzeżenia zmienił temat. Teraz stał, czekając na odpowiedź, mrużąc oczy od słońca i wyglądając niewiele mniej kamiennie niż sam Thomas Guy.

– Eldritch. Tak, zdaje się, brzmiało jego nazwisko?

– Owszem.

– Zrobiłeś to?

– Oczywiście – odpowiedział Atherton niemal niedbale.

- Próbowałaś ożywić trupa?
- Jeśli tak chcesz to nazwać.
- A jak ty byś to nazwał?
- Moim obowiązkiem.
- Według ciebie był martwy?
- Wiedziałem, że jest w krytycznym stanie.

Wtedy zrozumiałem: czegoż ja się innego spodziewałem? Tutaj, na dziedzińcu Guy's Hospital, w świetle kwietniowego popołudnia, ze śmiechem i głosami wokół, z całym Londynem zajęтым swoimi sprawami i z chudym szarym Odenkirkiem czającym się nad nami – cóż takiego Wasz Wielce Uniżony sobie myślał? Że chirurg zaprzeczy, iż podjął próbę ocalenia czyjegoś życia?

– Ale czy uważałeś, że jest martwy? – Pan Comrie nie dawał za wygraną. Najwyraźniej niepokoiło go to bardziej, niż dał mi po sobie poznać, a był on takim psem, który kiedy chwyci coś w zęby, niełatwo puszcza. – Fountain Court, tam do tego doszło? Daleko od Crutched Friars. Musiało to zająć z pół godziny... Więcej? Sprowadzałem z powrotem dusze, które były prawie utopione, ale to była kwestia minut. Pół godziny? Godzina? To co innego. To próba ożywienia zmarłego...

– Co konkretnie słyszałeś? – Atherton patrzył prosto na mnie, podobnie jak Odenkirk z pewnej odległości.

– Słyszałem, że przeprowadzono eksperyment – powiedziałem. – W stajni, za pańskim domem. Słyszałem, że zastosowano prąd elektryczny. Pan Comrie spojrział na Athertona.

- Czy to prawda?
- Próbowałem stymulować serce i oddychanie ofiary zadławienia.
- Po tym, jak była martwa? Jak długo? Od godziny?
- Pięćdziesiąt trzy minuty, według mojego chronometru.
- I oczywiście ci się nie powiodło?
- Poczynilem już przygotowania do pogrzebu – odpowiedział Atherton.
- Czy to jest wystarczająca odpowiedź?
- Czy zamierzasz próbować ponownie?

– Na Bobie Eldritchcu? Nie, myślę, że nie. Leży na zapleczu u Bowella, z podwiązaną szczęką i pensami na powiekach. Podejrzewam, że biedny Bob jest już poza zasięgiem nauki. Myślę, że nadszedł czas, by spoczął w pokoju.

– Wiesz, o co pytam.

– Zostawił wdowę i dwoje dzieci. Zbieramy datki, by ich wesprzeć. Być może chcesz się dołączyć?

– Czy zamierzasz próbować ponownie na kimś innym?

– Oczywiście. Przy najbliższej okazji.

Pan Comrie zacisnął usta w cienką białą linię, a Atherton zaczął się śmiać.

– Tylko spójrz na siebie! Srogi niczym jedna z twoich kalwińskich ciotek.

– Uważaj, Dionysusie.

– Ja zawsze uważam.

– Są granice nauki. To eksperymentowanie ze zmarłymi nic nie da. Podobnie jak stosowanie grózb.

Odwrócił się do Odenkirka, piorunując go wzrokiem tak czarnym, że ten aż zamrugął.

– Ten chłopiec jest pod moją opieką, rozumiesz? Dotknij go, a odpowiesz przede mną.

Zdawało się, że Odenkirk miał zamiar rzucić jakąś drwinę, lecz zamiast tego zaszurał nogami i posyłając chmurne spojrzenia, zrejterował na pewną odległość. A Will Starling? Poczul, że jego serce pęcznieje z dumnej, dzikiej radości i przystąpił do zniszczenia tego, otwierając gębę.

– Usiadł na stole – zapaplałem jak przekupa – i odwrócił głowę.

Wszyscy trzej obrócili się w moją stronę.

– Nieboszczyk, Bob Eldritch. Odwrócił się i spojrział przez okno.

Atherton patrzył na mnie. Widział mnie w tym całym zamieszaniu w Kotłowni dwie noce wcześniej, jak obejmowałem ramionami szlochającą pannę Smollet, podczas gdy on negocjował ze Starym Kościejem, kto dostanie Boba Eldritch.

– Panna Deakins tak powiedziała, prawda?

– Nie mieszajmy do tego panny Deakins.

Ale przecież ja sam ją wmieszałem, poruszając tę kwestię, czyż nie? Wciągnąłem ją drżącą i szlochającą w sam środek tego wszystkiego.

– Biedna panna Deakins – powiedział Atherton. – Widzieć takie rzeczy, i to z dwudziestu kroków w bezksiężycową noc.

– A potem on krzyknął.

– Słucham?

– Bob Eldritch. Otworzył usta i wrzasnął.

Na moment zapadła cisza. Atherton przesunął się w bok o pół kroku, dokładnie tyle, by znaleźć się na wprost słońca. Na wpół oślepiionemu jawił mi się niczym olśniewający Apollo – równie jak on przerażający. Podniosłem rękę, by osłonić się przed blaskiem, a on uśmiechnął się do mnie.

– Nigdy nie wpadnij w nałóg zażywania laudanum, chłopcze. Bóg jeden wie, jakie fantazje będą cię prześladować nocami. – Jego uśmiech był cienki i lśniący niczym piła do kości. – A jeśli przyjdiesz nas kiedyś odwiedzić w Crutched Friars, usłyszysz zapewne pawia. Skrzeczy niczym torturowana dusza.

*

Tej nocy znowu przyśnił mi się koń na polu bitwy o zmroku. Zawsze ten sam koń, kroczący chwiejnie w mroku i mgle, gdzie jestem zagubiony na ogromnej równinie zmarłych i umierających. To piękny siwy koń, ale kiedy odwraca się do mnie, widzę, że dolna połowa jego głowy zniknęła, oderwana kulą armatnią. Oczy pozostały, wielkie, dzikie, patrzące błagalnie, i kiedy spoglądają na mnie, rozumiem, że biedne stworzenie uważa mnie za swoją ostatnią nadzieję na ocalenie. Wtedy krzyczę z najczystszej rozpacz.

– William?

Jakiś cień zamajaczył nade mną. Pan Comrie stał w progu, trzymając świecę.

– To sen, chłopcze. Miałeś sen. To wszystko.

Ściskając koc, siedziałem złany potem na sienniku na moim strychu w Cripplegate i zeszywniały walczyłem o oddech. Ku mojemu zawstydzeniu odkryłem, że szlocham.

– No już – mruknął pan Comrie. – Nie, nie, nie trzeba.

Zatrzeszczało drewno, kiedy sięgnął po krzesło. Przyciągnął je do siebie i usiadł niezręcznie przy mnie, pękaty i plebejski w swej nocnej koszuli. Po chwili poczułem na ramieniu ciężar jego ręki.

– To nie twoja wina – odezwał się. – Byłeś na wojnie.

Jak połowa mężczyzn w Londynie, tak mi się czasem zdawało. Widywało się ich każdego dnia: starzy żołnierze z pustym wzrokiem

siedzący w piwiarniach i gapiący się w przestrzeń. Bali się własnego cienia.

Pan Comrie się wiercił. Emocje zawsze sprawiały, że czuł się niezręcznie – nie miał pojęcia, co z nimi zrobić, jako że sam należał do tego gatunku ludzi, którzy najlepiej czują się w akcji. Gdyby sytuacja wymagała odcięcia kończyny, byłby najodpowiedniejszą osobą. Tymczasem teraz zaczynał winić siebie, jak za każdym razem, kiedy objawiał mi się koń i moje nocne krzyki ściągały go pędem na górę.

– Pięć lat. Chłopiec w twoim wieku... Niech to szlag, nie powinienem być cię ze sobą zabierać.

– To nie była pańska decyzja.

– Powinienem być odesłać cię do domu.

– Do domu?

– Do Anglii. Do Kent. Do tego domu z wielkim obwisłym cyckiem...
Gdziekolwiek do diabła jest dom.

Znowu się poruszył. Poczulem zapach brandy i starego potu.

– Jest tutaj, jak przypuszczam – dodał, rozglądając się. – No cóż. Jakoś się to wszystko układa, Williamie, między nami.

Zmusiłem się do równego oddechu.

– No i jak? – spytał – Lepiej?

Za oknem ciemność zaczęła ustępować świtowi.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Oj tam.

– Obudziłem pana.

– Zaśnij teraz. Brandy pomaga.

– Napilem się trochę.

– Napij się więcej.

Zaśmiał się i wstał, wyciągając rękę, by mi potargać włosy. W drzwiach się zatrzymał.

– To nie nasza rzecz, Williamie. Te sprawy na Crutched Friars... cokolwiek się tam zdarzyło. Nie moja sprawa i nie twoja. Co robi, a czego nie robi Dionysus Atherton. I nie ma znaczenia w tym wszystkim, kim on jest dla ciebie, prawda? Nieważne, co jest między wami lub co powinno być. Groźba pod twoim adresem – o, to jest moja sprawa. Ale nie cała reszta.

I już go nie było. Słyszałem jego kroki na schodach. Na dole drzwi jego pokoju skrzypnęły przy otwieraniu i zamykaniu, a potem dom pogrążył się

z powrotem w bezsennym bezruchu.

Koń był prawdziwy, jak to bywa. Artyleryjski koń raniony w potyczce na drodze kilka dni przed Waterloo. Odcięto go z zaprzęgu i starano się odgonić, ale on włóczył się w pobliżu, chcąc dołączyć do innych koni. Artylerzyści nie potrafili się zebrać w sobie, by to jakoś załatwić, i ktoś wpadł na pomysł, żeby sprowadzić chirurga. W jakiś sposób – Bóg wie jaki – zadanie to spadło na mnie. Kiedy przybyłem na miejsce, biedne stworzenie starało się wmieszać w swoich towarzyszy, jakby bało się, że je zostawią. Oczywiście wiedziałem, co muszę zrobić, ponieważ zwierzę było śmiertelnie ranne i bardzo cierpiało. Jednak nie potrafiłem. Było to – sam nie wiem – po pięciu chyba latach obcowania ze śmiercią. Pięć lat wśród okaleczonych i wrzeszczących ludzi, a także koni – konie cierpiały równie straszliwie jak wszyscy, a nie miały nawet szansy, by dokonać wyboru. Było też coś, co przydarzyło się mojemu dobremu znajomemu, Danny’emu Littlejohnowi – coś, do czego doszło dwie noce wcześniej, a co najokrutniej dręczyło mój umysł.

Tak czy inaczej, ów biedny koń był tam z tymi białymi dzikimi oczami i bez szczęki, a ja po prostu stałem. Był tam też cienki przenikliwy dźwięk, który okazał się niekontrolowanym płaczem Williama Starlinga.

I wtedy zjawiał się pan Comrie. Ktoś posłał po niego lub może on sam podążył za mną – nigdy się tego nie dowiedziałem – i oczywiście wiedział, co robić. Wziął szablę od kapitana kawalerii, po czym wbił ją płynnie i delikatnie w serce biednego zwierzęcia. Potem otoczył mnie swoim ciężkim ramieniem i zabrał stamtąd.

Tamtej nocy koń przyszedł do mnie po raz pierwszy i od tamtej pory pojawiał się co dwie lub trzy noce. Czasem na jego grzbiecie siedział Danny Littlejohn z twarzą ściągniętą i białą, patrząc na mnie z takim wyrzutem, że z trudem mogłem to znieść.

Bob Eldritch został pochowany w poniedziałek po południu w zimnym kwietniowym deszczu na cmentarzu St Mary-le-Bow. Był karawan zaprzężony w cztery kare konie z czarnymi piórami na łbach i sześciu karawaniarzy w wysokich czarnych kapeluszach – wszystko zapewnił pan Bowell, a opłacił pan Atherton. Frekwencja była całkiem wysoka – aż trzy tuziny – co mogło być powodem do zadowolenia, jak miemam. Nie cieszy oka widok człowieka, który opuszcza ten padół, zostawiając po sobie najwyżej plamę, cokolwiek by zrobił. Wilki stawiły się w komplecie, ponurzy i pełni poczucia winy. Edmund Kean przybył spóźniony i wyszedł przed końcem, a w międzyczasie prezentował takie posępne przygnębienie, że przysięglibyście, iż to sam książę Hamlet przybył na St Mary-le-Bow.

Atherton trzymał czarny parasol, pod którym schroniła się wdowa, wspierając się na jego ramieniu. Biedna, przygarbiona i kluchowata, doprowadzona tragedią do stanu tępego ogłuszenia: dokładnie ten typ kobiety, jaka wyszłaby za Boba Eldritch'a i urodziła mu kluchowate przygłupy. Wydała okrzyk smutku, kiedy opuszczano trumnę, ale zachowała żalosną godność. Żadnego wycia i omdlewania, żadnych histerycznych napadów.

Te zapewnił Tom Shelldrake.

Miałem Shelldrake'a na oku z mojego stanowiska przy bramie. Stał na obrzeżach, poza grupą żałobników zgromadzonych wokół grobu, załamując ręce i pracując mięśniami twarzy, a wraz z pierwszym głuchym odgłosem ziemi spadającej na trumnę wrzasnął:

– Bobie Eldritch, skończ tę maskaradę! Wstań w tej chwili, drogi panie, albo ty i ja nie jesteśmy już przyjaciółmi! – Po czym zawodząc, rzucił się na głowę do grobu niczym Hamlet za utopioną Ofelią.

Wyciągnęli go, Atherton i kilku innych, trzymając za machające kończyny i nakazując mu być mężczyzną. Po chwili został odprowadzony wśród szlochów, podczas gdy Atherton towarzyszył wdowie do powozu. Poczekalem, aż grób zostanie zasypyany, a potem poszedłem zdać relację Annie Smollet.

*

Mieszkała z Borsuczycą w pokoju, który wynajmowały w Holborn. Ściany pokrywała pleśń, sufit był niski i spadzisty, a okopcone okno zapewniało widok na wychodek na tyłach domu. Było tam jedno łóżko dla nich dwóch, drewniana skrzynia, służąca za sekretarzyk, półka z bibelotami i obtłuczona porcelana oraz ubrania rozrzucone tak, jakby właśnie eksplodował kufer.

– Pochowali go – powiedziałem.

Panna Smollet była nadal mocno wstrząśnięta tym, co się wydarzyło. Siedziała blada i roztrzęsiona na brzegu łóżka. Borsuczycyca siedziała obok niej, opiekuńczo otaczając jej talię ramieniem. W powietrzu unosił się zapach lawendy i kwaśnej pościeli.

– Byłeś tam? – spytała Borsuczycyca.

– Widziałem, jak sypali na niego ziemię.

Wydawało mi się, że panna Smollet będzie chciała to usłyszeć – dowiedzieć się, że to koniec, że sprawa załatwiona. Jednak jej oczy, czerwone z braku snu, zaszklily się łzami.

– Nie życzyłam mu śmierci – powiedziała.

Natomiast Borsuczycyca owszem, czego nie omieszkała oznajmić z wielką zawziętością. Miała również nadzieję, że Bob Eldritch był w tym momencie przypiekany na piekielnych węglach.

Dolna warga panny Smollet zaczęła drżeć.

– Nie chciałam tego wszystkiego – powiedziała. – Nie mają prawa mnie za to winić.

– Nikt cię nie wini, moja gołąbeczko! – wykrzyknęła Borsuczycyca.

Lecz panna Smollet wierzyła, że i owszem, choć oboje ją zapewnialiśmy, że jest inaczej. Była przekonana, że żałobnicy stali przez godzinę na cmentarzu ze smutkiem na obliczach i zemstą w duszach, specjalnie po to, by ją w głębi serca potępiać. Zacząłem mieć dziwne poczucie, że postrzegала pogrzeb Boba Eldritch'a jako coś, co przydarzyło się panie Annie Smollet – choć trudno było mi ją winić, zważywszy na to, co przeszła w Fountain Court. Stojąc tam w otwartych drzwiach, nie potrafiłem sobie wyobrazić, że w ogóle mógłbym winić pannę Smollet za cokolwiek i kiedykolwiek.

Poprosiła, bym opisał całe wydarzenie ze szczegółami, od początku do końca. Zrobiła się bledsza niż kiedykolwiek, a przez to bardziej urocza, kiedy opowiadałem o tym, jak trumna została spuszczone na linach. Tylko raz na jej twarz wystąpiły rumieńce, kiedy opisałem, jak Atherton osłaniał parasolem wdowę.

– Nienawidzę go! – wykrzyknęła. – Pan Dionysus Atherton jest mi nienawistny.

Nie zareagowałem.

– Ale nigdy nie nienawidziłam Boba Eldritch'a – powiedziała. – Mimo tego, co mi zrobił.

Wstała i przeszła do okna, a odwracając się, wydała mi się mizerna, lecz w pewien sposób uszlachetniona, jak to się dzieje z ludźmi oczyszczonymi poprzez długie cierpienie.

– Do żadnego mężczyzny na tym świecie nie żywię nienawiści – oznajmiła. – Ani do kobiety czy dziecka. Modlę się za wszystkie dusze, każdą z nich, i proszę, by one również modliły się za mnie.

Jej podbródek był uniesiony w sposób, który zdawał się zarazem pokorny i wyzywający. Sprawiało to wrażenie, jakby przymierzała rolę niczym kapelusze u modystki i nagle zdecydowała się na jeden, który pasował. Dziwny kapelusz na tę okazję: można by pomyśleć, że była kobietą skrzywdzoną i potępioną, idącą odważnie na własną egzekucję. Lecz – Boże! – wyglądała uroczo.

– Proszę nas odwiedzać, panie Starling – rzuciła, a jej uśmiech był tragiczny, lecz mężny. – Proszę przyjść innym razem i przynieść ze sobą swe radosne serce.

Borsuczycy aż przewróciła oczami.

*

Tego samego dnia skazano Jemmy'ego Cheese'a.

Spisałem go na straty tamtej nocy, kiedy opanowała go gorączka – czyż nie widziałem tego tysiące razy? Tak to było ze Starym Kościejem. Wypędzałeś go spod drzwi stalą i wrzaskiem, a on wślizgiwał się na powrót przez okno, podstępem i gangreną zdobywając to, czego nie dał rady zabrać w otwartej walce. Chirurg mógł tu pomóc tyle co nic. Jak można wyleczyć psującą się ranę lub powstrzymać czarną zgniliznę, jak tylko odcinając więcej ciała? To sprawiało, że pan Comrie zgrzytał zębami i opróżniał kolejną butelkę.

Jednak Alec Comrie nigdy się nie poddawał, nawet wtedy, gdy walka była skazana na klęskę. Zatem chodził dwa razy dziennie na Giltspur Street, rano i wieczorem. Spuszczał krew, opatrywał pacjenta i prosił Meg Nancarrow, by owijała mu głowę mokrymi szmatami, żeby ochłodzić mózg. Ona sama nie opuszczała Jemmy'ego na krok – ani raz przez cały ten czas. Kiedy o drugiej w nocy przyszedł kapitan, przepędziła go przekleństwami, a rano trzeciego dnia – *mirabile dictu*[8] – gorączka zmaląła. Jemmy leżał bezwładny i blady, ale wczesnym popołudniem zjadł kilka łyżek wołowego bulionu z ryżem. Następnego ranka zdołał już usiąść na krześle pod zakratowanym oknem celi, z opuszczonymi ramionami, owinięty szalem, z połową włosów zgolonych, a drugą połową sterczącą w strąkach, niczym jakiś niemy stary troll.

Pan Comrie zamrugał na ten widok i niemalże się uśmiechnął.

– Dokonał pan tego – powiedziałem, stając u jego boku. – Uratował mu pan życie.

– Zatkąłem mu dziurę w głowie. Wkrótce okaże się, ile wyciekło.

Jemmy gapił się w próżnię. Meg wstała.

– Zapłacę – oznajmiła.

Pan Comrie wydał ten swój szkocki dźwięk – *gah* – odganiając ręką niewidzialne muchy, i nachylił się, by zbadać, jak goi się cięcie.

– Nie chcę jałmużny. – Meg nie dawała za wygraną. – Kiedy będę miała pieniądze, zapłacę, ile jestem panu winna.

Spojrzał na nią z chmurnym szacunkiem, bo sam był dumny ponad wszelką miarę. Nadal go gryzło, że poprosił Athertona o pomoc w zdobyciu posady demonstratora – czego ten, nawiasem mówiąc, nadal nie zrobił.

Kiedy skończył, wymamrotał coś, co mogło wyrażać satysfakcję, i odwrócił się w kierunku wyjścia.

– Panie Comrie...

Obejrzał się.

– Niech pana Bóg błogosławi – powiedziała Meg. – Założywszy, że jest Bóg, którego nie ma – a nawet jeśli jest, pieprzyć go za cały ten gówniany świat, który stworzył. Ale wie pan, co chcę powiedzieć.

Pan Comrie uśmiechnął się zimnym, pozbawionym wątpliwości uśmiechem.

– Niech pani dba o niego.

– Och, proszę się o to nie martwić.

Następnego dnia Meg odważyła się wrócić do świata, mrugając oczami w brudnym londyńskim słonecznym blasku. Najpierw udała się do swojego pokoju przy Fleet Ditch, który dzieliła z Jemmy, a po zmianie ubrań i wyczesaniu kołtunów poszła w dół Ludgate Hill, pod Trzy Wesołe Koguty, do piwiarni, w której czasem pracowała, by poprosić, żeby przyjęły ją z powrotem. Karczmarz najpierw odesłał ją z irytacją, ale w końcu go przekonała, używając niezawodnego sposobu, czyli klęcząc na piwnicznej podłodze. Miał na imię Alf. Czerwony kaczkowaty człowieczek z brzuchem niczym wór. Wyobrażała sobie, jak skłębione wnętrzości wypadłyby z niego ze śliskim odgłosem, jeśli by wbić nóż w pępek i zgrabnie przeciągnąć go raz-dwa aż do mostka. Lecz wtedy on pomógł jej wstać, wyciągając troskliwie dłoń – Alf był świnią, nie mężczyzną, i miał ciężką pięść, ale wierzył w rycerskie gesty. Odzyskała posadę. Podjęła nocną pracę w piwiarni, by po dwóch lub trzech godzinach snu późnym rankiem zjawić się na Giltspur Street. Tak więc nie było jej tam, kiedy przyszli funkcjonariusze sądowi, w poniedziałek punktualnie o dziewiątej, i zabrali Jemmy'ego na Bow Street, do Sądu Magistrackiego, by odpowiedział na stawiane mu zarzuty.

Usiadł na ławie oskarżonych niczym w jakiejś górskiej twierdzy, z martwymi i błędzącymi oczami. Pewnie grzmocąc go pałkami na cmentarzu, uszkodzono coś w jego mózgu, jakiś zasadniczy element, niezdefiniowany, lecz kluczowy. Jednak sąd nie uznał tego za przeszkodę. W końcu cóż mógłby powiedzieć Jemmy w swej obronie, nawet jeśli byłby w stanie mówić? Został złapany *in flagranti* ze zwłokami w worku. Nie było to przestępstwo jako takie, jako że zwłoki nie były niczyją własnością

i wobec tego nie mogły zostać skradzione, jednakże były owinięte całunem – i tu go mieli. Kradzież całunu, prawie nowego. Sześć miesięcy aresztu. Sędzia stuknął młotkiem w stół i skierował swoją uwagę na następny punkt posiedzenia: fałszerza, którego trzeba było powiesić.

W końcu przybyła również Meg. Dowiedziawszy się zbyt późno o tym, co zaszło, biegła całą drogę z Giltspur Street, przecinając Whitechapel i wzdłuż Mile End Road, aż wpadła na Bow Street w momencie, gdy woźni stawiali więźnia na nogi.

– Jemmy! – krzyknęła.

Niejasny przebłysk pojawił się w jego oczach, niczym płomyk świecy w głębi jaskini. Kiwał się na boki i wydawał niski jękliwy odgłos z głębi gardła. Meg tymczasem wołała, by sąd pozwolił jej mówić.

– Proszę – błagała. – Na miłość boską, okażcież trochę litości. Nie! Przestańcie! Puśćcie mnie!

Funkcjonariusze sądowi trzymali ją, podczas gdy woźni ciągnęli Jemmy'ego do bocznych drzwi. Stawiał opór, ale był skuty kajdanami i nadal bardzo słaby.

– Wy gnoje! – darła się Meg.

Najpierw zawieźli Jemmy'ego do Clerkenwell, gdzie ładowali wszyscy rabusie grobów. Później mieli go stamtąd zabrać i wsadzić do łodzi na Tamizie. Stąd spłynę powoli w dół rzeki, by odsłużyć resztę wyroku w trzewiach HMS Edgar, siedemdziesięcioczerodziałowego okrętu trzeciej klasy, przekształconego w więzienie w roku 1813 i przemianowanego na Retribution, który stał na kotwicy w Woolwich Harbour.

Wieczorem w dniu procesu Atherton wrócił na cmentarz St Mary-le-Bow. Tak mi powiedział zakrystian kilka dni później. Przyjechał o zmroku i stał pogrążony w cichej kontemplacji nad grobem Boba Eldritch przez dłuższą chwilę, tak jak ktoś, kto ma serce i doznaje głębokiego wzruszenia. W końcu odszedł, znikając w gęstniejących ciemnościach, które okryły go niczym płaszcz.

*

Następnego dnia po południu miał wykład w Guy's Hospital, tym razem na temat praktyki chirurgicznej. Guy's jest znakomitym szpitalem akademickim, który jako pierwszy w Londynie został wyposażony w salę

wykładową zbudowaną specjalnie w tym celu, audytorium w kształcie podkowy, ze studentami – co najmniej siedemdziesięcioma tego dnia – z ławami ciasno ustawionymi w półkolistych rzędach. Atherton, od zawsze ulubieniec, tego dnia był w najlepszej formie – objął katedrę w całkowite władanie i rozprawiał z wielką swadą. Był artystą sali wykładowej, na swój sposób równie wielkim jak Edmund Kean na scenie. Nad jego głową zwiślał na łańcuchu, szczerząc zęby, zmontowany ludzki szkielet rozświetlony smugą dziennego światła, niczym kości jakiegoś zaszuszonego świętego zstępującego na ziemię. Być może to samo skojarzenie pojawiło się w jego głowie, przystanął bowiem, przerywając w pół rozwijany właśnie wątek dotyczący tajemniczego procesu przechodzenia żywego ciała w stan śmierci.

– I jeszcze jeden – powiedział, spoglądając w górę na błogosławione szczątki – wymknął się poza nasze zdolności leczenia. Lecz zastanawiam się, cóż mogłoby go sprowadzić z powrotem.

Śmiech. Pan Atherton był dziś w nastroju do żartów.

– Organ lub dwa na początek – rzucił jakiś dowcipniś. – Może serce?

– I mózg! – zawołał ktoś inny. – Pod warunkiem że nie był Irlandczykiem.

Tyle że Atherton wcale nie żartował.

– Czy śmierć jest dobrym tematem do żartów? Moglibyście zwrócić się o opinię w tej sprawie do biednego Pockocka.

I tak wesołość szybko utonęła w niezręcznej ciszy.

Pockock był studentem chirurgii, tu, w Guy's Hospital, przynajmniej do wczesnych godzin porannych w zeszły czwartek. Zmogła go śmiertelna choroba następnego dnia po dokonywanej sekcji, w trakcie której w wyniku nieuwagi zadrasnął palec wyszczerbionym odłamkiem kości. Sekcje mogą być niebezpieczne, jeśli ciało zaczęło się już rozkładać. W ciągu kilku godzin zaczęły się u niego potworne bóle głowy. Następnie wystąpiło delirium, a potem doszło do krwotoku, kiedy krew straciła zdolność krzepnięcia. Niedługo po północy oprzytomniał na tyle, by poprosić o zwolnienie z powodu choroby z nadchodzących egzaminów, lecz o świcie, kiedy zaczął się odpływ, cicha barka wyruszyła na północ, zabierając biednego Pockocka na egzamin znacznie surowszy niż ten, jaki mógłby być przeprowadzony na jakiegokolwiek akademii. O dziewiątej tego

ranka zdruzgotana rodzina przybyła po jego ziemskie szczątki, zanim jakaś świnią wpaść na pomysł, by poddać je sekcji.

Było możliwe, jak przypuszczam, że Atherton darzył biednego Pocka sympatią, a może – co bardziej prawdopodobne – prześladowało go nadal jakieś wspomnienie związane z Bobem Eldritchem. Tak czy inaczej, stał się jak na siebie nietypowo zadumany, stojąc tam w świetle płynącym z okien, pod wysuszonym świętym, z siedemdziesięcioma zastygłymi w niepewności twarzami wokół. Siedemdziesięcioma i jedną, jeśli liczyć Waszego Wielce Unizonego, wciśniętego w kąt w najwyższym rzędzie, przycupniętego niczym kruk na blankach i niewzruszenie patrzącego w dół błyszczącymi oczami.

Przychodziłem na wykłady Athertona, kiedy tylko pozwalała na to moja praca asystenta pana Comriego – co zwykle nie stanowiło problemu, jako że było małe zapotrzebowanie na usługi oferowane przez Szkota. Nigdy nie byłem studentem w Guy's i nie miałem prawa tam być. A jednak w pewien sposób miałem wszelkie prawa. Miałem więcej praw do Dionysusa Athertona niż ktokolwiek z obecnych, choćby nie wiem jak temu zaprzeczał. I tak rozpocząłem moje studia – robiłem to już od kilku miesięcy – składając strzępy i kawałki tego człowieka w całość z powodów, które nie były jeszcze jasne nawet dla mnie. Czy już wtedy wyczuwałem intuicyjnie coś bardzo złego, w głębi serca, w trzewiach, czy gdziekolwiek indziej, gdzie w ludzkim organizmie rezyduje taki instynkt? Chciałbym powiedzieć, że tak właśnie było – o tak, w rzeczy samej, podejrzewałem go od samego początku – choć tak naprawdę w to wątpię. Bardziej prawdopodobne, że to moje osobiste poczucie krzywdy, nękające i gryzące jak to ono, doprowadziło do tej – no właśnie, do czego: obsesji? – która schwyciła mnie w szpony tak mocno w tamtych dniach, tygodniach i miesiącach, odkąd powróciłem do Londynu.

– Czym jest śmierć? – pytał teraz. – Oczywiście nasz przyjaciel jest jak najbardziej zmarły. – Rzucił spojrzenie w kierunku wysuszonego świętego. – Lecz co z tymi, którzy są zawieszani w momencie śmierci? Wielu znalazłoby się takich w Londynie, setki, nawet teraz, gdy tu stoję i do was przemawiam. Co z tymi, którzy prześlizgnęli się tylko o cal poza granicę? Lub sześć cali, albo o stopę? Co z biednym Pockiem, kiedy oddalał się od brzegu? Czy nauka mogłaby w jakiś sposób po niego sięgnąć? W swoim pojmowaniu rzeczy jesteśmy jak dzieci. Jak niemowlęta raczkujące po

omacku. Lecz co leży poza granicą? Co możemy odkryć? I jak daleko możemy sięgnąć?

Patrzył na nich, ale mówił jakby do siebie. Nigdy wcześniej go takim nie widzieli. Ani ja.

– Wezwano mnie kiedyś do umierającej dziewczyny. Czy raczej nie wezwano, bo ściślej rzecz ujmując, sam jej szukałem. Było to wiele lat temu, zanim zostałem chirurgiem. Dopiero wyrastałem z chłopięctwa, byłem w tym samym wieku co wielu z was teraz.

Blask z okien zamierał w zmroku późnego popołudnia. Na jego twarz padł cień.

– Położyli ją na łóżku – ciągnął – urocze stworzenie, osiemnaście lat. Jej oczy były otwarte, kiedy przekroczyłem próg. Zawołałem ją po imieniu, ale się nie poruszyła. Była chuda niczym trzcina i biała jak kreda, ale mógłbym przysiąc, że za pół sekundy mrugnie, odwróci głowę i powoli rozjaśni się w uśmiechu. Ale nigdy tego nie zrobiła. Widzicie, przyszedłem o pół minuty za późno. Już umarła. Kiedy biegłem po schodach, ona się wymknęła...

Pośród wielu był całkiem sam, tak samotny, jak tylko można być na tym świecie. I w tamtej chwili te jego nieskończone błękitne oczy odnalazły moje.

– Nigdy nie czułem się bardziej bezradny. – Mówił wprost do mnie – przysięgam – jakby prosto z serca w serce. Bo tylko ja wiedziałem, o kim mówił, kim była owa skazana przez los młoda kobieta, którą opłakiwał.

– Nigdy bardziej bezradny – powtórzył – w całym swoim życiu. – Jego twarz zdawała się niemal wynędzniała i w tamtej chwili byłem przekonany, że dokładnie rozumiem, co czuje. Ból jego straty był również moim bólem, przynosząc taki miękki żal, że mógłbym szlochać. Wtedy odwrócił ode mnie wzrok i objął spojrzeniem wszystkich innych. – I jeśli była taka chwila – oświadczył – jeden moment, który nadał memu życiu kierunek, w jakim podążam od tamtej pory, to z pewnością była to tamta chwila.

Usłyszałem stłumione okrzyki, a potem narastającą burzę oklasków. Och, kochali go za ten pokaz wrażliwości bardziej niż kiedykolwiek! Atherton odwrócił się i wciągnął powietrze, jakby musiał uciszyć emocje, które nie przystoją mężczyźnie. Następnie otrząsnął się niczym wspaniały zwierz budzący się z letargu, by podjąć lwi bieg, i swym zwykłym dźwięcznym

głosem poprowadził wykład, a na zakończenie zachęcił studentów – jak to zawsze czynił – do podarcia notatek, które tak skrzętnie robili.

– Bowiem nauka niestrudzenie postępuje naprzód. To, czym właśnie się z wami podzieliłem, przedstawia szczyt wiedzy anatomicznej w tym momencie. Lecz jutro rano to wszystko będzie już za mną!

Oklaskiwali go żywo, jak zawsze, a on jaśniał w ich pochlebstwie. Zdawało się, że zaraz się ukloni i pośle całusa, róże posypią się niczym deszcz z galerii, a kobietom zmiękną kolana. Nie spojrzął na mnie już ani razu.

Spektakl.

Była jednak chwila. Chwila żalu, poczucia straty i prawdziwej ludzkiej więzi, a on zaoferował ją mnie. A potem umniejszył to do aktorskiego popisu. To wtedy mógł być ten moment, kiedy zacząłem rozumieć: mógłbym zniechęcić Dionysusa Athertona dość mocno, by życzyć mu śmierci.

Wujek Cheese był tego ranka, kiedy odbył się proces jego brata, w swoim sklepie. Wiem to na pewno, chociaż przyznaję, że wiele z tego, co opowiadam wam o tym dniu i nocy po nim, to tylko domysły – te wszystkie wydarzenia, które zaszły w sklepie, a potem w Crutched Friars i jeszcze później, w knajpie Trzy Wesołe Koguty. Lecz proszę was teraz, byście mi zaufali – lub raczej proszę was o to ponownie. Zbadałem te wydarzenia, czerpiąc, gdzie tylko się dało, z zeznań naocznych świadków. Wyszperałem te fakty, które dało się znaleźć, bo od tego właśnie należy zacząć, o czym wie wielu ludzi nauki – zestawiając fakty, by następnie wznieść na nich rusztowanie teorii. Trzeba je składać z najwyższą ostrożnością, kawałek po kawałku, fragment po fragmencie, aż powstanie stabilna budowla – i tak oto mamy prawdę lub coś tak bliskiego prawdy, jak tylko można dojrzeć poprzez wrzące opary tego świata. W ten sposób stary Kopernik umiejscowił Słońce w samym centrum, a planety i ich księżyce rozmieścił wokół niego. I jeśli Kopernik mógł tą metodą złożyć w całość wszechświat wraz z całą jego nieskończoną maszyną, to z pewnością Wasz Wielce Uniżony może wyjaśnić poczynania pół tuzina londyńczyków w czasie jednego dnia i jednej nocy.

Ostatnio mam dużo wolnego czasu na przemyślenie tego jeszcze dziesięć tysięcy razy i spojrzenie na sprawy z każdej możliwej perspektywy. Och, te długie noce, jakie Wasz Wielce Uniżony ma do dyspozycji! Możecie mi uwierzyć w tej kwestii na słowo, jeśli będziecie chcieli zakwestionować wszystko inne – nie mam nic innego do roboty, jak tylko chodzić i myśleć. Trzy kroki do przodu, obrót i z powrotem. Gdybym miał wybór, wolałbym

zamiast tego uczyć się latać niczym ptak, prosto przez wąskie okienko ponad dachami Londynu, tnąc powietrze jak jaskółka. Oczywiście są na to małe szanse – czy nawet na cokolwiek innego. Mam wam jednak jeszcze tak wiele do opowiedzenia, począwszy od owego dnia w kwietniu, kiedy to Edward Cheshire usłyszał wieści o swym bracie. Usłyszał je i powziął serię decyzji, a każda z nich była gorsza od poprzedniej.

*

Sklep mieścił się w zaułku na tyłach Old Street, wciśnięty między tawernę a tanią noclegownię, z trzema mosiężnymi kulami oznaczającymi lombard umieszczonymi nad drzwiami. Pomieszczenie było wąskie i mroczne niczym jaskinia zbójców, wypełnione zapachem czasu i kociego moczu oraz zagracone szczątkami Londynu: chronometrami, tabakierami, srebrnymi łyżeczkami, butami, chusteczkami do nosa, kurtkami, bibelotami, książkami, lampami, dziecięcymi zabawkami, cynowymi kuflami i zastawą do herbaty. Były tam suknie na wieszakach i zwinięte tureckie dywany, był piękny komplet talerzy, który jakoś zabłądził z domu w Mayfair i pośród niekończących się krętych uliczek znalazł drogę do drzwi Edwarda Cheshire'a. W okna wstawiono kraty, a na zakurzonej parapecie leżał wielki rudy kocur miotający ogonem i z morderczym spokojem obserwujący ptaki w klatkach wiszących na krokwiach. W głębi była lada, za którą Wujek Cheese oglądał skarby i nieodmiennie stwierdzał – niestety – że nie były warte nawet w przybliżeniu tyle, ile mieliście nadzieję.

Zaledwie kilka minut temu dokonał zgoła innej transakcji z czeladnikiem dentysty z Marble Arch, który zostawił skórzaną sakiewkę – kiedy nią potrząsnąć, wydawała grzechoczący odgłos niczym miniaturowe kości do gry. Ned Cheshire przeprowadzał tego typu transakcje poufnie, w ciemnych czeluściach sklepu, choć zupełnie nie było się czego wstydzić. Sprzedawał zęby najlepszego gatunku, piękne i świeże perełki, które można wstawić do pierwszorzędnej sztucznej szczęki lub też prosto do zębodołu. Nieważne, że były do nich jeszcze przyczepione kawałki dziąsła. A co niby innego miałoby być przyczepione do zęba?

Kiedy czeladnik poszedł, Wujek Cheese mógł poświęcić uwagę swemu drugiemu klientowi, który przyniósł mu srebrną bransoletkę. Obejrząwszy

ją pobieżnie, zaferował szylinga.

– S z y l i n g a? – Klient roześmiał się w głos. Pan Cheshire najwyraźniej raczył żartować. – No doprawdy... Szylinga, powiada pan Cheshire. No dobrze. Gwineę. I powiedzmy, że będzie sprawiedliwie.

– Szylinga, Paniczu Buttons.

Panicz Buttons był mężczyzną w wieku dwudziestu siedmiu lub dwudziestu ośmiu lat, o gruszkowatej figurze, z rzednącymi złocistymi lokami i szkarłatną siateczką wybroczyn na policzkach. Wyglądał jak wykolejony cherubin, którego opuściło szczęście i który teraz cofnął się osłupiały i pełen oburzenia. Nie! Nie zgodzi się na to, bowiem ta bransoletka należała do jego matki.

– Moja święta mama, niech spoczywa w pokoju... Jedyne pamiątka, jaką mam, a pan mówi mi „szylinga”?!

Panicz występował kiedyś na londyńskich scenach. Swego czasu był nawet popularny – w szczytowym okresie kariery, czyli w wieku około dwunastu lat. Panowała wówczas przelotna moda na cudowne dzieci, a on zajmował wśród nich poczesne miejsce. Miał w dorobku jeden wart pamięci sezon w Drury Lane, gdzie zagrał z dużym sukcesem kilka wielkich ról szekspirowskich. W tamtym czasie był szczupły i uroczy, z czystym, wibrującym głosem, dla którego pielęgnował lekkie seplenienie. Jako Henryk V zachwycał dźwięczną deklamacją: „I gwmij: Bóg, Anglia, Kwól i Ffięty Jewy!”[9]. W sklepowych witrynach umieszczano jego plakaty, powóz woził go do teatru i nic na tym świecie nie zdołałoby powstrzymać nadejścia jeszcze większej chwały – nic za wyjątkiem zgubnej pomyłki dojrzewania, którą popełnił wbrew wszelkim rozsądnym radom. Dwa lata później grał arlekina za dziesięć szylingów tygodniowo w podrzędnym cyrku w Blackpool, a teraz stał w lombardzie Edwarda Cheshire’a, ziejąc poczuciem krzywdy i dżinem.

– Bransoletka mojej matki za szylinga, panie Cheshire? Prędeż się powieszę! Prędeż wezmę brzytwę i poderżnę sobie gardło!

Wujek Cheese przechylił głowę, rozważając to, co usłyszał. Brzytwę? Ależ oczywiście, miał brzytwę!

– Pierwszorzędna robota, Paniczu Buttons, bardzo ostra i czysta. Lub też – tak, to jest myśl – trochę sznurka, który wymienię za pańską bransoletkę, po sprawiedliwości. Piękny kawałek sznurka, sześć stóp długości. Jedyne, czego panu trzeba, to krokiew i krzesło.

Panicz Buttons poderwał się, bulgocząc. Edward Cheshire był wampirem! Był nieczułym potworem! Linwood Buttons nie odda bransoletki swej matki za mniej niż pół korony!

Wujek Cheese bawił się przez kilka chwil myślą o tym, jakże miło byłoby wywiercić dziury w zębach Panicza Buttonsa. Miał do tego nowe urządzenie, pozyskane od dentysty, którego majątek przepadł w jaskini hazardu U Zdechłaka na Piccadilly. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką Ned Cheshire kiedykolwiek posiadał: dentystyczna maszyna, przerobiona z napędzanego pedałami kołowrotka, z wysoką, cienką tyczką niczym wędka i wiertłem zwisającym z ramienia. Wzbudzało to w nim szacunek dla ludzkich aspiracji. Z takim urządzeniem mógłby rozwiercić każdy ząb w głowie Panicza Buttonsa, jeden po drugim, a potem mógłby je powyrywać za pomocą klucza dentystycznego – przyrządu na kształt korkociągu z drewnianą rączką i zakrzywionym pazurem na końcu, wykutym przez rzemieślnika w Lejdzie. Znacznie skromniejszy wynalazek, lecz jakże skuteczny.

Wujek Cheese zamierzał w ciągu roku odłożyć dość pieniędzy, by otworzyć praktykę dentystyczną z szyldem z namalowanym zębem nad drzwiami, a wtedy mógłby używać obu narzędzi codziennie do końca swojego życia. W tym celu przeniósłby się do miasteczka na prowincji, być może do Bristolu. Stałby się zamożny i wymuskany, a potem ożeniłby się z grubą, głupią córką kupca, która urodziłaby mu synów. Na samą myśl o tym aż drżał z niecierpliwości.

– Bierz szylinga! – odezwał się teraz – albo idź gdzie indziej i zabierz tę błyskotkę. Odłóż ją na miejsce, na stragan, z którego ją świsnąłeś, ty worku łgarstw. Twoja matka? Pff! Założę się, że żyje do dziś. Siedzi w dokach, szukając chętnych marynarzy. Błysk w oku i trzy zgniłe zęby w gębie...

Panicz Buttons zrobił się całkiem blady. Na moment jego twarz przybrała dziki wyraz: wyglądał jak człowiek, z którym lepiej nie poczynać sobie tak niefrasobliwie. Lecz w tejże chwili Meg Nancarrow wparowała z takim rozmachem, że wielki rudy kocur skoczył na równe nogi.

– Zapuszkowali go, gnoje!

– Masz na myśli mojego brata?

– Przyszli po niego dziś rano... Sześć miesięcy!

Wujek Cheese aż krzyknął, bowiem była to okropna wiadomość. Jego brat, który ledwo stoi, skazany na karę więzienia – sześć miesięcy bez

opieki, za to z półkoronówką Edwarda Cheshire'a w głowie! A co z samym Nedem C.? Co z jego pieniędzmi pożyczonymi połowie bumelantów w Londynie? Nie będzie nikogo, kto mógłby je odebrać? Lecz oto Meg przyszła do niego po wsparcie. Ciemnooka Meg, sama na tym świecie, a Wujek Cheese był rzecz jasna najwłaściwszym mężczyzną, by jej pomóc. Był godnym przeciwnikiem dla tak wielu z tych, którzy mieli się za lepszych od niego. O tak, w rzeczy samej, Edward był znacznie cwańszy, niż sądzili.

Poza tym Edward znał Tajemnicę.

Położył dłoń na ramieniu Meg. Wzdrygnęła się, co przywiodło mu na myśl znalezione w dzieciństwie ptaka. Wróbla, którego serduszko biło w szalonym rytmie w jego dłoniach, drżącego na samą myśl o tym, że jest małym ptaszkiem na takim wielkim świecie.

– Zostaw to Nedowi – powiedział.

Przez cały ten czas Panicz Buttons stał w zapomnieniu – dokładnie tak samo, jak przez ostatnie piętnaście lat. A kiedy tak patrzył na Neda Cheshire'a, poczucie krzywdy w nim rosło. Miejcie oko na Panicza Buttonsa, oto moja rada. Panicz Buttons nigdy w czasie swych pięciu minut chwały nie grał Jagona czy Ryszarda III. Po prawdzie to nigdy nie wcielił się w żadnego rzeczywiście nikczemnego łotra.

Ale z pewnością mógłby zacząć teraz.

*

W kaplicy Świętego Michała w opactwie Westminster jest posąg lady Elizabeth Nightingale, która zmarła w połogu w wieku dwudziestu siedmiu lat. Na pomniku omdlewa, wsparta na Josephie, swym mężu, podczas gdy śmierć wymyka się ze swych podziemnych komnat pod nimi, celując śmiertelnym ostrzem i wyciągając kościste szpony w kierunku jej kostki. Stary Kościej jest wężowaty i nieugięty. Zastygły w marmurze, wije się z przerażającą zwinnością i chrzęstem, a biedny Joseph opuszcza ku niemu dłoń, by go desperacko powstrzymać.

Obraz ten przyszedł na myśl Athertonowi, podczas gdy powóz wiózł go z powrotem na Crutched Friars. Noc była okropna. Deszcz zacinał strugami, smagając woźnicę i bębniąc niczym strzały z muszkietu o ściany powozu, w którego wnętrzu siedział Atherton pogrążony w myślach. Tego

wieczoru odwiedzał w Mayfair kobietę dręczoną bolesnym obrzękiem pod jednym kolaniem – żonę baroneta, nie mniej, z rozległymi posiadłościami w Buckinghamshire i pięcioma tysiącami rocznie. To był tętniak na tętnicy podkolanowej, Atherton nie miał co do tego wątpliwości, kiedy badał, uśmiechał się i roztaczał błękitnooki spokój, zachowując swoje myśli dla siebie. Bez operacji tętnica z pewnością pęknie, co będzie miało śmiertelny skutek. A operacja była z całą pewnością możliwa. Mógłby podwiązać tętnicę i pozwolić krążeniu znaleźć inną drogę. Sposób ten był znany od co najmniej trzech dekad, sam Atherton przeprowadził z tuzin podobnych zabiegów, mając na liście sukcesów woźnicę, który wyzdrowiał i przeżył blisko sześć lat, zanim zmarł któregoś dnia z przyczyn niezwiązanych z zabiegiem, a następnie został pochowany na cmentarzu St George-in-the-East. To był ten sam woźnica, którego zmartwychwstanie spartaczyli Mały Hollis i Jemmy Cheese. Atherton śledził losy swoich byłych pacjentów poprzez luźną siatkę informatorów, jak to często czynili chirurdzy. Zamierzał rozciąć nogę i zbadać *post mortem* wyniki operacji, by dokładnie stwierdzić, jak przebiegło leczenie i które żyły i tętnice włączyły się do działania. Cenna dla nauki sposobność została zaprzepaszczona, a woźnica leżał głęboko pod ziemią i szybko się rozkładał.

Zatem owszem, Atherton mógł przeprowadzić zabieg. Pytanie: czy powinien. Straszna, piekielnie bolesna procedura bez sposobu na zmniejszenie bólu i z szansami powodzenia powiedzmy jak jeden do czterech, i to w najlepszym wypadku. A żona baroneta to nie woźnica. Jeśli zabieg był jedyną nadzieją woźnicy, wówczas rzecz jasna każdy chirurg by go przeprowadził. Zwyczajne ludzkie współczucie tego wymagało. A jeśliby się – niestety – nie powiodł, to tak naprawdę nic straconego i nic opuszczonego, za wyjątkiem wdowy i chlipiących dzieci. Co innego żona człowieka, który ma pięć tysięcy rocznie... Zaraz by szukano winnego, jakkolwiek niesłusznie. Byłyby zarzuty, zaciśnięte arystokratyczne usta i drzwi socjety zatrzaśnięte na głucho przed jego nosem. Pan Astley Cooper nie otarł się o tytuł szlachecki, podejmując heroiczne próby operowania żon baronetów.

Powóz turkotał, podjeżdżając na Ludgate Hill i obok katedry Świętego Pawła, której zegar właśnie wybijał dziesiątą. Deszcz wciąż lał strumieniami. Atherton otulił się szczelniej płaszczem.

Biedny, wyrzeźbiony w kamieniu Joseph Nightingale był pomnikiem daremności ludzkich wysiłków: jedno ramię wyciągnięte przeciw śmierci – równie dobrze mógłby powstrzymać morze – a na twarzy jednocześnie zgroza i poniżenie. Jeszcze chwila i Stary Kościej chwyci kostkę Elizabeth, pociągnie ją wrzeszczącą za sobą w dół i zatrzaśnie żelazne wrota przed wszelkim światłem. I nie ma rzeczy, którą biedny Joseph – czy jakikolwiek inny człowiek na ziemi – mógłby zrobić, by to powstrzymać.

A jednak.

A jednak co, gdyby była? Gdyby istniała sposobność, by otworzyć te drzwi i sprowadzić martwych z powrotem na stronę życia? Czym w końcu j e s t śmierć? Wyobraźcie sobie, że jesteście człowiekiem, który znalazł odpowiedź na to pytanie, choćby na jego najmniejszy ułamek. Byłoby to warte całego życia studiów – każdej liczby poranków przed Newgate, obserwowania i zapisywania procesu uduszenia. Usprawiedliwiłoby wszelkie eksperymenty na zwierzętach, które w końcu i tak nie odczuwają bólu w sposób, w jaki my go odczuwamy. A może – kto wie? – mogłoby usprawiedliwić nawet inne formy eksperymentowania.

Jego siostra Emily uważała go za zdolnego do wielkich czynów. „W duszy jestem pół-Cyganką – powiedziała pewnego dnia – i widzę, że działasz cuda”. Miała wtedy czternaście lat, lub coś koło tego, trzy lata mniej niż jej złoty brat. Jej dłonie w jego dłoniach, blask w oczach i – och! – jego serce pęczyło. Był jej bohaterem i obrońcą aż do tej chwili, gdy rzeczywiście go potrzebowała.

Kiedy powóz zajeżdżał pod jego dom, Atherton podjął decyzję. Nie mógł z czystym sumieniem opuścić żony baroneta. Poszuka wśród kolegów chirurga, który podjąłby się operacji zamiast niego.

Odziana w płaszcz postać spieszyła mu na spotkanie, kuląc się przed ulewą: Odenkirk. Mówił coś, otwierając parasol, co jak się zdawało, uważał za ważne. Wszedłszy do domu, Atherton otrząsnął się z wody. Przypomniał sobie, że nic nie jadł, więc krzyknął do gospodyni, by przyniosła mu chleb i zimne mięso. Wtedy wreszcie do niego dotarło, co mówił Odenkirk.

– Sądzę, że wszedł, bo wpuściła go ta Deakins.

– Kto?

– Ta służąca z góry, sir. Ta, która słyszy krzyżące pawie. Ten człowiek czeka na pana.

– Jaki człowiek?

– Nasz przyjaciel, który ma brata z zepsutą głową, sir... i sam mógłby mieć podobną do pary z bratem, jeśli ktoś by sobie tego życzył. Węszy w tej chwili w Pokoju Zbiorów, sir. Cheese...

*

– Cuda, sir! Oto, czym to jest. Cuda współczesnego świata. Płody i temu podobne – *foeti*, powinienem rzec, jako że mówię z człowiekiem obeznanym z łaciną jak ja. *Foeti* w słojach i cała reszta.

Stał z kapeluszem w dłoniach i patrzył. Trzy zabutelkowane płody odwzajemniały mu się ślepym spojrzeniem, niczym zaschłe miniatury samego Neda Cheshire'a.

– Co pan tu robi? – zapytał Atherton.

– Cześć oddaję, jak mniemam, sir – odpowiedział Wujek Cheese. – Cześć oddaję u ołtarza filozofii naturalnej.

Pokój był w pewnym sensie biblioteką: od podłogi po sufit zabudowany półkami, z drabiną pozwalającą sięgnąć do najwyższych z nich. Oliwne lampy rzucały przyćmione światło, a odgłos kroków tłumił dywan w najgłębszym odcieniu zieleni. W pokoju takim jak ten natychmiast instynktownie zniżało się głoś. Słowa jakby ginęły w gardle, bowiem przestrzeń dla książek w tej osobliwej bibliotece była ograniczona do jednej przysadzistej szafki w rogu, z czaszką na szczycie i szkieletem stojącym obok. Półki były za to przeznaczone dla preparatów. Dziesiątki ich – nawet setki – ustawiono w rzędach jeden nad drugim. Niektóre zasuszone, pozostałe w słojach, ułożone niczym pikle w spiżarni szalonego kucharza. Ludzkie i zwierzęce: Atherton pilnie studiował anatomię porównawczą, ze szczególną fascynacją badając defekty i deformacje. Były tu ludzkie golenie z zapaleniem szpiku kostnego i niezwykle zrost piszczeli z kością strzałkową, były kości z wypukłą zmianą patologiczną wskazującą na syfilis oraz czaszka z wodogłowie rozdęta niczym pęcherz. Jaszczurka z dwoma ogonami, dziób ośmiornicy i bogaty zbiór zębów wszystkich stworzeń, jakie można sobie wyobrazić, jakby pewnej nocy Noe obudził się owładnięty dentystryczną obsesją i akurat miał pod ręką obcegi. Krtań dziecka, które zmarło na krztusiec, penis słonia, nerka z cystą tasiemcową. Żołądki czapli, pelikanów i wielbłądów, tętnica udowa z nogi opanowanej

przez gangrenę, ludzkie gałki oczne kołyszące się w alkoholu, serce wołu, czaszka mały i mały krokodyl wyprężony w wyskoku na wieczność.

Ned Cheshire gapił się na to wszystko z nabożnym szacunkiem.

– Pytam raz jeszcze – odezwał się Atherton. – Co pan tu, do diabła, robi?

Domyślał się jednak odpowiedzi. Ten człowiek przyszedł po pieniądze, chociaż jaki zły duch podpowiedział mu, by przyjść tu, do domu Athertona, było osobną kwestią.

– Diabeł, panie Atherton? A czy on ma tu coś do rzeczy? Sądzę, że ma, sir, jeśli spojrzeć na sprawę w pewnym świetle...

Wujek Cheese odwrócił w jego stronę oblicze. Uśmiechnął się lekko, na wpół przepraszająco.

– Mój brat, sir. Biedny Jemmy...

– To nie moja sprawa.

Jednak to nie była prawda i Atherton o tym wiedział. Mimo swego nastroju zmusił się do słuchania.

Więści były pomyślne, w pewien sposób. Jemmy Cheese przeżył ciężką próbę i właśnie dochodził do zdrowia. Niestety – „jest w tej beczce miodu łyżka dziegciu, sir, *ligula*, można by rzec, w *dolium*” – dochodził do siebie w więzieniu, gdzie miał pozostać przez pół roku, o ile wcześniej nie uwolni go gorączka więzienna, mordercze inklinacje współwięźniów lub po prostu nie pęknie mu z żalu szlachetne serce. I komuż pozostanie uporać się ze stratą, jeśli nie rodzinie Jemmy’ego? Czyli Nedowi Cheshire’owi, pozbawionemu zarówno brata, jak i półkoronówki – to dokładny koszt członka rodziny, dwa szylingi i sześć pensów. I oczywiście jest jeszcze ta biedna kobieta Jemmy’ego, Meg, oplakująca w swym opuszczeniu siebie i swe nienarodzone dzieci. Chyba że chirurg, w którego interesie działał biedny Jemmy, okaże się świadomy swej odpowiedzialności.

– Jednak powiedziałem jej bardzo szczerze, sir... *Nil desperanum*. Nawet przetłumaczyłem to dla niej: „nie rozpaczaj”. Pan Atherton jest bowiem człowiekiem, który pamięta o swych obowiązkach i szanuje zasadę *douceur*.

Wujek Cheese trzymał w rękach kapelusz, a woda kapiała z jego przemoczonych ubrań, tworząc skromną kałużę u jego stóp. Mały człowieczek w czerwonej kamizelce kiwał głową niczym służalczy rudzik i obserwował reakcję Athertona, robiąc w głowie kalkulacje.

Oparty o framugę drzwi Odenkirk pochwycił spojrzenie chirurga i uniósł jedną brew w wilczym zapytaniu: „Pozwoli pan?”. I Bóg jeden wie, jak kuszące to było dla Athertona – w noc taką jak ta przemokniętego do suchej nitki i poirytowanego z głodu, dręczonego myślami o pacjentce, żonie baroneta z Mayfair, i prześladowanego przez cienie z przeszłości. Lecz jak każdy anatom potrzebował Obiektów do sekcji, a to oznaczało, że potrzebował Edwarda Cheshire’a, który kierował jedną z najbardziej godnych zaufania siatek Trupiarzy w Londynie. Poza tym tamten miał prawo domagać się *douceur*.

Była to żelazna zasada rządząca relacjami anatomów i ich wspólników z konieczności. Anatom zawierał prywatną umowę z Trupiarzem na początku każdego sezonu – zwykle w październiku, tuż przed rozpoczęciem semestru w szpitalach i prywatnych szkołach – i oferował honorarium. Był to dowód dobrej woli, wart może dziesięć gwinei, mający na celu wspierać ducha chrześcijańskiej współpracy i stymulować nieprzerwaną dostawę zwłok aż do końca semestru w kwietniu. Zwykle wypłacano wtedy końcowe wynagrodzenie, by się upewnić, że mleko dobrej woli nie zsiądzie się w ciągu letnich miesięcy, kiedy cmentarna ziemia w przeważającej mierze leżała odłogiem ze względu na krótkie księżycowe noce i tempo, w jakim Obiekty psuły się w czasie upału. Za tym wszystkim stała niepisana umowa: rodzina rabusia grobów otrzyma wsparcie w przypadku jego pojmania. A Jemmy leżał tej nocy w kajdanach z rozpaczą w sercu i półkoronówką Neda w głowie.

Mieląc w ustach przekleństwo, Atherton wyjął banknot. Wujek Cheese przyjął go, grymasząc niczym spaniel jaśnie pani częstowany cukierkiem.

– Dziesięć funtów – rzucił, składając banknot na czworo i wtykając do kapelusza. – Dziękuję, sir. Dobry początek.

– P o c z ą t e k?

– Ależ oczywiście, panie Atherton, to dopiero początek. Jak być może myślał też ten mały, kiedy przybył do pańskiego domu...

Miał na myśli szkielet koło biblioteczki. Karłowate coś z pałakowatymi nogami i końsko-szpotawą stopą. Kości były matowobrazowe.

Przez chwilę cisza wisiała w powietrzu. Jeśli zabutelkowane *foeti* umiałyby mrugać w konsternacji, to na pewno robiłyby to teraz. Kiedy Edward Cheshire przemówił ponownie, jego głos był miękki niczym atlas.

– Panie Atherton, jestem człowiekiem, który słyszy różne historie.

– I jakie to historie?

Ned Cheshire przechylił głowę. Światło lamp odbiło się w jego okularach.

– Ach – westchnął.

Atherton zaczął się śmiać.

– Ten szkielet kosztował mnie gwineę. Znalazłem to w sklepie z osobliwościami na Gray's Inn Road, gdzie stał od Bóg wie kiedy, zbierając kurz. Człowieku, on ma dziesiątki lat! Spójrzże na niego. Kości zbrązowiały ze starości!

– Od gotowania, panie Atherton. Gotowanie powoduje zmianę koloru, o czym wie każdy człowiek nauki. Ten tutaj mógł być żywy jeszcze wczoraj.

Śmiech Athertona zamarł. Uśmiech owszem, pozostał, lecz był kruchy niczym szkło.

– Co ty sugerujesz, Cheshire?

– Ja, sir? Ależ zupełnie nic.

– Więc może powinieneś uważać.

Odenkirk w drzwiach zaczął cicho rozciągać ręce.

Jeśli Wujek Cheese miałby wyznać prawdę – co czasem czynił, kiedy nie było innej możliwości – przyznałby, iż czuł, jak mróz ścina mu jelita. Nieprzyjemne uczucie, że niefartownie zablefował. Jednak nie było innego wyjścia, jak tylko brnąć dalej.

– Proponuję – odezwał się – by pan Odenkirk wyjrzał przez okno, a zobaczy mężczyznę stojącego pod latarnią na rogu i moknącego właśnie w deszczu. Mały gryzoniowaty człowieczek – tak, o jest, właśnie tam – z potężnym zadkiem. Jest przemoczony, zziębnięty i pewnie klnie na czym świat stoi. Ale trzyma się instrukcji, według których ma popędzić prosto do straży, jeśli Edward Cheshire nie wyjdzie z tego domu za pięć minut. Zatem oto co pan robi, panie Atherton: da mi pan jeszcze jeden dziesięciofuntowy banknot, by dotrzymał towarzystwa pierwszemu, a dodatkowo pięćdziesiąt gwinei na utrzymanie biednej Meg mojego brata i jej jeszcze nienarodzonych dzieci. A wtedy usta Edwarda będą milczeć, panie Atherton. I załatwione. Wszystko postanowione. Odtąd tylko szczerą przyjaźń, *absit invidia*[10].

I oto dokonałem tego, czyż nie? Wasz Wielce Uniżony uczynił cud, wejrząwszy w serce drugiego człowieka i odgadnąwszy jego myśli i sekrety – aż do głodu, który odczuwał, i rozmów ze zmarłą siostrą trzy lata przed moim narodzeniem.

Lecz to wszystko prawda. Jestem tego pewien.

A teraz opowiem wam coś jeszcze. Opowiem wam o Flitty Deakins.

Jej pokój był od strony ulicy. Często późno w nocy klęczała pod oknem pogrążona w modlitwie, wśród domowej ciszy i chrapania kucharki we wspólnym łóżku, z czołem opartym o zimną szybę i ramionami ciasno owiniętymi szalem w ochronie przed chłodem.

Klęczała tam też owej nocy, ale nie mogła zebrać myśli, by się pomodlić. Była zbyt poruszona – śmiertelne drżenie, zielonooki Hindus na półpiętrze i wewnętrzne przekonanie, że jej własna nikczemność pozbawiła ją wszelkiej nadziei na wybaczenie zarówno za życia, jak i po śmierci. Jej niegodziwość bowiem była wielka. Wiedziała o tym ona, wiedział i Bóg, który sądzi. Osądza każdego z nas tak jak ukochaną córeczkę wielebnego Deakinsa i widzi, jak jest przeraźliwie ułomna.

Podniosła zwisającą głowę i zagapiła się żałośnie w przestrzeń, akurat w momencie, gdy z domu wychodził mężczyzna: Wujek Cheese. Mimo przygnębienia Flitty Deakins rozpoznała go w snopie światła padającym z wnętrza. Następnie połknęły go ciemności, by po chwili wypluć w światło latarni na rogu, gdzie czekał drugi człowiek. Zamienili kilka słów, a potem zniknęli w mroku: Wujek Cheese szedł przodem, a jego towarzysz z wielkim tyłkiem tuż za nim.

Oczywiście Flitty Deakins nie mogła słyszeć tego, co mówili – podobnie jak nie słyszała rozmów w Pokoju Zbiorów dwa piętra niżej. Nie mogłaby wam zatem również powiedzieć, o czym właśnie dyskutowali Atherton i Odenkirk.

Lecz ja mogę zgadywać – Wasz Wielce Uniżony, który opowiada wam tę historię złożoną z dowodów niczym układanka i dokładnie przemyślaną. Jeśli ktoś z nas, wy lub ja, byłby pod drzwiami Pokoju Zbiorów, bojąc się oddychać, z uchem przyciśniętym do dziurki od klucza, założę się, że usłyszałby przesycony wściekłością głos Dionysusa Athertona:

– Kto, do diabła, rozpuścił jęzor?!

I złowrogą odpowiedź Odenkirka:

– Może mam porozmawiać z tą Deakins, sir? Może nawet od razu?

Za to mogę z całą pewnością powiedzieć, co usłyszała biedna Flitty – bowiem mi o tym powiedziała. W ciemności, wśród ulewy i wichury, od której dom aż trzeszczał, usłyszała na schodach odgłos zbliżających się ciężkich kroków. Jedno piętro, a potem drugie – łup, łup, łup – nieubłaganie niczym Stary Kościej we własnej osobie szedł po schodach Odenkirk, zakłuwacz świń.

Wujek Cheese znalazł Meg w gospodzie Trzy Wesołe Koguty. Przyszła tam niedawno, przemoczona do suchej nitki, i teraz siedziała boso na stołku przy ogniu. Jej szal i pończochy wisały przy piecu, wydzielając zapach utopionego barana, mieszający się z błękitnym dymem i znajomym odorem słoju i ludzkości.

Sufit schodził niżej w tej części sali i Edward Cheshire musiał się schylić.

– Bałem się, że mogę się z tobą minąć – powiedział. – Już późno.

Umówił się z nią, że spotkają się o północy, która minęła jakąś godzinę temu. Ale to dobrze, że musiała czekać. Miała czas, by przypomnieć sobie, komu powinna być wdzięczna. Zdejmując przemoczony płaszcz, roztarł dłonie, mrugając za zaparowanymi szklami okularów, i skrzywił się, widząc, że Meg popija dzin. Meg Nancarrow po paru głębszych potrafiła być trudna, bo alkohol miał na nią dziwny wpływ. Zamiast się zataczać, robiła się coraz bardziej ostra, a każdy kolejny kieliszek pogłębiał jej zimną, niepokojącą klarowność umysłu. W tej chwili przyglądała się mężczyznom w pomieszczeniu, jak gdyby mierzyła każdego po kolei. Byli to tacy obwiesie, jakich można się spodziewać o tak późnej porze: oszuści, łotry i drobni przestępcy. Trio włamywaczy odbywało właśnie naradę. Było też kilku wodniaków, którzy przyszli tu znad Tamizy. Tuż za drzwiami ślepy żebrak siedział z kundlem ogolonym na pudła. Jeden z nich warknął na przechodzącego Wujka Cheese'a. Prawdopodobnie pies.

– Szukasz porządnego faceta? – spytał Meg, mając nadzieję, że ją rozbawi.

– Obmyślłam, na jakie sposoby umrą.

Przechylił głowę i spojrział spod zaparowanych szkieł. To było mroczne, nawet jak na Meg.

– *Stipendium peccati*, co, moja droga? Cena grzechu. Lecz zapewne nie ty będziesz ich wszystkich zabijać.

– O nie, nie będę musiała robić tego sama.

Uniosła brodę, wskazując oprycha z czerwoną twarzą i z wyłupiastymi oczyma. Zdecydowała, że tego udusi apopleksja. Temu obok niego flaki wypruje nóż jego najlepszego kumpla. Tam dalej siedział człowiekznaczony gorączką więzienną, a tamtemu przeznaczona jest pętla.

– Ale nie w Newgate. Z własnej ręki, pijany i w rozpaczy, srający pod mostem we własne gacie.

Mówiła z zimną satysfakcją, przyprowadzając Wujka Cheese'a o gęsią skórkę. Skojarzyła mu się z wiedźmą. Nie taką, która czaiła się w kiblu ku udręce młodszych braci – taką innego rodzaju. Wiedźmą tańczącą nago z samym diabłem.

– Postawże drinka, Cheese.

Ned zgodził się, jako że był w wylewnym nastroju. Prawdę mówiąc, był niemal w szampańskim nastroju, bardzo z siebie zadowolony: dwa dziesięciofuntowe banknoty Athertona pieczołowicie złożył w kapeluszu, a do tego miał perspektywę otrzymania kolejnych pięćdziesięciu gwinei. Niebezpieczna gra, lecz był odważnym i sprytnym człowiekiem, więc opanował ją do perfekcji.

Ukłucie niepokoju poczuł kilka minut temu, kiedy rozstał się z Małym Hollisem na północ od katedry. Spiesząc wśród burzy, miał nagłe uczucie, że ktoś go śledzi: ciężkie kroki – łup, łup, łup – które milkły, gdy się zatrzymywał. Dziwne uczucie nawiedziło go znowu, kiedy doszedł do Black Friars Lane, lecz kiedy wykonał niespodziewanie szybki obrót, za nim nie było nikogo – czy też nikogo nie mógł dojrzeć. Okna Trzech Wesołych Kogutów promieniały obietnicą ciepła, więc porzucił złe przeczucia i wszedł do środka.

– Widziałeś się z nim? – dopytywała się Meg.

– Z Athertonem? O tak.

– Zapłaci?

– Zapłaci.

– Ile?

– Pięć funtów.

– To wszystko? Za rozbicie Jemmy’emu głowy? Za sześć miesięcy gnicia w pierdłu?

– To zimny człowiek, Meg. Zima panuje w sercu Dionysusa Athertona. Ale te pięć funtów jest twoje, całe i bez reszty. *Ipsa facto*, Meg, oraz *totus tuus*. Nie mam roszczeń.

Wyłowił sfatygowany banknot z kieszeni kamizelki i wsunął jej do ręki. Oczywiście dyskretnie – nie macha się pięciofuntowym banknotem ot tak sobie w miejscu takim jak to. Ich palce zetknęły się przelotnie, naga skóra z nagą skórą.

Odkrył, że sprawiło mu przyjemność, iż dał jej tak wiele. Cokolwiek mówiono na temat Edwarda Cheshire’a, był człowiekiem, który wspierał rodzinę. Byłby jeszcze szczęśliwszy, mogąc wesprzeć Meg o ścianę na zewnątrz i zdrzeć jej spódnicę, bo często wyobrażał sobie Meg Nancarrow tańczącą nago w świetle księżyca, a także tańczącego z nią diabła, który wyglądem niezwykle przypominał Edwarda Cheshire’a. Lecz to, rzecz jasna, była całkiem osobna propozycja, wymagająca przeprowadzenia nader ostrożnych negocjacji.

– Pięć funtów – powtórzyła nieufnie. – I nic więcej?

– Na mą głowę.

– Wracaj do tego gnoja. **Z a s t r a s z** go.

– Już zrobiłem, Meg, wszystko, co dało się zrobić. Więcej nie da.

Wzruszył wymownie wąskimi ramionami, podkreślając zasadniczą daremność ludzkiego losu. Będąc człowiekiem tak obeznanym z łaciną, Wujek Cheese był zdolny do wielkiego stoicyzmu, zwłaszcza w obliczu nieszczęścia dotykającego innych. Można było go sobie wyobrazić w todze, przeżuwającego winogrona.

Oczy Meg się zwęziły.

– Nie okłamałbyś mnie, Cheese, prawda?

– Nie, Meg.

– Nie oszukałbyś mnie i nie taił nic przede mną?

Powiedział jej, że już sama myśl o tym go odrzuca. Był jej prawdziwym przyjacielem – bardziej niż kiedykolwiek teraz, kiedy była sama na tym świecie, kiedy zabrano biednego Jemmy’ego, który zresztą miał małe szanse na to, że kiedykolwiek będzie taki jak przedtem.

– A co, jeśli nie będzie? – krzyknęła Meg. – Będę musiała się nim jakoś opiekować. Na to potrzeba pieniędzy.

Przez moment w jej głosie pobrzmiwała nuta rozpacz. Za nimi, przy drzwiach, ślepiec uniósł głowę. Kundel u jego stóp zapadł w drzemkę i wydawał piskliwe dźwięki, goniąc za nieistniejącymi królikami.

Wujek Cheese stał się bardziej rzymski niż kiedykolwiek.

– Takie są fakty, którym musimy stawić czoła. Ojej, ojej, ojej. *Sunt lacrimae*, Meg, *sunt lacrimae*. Są łzy, lecz złożę ci przysięgę.

Jego serce aż pęchniało od szczerzej intencji. Położył rękę na jej kolanie.

– Czegokolwiek byś potrzebowała w swej samotności, zwróć się do Edwarda, a on to uczyni.

– Zrobisz dla mnie trzy rzeczy – wycedziła.

– Powiedz tylko jakie, moja droga.

– Zabierz łapę, zanim uznam, że to pajak. Wstań. I spierdalaj w noc.

Ned Cheshire na chwilę oniemiał.

– Lepiej się zastanów, moja droga – powiedział w końcu. – Pomyśl, jak zarobisz na życie, kiedy nie będziesz już podawać piwa. Edward Cheshire wie o tych mężczyznach... O tych mężczyznach o znacznie gorszej prezencji niż Edward C. we własnej osobie. Pomyśl o tym. A potem pomyśl jeszcze raz. Biedny Jemmy w swej niedoli i Edward oferujący ci przyjaźń. Brat Ned, który ma własny sklep i co tydzień zmienia pościel. Ten, który lada dzień otworzy praktykę dentystyczną. Myślisz, że jesteś na to za dobra? Ktoś taki jak ty, Meg? Panna Nikt Znikąd, potomstwo zwykłych dziwek i kryminalistów... Ojciec powieszony za włamania i dwaj bracia, też skazani, a ty sama na kolanach przed każdym, kto ma srebrny pieniądz. Lepiej się zastanów.

Meg spojrzała na niego z gorzką jałowcową klarownością, jaką dawał jej dżin.

– Ty skończysz z rozerzniętą tchawicą. Taki będzie twój koniec, Cheese. Wiem to. Widzę to.

Wbrew sobie poczuł dreszcze.

– Nie waż się mi grozić!

– To nie groźba. To pewność.

– *Nemo me impune*[11], moja droga. Nikt.

– Poderżnięte gardło, od ucha do ucha. Będziesz leżał w rynsztoku jak zdechły kot. Módl się, by nastąpiło to za wiele lat.

Wydarzyło się to w środę, jestem o tym przekonany. Wyprawa Edwarda Cheshire'a do Crutched Friars i jego późniejsze spotkanie z Meg w knajpie Trzy Wesołe Koguty. Nie wychodziłem z domu tamtego dnia, bo miałem wizytę czarnego psa[12], kiedy to świat jest ponury, a podniesienie się z łóżka zdaje się niemożliwe. W takie dni często myślałem o moim przyjacielu Danny Littlejohnie.

Danny Littlejohn był londyńczykiem, podobnie jak ja. Zabrał szylinga i popłynął, by wziąć udział w walkach wiosną roku 1813, niedługo przed bitwą pod Vitorią. W swoim czasie wylądował w szpitalu polowym z powodu rany od szrapnela – dostatecznie głębokiej, by wymagała szycia, lecz zbyt płytkiej, aby zapewnić mu bezpieczny powrót do domu. Bardzo przypadliśmy sobie do gustu. Nazywał mnie Długim Willem.

Był ode mnie dwa lata starszy, nonszalancko buńczuczny i figlarnie wylewny. Dostawał listy z domu pisane dziewczęcym charakterem pisma, pełne nowinek z Metropolii – nowinek sprzed dwóch lub trzech miesięcy oczywiście – które relacjonował, rozwalony przy wieczornym ognisku lub oparty o łopatę, podczas gdy ktoś inny kopał latrynę.

– Wieloryb widziany w Tamizie – ogłaszał na przykład. – Płynący w górę rzeki aż do Richmond.

Lub:

– Cała posiadłość w Hertfordshire zmienia właściciela w kasynie U Zdechłaka – dwieście akrów z wielkim domem i zabudowaniami oraz sztuczną grołą w ogrodzie, z pustelnikiem do kompletu.

Dawał nam do zrozumienia, że te listy wysyła jego ukochana, czekająca na niego w Bethnal Green lub może w Shoreditch. Jej imię również zdawało się zmieniać – czasem była Sal, innym razem Bess, a jeszcze kiedy indziej Dorcas, co sugerowało, jakoby miał kilka różnych ukochanych w różnych częściach kraju. Osobiście podejrzewałem, że listy pochodziły od jego siostry, przez co uważałem go za okropnego kłamcę w temacie miłostek. Myślałem też o tym, jak miło mieć siostrę – lub kogokolwiek innego, komu zależałoby na mnie na tyle, by pisać tak często.

Jeśli my dwaj byliśmy akurat razem, występ zamieniał się w dialog komiczny, jakie można oglądać między piosenkami w Kotłowni w Londynie.

– Syrena wystawiona na sprzedaż – ogłaszał na przykład Danny. – Na targu rybnym w Billingsgate.

– Syrena?! – wykrzykiwałem. – Ależ z pewnością nie!

– Która przy bliższych oględzinach okazała się odmianą morskiego konika.

– Och! Jakież to rozczarowanie dla handlarza rybnego, którego wycena zapewne spadła dramatycznie.

– Lecz jeszcze większe rozczarowanie dla konika morskiego, Willu.

– Dla konika morskiego?

– Który był tak blisko zostania syreną.

Następnie wpadaliśmy w niepohamowaną wesołość, podczas gdy starzy wiarusi patrzyli na nas kwaśno, aż w końcu któryś z nich ciskał w nas grudą ziemi. Jednak świetnie się razem bawiliśmy i często spekulowaliśmy na temat przyszłości, kiedy już wrócimy razem do Londynu.

– Tacy jak my, Długi Willu – mówił Danny – nie godzą się na to, co przynosi im los. Bierzemy sami, co chcemy, jak zrywa się jabłko z drzewa.

*

W czwartek życie stało się na powrót nieco bardziej znośne. Tak więc wstałem i poszedłem do pokoju w Holborn, by odwiedzić pannę Smollet. Znalazłem ją w samotności – Borsuczycyca opuściła miasto.

– Panie Starling! – wykrzyknęła. Wyglądała na uradowaną, że mnie widzi – lub przynajmniej, że widzi kogoś.

Prawie nie wychodziła z domu od czasu wydarzeń w Fountain Court lub tak mi się zdawało. Uśmiechała się wesoło, lecz uśmiech ten był słaby i nieco wymuszony. Odniosłem również wrażenie, że nie sypia dobrze.

– Proszę wejść – powiedziała. – Czy zechciałby pan usiąść? Proszę siadać, jeśli ma pan ochotę.

Zgarnęła kłęb ubrań z drewnianego krzesła, rozejrzała się bezradnie za miejscem, gdzie mogłaby je położyć, i w końcu dołożyła je do kłębowiska na łóżku.

Z dołu płynął śpiew ptaków. Pokój mieścił się nad sklepem hodowcy, które to miejsce było niczym choinka na Boże Narodzenie: pełne klatek wiszących jedna obok drugiej wzdłuż półek. W ciągu dnia cały dom był wypełniony śpiewem ptaków – i oczywiście ich zapachem – a Annie Smollet na swym poddaszu stała się głównym odbiorcą jednego i drugiego.

– Proszę na mnie spojrzeć – odezwała się nagle, sięgając ręką włosów. – Muszę wyglądać okropnie.

Nic podobnego. Była potargana i nieumalowana, w prostej bawełnianej sukience, która wywołała u mnie skojarzenia z pasterczkami i leśnymi polankami. Nie żeby jakakolwiek polanka wyglądała jak ten pokój w jego obecnym stanie... Ubrania leżały porozrzucane w nieładzie, a smuga zapachu nieświeżej pościeli dzielnie walczyła z ptasim odorem. Najwyraźniej to Borsuczycza była tą schludną.

– Wyjechała do Chatham – rzuciła panna Smollet.

Borsuczycza spotkała majątnego dżentelmena i wyjechała z nadzieją na podniesienie swej pozycji. Nie pytałem o szczegóły, chociaż łatwo zgadnąć, że chodziło raczej o pozycję horyzontalną, z dwoma lub trzema pokojami i pensją – hojną lub wręcz przeciwnie, zależnie od dżentelmena. Będzie to trwało, dopóki dżentelmen się nią nie znudzi lub żona nie wywęszy układu, a wtedy Borsuczycza wróci do domu, bo w taki właśnie sposób kończyły się z reguły te sprawy.

– Tak więc jestem tu CAŁKIEM SAMA – oznajmiła panna Smollet.

Miała zwyczaj mówić WIELKIMI LITERAMI, jakby wychodziła z własnego życia na scenę, gdzie WSZYSTKO BYŁO ZNACZNIE BARDZIEJ DRAMATYCZNE. Ale też naprawdę tak czuła.

Przyniosłem jej znowu napój nasenny, co było pretekstem do wizyty.

– Na wypadek, gdyby pani nadal potrzebowała – powiedziałem, podając jej buteleczkę.

Lecz ona potrząsnęła głową i powiedziała coś dziwnego.

– Nie chcę tu spać. Nie w tym pokoju, nie sama. – Wzdrygnęła się, jakby strząsając z siebie cień, który na nią padł. – Proszę mnie stąd zabrać. Chodźmy na spacer.

*

Dzień niósł obietnicę lata. Wyglądało na to, że po południu będzie naprawdę ciepło. Można było sobie wyobrazić błękitne niebo za burą mgłą, a wietrzyk z pewnością niósłby zapach kwiecia, gdyby nie wiał akurat przez Londyn. Panna Smollet wzięła mnie pod ramię i ruszyliśmy pośród zgiełku. Założyła bladozieloną sukienkę i szal pod kolor, a jej policzki pałały rumieńcem.

Nie mogę wam dokładnie powiedzieć, o czym owego ranka rozmawialiśmy. Pamiętam głównie uczucie szczęścia. W którymś momencie poprosiła mnie, bym opowiedział jej o swych przygodach na wojnie, a ja odrzekłem, że nie mówię zbyt wiele na ten temat. Kiedy spytała dlaczego, wskazałem jej mężczyznę na rogu ulicy zonglującego talerzami i zapalałem nagłą chęcią, by mu się poprzyglądać. Po jakimś czasie natknęliśmy się na człowieka grającego Punch i Judy, którego otaczał zbity tłum, więc zapłaciłem jego pomocnikowi po pensie za nas dwoje i stanęliśmy w miejscu, skąd było lepiej widać przedstawienie.

– Któż tego nie lubi? – spytałem wesoło pannę Smollet.

Tak naprawdę jednak znałem kogoś, kogo nie interesował Punch. Pana Comriego zalewała żółć, gdy zastanawiał się, cóż było tak figlarnego w morderczej kukielce z wielkim nochalem, która zatłukła pałką na śmierć swą żonę i niemowlę, wykrzykując: „Tak się to robi!”. Lecz akurat pan Comrie, przy wszystkich swych zaletach, nie miał zbyt wiele poczucia humoru.

Danny Littlejohn pracował kiedyś dla właściciela teatryku Punch i Judy – obchodził tłum i zbierał monety. Mógł o tym rozprawiać bez końca. Uważał, że była to tak naprawdę bardzo etyczna sztuka, pokazywała bowiem żonom, że powinny próbować żyć w zgodzie ze swymi mężami. Można by na ten temat dyskutować, jednak nie można zaprzeczyć, że Punch następnie oszustwem doprowadza do tego, iż kat wiesza sam siebie – co może nie jest do końca etyczne, lecz bez wątpienia bardzo ironiczne, a to

prawie to samo. I oczywiście przedstawienie kończy się na tym, że ten sam Punch pałuje na śmierć samego diabła, co jest najbardziej etycznym aktem odgrywanym kiedykolwiek przez człowieka czy kukiełkę.

Wiedziałem, że nie powinienem myśleć o swoim przyjacielu tutaj, w słonecznym wiosennym wszechobecnym jazgocie z salwami śmiechu wznoszącymi się w niebo i Puncem przed moimi oczami. To była tego typu reminiscencja, która mogła sprowadzić z powrotem czarnego psa czającego się za rogiem, więc zamiast tego spojrzałem na pannę Smollet i wtedy właśnie dostrzegłem jej wyraz twarzy pełen wspomnień, które ścisnęły jej trzewia.

Ależ ze mnie przygłup. Gorzej niż przygłup, niegodziwiec! Ledwie tydzień po wydarzeniach w Fountain Court: tłum gwizdzący i ryczący, podczas gdy Punch tłukł swoją żonę. I to miało jej sprawić radość?

– Chryste – wymamrotałem zawstydzony.

– W porządku – powiedziała panna Smollet. – To jest nawet dobre.

– Chodźmy.

– Sądzę, że... dobrze. Chodźmy.

Chwyciła mocno moje ramię, kiedy wyprowadzałem nas z tłumy, mijając grupę czeladników, którzy gwizdali na nią z uznaniem, i beznogiego żebraka siedzącego w skrzyni na kółkach i patrzącego spode łba. Tłum się nieco przerzedził, kiedy weszliśmy w jedną z bocznych uliczek biegnącą na wschód i panna Smollet była znowu niemal ożywiona, gdy zatrzymaliśmy się przy straganie, by kupić torebkę imbirowych orzeszków.

– Proszę mi opowiedzieć więcej nowinek – poprosiła.

Wcześniej, kiedy spacerowaliśmy, opowiadałem jej różności, o których czytałem lub które usłyszałem w kawiarniach. Teraz zupełnie wyparowały mi z głowy. W końcu zebrałem się na odwagę.

– Ach, i precudowne cacko zostało znalezione niedaleko londyńskich doków przez młodego mężczyznę na spacerze – rzekłem i wyjąłem mały srebrny medalion na łańcuszku. – Sprawił, że pomyślałem o pani – dodałem, starając się z całych sił, by zabrzmiało to swobodnie.

– Chodzi o to, że jest taki sponiewierany?

– Nie! – wykrzyknąłem, chociaż był bardziej zaśniedziały i poobijany, niż mi się wcześniej zdawało. – Proszę zajrzeć do środka.

Wewnątrz znajdował się miniaturowy portret Annie Smollet we własnej osobie... Choć właściwie to wcale nie. I kiedy teraz spojrzałem znowu,

zauważyłem, że podobieństwo nie było tak silne, jak mi się wcześniej zdawało. Ale miała też jasne włosy, ta dziewczyna z medalionu, i uśmiech pełen otwartości: wyraz świeżej nadziei, który stanowił treść i esencję Annie Smollet.

– Znalazł pan go na nabrzeżu?

– Owszem. Przyniesiony przez przypływ.

Było to kłamstwo, z pewnością nie najgorsze, jakie padło od czasu, gdy szatan wślizgnął się węzowym ruchem do ogrodu. Tak naprawdę to wyszedłem medalionik na straganie na nabrzeżu u przebiegłego starego zdziercy, który zażądał za niego trzech szylingów. Potem odwrócił się, by naciągnąć innego klienta, i to był jego błąd.

– Jest pan UROCZY – powiedziała panna Smollet, podając mi medalionik, bym zapiął jej go na szyi.

Zatrzymaliśmy się na rogu Newgate Street, niedaleko Snow Hill, w dół którego płynęły tłumy w poniedziałkowe poranki, kiedy odbywały się wieszania – nie to, żebym miał to w głowie w tej chwili. Przysunęła się i poczułem zapach pomarańczy. Musnęła mój policzek ustami lekko niczym szept i przysięgam na Boga, który tylko czeka, by mnie potępić: William Starling mógłby paść wtedy martwy i czułby, że dobrze przeżył życie. Tylko to może wyjaśnić, czemu nie usłyszałem z początku zbyt wyraźnie, co do mnie mówiła stłumionym głosem.

– Przyszedł do mnie zeszłej nocy.

– Co proszę?

– Bob Eldritch.

Ze wszystkich nazwisk, które mogła wymienić, wypowiedziała właśnie to. To, które trzepnęło mnie z tyłu w głowę i odfrunęło, podczas gdy ja gapiłem się w otępieniu.

– Panno Smollet, Bob Eldritch nie żyje.

Roześmiała się piskliwie.

– Oczywiście, że tak. Wiem o tym.

– Zatem to był tylko sen.

– Tak sądzę.

Rumieniec wypełził jej na policzki. Unikała mojego wzroku.

– I co zrobił? – Nagle usłyszałem własny głos. – W tym śnie.

– Drapał w okno, by go wpuścić. Skrobał palcami w szybę z takim wyrazem twarzy, jaki może złamać serce od samego patrzenia. A potem

otworzył usta i wrzasnął.

– Wrzasnął? Jak to?

Panna Smollet znów się piskliwie roześmiała.

– Słyszał pan kiedyś krzyk pawia?

Niezwykły wypadek na Whitefriars Lane!

„The London Record”

2 maja 1816 roku

Krążą pogłoski o kilku dziwnych spotkaniach z Gapicielem w okolicy cmentarza St Mary-le-Bow. Do wszystkich doszło po zmroku. Ostatnio młoda kobieta została przez niego zaczepiona, kiedy wracała na swoją kwaterę po północy. Kobieta przedstawiająca się jako Sal Cokolwiek – „bo jestem znana z tego, psze pana, że zamawiam szklaneczkę czegokolwiek, jeśli dżentelmen płaci” – podzieliła się swoją historią z „The London Record” w miejscowym barze takimi oto słowami:

„Właśnie wracałam Nie-Twoja-Sprawa-Skąd, aż tu wychodzi ten i mówi, żebym go z sobom wzięła. No to ja na to dokładnie to, co możecie sobie wyobrazić, czego nie bendem powtarzać, ale ten idzie za mnom i kto wie, co by siem mogło stać, gdyby nie napatoczyli siem moi znajomi i go nie odpędzili. Co prosze? No pewnie, że też go widzieli, nie som ślepi. Oczy wielkie jak jaja, jakby miały wyskoczyć z mordy – to siem najpierw dało zauważyć. Jedna moja znajoma mówi: «to on, jak nic, Gapiciel». Potem mówi, że inna dziewczyna widziała go dwie noce wcześniej. Powiedział coś dziwnego tej innej dziewczynie. Powiedział, że nie ma domu, do którego mógłby pójść, chociaż powinien. «Dom tak zaciszny i cichy, jak powinien być». Powiedział: «z mocnymi ścianami i dachem nad głową, który wytrzyma do końca świata», tyle że mu go ukradli”.

Normalnie nie przekazalibyśmy tej informacji do publicznej wiadomości, nie będąc pewnymi jej wiarygodności. Jednakże dalej opowieść staje się jeszcze dziwniejsza, bowiem spotkaliśmy zakrystiana, który zauważył tego samego mężczyznę przy innej okazji. Mężczyzna stał za bramą, według słów zakrystiana, patrząc zza krat wielkimi okrągłymi oczami, jakby pragnął, by ktoś go wpuścił. Później zakrystian przypomniał sobie coś dziwnego w wyglądzie owego mężczyzny. Jak powiedział, lało tamtego wieczoru, a jednak

włosy sterczały na jego głowie prosto do góry niczym igły na jeżozwierzu.

Tekst był pogrzebany na ostatniej stronie, na dole kolumny. Natknąłem się na niego w kawiarni, do której czasem chadzałem rano, kiedy pan Comrie czekał na objawienie się pacjentów. Zerknąłem na niego raz, nie poświęcając mu pełnej uwagi. Potem przeczytałem go ponownie, znacznie wolniej.

Przeczytałbym go i trzeci raz, gdyby nie to, że wytrąciła mnie z niespokojnej zadumy dyskusja przy straganie za mną. Zdawało się, że tego właśnie ranka zostało dokonane odkrycie w Domu Śmierci szpitala Świętego Tomasza.

*

Dom Śmierci jest miejscem, gdzie przechowuje się zwłoki i dokonuje ich sekcji. Jako bratnie szpitale Święty Tomasz i Guy's dzieliły go wspólnie.

Idźmy zatem dalej. Idźmy w dół skrzypiących schodów, a potem wąskim korytarzem obwieszonym kinkietami, aż dojdziemy do ciężkich drzwi na końcu. Zbierzmy się w sobie i przekroczmy próg.

Wyobraźcie sobie pokój stworzony specjalnie dla Starego Kościeja, według jego najściślejszych wytycznych, gdzie – ze wszystkich pokoi na świecie – czułby się najswobodniej: długa i niska piwnica z kwadratową latarnią zwieszającą się ze środkowej krokwi oraz skąpym światłem dziennym wpadającym przez wąskie okna umieszczone wysoko na poziomie ziemi. Nawet światło słońca zdawało się tam brudne, niechętne, nędzne i smrodliwe. Pod jedną ścianą było miejsce na preparaty, a naprzeciwko – palenisko z garnkiem do gotowania kości – ogromny

miedziany kocioł, wokół którego mogłyby się gromadzić trolle podczas jednej ze swych ohydnych uczt – chociaż nie są to elementy, które zauważacie jako pierwsze. Najpierw atakuje was smród, powalający nawet jak na londyńskie standardy. Koktajl zgnilizny, alkoholowej marynaty i ludzkiego rozkładu. Wciska się on w każdy por skóry tych, którzy pracują w tym miejscu, i nigdy tak do końca ich nie opuszcza, choćby spędzili resztę życia na szorowaniu się ługiem i drucianą szczotką.

Następnie spod załzawionych powiek dostrzegacie martwych – ich rozszczerzone głowy i potwornie wyszczerzone oblicza – rozciągniętych na drewnianych stołach. W niektóre poranki jest ich nawet tuzin, a wokół każdego gromadzą się studenci i chirurdzy. Stoją w kałużach krzepniejącej krwi niczym kruki nad martwym pisklęciem, a kiedy wasze gardła zaczynają się na serio zaciskać, zauważacie członki i kawałki porozrzucane po podłodze. Ręce, nogi i palce. Fragmenty skóry i tłuszczu znajdziecie później na podszwach waszych butów i w fałdach ubrania. Coś nie tak jest też ze świecami. Są pękate, koślawe i wydzielają mdlący, słodki, piżmowy zapach, który nie przypomina żadnego, jaki kiedykolwiek wachaliście. Świece nie są ze świńskiego czy krowiego sadła, myślicie, i pojawia się podejrzenie, że użyli tego, które mieli pod ręką.

I jeszcze wróble. W jakiś sposób wydają się one najpotworniejsze ze wszystkiego. Podekscytowane małe ptaszki, fruujące i awanturujące się pośród ludzkich skrawków, podczas gdy szczury wielkości borsuków obgryzają kości po kątach. Jeden odważny koleżka patrzy wyzywająco czerwonymi ślepkami na studenta chirurgii, który śmieje się i rzuca mu kawałek kręgosłupa. Odcięta dłoń zdaje się zmykać przez środek podłogi niczym krab, lecz okazuje się, że to mały szary szczur wlecze ją za kciuk i w tym właśnie momencie możecie wyrzucić z siebie śniadanie, jeśli odważyliście się jakieś zjeść rano. Mnie się to właśnie przydarzyło, kiedy byłem tam po raz pierwszy. Pięć lat w szpitalach polowych w Iberii, a Wasz Wielce Uniżony dorwał wiadro i puścił pawia.

Zwłoki przywożono dyskretnie pod prywatne wejście portierni Domu Śmierci ciemną nocą, zwykle w workach. Większość była świeżo ekshumowana, chociaż Trupiarze zawsze pilnie wypatrywali okazji, by pominąć ten etap całego procesu – innymi słowy, kopanie. Znałem kiedyś Trupiarza, który spacerował w dół Borough High Street, gdy nagle jakiś człowiek dostał konwulsji i padł martwy dwadzieścia kroków przed nim.

Z cudowną przytomnością umysłu ruszył on naprzód, krzyčąc głośno, iż jest to jego własny najdroższy brat. Szlochając i lamentując, zabrał ciało, załadował na napotkany wózek zaprzężony w osła i odwiózłszy szczątki do Świętego Tomasza, sprzedał je chirurgom, którzy pokroili trupa na kawałki, zanim jego rodzina się zorientowała, że nie przyszedł na kolację.

Zwłoki, które nas obecnie interesują, zostały przywiezione przez dwóch czeladników pod tylne wejście przed świtem. Portier zwykle tam dyżurujący zachorował i poszedł do domu, a mężczyzna, który go zastępował, był nowy, co wyjaśnia, dlaczego ciało przeszło nierozpoznane. Zwykle sekcje zaczynały się tuż po wschodzie słońca, gdyż tak precyzyjna robota wymagała dziennego światła, lecz tym razem kilka innych zwłok zostało dostarczonych wcześniej. Były one już rozłożone na stołach, skutkiem czego te ostatnie przeleżały kilka godzin w worku.

Było zatem popołudnie, gdy w końcu owo przywiezione nad ranem ciało położono nagie na stole. Studenci zgromadzili się wokół niego równie ochoczo jak upiorne wróble. Rozcięte gardło wywołało poruszenie, choć bynajmniej nie był to pierwszy przypadek dostarczenia świeżych zwłok noszących ślady śmiertelnej przemocy na stół prosektorski. Prawdziwe podniecenie wybuchło chwilę później, kiedy jeden ze studentów – młodzieniec nazwiskiem Keats – zerwał szmatę niedbale rzuconą na twarz zmarłego.

– A niech mnie! – wykrzyknął. – Toż to sam Wujek Cheese!

*

Keats był moim kumplem. Wcześniej terminował u aptekarza w Edmonton, po czym poświęcił się studiom chirurgicznym w Guy's Hospital, dzięki czemu mieliśmy wspólny obszar zainteresowań. Spotkałem go tego właśnie wieczoru w King's Head na Tooley Street, spelunce odwiedzanej przez studentów, gdzie wrzało jak w ulu w związku z popołudniowymi wydarzeniami.

– Połowa uważała, że powinniśmy po prostu kontynuować – powiedział.

Tak właśnie by postąpiono normalnie – zostałyby pocięty, a następnie wygotowany. Wszelkie ślady zostałyby zatarte, zanim ktokolwiek zdążyłby zaprotestować. Był jednak pewien szkopuł – połowa studentów w Borough

Hospitals była winna Wujkowi Cheese'owi pieniądze, włączając w to samego Keatsa.

– Jeden funt, trzy szylingi i sześć pensów – przyznał kwaśno. – Do tego dwudziestoprocentowe odsetki. I jakby to wyglądało, gdyby ktoś kiedyś naprawdę coś zwęszył?

Zatem po rozważeniu sprawy posłano portiera, by powiadomił sędziego, który przybył godzinę później po zwłoki i zeznania. W efekcie dwaj czeladnicy byli poszukiwani pod zarzutem morderstwa.

– Chociaż nie zaryzykowałbym stwierdzenia, że ktokolwiek szukał ich bardzo gorliwie. Bądź co bądź, to był Edward Cheshire.

Keats zaśmiał się sucho i kaszlnął. Miał nawykowy kaszel, którym się martwił. Był sympatyczny i czupurny, rok lub dwa lata ode mnie starszy i niewiele wyższy niż Wasz Wielce Uniżony, co z zasady budziło moją sympatię. Był też zdolnym studentem, wykazującym pewne umiejętności chirurgiczne, lecz zwierzył mi się, że niezbyt to lubił. Oczywiście na koniec semestru już go tam nie było, za to zajął się pisaniem wierszy o dziwnej onirycznej poetyce. Sam coś z tego przeczytałem i nawet mi się na swój sposób podobało, chociaż wolę opowieści z akcją galopującą poprzez nawałnicę, z trupami piętrzącymi się w rowach po obu stronach.

– Blanszowane migdały – odezwałem się do niego, podnosząc się do wyjścia.

– Na co to?

– Twój kaszel. Zmieszaj sześć migdałów z balsamem tolutańskim i kilkoma kroplami nalewki z opium. Dwie łyżki dwa razy dziennie.

– Tak – burknął Keats. – To może być dobry pomysł.

Jego matka zmarła na suchoty. Można go było zobaczyć, jak kaszle w chusteczkę, a potem niespokojnie sprawdza, czy są na niej ślady krwi.

*

Byłem zaniepokojony wieściami o morderstwie, chociaż nie umiałem powiedzieć dlaczego. Zdarzało mi się zawierać umowy z Wujkiem Cheese'em w imieniu pana Comriego. Mój pracodawca nigdy co prawda nie był mocno związany z siatką Trupiarzy w taki sposób jak Atherton, jednak trudno było być chirurgiem w Londynie i nie spotkać Neda Cheshire'a, i równie trudno powiedzieć, bym specjalnie go lubił. A jednak

wyczuwałem tu jakieś powiązania, jakiś wzorzec, nie do końca przypadkowy.

Ja również byłem śledzony.

Wiedziałem o tym, jak tylko opuściłem King's Head. Kiedy wszedłem w Tooley Street, ktoś był za mną w ciemnościach. Obejrzałem się szybko. Grupa studentów medycyny wytoczyła się z piwiarni po drugiej stronie ulicy. Za nimi wylało się światło i objęło ich do momentu, gdy drzwi zamknęły się za nimi z powrotem. Przy następnym rogu marynarz słał się między dwoma dziewczynkami pod olejową latarnią. Sześć kroków dalej znowu zaczynała się nieprzenikniona ciemność, a następna lampa zdawała się niczym więcej jak świeczką wśród pustki, co było dużym problemem londyńskiej nocy. Londyńska noc była ciemna jak noc w lesie, lecz było tu więcej dzikich stworzeń. Człowiek mógł skończyć z podejrzanym gardłem na każdej z ulic Metropolii, nawet nie będąc Wujkiem Cheese'em.

A jednak ciemności mogą działać na waszą korzyść, jeśli macie w sobie choć odrobinę dzikiego instynktu. Unikając światła, zboczyłem na Hayes Street, tuż przed Borough High Street, a potem skręciłem nagle znowu w prawo w wąski przesmyk i tam czekałem. Minęła chwila. Usłyszałem je całkiem wyraźnie – odgłosy stąpania ciężkich butów. Wąski snop światła z byczego oka prześliznął się u wylotu przesmyku, a wraz z nim szara figura. Wyszedłem za jej plecami.

– Zatem mnie szukasz?

Odwrócił się z kocią zwinnością, co zupełnie mi się nie spodobało. Człowiek tych rozmiarów tak zwrotny na swych kulasach... Bo oczywiście liczyłem, że okażę się znacznie szybszy, inaczej, rzecz jasna, w życiu bym mu się nie pokazał.

– Mogłeś krzyknąć – rzuciłem. – Zawołać mnie po imieniu, jeśli chciałeś pogadać, zamiast iść za kolegą w ciemnościach nocy, co mogło mu dać złe wyobrażenie na temat twoich intencji.

Jego zęby zdawały się długie i żółte w świetle lampy. Sądzę, że miał to być uśmiech.

– Przyjaciel Starling – wycedził. – We własnej osobie. Trzeba, żebyśmy zamienili słówko na osobności. Tylko my dwaj.

– No to dalej, zamieniaj.

W dłoni trzymałem nóż, który wyjąłem chwilę wcześniej z cholewki. Sześciocalowy sztylet, ostry niczym skalpel, wygrany swego czasu w grze

hazardowej w tawernie w Iberii. Odenkirk dojrzał błysk i tylko uśmiechnął się szerzej, jak gdyby chciał zasugerować, że to się może skończyć bardzo źle dla Willa Starlinga, jeśli sprawy między nami przejdą do etapu kłucia świń. Podejrzywałem, że miał rację.

Odenkirk przyszedł na świat w przytułku St Saviour's w Newington Causeway. Trudno dać wiarę temu, że człowiek tych rozmiarów wyrósł tak na przytułkowym kleiku, lecz najwyraźniej było to prawdą. Nie dowiedziałem się tego od Flitty Deakins, lecz przeprowadziłem własne dochodzenie. Zdołał się dostać do terminu do irlandzkiego rzeźnika i spędził kilka wesołych lat na podwórzu rzeźni w Smithfield, zabijając świnię, a następnie przeszedł do mniej krwawej profesji, czyli do przeładunku w dokach. Zdaje się, że ciągnęło go również do luźnych związków z włamywaczami i bandytami – specami od wytrychów i mokrej roboty – wśród których mógł wykorzystywać wiele z umiejętności nabytych podczas pracy u rzeźnika. Tak właściwie to mógł je również wykorzystać w kontakcie ze swym dawnym mistrzem, którego znaleziono wykrwawionego na śmierć w zaułku za knajpą niedługo po tym, jak młody Odenkirk złożył wymówienie. Rzeźnik był okropnym pijaczyną lubiącym używać pięści w procesie kształcenia swoich czeladników. Został zakłuty, jak chciało tego przeznaczenie, niczym świnia.

Kiedy Atherton spotkał Odenkirka, pracował jako wykidajło w burdelu na Curzon Street. Nie była to żadna zgniła nora, lecz lokal dla dżentelmenów. Wystawiano tam na sprzedaż dwunastoletnie dziewice za cenę pięćdziesięciu gwinei – niektóre przez siedem nocy z rzędu. Po sąsiedzku mieścił się jeszcze bardziej ekskluzywny lokal, gdzie zramolali baroneci, którzy wymagali skarcenia, za znaczną sumę pieniędzy oddawali swe pomarszczone gnaty Pani Szpicrucie do wychłostania. Tak czy inaczej, Odenkirk i Atherton przypadli sobie do gustu lub przynajmniej widzieli, że są dla siebie wzajemnie użyteczni.

I oto staliśmy tak, my dwaj, sami pośród londyńskiej nocy. Hayes Street była ciemna niczym wdowi welon, a za nami rzeka pełzła cicho poprzez mrok. Ponad nami znajdował się most Londyński, gdzie setki ludzi cisnęły się w ruderach, które tamowały ruch uliczny, a kolejne setki spały bez dachu nad głową, stłoczone wokół koksowników.

– On sam kazał mi cię znaleźć – powiedział, mając na myśli Athertona. – Zastanawiamy się, czy miałeś jakieś wieści od tej Deakins.

– Od Flitty Deakins? Nie.

– Jesteś pewien?

– Przecież właśnie powiedziałem, tak czy nie?

– Bo widzisz, ona zaginęła. Ot, zniknęła. I teraz się martwimy.

Było to coś nowego dla Waszego Wielce Unizonego.

– Skąd pomysł, że przyszłaby do mnie?

– Wcześniej tak robiła. Prosto do przyjaciela Starlinga, z historyjką do opowiedzenia.

– Nie widziałem jej od tamtego wieczoru.

Patrzył na mnie przez chwilę, oceniając, czy można mi uwierzyć. Być może również oceniając Waszego Wielce Unizonego okiem doświadczonego zakłuwacza świń. Będzie ze czterdzieści siedem kilo – mógł uznać – a nawet nieco mniej, gdy się go powiesi za nogi do wykrwawienia razem z innymi małymi świnkami.

– No więc – odezwał się po chwili – jeśli się czegoś dowiesz... może gdzie jest lub dokąd się wybiera, dasz nam znać.

– A czemu miałbym to zrobić?

– Bo biedna panna Deakins nie ma się najlepiej. Widzi różne dziwne rzeczy, biedna zwiędła suka, i jest atakowana przez zielonookiego Hindusa. Bóg jeden wie, co może ją spotkać na ulicach Londynu, jeśli przyjaciele nie znajdą jej wcześniej. No i oczywiście wynagrodzilibyśmy cię za fatywę.

Wyciągnął lewą dłoń, na której połyskiwała złota gwinea.

– To na znak naszej dobrej woli – powiedział.

– Nie chcę waszych pieniędzy.

– Oczywiście, że chcesz.

Znowu pokazał długie żółte zęby, by dowieść, że jesteśmy przyjaciółmi, mimo sporadycznych nieporozumień. Nic, tylko najlepsi kumple, połączeni chrześcijańską troską o Phyllidę Deakins.

Wziąłem monetę. W końcu: czemu nie? A jeśli kiedykolwiek spotkam pannę Deakins, poradzę jej, by wiała tak daleko i tak szybko, jak tylko nogi jej na to pozwolą, jakby wszyscy zielonooocy Hindusi świata gnali za nią z potępieńczym wyciem.

– Słyszałeś, co się przydarzyło Wujkowi Cheese’owi?

Odenkirk słyszał. Pokiwał głową za smutkiem.

– Okropna historia, przyjacielu Starling, ku przestrodze dla nas wszystkich. Bo każdego z nas może spotkać to samo, co biednego Neda

Cheshire'a. Czyż to nie fakt? Okrutnie napadnięty, ni z tego, ni z owego, w kwiecie wieku. Coś dla nas wszystkich do przemyślenia.

Pochylił się bliżej, a jego zęby zdawały się tak żółte, długie i ostre jak u wilka z baśni.

– Leżeć tak w rowie pełnym gówna, co, przyjacielu Starling? W dole razem z biednymi zdechłymi kotami i padłymi psami. Więc jeśli będziesz coś wiedział o tej Deakins, na pewno nam powiesz. O tak, z całą pewnością wiem, że nam powiesz...

Odenkirk wyprostował się i nade mną znowu pokazało się niebo. Jednak ten jego uśmiech towarzyszył mi w drodze do domu. Przez całą drogę do Cripplegate, skulony w deszczu, podskakiwałem przy byle odgłosie londyńskiej nocy. Wreszcie skręciłem na końcu ulicy. Na rogu stała latarnia, a kawałek dalej mieścił się sklep z dżinem.

Kiedy tam dotarłem, moje serce znowu stanęło. Jakaś postać wyslizgnęła się z ciemności i stanęła mi na drodze: młoda kobieta, przemoknięta do suchej nitki i drżąca z zimna, niczym błędzący duch pozbawiony schronienia.

Panna Smollet.

*

Sklep z dżinem był niepozorny, nawet jak na standardy tej dzielnicy, przy czym słowo „niepozorny” należy rozumieć jako mały, brudny i mocno woniejący starymi zapachami, wśród których najwyraźniejsze nuty stanowiły jałowiec i wymiociny. Był tam drewniany bar, za nim butelki, a poza tym w sali stało kilka stołów i drewnianych stołków. Oprócz tego były tam surowe ściany, o które można się oprzeć, a następnie – po pewnym czasie – osunąć się po nich, oraz podłoga, na której można było leżeć rozwalonym w razie potrzeby, choć do tego akurat właścicielka nie zachęcała. Panna Maggs wolała lepszy sort klientów, czyli takich, którzy opuszczali lokal na własnych nogach – lub na jednej nodze i o kuli, co zdarzało się w przypadku wiarusów pokancerowanych w wojnach lub pacjentów pana Comriego z piętra wyżej. Ale sklep z dżinem to sklep z dżinem, więc brało się wszystko, co wpadło przez frontowe drzwi.

Panna Smollet chodziła w deszczu godzinami. Dosłownie GODZINAMI, jak powiedziała ze łzami w oczach, chociaż następnego dnia panna Maggs

rzekła mi, że było to bliżej dwudziestu minut. Przyszła ponoć najpierw do sklepu z dzinem, ale potem siedziała, nie zamówiwszy choćby kieliszka, bo najwyraźniej brakowało jej wymaganej do tego brzęczącej zawartości portmonetki. To zmusiło pannę Maggs do wyproszenia jej. Być może właścicielka innego rodzaju – jakkolwiek nie ona – zastanowiłaby się po pierwsze nad motywami, dla których taka młoda osóbką przychodzi bez grosza przy duszy do takiego przybytku.

– Odpicowana w taki sposób, panie Starling, jaki nie przystoi skromnej osobie, w spódnicy nad kostkę i towarem w dekolcie na wierzchu jak na wystawie. Ale nie mnie osądzać, jak pan dobrze wie. Może jestem duża, ale widzę mało, a słyszę jeszcze mniej, kiedy tak siedzę na stołku za ladą, pilnując własnego nosa, sir, i własnego świętego spokoju.

– Nie wiedziałam, GDZIE INDZIEJ MOGŁABYM PÓJŚĆ – mówiła teraz panna Smollet.

Siedziała zmarznięta, mokra i zgnębiona z moją kurtką na ramionach, ale przynajmniej byliśmy znowu wewnątrz i mieliśmy stolik najbliżej ognia, bowiem Wasz Wielce Unizony posiadał brzęczącą monetę, której brakowało pannie Smollet. Złotą gwineę, dzięki uprzejmości przyjaciela Odenkirka. Otoczyła dłońmi kubek gorącego ponczu, unikając rzucanych spode łba spojrzeń panny Maggs.

– Czy coś jest nie tak? – spytałem.

– Wszystko!

– Coś się wydarzyło?

– Tak!

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, i siorbnęła potężny łyk ponczu.

– Bob Eldritch – rzuciła. – W gazecie, dziś rano. Widział pan? Więc to nie tylko ja... Inni też go widzieli.

Zacząłem jej przypominać, że gazety drukują właściwie wszystko i że z pewnością kryje się za tym jakieś proste wyjaśnienie. Lecz panna Smollet znowu drżała, tym razem z powodu czegoś głębszego niż chłód.

– Nie rozumie pan – powiedziała. – Przyszedł znowu, drugi raz. Był za moim oknem.

– Kiedy?

– Dziś w nocy. Tuż po zmroku.

Przysięgała, że to nie był sen. W ogóle nie spała, siedziała na drewnianej skrzyni służącej za sekretarzyk i pisała list do swej przyjaciółki Borsuczycy.

Nagle płomień świecy zadrżał, choć zarówno okna, jak i drzwi były zamknięte. I wtedy rozległ się dźwięk drapania, który nie był skrobaniem jej pióra o papier, a kiedy podniosła wzrok, on gapił się na nią.

– Był za oknem – WŁAŚNIE TAM – bliżej niż ja pana teraz! Jego włosy sterczały do góry, a WIELKIE WYTRZESZCZONE OCZY wyłaziły mu z twarzy. Och, te OCZY. Nigdy takie nie były za życia, panie Starling. Cóż takiego mogło się stać z jego oczami?

Jej poruszenie było prawdziwe, bez względu na jej tendencję do mówienia wielkimi literami czy jej zdolności aktorskie. Panna Smollet się bała.

I muszę przyznać, że pewne dziwne uczucie zaczęło pełznąć w górę kręgosłupa Waszego Wielce Uniżonego, tak lepkie i zimne jak dłoń sięgająca z grobu.

– Och, panie Starling... Will... cóż mam począć?

Za barem panna Maggs, pilnując rzecz jasna własnego nosa i świętego spokoju, pochylała się coraz bardziej niebezpiecznie w naszą stronę. Wisiała teraz pod kątem czterdziestu pięciu stopni niczym główny maszt uszkodzonej fregaty. Za chwilę miała osiągnąć punkt krytyczny i runąć na pokład w płataninie żagli i takielunku.

– Odprowadzę panią do domu, panno Smollet – powiedziałem.

– Do domu? Nie słyszał pan, co przed chwilą powiedziałam?

– Poczekam przed domem i upewnię się, że nikt nie przyjdzie. Zostanę przez całą noc, jeśli będzie trzeba.

Zrobiłbym to, ale jej zdenerwowanie tylko się zwiększało.

– Nie widzisz tego? To się na nic nie zda! Nie mogę wrócić do tego pokoju, bo on wie, gdzie mnie znaleźć!

Siedziała skulona i tak żałośliwie słodka, że mogłaby skruszyć serce z granitu, a co dopiero biedny organ Waszego Wielce Uniżonego, który zaczął się topić w chwili, gdy ujrzałem pannę Smollet na scenie trzy tygodnie wcześniej i który do tej pory osiągnął taki stopień upłynnienia, że zbierał się u mych stóp w przesiąkniętych butach niczym deszczówka. I ze wszystkich drzwi w Londynie w potrzebie zapukała właśnie do moich.

– Co ja pocznę? – spytała znów niczym dziecko.

– Zostanie pani tutaj, panno Smollet – powiedziałem zdecydowanie. – Zostanie pani u mnie.

*

Mój kąć mieścił się na najwyższym piętrze, pod samym dachem. Niewiele więcej niż szafa, siennik na podłodze i spadzisty sufit, o który łatwo było grzotnąć łbem, gdy się wstawiało, a wszystko to miało zapach pleśni i niemytego Willa. Wcześniej – i teraz też – lokal ów był używany jako składzik. Części popsutych mebli piętrzyły się pod ścianami obok wytartego dywanu zrolowanego w taki sposób, jakbyście rolowali dywan z ciałem w środku. Nie było tam zwłok w tym akurat momencie – chociaż bywały przy innych okazjach. Pan Comrie nigdy nie przeprowadzał sekcji w tym domu, ale czasem przywożono w nocy Obiekt, która wymagała przechowania do rana. Nigdy mi one specjalnie nie przeszkadzały – zwłoki śpią cicho, chociaż mają gorsze gazy, niż byście mogli przypuszczać. No i oczywiście po dniu lub dwóch coraz bardziej drażnią powonienie, zwłaszcza gdy jest ciepło.

Jednakże był to mój własny pokój – pierwszy, jaki kiedykolwiek miałem. Moje książki stały na półce, wszystkie osiem, wliczając w to *Przypadki Idziego Blasa Lesage’a*, opowieści o dżinach i *Robinsona Crusoe*. Słownik Sama Johnsona również, jako że Wasz Wielce Uniżony był zawsze odrobinę uczonym, dorywczo. Sponiewierany kufer zawierał moje wyjątkowe osobiste skarby. Wśród nich była splota, którą wziąłem od biednego martwego żołdaka po bitwie pod Albuerą – pistolet z kościaną rękojeścią, dokładnie taki sam, jakiego mógłby używać rozbójnik-dżentelmen Claude Duval – i połowa małej mosiężnej kłódki, którą moja matka zostawiła wraz ze mną w przytułku. Zawsze zostawiano tam wraz z dzieckiem jakąś pamiątkę. Moja matka miała drugą połowę. Połączylibyśmy je, gdyby kiedykolwiek po mnie wróciła.

Panna Smollet weszła za mną po schodach, mijając drzwi pana Comriego, zza których dochodził grzot jego chrapania. Wszedłszy do mojego pokoju, stanęła mokra i drżąca.

– Musi pani zdjąć te rzeczy, panno Smollet – powiedziałem. Zaziębiłaby się na śmierć, to właśnie miałem na myśli. – Powiesimy je, żeby wyschły.

– Jestem panu bardzo wdzięczna – odpowiedziała. – A byłabym jeszcze wdzięczniejsza, gdyby się pan odwrócił.

Za moimi plecami przemoczone ubrania panny Smollet szeptały, zsuwając się po jej skórze. A Wasz Wielce Uniżony stał tam niczym posąg, z zaciśniętymi powiekami, ledwie śmiać oddychać, niczym jakiś ślepy akolita w obliczu Najświętszego ze Świętych – cokolwiek by to miało być – bo muszę przyznać, że dokładnie nie wiem. Przyjmijcie jednak to porównanie, by zrozumieć, jak czułem się w owej chwili.

– Proszę – bąknęła.

Wziąłem ubrania i nie odwracając się, zniosłem na dół do gabinetu, gdzie rozdmuchałem na nowo ogień w kominku i rozwiesiłem je z pietyzmem i nabożną czcią. Szal i suknię udrapowałem na oparciach krzeseł, by zasiać zgorzenie w duszy panny Maggs, gdy wróci nad ranem. Potem wróciłem na górę i zastałem pannę Smollet siedzącą na skrzyni. Za jej plecami świeca kapała woskiem na parapet. Była owinięta kocem, a jej mokre włosy opadały luźno na ramiona. Wyglądała niczym samotna syrena na skale.

– To nie był sen – odezwała się. Wyglądała w jakiś sposób jednocześnie na zrezygnowaną i zawziętą. – Dzisiaj, i wtedy też. On naprawdę tam był, Willu, przy moim oknie. Czy mi pan wierzy?

Jej szeroko otwarte oczy patrzyły pytająco. Zawahałem się.

– Wierzę, że widziała pani coś, co śmiertelnie panią przeraziło – powiedziałem. – Ale teraz jest pani bezpieczna. Nikt w całym Londynie nie wie, że jest pani tutaj, ani jedna osoba, żywa czy umarła, za wyjątkiem mnie. Będę na półpiętrze aż do rana, tuż obok, panno Smollet, trzymając straż za drzwiami.

Uśmiechnęła się dzielnie. Mogłaby być bohaterką na scenie – samotną, opuszczoną i prześladowaną przez nieprzyjaciół, lecz zdecydowaną iść dalej. Wody stopniałego serca Willa podniosły się powyżej jego kolan.

– Nie zasługuję na taką dobroć, Willu. Jest pan dla mnie TAKIM WSPANIAŁYM PRZYJACIELEM.

– Tuż obok, panno Smollet – powtórzyłem. – Nigdzie się nie ruszę.

Możecie sobie wyobrazić burzę myśli i uczuć, jaka we mnie szalała, kiedy wychodziłem ze swej sypialni, odgradzając się drzwiami od panny Smollet, siadając, oparłszy się o nie plecami, i krzyżując nogi. Byłem gotów stawić czoła legionom piekła, jeśli nadciągnęłyby po schodach, wyjąc w ciemnościach, lecz jednocześnie czułem większy niepokój, niż chciałbym przyznać, i czerpałem pewną otuchę z odgłosów chrapania dudniących zza drzwi pokoju pana Comriego poniżej.

Bowiem, rzecz jasna, nigdy nie powiedziałem panie Smollet o tym, co rzekomo widziała Flitty Deakins – o trupie powstającym z martwych na strychu stajni w Crutched Friars tej nocy, gdy Bob Eldritch zadławił się na śmierć pośród Wilków. Lecz panna Deakins widywała również zielonookich Hindusów, napomniałem sam siebie. Była uzależniona od laudanum. Nikt nie mógł ożywić zmarłego, nawet używając elektryczności i zaklinając się, że to nauka.

Światło świecy panny Smollet kładło się cienką linią pod drzwiami. Dwukrotnie cicho zawołała, niespokojna, czy nadal czuwam na swym posterunku. Odszepnąłem jej uspokajająco i po pewnym czasie usłyszałem, że jej oddech staje się spokojny i głęboki.

Sam również zapadłem w sen niedługo przed świtem. Musiałem zasnąć, bo śniłem, że dostrzegam kształt u stóp schodów, skulony i patrzący na mnie. Białą twarz i dwoje wytrzeszczonych oczu, wielkich jak jaja, oraz włosy sterczące na wszystkie strony.

Zerwałem się na równe nogi, lecz kiedy znów spojrzałem, niczego tam nie było.

Tamtego ranka poszedłem złożyć wizytę Isaacowi Blissowi.

Isaac był jednym z najmniejszych chłopców w przytułku i z tego powodu jednym z najbardziej gnębionych, zgodnie z uniwersalną zasadą, że słabego należy dręczyć i pastwić się nad nim, zwłaszcza jeśli jest kaleką. Stałem na przeciwnym stanowisku, i to twardo, będąc jednym z większych. Zapewne unosicie teraz brwi z niedowierzaniem i z ukosa przyglądacie się Waszemu Wielce Uniżonemu, lecz mówię prawdę. Miałem niezły start, który bez wątpienia zawdzięczam niebiesko żyłkowanej piersi, i do wieku dziewięciu lub dziesięciu lat byłem chłopcem słusznej budowy. Niestety, potem przyhamowałem i od tamtej pory niczego specjalnego nie osiągnąłem w kwestii wzrostu.

Cynik mógłby stwierdzić, że owe wczesne lata ukształtowały we mnie pewien sąd na swój temat i pozostawiły mnie na resztę życia z błędnym przekonaniem o tym, co mogę osiągnąć i do czego aspirować, jak u jednego z tych północnych terierów, które tak się puszą, że nie dostrzegają, iż są o głowę niższe od szczura. Lecz przez kilka pełnych chwały lat byłem prawdziwym zabijaką. W Lamb's Conduit Fields podbiłem niejedno oko i wygrzmociłem wybranych śmierdzieli w celu upowszechniania ducha miłości i troskliwości w stosunku do sierot w ogóle, a biednego Isaaca Blissa w szczególności. I w rzeczy samej, nie był on nigdy „biednym Isaakiem”, nawet w czasach największego prześladowania, bowiem miał cudownego ducha, żywotnego wbrew wszelkiej logice.

Chciałbym myśleć, że lubił mnie za to, chociaż straciłem swoją wartość jako ochrona grzmocąca śmierdzieli. I faktycznie, jego twarz rozjaśniła się

z radości, kiedy odwrócił się przygięty od swojego stołu roboczego w piwnicy grabarza Bowella i zobaczył, że wchodzi.

– Will Starling! – wykrzyknął. Siedział na trzynożnym stołku, lecz teraz z trudem wstał na nogi. – Klawo cię widzieć, Will. Po prostu klawo.

– I ciebie, młody Isaacu – powiedziałem. – Dobrze wyglądasz.

Nadal się uśmiechał.

– Tak mówisz? Cóż, to miłe z twojej strony. Chociaż zastanawiam się, Willu, że może i masz nawet rację...

Tak naprawdę samo patrzenie na niego bolało. Wygląd Isaaca szokująco się pogorszył od ostatniego razu, kiedy go widziałem, niecały miesiąc wcześniej. Jego oczy zrobiły się zbyt wielkie w stosunku do twarzy i można było usłyszeć, jak oddech rzeźi mu w płucach. Co gorsza, jego skóra przybrała ową błękitną przezroczystość, którą pamiętałem nazbyt dobrze z setki szpitali polowych. Tak właśnie wyglądasz, kiedy Stary Kościej czeka tuż za progiem.

Oczywiście Stary Kościej nigdy tak naprawdę nie opuszczał zakładu Bowella i był obecny w każdym cieniu. Zwykle siedział w bezruchu w tej piwnicy, z jej tańczącymi drobinkami kurzu, zapachem świeżo piłowanego drewna i powolnym rozkładem, lecz nigdy dotąd nie stał tak blisko Blissa. Tuż obok, patrząc znad jego ramienia, gdy Isaac, zgięty w wiecznym znaku zapytania, piaskował sosnową deskę.

– Przyszedłeś w interesach, Will? Bo pan Bowell wyszedł.

– Nie przyszedłem do niego, Isaacu. Przyszedłem spotkać się z przyjacielem.

Nie wiem, czy mi uwierzył. Nie był młodzieńcem, który miał przyjaciół wpadających z popołudniową wizytą – lub przyjaciół wpadających w ogóle. Ale i tak słysząc to, rozjaśnił się w uśmiechu.

– No to klawo, Will – powiedział. Jego stawy zatrzeszczały, kiedy siadał z powrotem na stołku, ponieważ stanie go męczyło. – Spotkałem ostatnio jeszcze kogoś znajomego. Pamiętasz Janet Friendly z Lamb's Conduit Fields?

Pamiętałem, i to dobrze. Długa pospolita twarz ze złowieszczym grymasem i dwie duże czerwone dłonie, z których jedna była często zwinięta w pięść wygrażającą nad kulfonem Waszego Wielce Uniżonego, choć przyznaję, że często miała ku temu powód.

– Co u niej słyhać?

– Och, wszystko klawo. Zdaje się, że mieszka przy St Clement Danes ze swoją mamą.

To ci niespodzianka.

– Jej mama po nią wróciła?

– Wróciła, Will. Wyciągnęła ją i zabrała do domu niedługo po tym, jak odszedłeś. Mają sklep, one dwie, razem.

Słyszając to, uśmiechnąłem się szeroko, chociaż nie potrafiłem nie poczuć bolesnej tęsknoty. Bo przecież wszyscy właśnie o tym marzyliśmy – każdego ranka i każdej nocy, każdy podrzutek w przytułku.

– Mama Janet... – powiedziałem. – No proszę, to jest coś.

– O tak, Will. To najbardziej kława rzecz.

Ale tak naprawdę nie przyszedłem tylko z wizytą. Musiałem mu zadać pewne pytanie – i musiałem je zadać od razu, zanim zejdzie tu po schodach pan Bowell lub jego gadzi syn.

– Parę dni temu był pogrzeb, w poniedziałek. Człowiek nazwiskiem Eldritch. Pamiętasz?

Isaac zamrugał i kiwnął głową. Tak, jasne, dobrze pamiętał.

– Pan Atherton go tu sprowadził.

– Pomagałeś przygotować ciało?

– Nie, pan Bowell sam się tym zajął.

– Ale ciało było tutaj. Jesteś pewien?

Isaac wzruszył ramionami. Wyglądał na zakłopotanego.

– Widziałem j a k i e ś ciało, Will. Przyniesiono je pod kocem. Nie wiem, czy to był Eldritch, czy nie. W życiu nie widziałem tego człowieka. A czemu musisz to wiedzieć, jeśli mogę spytać?

Za chwilę miał stać się jeszcze bardziej zakłopotany, bo pytanie, które chciałem mu zadać, dojrzewało w mojej głowie, odkąd tylko Annie Smollet pojawiła się w nocy. Czaiło się na sznurkach łąpek gdzieś głęboko, z wszystkimi tymi myślami, które są zbyt mroczne i dziwaczne dla światła dnia. Teraz doprowadziło mnie tutaj, do piwnicy przedsiębiorcy pogrzebowego, gdzie trumny podpierały ściany, a biedny Isaac Bliss siedział na trójnogim stołku, umierając na mych oczach.

– To ciało, które przyniesiono... to, które Bowell przygotował osobiście, kiedy trumna opuściła to miejsce w dniu pogrzebu... Czy ono było w środku?

Isaac zamrugał i zaczął odpowiadać, ale po chwili przerwał, marszcząc czoło.

– Dziwna sprawa, Willu – powiedział. – Dziwne, że zadałeś to właśnie pytanie.

– Dlaczego?

*

Odpowiedź Isaaca dostarczyła mi sporo materiału do przemyśleń na nadchodzące dni. Ale rozmowa zasugerowała też rozwiązanie pilnej kwestii, która czekała na mnie na ulicy, nerwowo krocząc w tę i z powrotem w milczącym podenerwowaniu.

– Co powiedział pański przyjaciel? – spytała panna Smollet, gdy wyszedłem z zakładu pogrzebowego.

Zbudziłem ją o brzasku, zanim pan Comrie, sapiąc, wynurzył się ze snu, i zanim panna Maggs w sklepie na dole wstała, by pilnować własnego nosa i świętego spokoju. Lecz to kazało mi się zastanowić, gdzie ma się teraz podziąć biedna panna Smollet, bo przecież nie mogła wrócić do domu w Holborn.

– Ten przyjaciel – powtórzyła niespokojnie. – Co panu powiedział?

Postanowiłem ograniczyć odpowiedź do jednej małej części. Przynajmniej na razie, do czasu, gdy wymyślę, co należy dalej robić.

– Mówi – rzekłem – że zna kogoś, kto może mieć pokój do wynajęcia.

*

Dom Janet Friendly stał pośród gęstwiny ruder ściśniętych wzdłuż biegnącej w dół bitej Milford Lane, na południe od St Clement Danes. Były tam bezdomne dzieciaki gapiące się na człowieka i pranie wiszące na sterczących z okien tyczkach, a w ciepłe dni smród z cmentarza płynął tędy przez Strand. Cmentarz przy St Clement Danes, znany jako Zielone Pole, służył z przepełnienia, obsługując również przytułek przy Portugal Street. Nędzarze gnili tam, szczególnie że upychano ich po czterech czy pięciu, jeden nad drugim, i przysypywano zaledwie kilkoma calami ziemi. Latem trupie muchy – plujki – bzycały tam niczym trzmiele.

Dom Janet chylił się w przód, a jego piętro zwisało złowieszczo nad częścią wąskiego zaułka, jakby zamierzał wszcząć bójkę z domem naprzeciwko. Ten po drugiej stronie pochylał się z podobnym zamiarem, przez co oba wyglądały jak dwa woły pizmowe szykujące się do ustalenia pierwszeństwa w stadzie. Pod tym względem dom Janet Friendly bardzo przypominał ją samą i gdyby Wasz Wielce Uniżony miał skłonności do hazardu – które naprawdę miał – postawiłby dziesięć do jednego, że jej dom zwycięży, jednym potężnym uderzeniem wstrząsając belkami przeciwnika i zmieniając go w kupę desek. Powiedziałem jej to przy okazji którejś z kolejnych wizyt, by zobaczyć, jak na to zareaguje. Popatrzyła na mnie spod przymrużonych powiek, jakby próbowała określić, czy się z niej naśmiewam, w którym to przypadku należałby mi się strzał z liścia w ucho – bowiem Janet Friendly nie była tak naprawdę przyjacielska. Jej nazwisko zdawało się raczej rodzajem pobożnego życzenia zarządców w przytułku lub może po prostu przejawem ironii po spojrzeniu na kształt jej dziecięcej szczęki. Jednak miała inne cechy, które to rekompensowały.

Kiedy panna Smollet i ja przybyliśmy na miejsce, zobaczyliśmy znak w oknie, tak jak przypuszczał Isaac Bliss. Kawałek kartonu i naskrobany węglem napis: „Pokój do wynajęcia”. Zatem weszliśmy do środka.

Słońce padało z ukosa na ławki, na których piętrzyły się stosy starych ubrań i tkanin. Między nimi stały wieszaki z nieziemskimi strojami: zakietami i dubletami, pelerynami i sukniami, we wszystkich kolorach tęczy. Manekiny stały wokół niczym goście na balu przebierańców, a obok ustawiono w rzędzie głowy w perukach. Było to wprost wspaniałe, chociaż tak naprawdę wcale nie, a przynajmniej nie naprawdę – peruki zrobiono z końskiego włosa, tkaniny zdawały się szorstkie, a olśniewające suknie połatane i liche. Lecz i tak wszystko to miało swój urok. Z boku stało biurko do naprawiania i przerabiania przyniesionych strojów, a niskie drzwi prowadziły do pokoju na tyłach.

Przy ladzie czekał klient żywiący złudzenia co do ceny, jaką mógłby uzyskać za tobolek starych ubrań, który miał do zaoferowania. Duży mężczyzna kurczył się z każdą chwilą, gdy jego nadzieje były bezlitośnie rozbijane w pył przez kobietę o końskiej twarzy, młodą, koło dwudziestki. Po chwili wyszedł, powłócząc nogami, z nędzną garścią monet, żałośnie mały po zawarciu transakcji. Młoda kobieta zabrała się za przeglądanie

tobołka, który zostawił, a następnie jej końskie, zirytowane spojrzenie padło na mnie i pannę Smollet.

– Bry – powiedziałem, szczerząc zęby w uśmiechu na jej widok.

W odwzajemnionym spojrzeniu zamajaczyło mgliste skojarzenie. Przyjrzała się Waszemu Wielce Unizonemu uważnie.

– Will Starling! – rozdarła się nagle. – Niech mnie dunder świśnie!

Zawsze lubiłem Janet Friendly, choć Bóg mi świadkiem, że potrafiła człowiekowi dopiec do żywego. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, na swój sposób, w przytułku – nawet kiedy wykręcała mi rękę za jakie bądź wykroczenie. Zwykle miało to coś wspólnego z nieskorzystaniem z okazji do zamknięcia jadaczki.

– Will pieprzony Starling! – powtórzyła.

– Janet! – Krzyknął ktoś z pokoju na tyłach, zapewne matka. – Słownictwo!

– Spójrz no na siebie! To będzie z pięć lat, sześć? I nie urosłeś nawet o pierdolony cal!

*

Pani Sibthorpe, matka Janet, występowała kiedyś na scenie. Dowiedziałem się tego wszystkiego w następnych dniach po mojej pierwszej wizycie – i dzielę się tym z wami, ponieważ historia Janet Friendly należy do tych, które rozgrzewają serce w pewien nostalgiczny sposób, a być może powinniśmy czerpać ciepło, skąd się da, ja i wy, zważywszy, dokąd zmierza nasza własna mroczna historia. Matka Janet nie była w tamtych dniach panią Sibthorpe, lecz nazywała się Żwawą Lusią i wyśpiewywała zabawne piosenki oraz odstawiała tańce w kabaretach za pensa i na wieczorkach kupletowych – czyli w knajpach, w których serwowano rozrywkę muzyczną – we wschodnim Londynie. W jednym z nich spotkała ojca Janet. On również nie był panem Sibthorpem, ale miał błysk w oku i wspaniałe bokobrody, ostatni raz widziane, kiedy zniknął o brzasku w uliczce. Właściwy pan Sibthorpe zobaczył ją po raz pierwszy również podczas występu z kupletami, kilka lat po tym, jak dziecko Błyszczącego Oka zostało oddane do przytułku w Lamb’s Conduit Fields. Pan Sibthorpe był bardzo cichym człowiekiem, niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że nudnym. „Ekscytujący jak makrela”, mawiała pani

Sibthorpe, zwłaszcza w te dni, kiedy płaszcz porzuconych aspiracji zdawał się szczególnym ciężarem przygniatać jej barki. Lecz był on trzeźwo myślącym człowiekiem, przyzwoitym, z własnym sklepem, w którym sprzedawał kostiumy teatralne. Mieszkał na piętrze, a pozostałe pokoje wynajmował lokatorom.

Kilka miesięcy po ślubie dowiedział się, że jego żona urodziła kiedyś dziecko z nieprawego łoża, które zostawiła w przytułku. Kiedy ona lamentowała i rwała włosy z głowy, wyszedł ze sklepu bez słowa, znikając w zaułku, podobnie jak kilka lat wcześniej nieodwołalnie zrobił to mężczyzna z bokobrodami. Nie było go kilka godzin, które spędził, chodząc ulicami Metropolii, a gdy wrócił, miał spokojną twarz i sześć słów do powiedzenia swojej żonie: „Może lepiej sprowadź je do domu”.

Okazało się, że matka Janet na początku przyszła kilka razy pod Lamb's Conduit Fields, by tęsknie spoglądać przez ogrodzenie na dziewczynki w surowych czarnych mundurkach i zastanawiać się, która z nich mogła być jej. Jednego takiego popołudnia zobaczyła dziecko: podrzutka o złotych włosach i natchnionych oczach, mogących stopić serce granitowego maszkarona, a co dopiero serce matki, która wiedziała – natychmiast i bez cienia wątpliwości – że to potomstwo z jej własnego łona. Zatem teraz, z flegmatycznym błogosławieństwem męża, pani Sibthorpe pospieszyła po wszystkich tych latach do Lamb's Conduit Fields, niosąc swój znak w drżących dłoniach, by po okazaniu go zarządcom zostać w końcu połączoną na nowo ze swym ukochanym dzieckiem, którym okazała się być Janet Friendly: piętnastoletnia, koścista, z cienkimi brązowymi włosami, wielkimi dłońmi, jeszcze większymi stopami i ostrożnie zmrużonymi oczami krótkowidza w długiej twarzy. Pani Sibthorpe była w trzech czwartych przekonana, że to jakiś żart. „I miała rację – mówiła później Janet. – Los z niej zadrwił. Dobrze jej tak za to, że jest taką cikliwą ciotą. No cóż – trzeba jej oddać sprawiedliwość – mimo wszystko zabrała mnie do domu”.

Tak właśnie zrobiła. Wprowadziła Janet przez drzwi sklepu przy Milford Lane i do pokoi na piętrze. Pan Sibthorpe powiedział do niej: „Bry”, a po jednym czy dwóch dniach powiedział coś jeszcze. Po miesiącu spojrzął na nią, gdy zamykali sklep, i rzekł, że to miłe mieć córkę, co przyjęła z wdzięcznością i najprawdopodobniej z miejsca zarzuciłaby mu rękę na szyję, gdyby miała jakiegokolwiek skłonności do zarzucania rąk. Będąc

jednakże osobą całkiem innego pokroju, wymamrotała, że ojciec to też nie najgorsza rzecz, i na tym się skończyło. Lecz rozumieli się nawzajem i często spacerowali wieczorami, czasem na Drury Lane, by zobaczyć przedstawienie znakomitego klauna Josepha Grimaldiego, najznakomitszego arlekina epoki. Albo też po prostu siedzieli razem przy kominku w towarzyskiej ciszy, pan Sibthorpe bowiem był starszawym dżentelmenem, znacznie starszym od żony, i czuł, że nie jest już tak energiczny jak dawniej. Tak sobie żyli przez kilka lat, razem we troje, aż pewnego wieczoru pan Sibthorpe nie odzywał się przez wyjątkowo długi czas, nawet według jego standardów. Okazało się, że zmarł w swoim ulubionym fotelu. Podczas pogrzebu Janet ze zmieszaniem odkryła, że zanoszą się niepokojącym szlochom. Miała jednak matkę i obie miały sklep oraz trochę pieniędzy odłożonych przez pana Sibthorpe'a. Ułożyły sobie więc jakoś sprawy między sobą i żyły dalej.

I oto tego majowego poranka Janet stała przed Waszym Wielce Unizonym i panną Smollet, kulącą się u mego boku. Wyjaśniłem jej sytuację, przedstawiając starannie okrojona wersję, według której panna Smollet była aktorką, przeszła właśnie jakieś nieokreślone kłopoty (zupełnie przez nią niezawinione) i obecnie potrzebowała pokoju. Janet słuchała, podczas gdy panna Smollet stała obok mnie i wyglądała na omdlewającą. Ładne słowo, „omdlewająca” (Wasz Wielce Unizony podłapał je ostatnio ze słownika Sama Johnsona), oznaczające kogoś, kto jest przygnębiająco wymęczony bezsennymi nocami i tajemniczymi spotkaniami, lecz mimo to zachowuje uroczy wygląd.

– Hm – chrząknęła Janet, gdy skończyłem.

– Zatem, czy pokój jest nadal do wynajęcia?

– Oczywiście, że jest! – wykrzyknęła pani Sibthorpe, która właśnie weszła do sklepu.

Pokój mieścił się na drugim piętrze od strony ulicy. Było to trochę niepokojące, jako że panna Smollet znalazłaby się w punkcie bezpośredniego zderzenia, jeśli dom Janet zdecydowałby się wreszcie definitywnie załatwić sprawę z oponentem z naprzeciwka. Dom był jednak dostatecznie blisko Cripplegate, by Wasz Wielce Unizony mógł wpadać, kiedy przyjdzie mu ochota, rano i wieczorem. No i Janet Friendly była pod ręką, na wypadek nagłej potrzeby. Nie, nie była już taką Amazonką jak za czasów Lamb's Conduit Fields, ale ogólnie rzecz ujmując, nadal

stawiałbym na nią w starciu z każdym wytrzeszczonym upiorem w Londynie.

– Tak – powiedziała panna Smollet, zaglądając przez drzwi. – Tak, sędzę, że mogłabym tu zostać.

– Oczywiście, że tak! – wykrzyknęła pani Sibthorpe. Mając za sobą sceniczne doświadczenia, była zachwycona, że może gościć, aktorkę.

– Cztery szylingi tygodniowo – doprecyzowała Janet.

– Trzy – rzuciła pani Sibthorpe.

– Matka, do kurwy...

– Słownictwo!

– Dobra, trzy – wymamrotała Janet. – Płatne z góry.

Panna Smollet zawahała się i spojrzała na Waszego Wielce Uniżonego.

– Dopilnuję płatności – powiedziałem, robiąc się wyższy z każdą sekundą.

Oczy panny Smollet zamgliły się z wdzięczności. Janet przewróciła swoimi.

– Jest pan dla mnie takim dobrym przyjacielem, panie Starling – wyszeptała panna Smollet.

A pan Starling mierzył już sześć stóp i cztery cale i ciągle rósł.

*

Gdy pani Sibthorpe pomogła panie Smollet się urządzić, ja i Janet wróciliśmy na dół.

– Will pieprzony Starling! – powtórzyła, lecz tym razem przysięgłbym, że tłumi uśmiech szczerzej sympatii (tylko na litość boską, nie mówcie jej, że coś takiego powiedziałem, bo inaczej blacha w ucho).

– Co porabiałeś przez te wszystkie lata?

Opowiedziałem jej co nieco o tym i o tamtym, a ona w zamian opowiedziała mi trochę o sobie, a potem powspominaliśmy czasy Lamb's Conduit Fields. Okazało się, że znała losy jeszcze dwojga czy trojga innych podrzutek, chociaż wielu innych już nie żyło, no i oczywiście był Isaac Bliss. Oboje się trochę zasmuciliśmy, myśląc o nim, więc na moment zapadła cisza. Słyszeć było tylko śmiech pani Sibthorpe.

– I nigdy nie miałeś żadnych wiadomości o twojej mamie? – spytała Janet.

– Tylko tyle, że od dawna nie żyje.

– Tak mi przykro, Will. – Twarz Janet złagodniała.

Zaśmiałem się niedbale, jak to się zwykle robi przy takich rozmowach.

– Taki jest właśnie koniec, jeśli jest się żywym.

– I nie masz żadnej innej rodziny?

Postanowiłem zmienić temat.

– Będziesz miała na nią oko? – spytałem, mając na myśli pannę Smollet, której głos niósł się srebrzyście w dół schodów.

– Czy ktoś jej zagraża?

Janet mierzyła mnie wzrokiem, najwyraźniej zgadując więcej, niż jej powiedziałem. Ale jak miałem odpowiedzieć na takie pytanie?

– Nie tak, jak ci się zapewne wydaje – rzekłem po chwili wahania. – Ale przydałby się jej jeszcze jeden przyjaciel.

Janet zaśmiała się sucho.

– Ona nie jest dla ciebie, Will. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Co?

– Złamię ci pieprzone serce.

– Panna Smollet i ja? Nigdy nie powiedziałem czegoś... – zagulgotałem.

– Oczywiście, że nie. Nie na głos. Ale to jest dziewczyna ze złotymi włosami i wielkimi ciemnymi oczętami – znowu to samo – z Lamb's Conduit Fields, pamiętasz? Zakochiwałeś się w nich bez pamięci, Will. Zawsze tak było i to jest zawsze beznadziejne. I jak tylko pojawi się jakiś dżentelmen – a na pewno się pojawi, i to wkrótce – jakiś ulubieniec losu z wypchanym portfelem w kieszeni, chwila i już jej nie będzie. Myślę, że pewnie o tym wiesz, ale i tak ci o tym mówię jako stara przyjaciółka. Założywszy, że tym dla siebie jesteśmy.

Pogulgotałem jeszcze trochę na te słowa i myślę, że moja gęba mogła przybrać jaskrawoczerwony kolor. Potem zrobiłem to, co się zwykle robi, kiedy czujesz, że ktoś ma całkowitą rację: kazałem jej pilnować własnego nosa i wyszedłem, by potoczyć się z powrotem w stronę Cripplegate. Kiedy dotarłem do ruchliwej Fleet Street, minąłem gazeciarza, który za pensa dostarczał informacji: wczoraj w nocy jakaś kobieta została zatrzymana pod zarzutem zamordowania lichwiarza Edwarda Cheshire'a.

Poprzedniego dnia Meg poszła odwiedzić Jemmy'ego aż do Woolwich Harbour. Nie chcieli jej wpuścić, ale zapłaciła i ostatecznie przyprowadzili go z dołu, gdzie go trzymali w celi razem z pół tuzinem innych. Stał tam wymizerowany i zakuty w kajdany, rozsiewając smród więziennej celi, a brudne ubrania wisiały na jego szerokich ramionach. Mrużył oczy w świetle dnia, niczym biedny, parchaty niedźwiedź, który wytoczył się z jaskini. Nie powiedział ani słowa, ale wiedziała, że ją poznał.

– Ty głupku – rzuciła, co miało znaczyć, że bardzo go kocha. Wydawało jej się, że kiwając kudłatą głową i ledwie wzruszając ramionami, chciał się uśmiechnąć tym swoim uśmiechem zbitego psa, który zawsze przywdziewał, gdy go beształa. Pod powiekami poczuła pieczenie. To na pewno od wiatru – ostrego wiatru znad wody – bo Meg Nancarrow nigdy nie płakała.

Po jednej stronie rozciągały się mokradła, błotniste i płaskie. Po drugiej rzeka wpadała do morza. Żaglowiec sunął po linii horyzontu, a cały świat leżał za nim.

– Sprowadzę cię do domu, Jemmy – powiedziała Meg. – Zaopiekuję się tobą, bez względu na wszystko. Nic się nie bój.

– Czas minął – rzucił strażnik.

– Do kurwy nędzy, to nawet nie była minuta!

– Masz szczęście, że cokolwiek było.

Kiedy go zabierali, Jemmy wydał gardłowy dźwięk. Słabiutki głos wychodzący z dużego mężczyzny.

Potem Meg wróciła do Londynu. Cały ten kawał drogi. Dopiero przed północą dotarła do domu koło Fleet Ditch, w którym ona i Jemmy mieli pokój. Była zmęczona i bolało ją serce. Czekali tam na nią trzej konstable i sędzia komisariatu przy Bow Street. Wyszli ku niej z ciemności.

– Oho! – odezwał się sędzia, kiedy konstable ją zatrzymali. – Mamy cię, dziewczyno. Jesteś aresztowana pod zarzutem zamordowanie Edwarda Cheshire’a.

– Co?! – wykrzyknęła Meg. – Ten skurwysyn nie żyje? A niech mnie!

– Oho! – skomentował sędzia.

Był to gruby, śliski mężczyzna, lśniący w świetle lampy od tłuszczu i samozadowolenia. Aż za dobrze wiedział, z jaką nikczemną suką ma do czynienia. Nie dalej jak dwie ulice stąd, przy West Street, była speluna Old House, gdzie nieświadome ofiary – pijani marynarze i im podobni – byli wabieni przez takie flądry jak ta, która stała teraz przed nim, szarpiąc się i plując niczym kotka. Ci mężczyźni wchodzili frontowymi drzwiami, ale wychodzili inną drogą, w zasadzkę, prosto do ścieku, gdzie rano znajdowano ich kawałek dalej na wpół zanurzonych w mule.

– Nie zrobiłam tego! – wrzasnęła Meg. – Zrobiłam w życiu sporo rzeczy, z których mogłabym się spowiadać, ale na pewno nie zamordowałam Neda Cheshire’a!

Pomimo późnej pory gapie zaczęli się zbierać zwabieni awanturą. W oknach naprzeciwko zapłonęły świece i pokazały się twarze.

Sędzia wyjął spod pachy zwiniętą tkaninę.

– W takim razie – powiedział, rozwijając ją. – Co to jest?

Była to oprawiona w kość słoniową brzytwa poplamiona krwią.

– To nie moje. Nigdy tego nie wdziałam. Kto mówi, że to moje?

– Znaleźliśmy ją w twoim pokoju, moja panno. Działaliśmy na podstawie doniesienia.

– W takim razie ktoś mi to podrzucił!

Sędzia tylko się roześmiał.

– Oho!

*

Więzienie Newgate siedziało rozkraczone niczym wielka brązowa ropucha w samym sercu Londynu, tuż za katedrą Świętego Pawła. Jego

ściany piły się wyżej i wyżej, potężne i ceglane, bez żadnych okien, by zapobiec ucieczce ze środka jakiegokolwiek nędznika i zatrzymać wszelkie promienie nadziei, jakie w przeciwnym razie mogłyby wraz ze słońcem wśliznąć się do środka. Miejsce to nakazywało wam przypomnieć sobie wszelkie wykroczenia, jakie kiedykolwiek popełniliście lub moglibyście popełnić w przyszłości, i wywoływało nagłą potrzebę, by paść na kolana z okrzykiem: „Jam winny! Winny jak sam diabeł!”. A skoro chwyciło nawet tak uczciwe serca jak Waszych Miłości, to wyobraźcie sobie, co zawsze czyniło z moim, Bóg jeden bowiem tylko wie, że w najlepszym razie stąpałem po kruchym lodzie, cienkim jak opłatek, i wystarczyło drobne potknięcie, bym znalazł się po drugiej stronie drzwi, które miałem teraz przed sobą: żelazne, z czterema zasuwanyimi kratownicami, przez które mógł wyrzeć strażnik.

Jedna z nich się właśnie odsunęła i czyjeś oko spojrzało w dół. Przedstawiłem swoją sprawę i po chwili usłyszałem dźwięk odsuwanych żelaznych rygli. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem, by pokazać, że oko miało do pary drugie, a oba były osadzone w czaszce strażnika, który przyjął ode mnie szylinga i skinął, bym wszedł. Drzwi zamknęły się za mną z hukiem i przerażającą nieodwołalnością.

– Tędy – powiedział strażnik i poprowadził mnie przez kolejne żelazne wrota z kolejnymi żelaznymi ryglami, w dół wilgotnych ciemnych korytarzy, gdzie smród był nieznośny, a krzyki udręki jeszcze gorsze.

Meg siedziała w żeńskiej części, wewnętrznym kręgu wiecznego potępienia. Trzysta kobiet stłoczonych w przestrzeni zbyt małej dla pięćdziesięciu. Wrzeszczące Amazonki, jęczące wariatki, dzieci raczkujące w stosach gówna – strażnicy niechętnie sami tam wchodzili. Była kiedyś dama, która starała się wprowadzić pewne reformy, żona bankiera, Elizabeth Fry. Pisała petycje do kierowników, by zezwolili jej wdrożyć Program Kobiet. Pomyślałem: „powodzenia”.

W końcu doszliśmy do drzwi prowadzących na żeński spacerniak. Zostawiwszy najgorszy smród i hałas za sobą, wyszliśmy na mały brukowany dziedziniec z nijaką łatą nieba w górze. Z jednej strony stał rodzaj klatki z dachem i żelaznymi kratami z przodu, do której wchodzili odwiedzający. Więźniarki były doprowadzane z drugiej strony.

– Jakiś dżentelmen już jest – zauważył strażnik.

Mężczyzna w pięknym fraku schylał się pod niskim dachem klatki dla odwiedzających. Dalej, za kratami, w cieniu stała Meg Nancarrow. Było coś w zestawieniu tych dwojga – łuk jego ciała i poły fraka wydęte niczym skrzydła naprzeciw jej skulonego bezruchu – co skojarzyło mi się z drapieżnym ptakiem pochylonym, by zabić. Kaskada złotych włosów sprawiła, że od razu rozpoznałem postać.

Dionysus Atherton.

Mówił coś do niej, cicho i z naciskiem, pochylając się coraz bardziej, a na jej twarzy dojrzałem grymas przerażenia.

Nagle przerwał, bo usłyszał wchodzącego strażnika. Odwrócił się, zobaczył go, a potem zobaczył mnie, nie dalej jak sześć kroków od niego. Znieruchomiał, a jego przystojna twarz obróciła się w kamień.

– Mnie też miło pana widzieć – powiedziałem.

Odwrócił się do Meg i tym razem usłyszałem jego słowa.

– Mówiłem poważnie, panno Nancarrow. Proszę się tego ściśle trzymać. Nawet gdyby doszło do ostateczności.

I poszedł, mijając mnie bez jednego spojrzenia. Przeszedł przez dziedziniec, ciężkie żelazne wrota i zniknął, a jego kroki połknął zgiełk Newgate. Pozwoliłem, by drzwi zamknęły się za nim z hukiem, zanim odwróciłem się z powrotem do Meg. Czekająca przy żelaznych kratkach, a kilka kroków za jej plecami strażniczka rzucała z ukosa czujne spojrzenia.

– Bardzo mi przykro, że panią tu widzę – powiedziałem, bo jak inaczej miałbym zacząć?

– Do dupy z twoją przykrością!

Strach zniknął, a jego miejsce zajął słaby bunt. Czy to w ogóle był strach, czy może coś całkiem innego – jakaś gra cieni? Stojąc tam, nie byłem już pewien. Twarz miała poobijaną, purpurowy kwiat otaczał jedno oko. Najwyraźniej walczyła z żarciem, kiedy po nią przyszli.

– Mówią, że poderznęła mu pani gardło.

– Wiem, co mówią.

– To prawda?

– A co bym miała ci powiedzieć, jeśli tak?

– Cokolwiek by pani chciała. Zostałoby to między nami.

– Ile razy mam powtarzać? Nie. Nie zrobiłam tego. Nie zabiłam go. A teraz dziękuję i pierdolcie się wszyscy.

Ta zimna sardoniczna klarowność – Meg piła dzin. Wyczuwałem jego mdląco-słodki zapach przez kraty i cieszyłem się, bo Newgate było mniej straszne dla tych, którzy mogli sypanąć groszem – ona najwyraźniej mogła. Za pieniądze można było kupić wiktuały nadające się do spożycia przez ludzi. Sprzedadzą wam spokojne miejsce do leżenia, jeżeli macie dość, a jeśli nie, to zapewnicie sobie przynajmniej dosyć znieczulaczy, by przytępić skwar płomienia w tym morzu ognia. Możecie sobie radzić na wpół znośnie w więzieniu Newgate, dopóki macie forszę – aż do chwili, gdy zawloką was na szafot, wśród wycia połowy Londynu. Tam pieniądze niewiele wam pomogą.

Podąłem jej przez kraty monety.

– To od pana Comriego.

– Dlaczego? – Wyglądała na zaskoczoną.

– Pomogą pani przetrwać parę następnych dni.

Pan Comrie dowiedział się o aresztowaniu Meg, zanim koło południa wspiąłem się wreszcie z powrotem po schodach w Cripplegate, zaraz po tym, jak umieściłem pannę Smollet na Milford Lane.

– Twoja przyjaciółka dotarła bezpiecznie do domu? – zagaił z kwaśną nonszalancją, dowiedziawszy się – jak sądzę – o panie Smollet od panny Maggs. Ale nie to zaprzętało najbardziej jego myśli, nie, kiedy Meg została zatrzymana za morderstwo.

– Słyszałeś? – zapytał. – Kiepska sprawa... Masz – dodał, podając mi dwie gwinee (założyłbym się, że to było wszystko – lub prawie wszystko – co miał) i każąc mi je zanieść Meg.

A teraz stała przede mną, oddzielona kratami.

– Podziękuj mu – wymamrotała.

Bywały chwile, gdy gniew cichł i można było ujrzyć dziewczynę, którą niegdyś była. Dziecko, które istniało, zanim świat wszedł jej w drogę i zniszczył wszelkie dziecinne nadzieje i dążenia.

– Połowa chirurgów w Londynie troszczy się o mnie. – W jej głos wkradła się na nowo pogarda. – Tacy dobrzy, mili ludzie.

– Co on pani powiedział? Atherton.

Znowu zamarła, kurcząc się w sobie, jakby na sam dźwięk tego imienia.

– Powiedział, że mi pomoże.

– P o m o ż e? Czemu?

– A co cię to obchodzi? Nie twoja sprawa, co powiedział, a czego nie powiedział.

Z powrotem odgrodziła się murem niechęci i pogrzyła w pełnej cieni kipieli, niedostępnej dla Willa Starlinga ani kogokolwiek innego.

Nagle za nią podniosła się wrzawa. Kobiety wyły – bójka w świetlicy. Dwie z nich wyrywały sobie nawzajem włosy, podczas gdy reszta zagrzewała je do walki. Rejwach niepokoił wariatki, które darły się w podnieceniu.

– Poproszę cię o jedną uprzejmość – powiedziała. – Zanieś wiadomość Jemmy’emu, kiedy będzie po sprawie. Kiedy mnie powiesz.

– Nie zabiła pani Wujka Cheese’a, więc pani nie powiesz.

Ale oczywiście mieli ją powiesić. Taki był plan od samego początku i nie miało znaczenia, czy go zabiła, czy też nie. To właśnie robili wszystkim Meg Nancarrow tego świata, a ja nagle odkryłem, jak bardzo mnie to boli. Chcę powiedzieć, że ją lubiłem, chociaż nie sądzę, żeby to było najodpowiedniejsze słowo. W Meg było coś zbyt mrocznego i dzikiego, by można ją było lubić. Ale odkryłem, że nie mogę znieść myśli o tym, iż cała ta piękna dzikość zmieni się w konwulsjach w kupę szmat.

Popołudniowe słońce zniknęło za murem. Cienie robiły się coraz głębsze, a twarz Meg za kratami pogryzała się w ciemności.

– Proces będzie w piątek – odezwała się. – Tak powiedzieli. Więc w poniedziałek rano to zrobią.

*Zaprzysiężone zeznanie Linwooda Buttonsa
Złożone w Old Bailey Session House
10 maja 1816 roku*

Buttons, Wysoki Sądzie. Linwood Buttons. Na scenie byłem znany jako Panicz Buttons. J e s t e m znany, że się tak śmiało wyrażę, bowiem nadal występuję od czasu do czasu, choć już nie tak często i nie przed taką widownią jak Wysoki Sąd. Nie przed ludźmi o takiej roztropności i delikatności uczuć, chciałem powiedzieć, bowiem noga Wysokiego Sądu z pewnością nie powstałaby w takich norach, w jakich zmuszony jestem ostatnio bywać. Co proszę? Tak, oczywiście, Wysoki Sądzie – proszę Wysoki Sąd o wybaczenie – wróćmy do owej nocy.

Widziałem, jak wychodzili z Trzech Wesołych Kogutów. To podrzędna tawerna – Wysoki Sąd nie zniżyłby się nawet do tego, by na nią splunąć – u podnóża Ludgate Hill. Tych dwoje, kobieta

i zmarły. A raczej ten mężczyzna, Cheshire, jak powinienem był powiedzieć, nie był wtedy jeszcze bowiem zmarły, lecz raczej można by powiedzieć: przedzmarły i całkiem żwawy. Wyszedł pierwszy, ten człowiek, Cheshire, a ona wyszła za nim chwilę później, jakby chciała mu jeszcze coś powiedzieć. Potem nastąpiła zwięzła wymiana – tak ją nazywam, bo taka właśnie była, Wysoki Sądzie – ciepłe słowa padły z obu stron, głosy się podniosły. Potem się rozdzielili. Ona poszła w jedną stronę, a on w drugą. Na północ i na wschód, sir, w którą to stronę i ja się udałem.

Z teatru, Wysoki Sądzie, skoro Wysoki Sąd pyta. Szedłem z teatru, gdzie spędziłem wieczór. Drury Lane. Sam nie występowałem, byłem na galerii, oglądając Edmunda Keana – lwa londyńskiej sceny, och tak – miotającego się po niej ku zachwytom niemytych. A również wielu umytych, którzy powinni wiedzieć lepiej, że to nie było dobre, Wysoki Sądzie, wcale nie było dobre, bo żaden z niego aktor. Philip Kemble – o, to dopiero aktor. Forma, drodzy państwo, odmierzone tempo, głos niczym najlepszy instrument. Aktorstwo to szlachetne zajęcie. Do takiego modelu ja sam aspirowałem w latach mej...

Racja, Wysoki Sądzie. Do rzeczy.

Przedzmarły szedł dalej. Tak, oczywiście, że go rozpoznałem. Właściciel lombardu. Lichwiarz. Kilka ulic dalej zatrzymał się, żeby się ogrzać przy ogniu rozpalonym przez dwóch mężczyzn na rogu.

Co proszę? Czeladnicy? Nie sądzę. Po prostu dwóch obdartusów, którzy nie mieli gdzie się podziać. Każdy może się takim stać, Wysoki Sądzie, jeśli tak zdecyduje Los, i zanim się obejrzy, już jest wyrzutkiem bez własnej w tym winy. Przestaje być modny, zanim nawet dochowa się bokobrodów, które mógłby golić. Ale to nie należy do rzeczy – racja – więc nie wspomnę o tym. Przedzmarły szedł dalej i na jakiś czas straciłem go z oczu. Potem skręciłem w inną ulicę, zmierzając w stronę Fleet Ditch. I oto nagle on, niedaleko przede mną, stał u wylotu uliczki. Co proszę? Księżyc, Wysoki Sądzie. Widziałem go w świetle księżyca, bo przestało padać i księżyc przebił się przez chmury. Po prostu stał, ale bardzo nieruchomo, jakby usłyszał znieścacka jakiś hałas.

Wtedy właśnie pojawiła się ona – wyszła z zaułka za nim. Tak, Wysoki Sądzie, kobieta, z którą przedtem rozmawiał. O tamta, na

ławie oskarżonych, która może krzyczeć „Nie!” tak głośno, jak tylko chce, bo wie dobrze, że to prawda. Widziałem ją, chociaż ona nie widziała mnie, dzięki czemu jeszcze żyję i stoję tu dzisiaj. Niczym Furia, Wysoki Sądzie – tak właśnie się pojawiła. Niczym Furia z antycznej tragedii. Tak nagle i szybko, że nawet nie zdążył się odwrócić, a już go dopadła. Rzuciła się na niego od tyłu z nożem w dłoni. Widziałem, jak błysnął w świetle księżyca, widziałem, jak szarpnęła go za włosy do tyłu. I zanim zdążyłem wydać choćby dźwięk, biedny Edward Cheshire nie był już przedzmarłym, lecz leżał na bruku. Z gardłem otwartym niczym w niemym krzyku i wykrwawiając się na śmierć.

Panicz Buttons na tylnych łapkach przy barierce dawał w roli świadka występ życia. Ubrał się na tę okazję w nowy strój – piękny frak i piękny biały krawat. Jego rzednące loki były świeżo ufryzowane, a cera jaskrawoczerwona dzięki wizycie w knajpie Król Danii po drugiej stronie ulicy. Meg wrzasnęła: „Jesteś kłamcą!”, przekrzykując podnoszącą się na sali wrzawę, lecz sprawa była bardzo poważna. Widziałem to po zestawie sędziów: dwunastu dobrych londyńczyków, prawych i zebranych po to, by wysłuchać zeznań, a potem mieć sprawę za sobą, nim nadejdzie pora obiadu. Poznałem to po twarzach trzech sędziów, którzy patrzyli z góry na motłoch w sądzie kryminalnym Old Bailey. Tom Shelldrake też to widział.

Shelldrake w swojej peruce wyglądał ni mniej, ni więcej jak wynędzniały kalafior, został bowiem przywrócony na stanowisko obrońcy, co było dla mnie wielkim zaskoczeniem, kiedy przyszedłem, by obserwować proces, i precisnąłem się na galerii do przodu. Sala była pełna, jak zawsze, kiedy odbywał się proces przewidujący karę śmierci. Było ich zaskakująco mało w Londynie po tym, jak Krwawy Kodeks wyszedł z użycia, a Najwyższy Majestat Brytyjskiego Wymiaru Sprawiedliwości przestał wieszać ubogich złodziei i dziesięcioletnich kieszonkowców. Przybyłem w chwili, gdy zastępcy szeryfa wprowadzali Meg Nancarrow. Miała na sobie czystą sukienkę i czepek. Patrzyła po sali z taką bladą twarzą, że zapadła cisza. Odezwały się szepty, bo była niemal piękna. Stała niczym kamień, gdy oskarżyciel przedstawiał dowody: zakrwawiony nóż w jej pokoju i podarta, zaplamiona krwią sukienka. A jednak miała w sobie taką posępną godność,

że gapie zaczęli powątpiewać w to, co słyszeli – aż do chwili, gdy wystąpił Panicz Buttons.

Z każdym kolejnym jego słowem Tom Sheldrake zapadał się głębiej w fotel, jakby miał ostatecznie zupełnie zniknąć, przesiąkając między deskami podłogi. Wyglądał nie lepiej niż wtedy, gdy widziałem go dwa tygodnie wcześniej na pogrzebie Boba Eldritch: jakby nie sypiał – i się nie mył – odkąd rzucił się na głowę prosto do grobu. Kiwał się, błądy z przepicia – wrak Toma szukający rafy, na której mógłby osiąść – i partolił sprawę tak fatalnie, że chciałem zeskoczyć z galerii i nim potrząsnąć.

Nie to, żebym sądził, iż ktoś inny miałby jakiegokolwiek szanse. Obrońca może bardzo niewiele zrobić w procesie karnym, co częściowo wyjaśnia, czemu większość z nich trwa mniej niż dziesięć minut, chociaż sprawy, w których oskarżonemu grozi kara śmierci, mogą przeciągnąć się nawet do godziny. Jednak obrona może przepytывать świadków i to właśnie zrobił Tom, podnosząc się, by strzelać na oślep pytaniami bez związku w konstabli, którzy przeszukiwali pokój Meg, oraz w Alfa Szynekarza, czyli Alfreda Pertwee, jak brzmiało jego pełne nazwisko, który podsłuchał, jak Meg grozi Nedowi Cheshire'owi w knajpie Trzy Wesołe Koguty.

P. SHELDRAKE: „Rozetnie mu tchawicę? Groziła, że ktoś rozetnie mu tchawicę? Czemu, sir, użył pan tego akurat słowa?”

ALF: „Bo ona go użyła”.

P. SHELDRAKE: (wyginając się niczym przyczajony tygrys): „Ale czy to na pewno była tchawica? Hm? A może to było całkiem inne słowo?”

ALF: „Jakie całkiem inne?”

P. SHELDRAKE: (z szaleństwem w oku): „Świadek odpowie na pytanie!”

ALF: (skonsternowany): „Łasica?”

Sheldrake nie mógł wezwać Meg, bo oskarżonym nie wolno zeznawać, mógł jednak wezwać osobę, która wystawi świadectwo moralności, a moralność ma w oczach prawa ogromne znaczenie. Dowody są, owszem, pożądane, lecz czy oskarżony jest takim typem osoby, która mogłaby popełnić przestępstwo? Tak więc Sheldrake wezwał na świadka pana Comriego, a ten zajął miejsce i piorunował wszystkich twardym spojrzeniem, jakby wyzywał do walki na pięści Najwyższy Majestat Brytyjskiego Wymiaru Sprawiedliwości.

Tak, znał oskarżoną. Spotkał ją kilka razy. Pierwszy raz, gdy przyszła do jego mieszkania, szukając pomocy medycznej dla swojego mężczyzny, a potem na posterunku przy Giltspur Street.

Moralność?

– Ta kobieta siedziała przy nim przez tydzień. Nie odstępowała go ani na chwilę. Jakby mogła utrzymać go przy życiu samą siłą woli – Bóg wie, że w połowie wierzę, że tak właśnie było. Czy to nazywacie moralnością? Ja tak.

Po sali poniosły się szepty. Oskarżyciel powstał, by z uprzedzającą grzecznością przesłuchać świadka. Pan Comrie jest lekarzem? Nie?

– Chirurgiem.

C h i r u r g i e m. Ach tak. I poznał oskarżoną na stopie zawodowej?

– Jak powiedziałem.

Ale nie jej stopie zawodowej? Sąd został bowiem poinformowany, że oskarżonej nieobcy był najstarszy zawód świata.

– Nic mi o tym nie wiadomo. I nic mnie to nie obchodzi.

Oczywiście. A ten mężczyzna – mąż – leżał na progu śmierci na posterunku przy Giltspur Street. Ponieważ?

– Został zaatakowany.

– Wielkie nieba! Gdzie?

– Na cmentarzu.

– Dlaczego?

– Z powodu kradzieży.

– Czego?

– Zwłok.

Sapnięcia na galerii. Pan Comrie niewzruszony. Czy świadek mógłby to powtórzyć?

– Martwe ciało.

Zatem ów pobity mąż był – kim? – rabusiem cmentarnym? A ona siedziała przy nim przez siedem dni – skalana gołębica ze swym kradnącym ciałem ukochanym – oddana niczym współczesna wersja Penelopy.

– Jeśli tak pan chce to ująć.

– Jak?

– Z przekąsem.

– Nie mam więcej pytań.

Potem na świadka wezwano Panicza Buttonsa, w nowym pięknym stroju, który w jakiś sposób znalazł się w jego posiadaniu. Dał przedstawienie. Kończąc, opuścił głowę z idealnym wdziękiem, niczym tragiczny w chwili ciszy poprzedzającej burzę oklasków. Spojrzał na Meg, jakby i ona sama mogła zaklaskać w dłonie i krzyknąć: „Brawo!”.

– Zamordowałaś mnie – powiedziała.

Sędziowie nachylili się ku sobie i po chwili ponownie zwrócili się w stronę sali z ponurymi twarzami. Przewodniczący sięgnął po czarny kaptur, bowiem oczywiście podjęli decyzję o wyroku śmierci. Egzekucję wyznaczono na poniedziałkowy ranek. Ciało miało zostać przekazane anatomom w celu przeprowadzenia sekcji. Boże, bądź miłościw.

Aż do tej chwili Meg stała opanowana, z białymi dłońmi zaciśniętymi na poręczach, lecz teraz jej twarz, już i tak blada, straciła ostatnie ślady żywego ciepła. Wydała krzyk niczym porażony ptak i osunęła się na podłogę.

Krzyki. Rosnący tumult.

Na galerii za mną Dionysus Atherton siedział nieruchomo niczym posąg. Był tam od początku procesu. Jeszcze bardziej zaskakujący zdawał się fakt, że – jak się później okazało – to on zatrudnił Sheldrake’a i opłacił rachunek. Teraz jego twarz była ponura i szara w obliczu ostateczności tego, co się wydarzyło, ale przysięgłbym, że widziałem i inne emocje, przebijające się spod powierzchni spokoju. Przysięgłbym, że było tam poruszenie – i coś jeszcze, czego zupełnie nie mogłem zrozumieć: błysk w tych błękitnych, błękitnych oczach, który bardzo przypominał triumf.

Dzień przed moją pamiętną wizytą w Crutched Friars zdarzył się przerażający incydent z psem. Doszło do tego we wrześniu zeszłego roku, czyli ponad pół roku przed wydarzeniami, które właśnie opisałem, i zaledwie dzień czy dwa po moim powrocie do Londynu z podróży w głąb kraju, związanej z poszukiwaniem mojej zmarłej matki. Smutna jest historia tej wyprawy, pełna złamanych serc i sierot brnących na obolałych stopach w niekończącym się deszczu, i podejrzewam, że prędzej czy później wam ją opowiem, kiedy wszyscy będziemy mieć ochotę na łzawe spojrzenia i zasmarkane nosy. Lecz najpierw musicie usłyszeć o psie.

To był mastif ważący ponad sto kilogramów. Najwyraźniej trzymano go w stajni za domem, gdzie Atherton miał zwyczaj przeprowadzać swoje eksperymenty na biednych, bezrozumnych stworzeniach – bo oczywiście oni wszyscy to robili: chirurdzy i anatomowie, wszyscy byli prosektorami z konieczności, wykonującymi też wiwisekcje. Kartografowie żywych organizmów, poszerzający granice wiedzy naukowej, milimetr po krwawym milimetrze. Pan Comrie nie miał do tego specjalnego zamiłowania po ukończeniu uniwersytetu w Edynburgu, chociaż uznawał tę konieczność. Każdy sąsiad chirurga poznawał gorzkie tego konsekwencje: kociaki jakby rozpływające się w powietrzu i Reks, ufny spaniel, węszący radośnie w porannym słońcu, ginący bez śladu. Lecz mastif Athertona to była śmiertelnie poważna sprawa. Uciekł i biegał w amoku – stworzenie tych rozmiarów, oszalałe od przeprowadzanych na nim badań. Sterroryzował ulicę, atakując kilka koni, a następnie ściągając z kozła woźnicę. Z pewnością rozszarpałby człowieka na strzępy, gdyby w ostatniej chwili

nie przybyli Atherton z Odenkirkiem, który powalił bestię strzałem z muszkietu. Niemniej sprawa była długo komentowana, a woźnicę należało ułagodzić pieniędzmi, podobnie jak właściciele poranionych koni, z których dwa musiano dobić.

Coś było okropnie nie w porządku z tym psem, poza oczywistym faktem, że oszalał. Było to podkreślane w ukazujących się po tym wydarzeniu sprawozdaniach w gazetach. Kilku świadków opisało dziwne skrzywienie szyi, a wszyscy rozwodzili się nad oczami, które miały już zawsze prześladować w snach – jak twierdzili – każdego, kto kiedykolwiek w nie spojrział. Później pojawiły się następne doniesienia, że mastif był znowu widziany, gdy nocą przemierzał ulice Londynu w towarzystwie samego Dionysusa Athertona. Ale oczywiście można się było tego spodziewać. Ludzie wymyślają najbardziej niedorzeczne historie, a gazety je rozpowszechniają i zanim się obejrzy, połowa świata jest przekonana, że to prawda.

Tak czy inaczej, panika w związku z mastifem wybuchła w czwartek po południu. Ja przybyłem do Crutched Friars w środę wieczorem, tuż po zmroku. W czasie mojej niedawnej podróży w głąb kraju poznałem nazwisko Athertona i miejsce jego zamieszkania. Tamtego wieczoru zapukałem do jego drzwi, zastrzegając, że nie odejdę, dopóki się ze mną nie spotka. Kiedy się wreszcie pojawił, powiedziałem mu, kim jestem.

– Jesteś kłamcą – rzucił.

Lecz wiedział, że to prawda, wystarczyło na mnie spojrzeć. Widziałem, że zaczyna mnie poznawać.

– Chryste – powiedział.

Zapadła już noc, więc wewnątrz domu było rzęsiście oświetlone. Słyszałem śmiech i głosy za nim. Widać miał gości. Ubrany był w aksamitną marynarkę i jedwabny krawat, a jego twarz zarumieniała się od wina.

– Czego chcesz? – zapytał po chwili. W jego głosie usłyszałem delikatny ślad akcentu z Lancashire, prawie niewyczuwalny, a jednak coraz wyraźniejszy z każdym kolejnym kieliszkiem wina. Nigdy nie można całkowicie ukryć tego, skąd się pochodzi ani kim się było. – Pieniądze, o to ci chodzi?

– Nie chcę pieniędzy.

– Zatem czego?

– Więc nic dla siebie nie znaczymy? – Usłyszałem własny słaby głos i poczułem ucisk w żołądku na myśl, że byłem głupcem, przychodząc tutaj.

Wyjął pugilares i podał mi banknot.

– Masz – powiedział, machając mi nim przed nosem. Dziesięć funtów.

– Nie chcę pańskich pieniędzy.

– Weź je.

– Moja matka...

– ...nie żyje od osiemnastu lat. Ale oczywiście wiedziałeś o tym, czyż nie?

Jednak nie wiedziałem, aż do tej chwili. A przynajmniej nie miałem pewności, chociaż oczywiście coś podejrzewałem. Myślę, że szok wywołany ciężarem ostateczności był wypisany na mojej twarzy.

– Chryste – powtórzył. – No więc teraz wiesz.

– Jak ona...

– A co to ma teraz za znaczenie?

Ktoś zawołał go z wnętrza domu – kobiecy głos, roześmiany i zachrypnięty od alkoholu. Pytał, co go zatrzymuje.

– Nic – odkrzyknął, odwracając się przez ramię. – Nikt.

Spojrzał znów na mnie.

– Gorączka – powiedział. – Zabrała ją gorączka.

– Był pan przy niej?

– Siostra była dla mnie niczym, gdy umierała. Tak jak ty teraz jesteś dla mnie niczym. Bierz, co ci daję, i nie przychodź tu więcej.

Zostawiłem go z banknotem w dłoni i wróciłem do Cripplegate, gdzie już mieszkaliśmy razem, pan Comrie i ja.

– Gdzieś ty był? – zawołał, gdy wspinałem się po schodach tego wieczoru.

– Nigdzie – odpowiedziałem. – Nieważne.

Nie ruszałem się z mojego kąta na strychu przez trzy dni: tylko William Starling i jego wierny czarny pies. Kiedy wyszedłem, odkryłem, że życie toczy się dalej, jak to życie. Więc się dołączyłem.

*

A teraz stałem tam, znowu przed jego domem w Crutched Friars, wieczorem w dniu procesu Meg Nancarrow. Jego powóz wjechał w ulicę

w chwili, gdy dzwon kościoła Świętego Andrzeja wybijał siódmą. Był łagodny majowy wieczór, liście szeptały na drzewach, a słońce wędrowało w stronę zachodniego horyzontu. Jego ostatnie promienie objęły Athertona, gdy wysiadał. W owej chwili przypominał Apolla opuszczającego swój rydwan.

Wyszedłem z za rogu, gdzie na niego czekałem. Słońce było teraz za mną i minęła chwila, zanim mnie rozpoznał. Zmrużone oczy osłonięte dłonią, a potem kwaśny grymas.

– Widziałem pana na procesie – odezwałem się. – Wynajął pan prawnika.

Odkryłem to, rozpytując na sali sądowej. Jeden z kancelistów mi o tym powiedział.

Atherton wzruszył ramionami, nie próbując zaprzeczać.

– Dlaczego? – spytałem.

– Żeby ją bronił, rzecz jasna.

– To miała być o b r o n a? Lepiej by sobie poradziła całkiem sama.

– Skąd miałem wiedzieć, że tak spartoli sprawę?

– Świadek został opłacony. Panicz Buttons.

Miał zamiar przejść obok mnie, ale to stwierdzenie zatrzymało go w miejscu. W międzyczasie Odenkirk wyszedł z domu za nami i teraz pochylał się złowrogo, stojąc na schodach.

– Odprowadzić go, panie Atherton?

Atherton go zignorował, wwiercając we mnie spojrzenie tych swoich błękitnych oczu, jakby mierzył z pistoletów.

– Jesteś tego pewien? – zapytał. – Stawiasz poważne zarzuty, a stawką jest życie kobiety. Jeśli masz dowód, przedstaw go teraz.

Lecz oczywiście nie miałem dowodu. Niczego poza tym, co oczywiste i co widział cały świat – lub przynajmniej ta jego część, która gniotła się w sali sądowej, kiedy Buttons wysyłał Meg na szubienicę.

– Widział go pan – powiedziałem – tak samo jak ja. To aktor, odgrywał rolę. I miał na sobie nowe ubranie. Człowiek, który jest winien pieniądze połowie lichwiarzy w Londynie.

Wiedziałem już co nieco o Linwoodzie Buttonsie. Pytałem o niego w Królu Danii, tawernie naprzeciwko Old Bailey, gdzie znano go jako pijusa i żebraka.

– Skąd taki człowiek miałby mieć nowiutki komplet ubrań, jeśli nie od kogoś, kto mu go kupił?

– Wiesz, gdzie on jest?

Nie wiedziałem. Buttons zniknął natychmiast po odegraniu swojego przekłętą przedstawienia. Rozpłynął się pośród miliona kotłujących się dusz w Londynie.

– Wiesz, jak go znaleźć? – zapytał Atherton.

Lecz oczywiście i tego nie wiedziałem.

– A zatem... – Atherton wzruszył ramionami.

– Co pan jej powiedział? – zapytałem.

– Komu?

– Meg Nancarrow. Kiedy poszedł pan się z nią zobaczyć w Newgate. Co pan jej wtedy powiedział?

Spojrzał na mnie jak na jakiś dziwaczny okaz na swoim stole: karłowaty łapserdak z pretensją do elegancji, któremu się wydaje, że może rozliczać z uczynków Coraz Sławniejszego Człowieka Nauki. Lecz odpowiedział na moje pytanie, podczas gdy Odenkirk czał się za nim niczym wilk.

– Powiedziałem, że jej pomogę, jeśli będę mógł.

– A co pan jej powiedział, kiedy wrócił pan tam dzisiaj po południu?

– Że co?

– Do Newgate. Kilka godzin temu. Niedługo po tym, jak przywieźli ją z procesu. Poszedł pan się znowu z nią zobaczyć.

– Chcesz powiedzieć, że mnie ś l e d z i ł e ś?

Tak naprawdę to było przypadkowe odkrycie. Sam godzinę wcześniej poszedłem do Newgate zobaczyć się z Meg, ale mnie nie wpuścili. Przenoszono ją tego wieczoru z żeńskiego bloku do jednej z cel śmierci po drugiej stronie. Lecz powiedziano mi, że ktoś ją już odwiedził: pan Dionysus Atherton, który obecnie wyglądał na niezdecydowanego, czy ma mnie uderzyć, czy się roześmiać.

Zdecydował się na to drugie, parskając sardonicznie i potrząsając głową nad moim zachowaniem.

– Powiedziałem jej, by wytrwała dzielnie. I że nadal będę robił dla niej, co tylko w mojej mocy.

– Czyli co?

– Na tę chwilę? Bóg świadkiem, że niewiele. Ale przedstawię sędziom teorię obrony.

Nie można złożyć apelacji od wyroku sądu w Najwyższym Majestacie Brytyjskiego Wymiaru Sprawiedliwości, jednak faktycznie można było

zwrócić się do trzech sędziów. Mieliby wówczas spotkać się ponownie w sobotę następującą po wydaniu wyroku skazującego na karę śmierci, by rozważyć nowe informacje. W niektórych przypadkach mogli zmienić zdanie i przedłożyć rekomendację Ministrowi Spraw Wewnętrznych, który z kolei mógł zmienić wyrok śmierci na dożywotnie zesłanie. Czasem to się zdarzało.

– A tak w ogóle, to czemu to pana obchodzi? – zapytałem go.

Było to pytanie, które dręczyło mnie najbardziej ze wszystkich. Czemu taki człowiek jak Atherton miałby się przejmować tą sprawą?

– Czemu miałaby mnie obchodzić taka dziwka jak Meg Nancarrow? O to pytasz? Nie obchodzi mnie, nie osobiście. Jednak mam zobowiązania wobec rodziny. Jemmy Cheese działał na moje zlecenie tej nocy, gdy został aresztowany. Muszę chronić swoją reputację wśród bractwa Trupiarzy. Jestem chirurgiem. Muszę robić z nimi interesy.

Zmrok gęstniał wokół nas. Dwukółka turkotała, jadąc ulicą przy akompaniamencie potężnego pomruku Londynu.

– A może przypomina mi kogoś, kogo znałem dawno temu. Kogoś, o kogo się troszczyłem.

To było do niego niepodobne. Dotąd się nad tym zastanawiam – dlaczego w ogóle powiedział coś takiego, i to akurat do Williama Starlinga. Jaki instynkt kazał mu się otworzyć, mimo odrazy?

– Nie tyle wyglądem, co duchem. Ta przekora. Moja siostra też ją miała.

Mówiąc to, patrzył ponad moim ramieniem w dal. Na rogu ulicy stał chłopiec w zielonej kamizelce z małą na rzemyku. Żebrał. Nie jestem pewien, czy Atherton go w ogóle widział, bo patrzył o wiele dalej.

– Masz jej uśmiech – powiedział. – Nie sądzę, żeby ktokolwiek ci to kiedyś powiedział. Uśmiech twojej matki.

No cóż.

W całkiem innej opowieści byłaby to chwila na łyż. Zasnute mgiełką spojrzenia dwóch mężczyzn, pełne zakłopotania pocieranie oczu rękawem marynarki i mrukliwe mamrotanie ustępujące chwytaniu za ręce, padaniu sobie w objęcia i urywanym okrzykom na temat przeklętej zawziętości dumnych serc oraz ulotności życia. Tymczasem my po prostu patrzyliśmy na siebie, a między nami były dwa kroki i otchłań.

– Powiedz mi coś innego – odezwałem się. – Wuju.

Patrzyłem, jak to słowo na niego działa. Spięło mu ramiona i usztywniło kręgosłup: słowo równie mile widziane, co sonda chirurgiczna w odbycie. Widok ten przynosił mi drobną, zimną satysfakcję.

– Co zrobiłeś temu psu?

– Psu? Jakiemu psu?

– Mastifowi.

Właściwie nie jestem pewien, dlaczego o to wtedy spytałem, po tylu miesiącach. Jednak zrobiłem to. Atherton wpatrywał się w Waszego Wielce Unizonego, a potem po raz drugi w ciągu tych kilku minut zaczął się ze mnie śmiać.

– Co ja mam niby powiedzieć? Że użyłem tego stworzenia do jakiegoś ohydneho eksperymentu, kierując się bezbożną ambicją i podkuszony przez samego Belzebuba? Dalej, wierz, w co tam sobie chcesz.

Odwrócił się na pięcie i wszedł do domu.

Oczy mastifa były szkarłatne – tak zeznali liczni świadkowie, a przynajmniej tak twierdziły gazety. Szkarłatne i płonące niczym węgle. Dalsze sprawozdania wspominały o wysokim mężczyźnie ze złotymi włosami, wyłaniającym się z nocnej mgły z bestią wlokącą się obok. Widziano ich kroczących z niecnym zamiarem wzdłuż Ratcliffe Highway oraz dwukrotnie na Fleet Street.

Ufam w wasz osąd. Ocenicie sami, ile warte są te informacje.

*

Chłopiec na rogu miał może z dziesięć lat. Miąłem go, gdy odchodziłem. Był Hiszpanem lub może Włochem. Sieroty i włóczędzy z Kontynentu napływali do Londynu od czasu Waterloo. Butelkowozielona kamizelka, oliwkowa cera i mała osowiała małpka wystawiona na pokaz przed gawiedzią za pół pensa.

Przez cały ten czas wzrok Odenkirka wypalał dziury w moich plecach. Pozostał przed drzwiami po tym, jak Atherton zniknął we wnętrzu domu.

– Nie zostawałbym tu – powiedziałem do chłopca, kierowany nagłym impulsem.

Zamrugnął. Nie byłem pewien, czy mnie zrozumiał, więc przesiałem w pamięci mizerny zasób znanych mi hiszpańskich słówek. Zmarszczył się.

Por qué?[13]

Mógł z dużym prawdopodobieństwem być sierotą, wielu z nich było. Byli też mężczyźni, którzy nadzorowali grupę małych żebraków, zabierając im połowę pieniędzy. Zwierzęta wynajmowano na dniówki. Popularnością cieszyły się małpki i białe myszy.

To nie była dobra dla niego ulica, powiedziałem, składając z trudem słowa. Przed tamtym domem jest człowiek – tak, właśnie tamten. Pracuje dla innego mężczyzny, tego, z którym przed chwilą rozmawiałem. *Cirujano* to po hiszpańsku chirurg. Niebezpieczny to *peligroso*.

– Rozumiesz, o czym mówię? Powinieneś iść gdzie indziej. To nie jest dla ciebie dobre miejsce.

Ale kiedy się obejrzałem na końcu ulicy, on nadal tam był.

*

Chociaż tego wieczoru byłem już spóźniony do domu w Cripplegate, to pospieszyłem na południowy zachód, przez Smithfield, a potem w dół Ludgate Hill, gdzie wrzuciłem pensa do koszyka ślepego żebraka, który siedział w swoim zwykłym miejscu na rogu Fleet Street. To był ruchliwy róg – nawet teraz, gdy zbliżała się noc, był tam tłum szturchających się i burczących ludzi. Tak się składa, że niewidomy żebrak nazywał się Gibraltar Charley. Grał na małych organkach i miał psa, który tańczył – londyński kundel ogolony tak, by wyglądał jak pudel. Siedząc w wiecznej ciemności, Charley zwykł wołać: „Błagam o zachętę dla niego, moi dobrzy chrześcijanie! Proszę, zachęćcie Tima, prawdziwego tresowanego francuskiego psa!”. Ktoś rzucał monetę na bruk i Tim tańczył na tylnych łapkach. Był zawodowcem: jeśli wymagane były pudle, Tim stawał na wysokości zadania. Poza tym nie miał aż tak źle. Inne psy w tym momencie ganiały po kanałach gigantyczne szczury.

Minąłem ich, skręciłem w Black Friars Lane i wszedłem do Trzech Wesołych Kogutów. W środku były ze trzy tuziny mężczyzn zajętych piciem. Rozmawiałem z nimi – z każdym z osobna – i odkryłem, że sześciu było tam również w noc morderstwa, a czterech z nich pamiętało Meg siedzącą z człowiekiem w okrągłych okularach, które połyskiwały w świetle kominka. Dwóch rozpoznało w nim lichwiarza Cheese’a.

Wszyscy dobrze znali Meg Nancarrow, w końcu przecież tam pracowała. Padły ostre słowa, zostały wypowiedziane groźby. O tak, oni też to słyszeli,

dokładnie tak jak Alf Szykarz powiedział na procesie. Od tamtej pory ciągle to powtarzał za barem – całe popołudnie i wieczór od powrotu z Old Bailey. Klienci wchodzili i stawiali mu drinki, tłocząc się wokół, by usłyszeć całą historię raz jeszcze. Alf był wstrząśnięty do samych gaci, gdy usłyszał o morderstwie, zaszokowany do głębi – a jednak może wcale nie tak znowu zaszokowany, bo zawsze podejrzewał, co z Meg za ziółko. Czuł to w trzewiach.

Ponure szemranie. Alf Pertwee, łysy i nalany, pokiwał mądrze głową. W przemyślanej opinii Alfa powieszenie było zbyt łagodną karą dla takich jak Meg. W dawnych czasach w ogóle nie wieszano zbrodniarek – palono suki w Smithfield.

Ale czy widział Panicza Buttonsa tamtej nocy?

Alf rozejrzał się w poszukiwaniu źródła pytania. Spojrzał w dół. Oczy przesłonięte ciężkimi powiekami odnalazły Waszego Wielce Uniżonego.

Nie, nie widział. Czy był tego pewien? A jakże. Widział tego Buttonsa wcześniej, ale nie tamtej nocy. Z Meg Nancarrow? Nie, nigdy nie widział Panicza Buttonsa z Meg Nancarrow. Ani też nie wie, gdzie można go teraz znaleźć.

– Zatem co z Dionysusem Athertonem?

Bowiem bardzo mroczne wrażenie właśnie zaczęło mnie dręczyć. To nawet nie było podejrzenie – nie tak namacalne. Nawet nie pytanie, które mógłbym ująć w słowach.

– Eee? – wydukał Alf.

Powiedziałem mu, że był na procesie. Na galerii dla publiczności. Wysoki dżentelmen o złotych włosach, w płowych spodniach i marynarce błękitnej jak niebo.

Alf zmarszczył brwi, przypominając go sobie.

– I co z nim?

– Czy kiedykolwiek widziałeś go z Meg?

– Co, tutaj?

– Albo gdziekolwiek indziej.

Alf potrząsnął głową. Nie, nigdy nie widział tego dżentelmena. A czemu chciałem wiedzieć?

Nie bardzo wiedziałem, jak odpowiedzieć na to pytanie. Ale coś było nie tak z tym wszystkim. Coś było tak bardzo nie w porządku, jak to tylko możliwe.

*

Wydęte poły jego fraka, gdy stał przed nią w Newgate, niczym skrzydła drapieżnego ptaka. Łuk jego ciała naprzeciw jej skulonego bezruchu.

– Mówiłem poważnie, panno Nancarrow. Proszę się tego ściśle trzymać. Nawet gdyby doszło do ostateczności.

Kolejne przerażające doniesienia

Z gazety codziennej

11 maja 1816 roku

Są nowe doniesienia na temat Gapiciela, który po raz pierwszy pojawił się jakiś czas temu w okolicy cmentarza St Mary-le-Bow, żaląc się przechodniom, iż został pozbawiony przysługującego mu zakwaterowania za bramą i w związku z tym jest zmuszony pozostawać bezdomnym do Końca Świata. Staje się jasne, że Istota zaczyna zapuszczać się coraz dalej w głąb Metropolii, już to w przyпіływie desperacji czy też rosnącej śmiałości, co źle wróży tym, którzy spotkają ją na swej drodze. Trzy noce temu Gapiciel był widziany w pobliżu cmentarza w Whitechapel, gdy stał niczym fantom we mgle, a jeszcze tej samej nocy widziano, jak przemyka zaułkiem niedaleko Haymarket. Pojawiła się też pogłoska, potwierdzona u kilku źródeł, o niesamowitym spotkaniu w biały dzień. Pewien kominiarczyk trzymany za kostki i opuszczony w dół komina przy Gower Street nagle jakby oszalał. Zupełnie głuchy na słowa swego mistrza, by zachowywał się jak mężczyzna i zaprzestał wrzasków, chłopiec został w końcu wyciągnięty w stanie roztrzęsienia i żałośnie zapłakany. Po wielu napomnieniach i kuksańcach zdołał się wreszcie wytłumaczyć ze swego zachowania i dał swym rozmówcom do zrozumienia, iż w połowie komina natknął się na Gapiciela wpatrującego się w niego z dołu.

Kolejny incydent zgłoszono zeszłej nocy. Niedługo po zmroku sześćioletnia dziewczynka przechodziła w pobliżu St Bartholomew the Great w Smithfield, niosąc ojcu do domu pasztet i kufel piwa zakupione w piwiarni przy Charterhouse Street. Spiesząc obok cmentarza, usłyszała błagalny głos i spostrzegła Postać stojącą w ciemności przy bramie.

„Pomóż mi” – powiedziała Postać. Kiedy dziecko spytało, kto mówi, Postać odpowiedziała, że „Bob”, i raz jeszcze poprosiła o natychmiastową pomoc. Ostrożność została pokonana przez niewinną chrześcijańską troskę i dziecko podeszło bliżej, by spytać, co się stało, na co „Bob” odpowiedział, iż jest zgubiony i opuszczony, lecz mógłby jeszcze odnaleźć swoje miejsce, jeśli tylko dziecko wzięłoby go za rękę i poprowadziło.

Być może nawet by to zrobiła, będąc poruszoną w głębi niewinnego serduszka, gdyby nie to, że w samą porę ujrzała, iż „Bob” miał dwoje wielkich, wytrzeszczonych oczu i „włosy sterczące prosto w górę, najokropniej w świecie”. Zrozumiała wówczas, że nie jest to zwykły włóczęga, lecz Gapiciel we własnej osobie, przed którym była bardzo ostrzegana. Upuściwszy pasztet i piwo, dziecko uciekło w popłochu, nie zatrzymując się, dopóki nie dotarło do bezpiecznej przystani swego domu, gdzie ojciec spytał, cóż ją tak wystraszyło i „co do k... stało się z jego kolacją”.

„On ją ma, papo – odpowiedziało udręczone dziecko. – On ma twoją kolację – Gapiciel Bob!”

Panna Smollet zobaczyła artykuł w sobotę, podobnie jak ja. Najbardziej ze wszystkiego niepokoiło ją imię.

– Przedstawił się jako B o b. – powtarzała.

Wracając ciągle do tego jednego szczegółu, za każdym razem starałem się argumentować, że zwariowane opowieści dziecka niczego nie dowodzą, podobnie jak doniesienia gazet.

– Ale to jest coś więcej niż jedno doniesienie i jedno dziecko – powtarzała. – Ludzie go widują... ja widziałam go dwa razy. A imię?! Nazwał siebie Bobem, spośród wszystkich imion w Londynie...

Wtedy wreszcie opowiedziałem jej, co oznajmił mi Isaac Bliss dwa dni wcześniej.

– Powiedział, że zdawała się dziwnie lekka, trumna Boba Eldritch, kiedy zabierali ją z zakładu pogrzebowego. Sam nie pomagał w jej podnoszeniu, ale patrzył, jak inni pomagali. „Podnieśli ją, jakby prawie nic nie ważyła. Może po prostu mieli taką krzepę, a ten człowiek w środku był dość mały, ale wydało mi się to wtedy dziwne, Will”.

A potem zrelacjonowałem jej całą resztę, chociaż wiedziałem aż za dobrze, dokąd to doprowadzi.

– Atherton próbował sprowadzić go z powrotem – rzuciłem. Byliśmy akurat przed domem w Holborn, zapadał zmierzch. Towarzyszyłem pannie Smollet, by zabrać kilka jej rzeczy, które chciała mieć przy sobie w nowym miejscu, u Janet Friendly przy Milford Lane. Ruch uliczny zamierał w gęstniejącym mroku, a ptaki w sklepie ptasznika ćwierkały słabo. – Bob Eldritch... Tej nocy, gdy zmarł. Atherton próbował go ożywić.

Panna Smollet nie rozumiała, co miałem na myśli, nie od razu.

– Wiem, Willu, byłam tam.

– Nie, nie w Fountain Court. Godzinę później, w stajni za domem Athertona.

Nadal nie pojmowała – nie bardzo. Ale widziałem, że zrozumienie zbiera się niczym cień na jej twarzy.

– Jest tam pewna kobieta – powiedziałem – gosposia. Popija laudanum i opowiada zwariowane historie. Z trudem sam mogłem jej uwierzyć.

– Co powiedziała?

No to jej zreferowałem, a kiedy skończyłem, zapadła straszna cisza.

– Chce pan powiedzieć, że on... ożywił go z martwych?

– Lub przynajmniej podjął próbę.

W sklepie za nami chór ptaków powoli zamierał. Najwyraźniej ptasznik przykrywał klatki na noc pokrowcami – tak wolałem sądzić. W gęstniejących ciemnościach twarz panny Smollet szarzała z przerażenia, a widmo Boba Eldritch'a unosiło się między nami i niemal widziałem inną scenę zamiast tej: mając serdecznie dość treli, ptasznik z gniewem szura nogami i mamrocze, depcząc swoje ptaszęta jedno po drugim.

– Ma pani rację, panno Smollet. To niemożliwe. – Usłyszałem, jak sam zaprzeczam własnym mrocznym domysłem. – Będąc człowiekiem nauki, wiem to. Jako asystent chirurga...

Ale nawet w chwili, gdy to mówiłem, wiedziałem, co zrobię, poczyniłem bowiem już przygotowania.

– Panno Smollet, zamierzam odprowadzić panią na Milford Lane, gdzie będzie pani dziś bezpieczna. A potem zamierzam znaleźć odpowiedź, w ten czy inny sposób.

– Jak?! – wykrzyknęła zaniepokojona.

Jednak sądzę, że już zaczynała się domyślać. W końcu był tylko jeden sposób na to, by stwierdzić z całą pewnością, czy Bob Eldritch został w ogóle pochowany.

– Willu! Z pewnością nie zrobiłby pan tego!

Jednakże zrobiłbym.

I od tamtej pory się zastanawiam: czy to się stało tamtej nocy? Czy to owej dzikiej, czarnej nocy wystąpiłem ze słodkiego światła rozumu, niczym wędrowiec opuszczający ostatni oświetlony dom na leśnej drodze, i wkroczyłem w ciemność tak głęboką, że już nigdy nie miałem się z niej

całkowicie wynurzyć? A może moment przejścia nastąpił już przedtem? To pytanie również sobie zadaję. Być może stało się to cały rok wcześniej na polu bitwy pod Quatre Bras. I każdy krok, który postawiłem od tamtej pory, prowadzi mnie tylko głębiej w noc.

*

Żołnierska Dola stoi na skrzyżowaniu Giltspur Street i Cock Lane, naprzeciw St Bart's Hospital. Nazwę tę wybrał jeszcze w poprzednim stuleciu były właściciel, który zakończył karierę w marynarce i przeszedł w stan spoczynku bez obu nóg i z tylko jedną ręką, przynajmniej tak mówili. Mnie osobiście trudno było sobie wyobrazić, jak człowiek miałby obsługiwać bar, mając jedną tylko kończynę, ale może Wasz Wielce Uniżony ma za małą wyobraźnię.

Żołnierska Dola przypominała każdą inną tanią tawernę w Londynie, z tą różnicą, że miała mały pokoik na tyłach, w którym każdej nocy mogło leżeć nawet tuzin zwłok – Obiektów, by użyć branżowej nomenklatury. Sztywniaki były w różnym stadium rozkładu, każdy z karteczką z nazwiskiem człowieka, który go dostarczył, Żołnierska Dola była bowiem ulubioną speluną Trupiarzy na północ od rzeki. O każdej porze można było zastać kilku z nich w knajpie przy kielichu. Nosili kurtki dokerki i wymięte czapki, a w pracujące noce zamszowe kurty. Mieli w sobie coś z nikczemnego zakrystiana. Od czasu do czasu któryś z chirurgów z St Bart's wpadał, by przejrzeć Obiekty, jakby były dorszami ułożonymi na deskach, i jeśli ustalono cenę, portier szpitalny taszczył nabytek do Domu Śmierci na sekcję. Jeśli Obiekt zaczynał się rozkładać, właściciel mógł nie znaleźć nabywcy w St Bart's, a wtedy ładował go do kosza i taszczył do innego szpitala lub do którejś z prywatnych szkół anatomii.

Tuż po północy przecisnąłem się do środka i rozejrzałem w kłębach dymu, aż dojrzałem Małego Hollisa. Był tam, jak obiecał, kiedy zawarliśmy umowę wcześniej tego wieczoru. Siedział z dwoma lub trzema innymi i kiwnął głową, gdy pochwyciłem jego spojrzenie. Osuszył kufel i pożegnał towarzyszy – nie omawiało się interesów takich jak nasze z ludźmi, którzy nie byli partnerami w przedsięwzięciu – a potem wstał, minął mnie i przeszedł przez drzwi z uniesioną dupą. Poszedłem za nim.

– Masz narzędzia? – zapytałem, gdy staliśmy razem wśród ciemności na Cock Lane.

Stojąc w oparach świeżego moczu, łypnął okiem na srebrny księżyc i powiedział:

– Zmiana planu. Zyski bandom tera osiemdziesiont na dwadzieścia.

– Umówiliśmy się na pół na pół – zaprotekowałem. – Po równo.

– Ollis zapewnia narzędzia. Ollis ma wiedze. Wienc bendzie osiemdziesiont procentów dla Ollisa. Przybijasz czy nie?

Spojrzał na mnie z ukosa i splunął. Oczywiście blefował. Mały Hollis był zależny od Wujka Cheese'a w kwestii zdobywania informacji o trupach i umawiania się z zakrystianami, a w kwestii ochrony przed konkurencyjnymi gangami polegał na biednym Jemmym. W branży Trupiarzy panowała duża konkurencja, więc wolny strzelec mógł znaleźć się w bardzo ciężkim położeniu. Domyślałem się, że nie miał fuchy od czasu owej strasznej nocy na cmentarzu St George-in-the-East, co tłumaczyłoby to, iż był dostatecznie zdesperowany, by przyjąć moją propozycję.

Jednakże Wasz Wielce Uniżony bynajmniej nie robił tego dla pieniędzy. Pół na pół czy osiemdziesiąt na dwadzieścia nie robiło mi specjalnej różnicy – zwłaszcza że miałem silne przekonanie, iż skończy się to całkiem na niczym. Ale pozwalałem mu myśleć, że czuję się bardzo pokrzywdzony, i podjąłem próbę wytargowania podziału sześćdziesiąt na czterdzieści, zanim poddałem się i dałem mu zgarnąć trzy czwarte.

Wydał pomruk cwaniackiej satysfakcji i wymamrotał, że Wasz Wielce Uniżony powinien się cieszyć, że w ogóle cokolwiek dostanie.

– Som tacy jak ty i som tacy jak Ollis. Z Ollisa jest profesjonalista, pierwszego sortu profesjonalista, co to zna siem z takimi jak Jemmy Cheese i Nedward Cheshire. Okropny niefart dla takich jak Ollis. Straszna strata, że łon pokiereszowany. – Potrząsnął ponuro głową. – I Meg Nancarrow też, najgorzej ze wszystkich. Z niom też koniec, z Meg... Nie ma nadziei dla suki.

– Wierzysz, że to zrobiła? Że zamordowała Wujka Cheese'a?

Nie wahał się długo nad odpowiedzią.

– Tak mówiom, no nie?

– Myślę, że jest niewinna.

– Nie nasza rzecz decydować.

– Chryste, chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło.

Bo tamtej nocy nie wiedziałem. Stojąc w ciemnościach przed Żołnierską Dolą nie posiadałem jeszcze żadnego z kawałków układanki, które później złożyłem w całość. Nie miałem pojęcia, jeszcze nie, o wizycie złożonej przez Wujka Cheese’a w Crutched Friars, z Małym Hollisem czekającym na zewnątrz, by popędzić po konstabla, gdyby Cheese się nie pojawił. Patrząc teraz wstecz i odtwarzając tamtą noc przed Żołnierską Dolą po tylu miesiącach, mogę sobie wyobrazić ukradkowy grymas przemykający po gębie Małego Hollisa. Mogę wręcz zobaczyć najdrobniejsze przygarbienie wąskich ramion.

Lecz w tamtej chwili nie widziałem nic, zajęty zadaniem, które na mnie czekało. Wtedy nagle rozległo się szuranie butów na bruku i Mały Hollis cofnął się, gdy jakaś postać wyszła z mroku za nami.

Szczupła figurka w męskiej workowatej kurtce, znacznie za dużej, i w czapce, jakie nosili co bardziej szemrani jegomości, podniosła lampę z byczym okiem.

– DOKONAJMY ZATEM DZIEŁA – rzuciła panna Annie Smollet.

Powiedziałem jej wcześniej, że z nami nie idzie. Postawiłem sprawę całkiem jasno, lecz ona na to nie zważała. Powtórzyła, że pójdzie i koniec. A teraz stała tam, w stroju pożyczonym – jak mogłem jedynie zgadywać – od przyjaciółki z jednego z teatrów i upychała luźny lok pod czapkę, patrząc na mnie z desperackim postanowieniem.

Mały Hollis gapił się na nią z niedowierzaniem.

– O żesz, kutas z grzybnią – powiedział.

– Ma WOLA JEST NIEUGIĘTA – rzekła panna Smollet. – A gdy ma WOLA JEST NIEUGIĘTA, nic jej nie wzruszy, ani PROCH STRZELNICZY, ani ARMATNIE KULE.

Miałem wrażenie, że solidnie to wszystko przećwiczyła, kiedy stała tam, czekając, aż wyjdę z tawerny. I w rzeczy samej była to na swój sposób porywająca deklamacja, pod warunkiem że to, co mieliśmy zrobić, byłoby zaczerpnięte z taniego dreszczowca.

– PROWADŹ! – rzuciła panna Smollet.

Mały Hollis obejrzał się na mnie.

– Jak tak, to tera beńdzie dziewieńdziesiont na dziesięć.

Cmentarz St Mary-le-Bow leżał pół mili na południowy wschód od Żołnierskiej Doli, najpierw jednak skręciliśmy na północ, zatrzymując się przy dziupli, gdzie Hollis zdołował narzędzia, a potem ruszyliśmy w drogę. Mały Hollis niósł swą dupę na przedzie, a panna Smollet trzymała się blisko mnie i mówiła szybko przyciszonym głosem:

– Wiem, CO NAS CZEKA. Co więcej, wiem, jak ZADANIE MA BYĆ WYKONANE.

Wyglądało na to, że grała kiedyś w sztuce z wątkiem rabowania grobów...

– Było to DZIEWCZĘ, które zostało EKSHUMOWANE. Wspaniała rola, i wielce dramatyczna, zostałam bowiem pchnięta nożem prosto w serce i moja rana zaczynała krwawić, gdy morderca spojrział na moje biedne zwłoki. Tak zachowują się śmiertelne rany, Willu, każdy to wie, by określić winnego i wymierzyć sprawiedliwość z za grobu. To jest FAKT MEDYCZNY, udokumentowany przez UCZONE OSOBY. I to było bardzo przejmujące. Wstałam powoli, z oczami pełnymi niedoli i świętej zemsty, i wzniosłam drżącą rękę, by wskazać złoczyńcę. Nie był to tak naprawdę prawdziwy teatr, raczej kabaret za pensa, pełen wyrzuconych z terminu czeladników podchmielonych dżinem. Lecz, o! Sapali i wiwatowali, kiedy usiadłam, i przysięgam, że zrobiliby to nawet wtedy, gdyby mój pośmiertny strój zakrywał ciut więcej na górze...

Obchodziliśmy katedrę Świętego Pawła, przemykając szybko wzdłuż Cheapside, gdy wraz ze zmianą wiatru dopadł nas smród – oto znaleźliśmy się przed zardzewiałą bramą cmentarza St Mary-le-Bow. Właśnie wtedy wszystko to stało się dla panny Smollet BARDZO REALNE. Stała jak wryta z cichym sapnięciem, podnosząc wysoko lampę i chwytając wolną ręką moją kurtkę. I przyznaję, że nagle zaczęło to być REALNE również dla Waszego Wielce Uniżonego.

Co innego ułożyć plan w głowie, czy też przemknąć ukradkiem przez cmentarz w biały dzień, jak to zrobiłem tego popołudnia, by przypomnieć sobie dokładne położenie grobu i poszukać jakichś oznak wskazujących na to, że Trupiarze już tam byli, a co innego wkraść się przez zardzewiałą bramę w głębokich ciemnościach nocy, gdy kontury kościoła wyłaniają się przed wami z czerni, a odór rozkładu unosi się wokół, odnaleźć drogę wśród gmatwaniny nagrobków i krzyży, wyciągnąć drewniany szpadel z konopnego wora i zacząć kopać. Nawet pięć długich lat w szpitalu

polowym nie może was do tego przygotować, zwłaszcza jeśli był tu również Bob Eldritch, obecny w każdym skrzypnięciu samotnej gałęzi i upiornym szepcie wiatru.

– Wszystko w porządku. – szepnąłem do panny Smollet. – Nie ma tu żywych, którzy mogliby nas wyśledzić, a ze strony zmarłych nic nam nie grozi.

Lecz przysięgam, że z każdym moim ostrożnym krokiem czułem na sobie wzrok wytrzeszczonych oczu. Kiedy dotarliśmy do grobu, wziąłem lampę od panny Smollet i skierowałem na niego snop światła.

– To ten – rzuciłem.

Tabliczka z nazwiskiem Boba Eldritch'a i kopiec ziemi. Mały Hollis spojrział na mnie oskarżycielsko.

– Już osiada. Mówiłeś, że od kiedy ten tu woncha kwiatki od spodu?

Nie mówiłem tak konkretnie, kiedy wprowadzałem Małego Hollisa w plan. Pozwoliłem mu myśleć, że pogrzeb odbył się niedawno, ponieważ oczywiście zwłoki traciły wszelką wartość, gdy gniły już od zbyt wielu dni. Teraz też nie odpowiedziałem mu wprost, bo chciałem to już mieć za sobą.

Bez wątpienia przeczytaliście tony tanich krwawych broszurek – czyż wszyscy tego nie robimy? – i widzieliście sporo z nich wystawianych na scenie: powstające trupy, zawodzące duchy i diabły w kłębach siarkowego dymu. Pozwolę wam zatem, byście sami wyczarowali sobie obraz: panna Smollet stojąca nieruchomo niczym głąz w świetle księżycy – bo właśnie wyszedł księżyc, wiem, że wyszedł, bo gdyby go nie było, to powinien być być – podczas gdy William Starling i Mały Hollis garbili się, mamrotali i ryli niczym krety. Trzonek pod kątem w dół i wtedy nagle – wreszcie – odbicie i głuchy odgłos, gdy mój szpadel uderzył w trumnę. Kucnąłem z zapartym tchem, kiedy Mały Hollis wśliznął się do dołu głową do przodu. Rozległy się straszliwe odgłosy – trzeszczenie podważanego łomem wieka, jakby zardzewiałe wrota piekieł otwierały się pod nami. Potem wyśliznął się z powrotem i podał mi linę.

Lecz coś było nie tak. Coś było całkiem nie tak, bo na końcu liny był ciężar, duży ciężar. Gdy Hollis pociągnął, ja zrobiłem to samo. Ciężar rósł, a wraz z nim rosło moje zmieszanie, aż po trwającej pół minuty wieczności bezkształtna bryła leżała na ziemi. Zalał nas smród, gdy Mały Hollis jednym szarpnięciem odchylił całun. I oto były: szczątki Boba Eldritch'a sprzed tygodnia, błękitne i rozdęte w żółtym świetle lampy.

Panna Smollet z krzykiem upuściła lampę, a Mały Hollis zaklął.
– Zepsuty! – wykrzyknął gorzko. – Tylko paczcie na niego – zepsuty!

*

A Wasz Wielce Uniżony był tak pewien, że znajdziemy... no właśnie co? Pustą trumnę i niepodważalny dowód na to, że Dionysus Atherton dokonał jakiegoś gwałtu na naturze? Nie, to nigdy nie było jasne – i z pewnością musiałem to wiedzieć, nawet w chwilach najdzikszych domniemywań. Mogło istnieć proste wytłumaczenie, nawet gdyby trumna okazała się pusta: że Atherton zdecydował się poddać przyjaciela sekcji i zaaranżował chrześcijański pochówek dla zachowania pozorów.

Jednak sam siebie przekonałem, że było w tym coś jeszcze. Jakiś dowód na to, że Atherton to naprawdę taki łotr, jak w głębi serca czułem. A teraz nie miałem nic oprócz świeżo wykopanej dziury i całunu wypełnionego wzdętym Bobem. Mały Hollis wychodził z siebie z poczucia krzywdy i zostawił mnie, bym sam pochował ciało – no bo cóż innego miałem z nim zrobić? – z pomocą biednej panny Smollet, którą targały różne emocje – od przyprawiającej o zawrót głowy ulgi poprzez dezorientację po ściskającą gardło zgrozę z powodu tego, gdzie się znajdowaliśmy i co robiliśmy. Godzinę później nadal była w tym stanie, gdy znaleźliśmy knajpę obok doków otwieraną przed świtem, gdzie kupiłem dwie ćwierć kwarty dżinu – po jednej dla każdego – nie będąc pewnym, które z nas bardziej potrzebuje wzmocnienia.

Kiedy panna Smollet wypięła swoją kwartę do dna, przez chwilę lub dwie przeważała ulga. Zrzuciła z głowy czapkę i rozrzuciła truskawkowe loki ku pełnemu zaskoczenia podziwowi wodniaków siedzących przy stole niedaleko. Jej oczy lśniły, gdy chwyciła moje dłonie.

– Zrobiliśmy to, Willu Starling, czyż nie? DOKONALIŚMY DESPERACKIEGO CZYNU. Wykopaliśmy go i był tam! – Wybuchła trzpiotowatym śmiechem, wyczerpana i nieco zdumiona. – Ale nie rozumiem, Willu... Nic z tego nie rozumiem. Bo widzieliśmy go leżącego na ziemi, sinego, a jednak widziałam go też, jak drapał w moje okno. Och, to najzabawniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Kręci mi się od tego w głowie. Przysięgam, że nigdy więcej nie zasnę i... Willu, cóż ja pocznę?

Śmiała się, jakby nigdy nie miała przestać, a potem nagle zalała się łzami.

Mój własny łeb też nieźle wirował i niczego innego nie pragnąłem w owej chwili, jak dowlec się z powrotem do Cripplegate i pójść spać. Jednak nowy dzień miał odkryć nową sensację i to taką, która ogłuszyła mnie niemal tak mocno, jak znalezienie Boba Eldritch'a w jego własnej trumnie.

Meg Nancarrow złożyła pełne zeznanie.

*Przedśmiertne Zeznanie Meg Nancarrow
Spisane przez Funkcjonariuszy Sądowych*

Ja, Margaret Elizabeth Nancarrow, prostytutka zamieszkała w Londynie, oczekując na wyrok śmierci w więzieniu Newgate i drżąc ze strachu na myśl o Sądzie, uroczyście wyznaję, co następuje. Iż w pierwszych godzinach dnia 2 maja roku 1816 spotkałam się w tawernie przy Black Friars Lane z Edwardem Cheshire'em, znanym również jako Wujek Cheese, także zamieszkałym w Londynie. Padły między nami ostre słowa oraz groźby, co słyszeli liczni świadkowie, w związku z sumą pieniędzy, jaka moim zdaniem była mi należna. Po opuszczeniu tawerny przez Edwarda Cheshire'a poszłam za nim aż do Holborn, gdzie nasza dysputa została podjęta na nowo. Po kilku minutach Edward zaproponował, byśmy odłożyli spory do rana, kiedy to głowy będą trzeźwiejsze, po czym odwrócił się i zaczął odchodzić, wierząc, że oboje zgodziliśmy się rozejść. Jednak ja skoczyłam na niego z ciemności opętana chciwością i gniewem; atakując od tyłu, poderżnęłam mu gardło ostrzem, które miałam ukryte przy sobie, a potem zepchnęłam krwawiące ciało do Fleet Ditch, jakby jego muł mógł ukryć moją zbrodnię przez ludzkością i Niebiosami.

Wiem, że nie ma dla mnie nadziei na tym świecie ani też w następnym życiu, o ile nie wyznam Całej Prawdy bez względu na to, jak jest potworna. Wyznaję ponadto, że działałam zupełnie sama i że krew owego Niecnego Występku nie plami żadnych innych rąk jak tylko moje. Modlę się, by mój Haniebny Los posłużył za przykład innym kobietom, które mogłaby skusić ta sama ścieżka. O, Nieszczęśliwe Siostry, zaprzycie się swej nikczemności oraz dżinu.

Moją jedyną pociechą jest wiedza, że mój mąż James Cheshire, znany jako Jemmy Cheese, otrzyma wsparcie dzięki łaskawej opiece pana Dionysusa Athertona, chirurga, które to wsparcie obiecał on z czystej dobroci, nie dla żadnych zasług ze strony mego biednego męża czy jego umierającej Meg.

Przysięgam, że każde słowo tego wyznania jest Najświętszą Prawdą, jak zostało spisane i odczytane mi na głos. I modlę się, by Nasz Pan, który zbawił jednego z ukrzyżowanych łotrów, okazał jeszcze Łaskę w Swym Sercu takiej grzesznicy jak klęcząca tu wśród szlochów Morderczyni.

Podpisano: M. Nancarrow

Świadek: Wielebny Dr H. Cotton

Newgate, 12 maja 1816 roku

W kaplicy w Newgate odbywają się msze dla skazanych w dzień poprzedzający wykonanie wyroku. Ławka skazańców stoi w czarnym kojcu pośrodku, a obok Honorowego Gościa jest ustawiona trumna, by wspomagać dyscyplinę umysłu, bo któż wie, dokąd mogłyby wędrować próżne myśli w ów przedostatni poranek na tym świecie. Wielebny doktor Cotton, kapelan więzienny, wygłaszał kazania o ogniu i wiecznych mękach spotykających tych, którzy umierają bez wyznania wszystkich win i szczerzej skruchy w sercach.

Owego niedzielnego ranka Meg nadal odmawiała spowiedzi, nie zważając ani na to, jak mocno doktor Cotton błagał, ani jak gorące ognie ją czekały. W trakcie kazania siedziała niczym zapędzone w róg zwierzątko, a potem zażądała, by odprowadzono ją z powrotem do miejsca zwanego Press Rooms, gdzie skazanym pozwalano spędzać ich ostatnie dni na ziemi. Były dwa takie pomieszczenia, wspólne sale z długimi stołami, ławkami, wąskimi łózkami i kominkiem u jednego końca, oddzielone od reszty więzienia wyłożonym kamiennymi płytami podwórzem zwanym Press Yard, pod gołym niebem, gdzie w dawnych czasach więźniowie, którzy odmawiali wyznania win – złoczyńcy tak hardzi i zatwardziali, jak Meg Nancarrow – byli rozciągani nago na plecach i zgniatani na śmierć kamieniami i żelaznymi odważnikami. Wielebny doktor Cotton zaczął rozpaczać nad nieśmiertelną duszą Meg i być może również nad sumą, którą mógłby uzyskać ze sprzedaży do gazet szczegółów jej ostatniej przedśmiertnej spowiedzi, o co powszechnie go podejrzewano.

Krótko przed południem strażnik poinformował Meg, że poprzedniego wieczoru trzech sędziowie spotkali się, by zrewidować jej wyrok, i podjęli decyzję: nie będzie ułaskawienia. Na tę wieść zaczęła drzeć i twarz jej zszarzała. Chwilę później widziano, jak nerwowo chodzi w tę i z powrotem i o pierwszej po południu wezwała duchowego doradcę, mówiąc, że chce się końcu pojednać. Wielebny doktor Cotton pospiesznie przybył. Wkrótce zaczęły wyciekać pogłoski o spowiedzi i przed trzecią pierwsze gazety znalazły się na ulicy.

Zobaczyłem się z nią godzinę później. W najdalszym końcu Press Yard znajdowała się podwójna krata z wolną przestrzenią w środku, gdzie skazany mógł przyjąć odwiedzającego – gość po jednej stronie krat, skazaniec po drugiej, a klawisz pomiędzy nimi w pustej przestrzeni. Przeprowadzili ją w kajdanach.

– Dlaczego poczyniła pani takie wyznanie? – zapytałem zdeorientowany.

– Bo to zrobiłam, Will, tak jak powiedziałam. Padły między nami ostre słowa oraz groźby.

Cytowała dokładnie słowa, które właśnie przeczytałem w gazecie kupionej za dwa pensy od straganiarza na Paternoster Square. Wydrukowane zeznanie zilustrowano drzeworytem przedstawiającym kobietę klęczącą żałośnie przed katowskim pniem. Prawdopodobnie była to Anna Boleyn, bo drukarze notorycznie używali ilustracji, które akurat mieli pod ręką. Jutro rano te same gazety będą sprzedawane po sześć pensów podczas egzekucji – znajdą się w nich uaktualnione wyznania oraz wersje w formie ballad z wierszowanymi lamentami Meg ze słabymi rymami.

– Skoczyłam na niego z ciemności – oto co zrobiłam. Byłam opętana chciwością i gniewem. – Jej twarz była szara, lecz mówiła – niemal śpiewała – z dziwną podniosłą zawziętością. – Poderżnęłam mu gardło, a krew nie plami żadnych innych rąk...

Przerwała i stała drżąca, lecz zawziętość jej nie opuszczała. Pomyślałem o na wpół szalonych męczennikach idących na stos niczym nowożeńcy. Czy to, co mówiła, było prawdą? Może i tak, tyle że jakoś nie potrafiłem w to uwierzyć. Coś było złe, złe, złe i to od samego początku.

– Co mogę zrobić? – spytałem bezradnie.

Zdawało się, że zaczęła odrobinę pękać. Jakby pojawiła się rysa sunąca po gładkiej powierzchni.

– Idź go zobaczyć – rzuciła. – Mojego biednego Jemmy’ego. Powiedz mu, co zrobili.

– Dobrze. Pójdę do Woolwich Harbour...

– Nie, nie tam. Do szpitala, tu, w Londynie. Przenoszą go. Do prywatnego szpitala do zakończenia odsiadki. Nie wiem, do którego. Atherton ci powie.

– Atherton?

– To już załatwione.

– Zaraz... Atherton się tym zajmuje?

– Powiedz Jemmy’emu, że wszystko w porządku. Zaopiekują się nim. Nieważne, co się ze mną stanie.

Tu głos jej się załamał. Rysa zaczęła pękać promieniście i w innym momencie na pewno rozprysnęłaby się niczym porcelana. Tymczasem ja ledwie słyszałem, co mówiła, zagubiony w chaosie własnych myśli.

– Myślisz, że istnieją? – spytała cicho, niemal szeptem. – Ognie. Diabeł i piekło. Myślisz, że są prawdziwe? Bo ja tak. Rozejrzyj się, popatrz na świat, a potem powiedz, że nie ma diabła. I może jest nawet Bóg, tyle że nie dla takich jak my, Willu Starling. Dla nas jest tylko ten drugi – diabeł w piekle i tu w Londynie oraz wielki ogień płonący pod naszymi stopami. Ale on mi przyrzekł, że nigdy do tego nie dojdzie. Powiedział mi: „Nie rozpaczaj”. I przyrzekł na swe życie, że zaopiekuje się moim biednym Jemmym.

Jej oczy były przykute do moich. Płonące i ogromne w wąskiej twarzy, patrzące spośród cieni przez kraty, jakby już stała w kajdanach na progu piekieł.

– Ty też mi przysięgnij, Willu Starling. Na twoją duszę.

– Przysięgam. Dowiem się, gdzie jest Jemmy, ale...

– Przyrzeknij coś innego. Przyrzeknij, że dopilnujesz, by Atherton dotrzymał obietnicy. A jeśli tego nie zrobi, zabijesz go. Zrozumiałeś? Zabijesz go, kurwa, Will, o ile sama nie dam rady tego zrobić.

*

Pan Comrie słuchał uważnie mojej opowieści.

– Zdaje się, że ona uważa, iż mógłby jej pomóc nawet teraz. Wydaje się przekonana, że jest coś, co on może jeszcze zrobić. „A jeśli nie dotrzyma

obietnicy, zabijesz go, o ile sama nie dam rady tego zrobić” – oto, co mi powiedziała. To jej własne słowa.

– Ta kobieta jest na wpół oszalała ze strachu, Williamie. Mogłaby powiedzieć niemal wszystko.

– Ale nie powiedziała niemal wszystkiego. Powiedziała to.

Miał w ręku gazetę, którą przyniosłem z Newgate. Gapił się na nią przez chwilę – wyznanie, przedśmiertna rozpaczliwa godność Anny Boleyn na drzeworytowej ilustracji – a potem podniósł wzrok, by spojrzeć na mnie bardziej przenikliwie niż kiedykolwiek dotąd.

– Jakie dokładnie są twoje zarzuty?

Zawahałem się.

Byliśmy w jego gabinecie. Widział się dzisiaj z dwoma pacjentami – narzędzia leżały w nieporządku na stole razem z zakrwawionym bandażem. Na podłodze wały się trociny, rozrzucone po to, by ukryć wiele mówiące plamy.

– Mów zatem, o co oskarżasz tego człowieka?

No i oczywiście Wasz Wielce Uniżony nie znalazł na to odpowiedzi. Nie miałem niczego, niczego namacalnego, oprócz ogromnego ciężaru, jaki przywlokłem ze sobą do domu z Newgate, oraz przekonania umacniającego się z godziny na godzinę, że wszystko w tej mrocznej sprawie jest nie tak i że w jakiś sposób nad tym wszystkim unosi się cień Dionysusa Athertona.

Pan Comrie sięgnął po butelkę. Już miał od niej zmierzwiłone włosy, lecz jeśli nagły wypadek zapukałby do jego drzwi, zadziałałby jak profesjonalista. Byłem świadkiem tego, jak amputował nogę, chociaż mógłbym przysiąc, że był zbyt zalany, by cokolwiek widzieć. Załatwił to w dwie minuty, a potem zaszył porządnie jak szydełkująca piastunka.

– Czy jest winien arogancji? – spytał. – Tak. Dumy, miłości własnej, ambicji i bałwochwalstwa w świątyni szczerzłotego siebie? Niech mnie kutas jasny strzeli, jeśli nie. A to, jak cię potraktował? Nigdy już nie spojrzę na niego w ten sam sposób, Williamie, odkąd wiem, jak cię potraktował... Ale człowiek może być winien, a mimo to okazać dobroć biednej skazanej kobiecie i jej ukochanemu z pękniętą czaszką.

– Sądzę, że jest niewinna – powiedziałem. – I myślę też, że coś ukrywa. Ona coś wie, panie Comrie. Ale jest gotowa zabrać to ze sobą do grobu.

Przez bardzo długą chwilę nic nie mówił, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu drugiej szklanki. Nie widząc żadnej, wziął kubek używany

do trzymania piór. Wyrzucił je, wytarł kubek połą koszuli i nalał mi alkoholu – brandy lub czegoś podobnego. Nie stać nas było, by być specjalnie zasadniczymi w tych sprawach, tu, w Cripplegate.

– Ona już jest trupem, Williamie – powiedział wreszcie. – Ja również. I ty. Zostawialiśmy kości na każdym polu w Europie. Świat jest zbudowany na kościach.

– Więc powinienem odpuścić. To chce pan powiedzieć?

– To jedna z możliwości.

– A inna?

Pociągnął łyk.

– Podnieś dupę, Williamie, idź i zrób coś z tym, jeśli jesteś taki cholernie pewny swego. Zamiast siedzieć tu i perorować.

*

A ja nadal nie potrafiłem wam powiedzieć – nie tamtej niedzielnej nocy w maju, na dwanaście godzin przed planowaną egzekucją – dlaczego byłem taki pewny, że coś jest nie tak, że działa tu jakaś potworna nikczemność. Jakiś diaboliczny mechanizm odliczał sekundy do wejścia Meg na szafot. Być może zresztą wrażenie istnienia mechanizmu nadeszło później – rosnące przekonanie, że były w tym wszystkim zarówno ręka, jak i umysł kształtujące wydarzenia we wzór, który nadal jeszcze wydawał się przypadkowy. Być może owej nocy nie czułem nic poza obezwładniającym smutkiem i dlatego powziąłem postanowienie ocalenia biednej Meg, skoro nikt inny nie podjął się tej misji. Tak jak nie było nikogo innego na całym świecie, kto by spróbował pomóc mojemu przyjacielowi Danny’emu Littlejohnowi tamtej nocy, gdy leżał, szlochając, u bram.

Zatem wróciłem pod Trzy Wesołe Koguty. Byli tam Alf Szylnikarz, tuzin mężczyzn, których już przepytalem, oraz kilku innych. Jednak żaden z nich nie widział Meg Nancarrow tej strasznej nocy. Ani jej, ani Panicza Buttonsa. Wszyscy byli gdzie indziej, wyszli wcześniej lub też przyszli później, albo w ogóle byli zbyt zalani, by stwierdzić, co widzieli. Mogliby wszyscy być równie ślepi co Gibraltar Charley, który opuścił swoje miejsce na końcu ulicy i siedział teraz przy stole koło drzwi ze swoim Timem, Prawdziwym Tresowanym Francuskim Psem drzemającym w trocinach u jego stóp.

– Nazywa się Buttons – powiedziałem do trzech obwiesiów koło kominka.

Potrząsnęli głowami. Jeden z nich miał fretkę, która wystawiła łepkę zza dekoltu jego koszuli i zaraz zniknęła z powrotem ku wielkiej uciechu wszystkich.

– Jasne włosy. – Naciskałem dalej. – Skręcone w loki.

– Ej! Daj spokój gościom! – zawołał wojowniczo Alf zza baru. Najwyraźniej miał już dość Waszego Wielce Uniżonego.

– Ja tylko pytałem...

– I dostałeś odpowiedź, no nie? Teraz spadaj!

Minęła dziewiąta. Meg pozostało jeszcze jedenaście godzin. Była już w jednej z cel skazańców. W Newgate było ich piętnaście, trzy piętra po pięć, w bloku zbudowanym z kamienia o ścianach grubych na trzy stopy. Wspinano się tam po schodach w świetle węglowego piecyka. Dziewięć stóp na sześć i dziewięć stóp wysokości. W jednym końcu ławka nakryta pledem, Biblia i modlitewnik. Okienko, jedna stopa kwadratowa, i żelazny lichtarz przymocowany do ściany. Skazańcom pozwalano palić świece do dziesiątej. Ostatniej nocy można było wydłużyć ten czas.

Gdy doszedłem do drzwi, z ciemności dobiegł mnie czyjś głos.

– Panicz Buttons, jasne. Henryk V. „I gwmiuj: Bóg, Anglia, Kwól i Ffięty Jewy!”

Gibraltar Charley gapił się pusto w przestrzeń, szczerząc się lekko na to wspomnienie. U jego stóp Tim otworzył jedno oko, by ocenić sytuację i wyczuć, czy zapowiada pojawienie się jakiegoś jedzenia.

– Widziałeś go? – spytałem zaskoczony.

– W Drury Lane. Lata temu. – Wyciągnął rękę, by namacać stojący na stole kieliszek korzennego rumu. Wypił i mlasnął. – A potem znów którejs nocy. O, za tymi drzwiami.

Chwilę mi zajęło, by uwierzyć w to, co mówił.

– Tej nocy, kiedy ta dziewczyna Nancarrow była tu z Cheese'em. Zawsze ją lubiłem. Nigdy nie mogłem znieść lichwiarza. I nie słyszałeś tego ode mnie.

– Czekaaj. Mówisz mi, że to było w ś r o d ę w n o c y?

Niepewnie odstawił kubek z powrotem na stół – jak to ślepiec. Ciężko iść przez świat pośród ciemności, chociaż istniały też pewne korzyści. Niewidomi dobrze radzili sobie na przykład jako żebracy. O niektórych

mówiono, że wyciągają powyżej gwinei dziennie, co sprawiało, że co bardziej podejrzliwi zastanawiali się, jak bardzo są ślepi.

– Buttons rozmawiał z kimś jeszcze – powiedział Charley. – Ostra gadka. Nie słyszałem z tego wiele, ale ten ktoś powiedział: „Zadbamy, żeby ci się to opłaciło”.

– A ten drugi człowiek?

– Nie poznałem go. Nie znam nazwiska.

– Opisz.

Pokryte bielmem oczy Gibraltara odnalazły moje.

– Długi, szary jegomość. Jak wilk.

*

Panicz Buttons był znany jako stały bywalec Kuca i Gęsi niedaleko Świętego Pawła. Gibraltar Charley mi to powiedział, a ja popędziłem tam na złamanie karku. Nie było go tam i nikt go nie widział, przynajmniej nie dzisiejszego wieczoru, ale karczmarz poradził mi poszukać w spelunie dla hazardzistów po północnej stronie mostu Londyńskiego, gdzie z kolei wspomnieli o sklepie z dżinem po drugiej stronie rzeki, niedaleko St Saviour's. Tam również go nie było, ale ktoś słyszał, że mieszkał przy Camberwell.

Odnalazłszy ulicę, zacząłem dobijać się do kolejnych drzwi. „Nieważne, co Odenkirk ci zrobi – powiedziałbym mu. – Rozważ swoją obecną sytuację i ten nóż, który trzymam właśnie w dłoni”. Trzecie otworzyła gospodyni mająca pokoje na wynajem. Nie widziała Buttonsa od blisko miesiąca, ale miała jego adres. Mieszkał aż w Bedham Green, dokąd przybyłem w momencie, kiedy straż ogłaszała północ.

Meg słyszała, jak dzwon u Świętego Pawła wybija godzinę. Skazańcy byli zachęceni do spędzania ostatniej nocy życia na modlitwie i pełnym łez czuwaniu, kiedy to mieli błagać Boga o zesłanie na nich prawdziwej skruchy. Jednak Meg się nie modliła – a może jednak tak. Być może w tych włokących się godzinach upadła na kolana i odmieniła swe serce.

Panicza Buttonsa nie było w Bedham Green. Wyniósł się dwa tygodnie wcześniej, zostawiając po sobie parę starych butów i niezapłacony tygodniowy czynsz. Właściciel miał informacje, że mógł być w Whitechapel, w jednej z suterren wokół Mitre Square. Jeśli uda mi się

znaleźć łotra, miałem mu natychmiast dać znać, a wtedy on przeprosił za to, że cisnął mi jeden z butów na łeb z okna na pierwszym piętrze, kiedy obudziłem go waleniem w drzwi.

Znów na drugą stronę rzeki, tym razem do Whitechapel. Jednak Buttonsa nie było również w żadnej z kwater wokół Mitre Square ani przy Aldgate High Street, ani też przy Old Jewry, a odwiedziłem tam każdą norę. Ostatni właściciel przeklinał mnie, gdy zegar wybijał szóstą. Świt rysował się niczym siniak po wschodniej stronie nieba. Londyn zaczynał wrzeć, a ja poniosłem klęskę. Meg Nancarrow była zgubiona.

Tłum na pewno zaczął się już zbierać przed Newgate. Na wieszanie przychodziło trzydzieści tysięcy, czasem nawet więcej, płynąc wzdłuż Holborn i w dół Snow Hill. Meg mogła ich słyszeć przez grube kamienne mury. Strażnik przyjdzie o szóstej trzydzieści, by przynieść jej grzanekę i kawę, a o siódmej trzydzieści zostanie wyprowadzona z celi na dół na Press Yard. Tam wielebny doktor Cotton zaoferuje jej odprawienie wszelkich obrzędów, na jakie wyrazi ona zgodę, a potem przekaże ją w ręce londyńskich pomocników szeryfa, którzy rozkują jej kajdany i zwiążą ręce, a potem poprowadzą ją w procesji Drogą Nieboszczyka, czyli przejściem prowadzącym do drzwi zwanych Drzwiami Dłużnika. Wychodzą one na szafot, wznoszony na dzień przed egzekucją. Na nim czekać już będzie pan Langley, a Cotton zaintonuje modlitwę za zmarłych. Być może gniew Meg pomoże jej przejść tę ciężką próbę. Chryste, miałem taką nadzieję.

W końcu chory na duszy powlokłem się z powrotem do Cripplegate. Kiedy doszedłem do domu, kruczoczarny łachman odłączył się od cienia. Ktoś tam na mnie czekał.

– Wie pan, zamordowali go... Lichwiarza.

Słyszając ten głos, zamarłem.

– Zamordowaliby i mnie i pokroiliby, zanim anieli w niebiesiech zdążyliby zapłakać. Ale ja byłam o krok przed nimi.

Wychudzona postać w podartym płaszczu i para wpatrujących się we mnie szalonych oczu.

– Panna Deakins! – wykrzyknąłem.

– On wiedział, widzi pan. Dlatego musiał umrzeć. Lichwiarz wiedział o zabójstwach.

– O jakich zabójstwach?

– O innych zabójstwach. Mam to wszystko zanotowane, panie Starling... Mam cały rejestr, w rzeczy samej – mogę odnaleźć miejsca, w których są zakopane ciała. I mogę go z tego rozliczyć.

W oddali zegar u Świętego Pawła wydzwaniał trzy kwadransy.

– To prawda, czy tylko laudanum i szaleństwo? – zapytałem.

– To jest prawda – odpowiedziała Flitty Deakins. – Przysięgam na ostatnią nadzieję mojej duszy.

Wtedy odwróciłem się i zacząłem biec, jakby zależało od tego moje własne życie.

Najwyższy Wymiar Sprawiedliwości

Z gazety codziennej

13 maja 1816 roku

Gdy dzwon u Świętego Pawła zaczął wybijać godzinę, wrzawa zaczęła rosnąć. Do tego momentu nastroje były wesołe, jakby tłum zgromadził się na świąteczną paradę z całymi rodzinami: chłopcy na ramionach ojców i żony z małymi dziećmi na rękach, podczas gdy przekupnie robili szybkie interesy, sprzedając przekąski i napoje. Inni mieli lepszy widok z dachów oraz górnych okien wokół placu, gdzie miejsca były sprzedawane za co najmniej dziesięć gwinei. Teraz trzydzieści tysięcy szyj wyciągało się w górę i sześćdziesiąt tysięcy oczu szukało Drzwi Dłużnika.

Otworzyły się i w górę wzniósł się okrzyk: „Czapki z głów!”. Cała masa ludzka – już tak ściśnięta, że zdawała się jednym organizmem – zwarła się jeszcze mocniej i uniosła falą do przodu w nadziei na ujrzanie Procesji.

I oto oni, wchodzący po stopniach na szafot. W środku Meg Nancarrow, Furia z Fleet Ditch, tak mała, że można by ją przeoczyć, jakby była Postscriptum dodanym do listu kogoś innego. Miała na sobie czarną suknię, będącą bez wątpienia najlepszym ubraniem, na jakie pozwalało jej ubogie życie, jakby miała uczestniczyć w pogrzebie. I oczywiście miała, we własnym. Podniosła się wrzawa pełna podniecenia i potępienia.

Meg wspięła się po stopniach bez pomocy, lecz na szafocie zachwiała się, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa na widok Śmiercionośnej Pętli. Wisiała tam, czekając, a obok stał kat Langley, ponury i na razie bezczynny, lecz gotów wykonać swe Straszliwe

Zadanie. Ręce wyciągnęły się, by ją podtrzymać. Ruszyła dalej, aby stanąć na zapadni. Kiedy odwróciła twarz do tłumu, ci, którzy stali najbliżej, usłyszeli, jak szeryf pyta ją o ostatnie słowa. Najpierw jej usta poruszyły się spazmatycznie, jakby żadne słowo nie miało z nich wyjść, lecz po chwili usłyszano, jak wykrzykuje roztrzęsionym głosem: „Róbcie, co do was należy. W końcu po to tylko jest Prawo, na tym świecie czy na Następnym. Pamiętajcie o tym, jeśli będziecie mieli powód, by o mnie jeszcze kiedyś pomyśleć”.

Nałożono jej na głowę biały kaptur i w tym momencie na końcu cizby zaczęło się jakieś zamieszanie. Słysząc było desperackie krzyki, które – jak się okazało – wydawał Drobnny Młodzieniec. Krzyczał, że popełniono przeraźliwy Błąd – że jest w posiadaniu Nowego Dowodu. Rzucił się w ściśniętą cizbę, jak gdyby miał za sprawą jakiegoś cudu przedostać się do szafotu i tam powstrzymać egzekucję. Jednakże został połknięty przez tłum, znikając niczym Jonasz w paszczy Lewiatana. Na znak dany przez szeryfa kat Langley otworzył zapadnię.

Przez tłum przeszedł jęk, głęboki wybuch zdający się wydobywać spod ziemi, jak gdyby jakaś ogromna bryła obróciła się w głębinach, a potem straszliwy ryk poniósł się ponad trzydziestoma tysiącami zebranych tu, by być świadkami Wymierzania Sprawiedliwości. Krótki spadek nie złamał karku i twarz Furii wykrzywił najbardziej rozpaczliwy z grymasów. Podniosły się okrzyki przerażenia, bowiem smutne wątki Zeznania już wzbudziły znaczne współczucie, które stale rosło wraz z przeciągającym się cierpieniem. Wiele osób z tłumu nawoływało kata do zejścia pod platformę i skrócenia jej mąk poprzez pociągnięcie za kostki, czego nie uczynił – czy to przez niezdecydowanie, czy też z przekonania, że takie cierpienie było Odpowiednim Zadośćuczynieniem za jej zbrodnię, mimo że tłum do tego czasu obrócił się już całkiem przeciwko niemu i istniały podstawy, by obawiać się zastosowania w stosunku do niego Przemocy Fizycznej.

Na samym końcu u stóp szafotu wybuchło nowe poruszenie. Nie sposób było dojrzeć, cóż takiego się tam stało, lecz późniejsze dochodzenie pozwoliło ustalić, iż był to ten sam Drobnny Młodzieniec, który wcześniej krzyczał przeciw wykonaniu wyroku, a który dzięki

jakiejś nadludzkiej gibkości zdołał przecisnąć się przez ciżbę. Przepychał się teraz naprzód, krzyząc, że popełniono Potworną Niesprawiedliwość, jakby miał zamiar powalić kata i odciąć Morderczynię, choćby była to jej ostatnia drżąca chwila. Jednakże został zaatakowany ze srogą zaciętością przez pomocników szeryfa, którzy powalili go i bili do krwawej nieprzytomności, nawet wtedy gdy wszelkie zmagania Furii z Fleet Ditch na tym Ziemskim Padole ustały na zawsze i udała się przed oblicze Najwyższego z Sądów.

Część druga

Hiszpański chłopiec ma na imię Miguel. Małpka nazywa się Jack. Nie jest to hiszpańskie imię, ponieważ Jack nie jest hiszpańską małpką. Został przywieziony z jakiejś dalekiej podróży przez żeglarza, który sprzedał go za szylinga człowiekowi w tawernie, ten zaś szybko się małpką znudził. I tak Jack trafił do innego człowieka, a ten prowadził szajkę żebrzących dzieci, którym wynajmował zwierzęta do pomocy.

Miguel wrócił do Crutched Friars tego właśnie wieczoru, w czapce i butelkowitzelonej kamizeli, z Jackiem na końcu skórzanej smyczy, drżącym na jego ramieniu. Próbowali żebrac w bardziej ruchliwym miejscu koło Trinity Square, ale zostali odpędzeni kamieniami przez wojaka bez nóg, który zajął ich miejsce. Żebracy są zazdrośni o swoje miejsca, a Miguel nie ma nikogo, kto by się za nim wstawił.

Jego rodzice nie żyją. Przyjechał kilka miesięcy temu do Anglii z mężczyzną, który podawał się za jego wuja. Spotkał go w dokach Madrytu. Tu, w Londynie, „wujaszek” przekazał go człowiekowi od szajki żebraków. W Metropolii żyje wielu takich chłopców, pojawiających się na jakiś czas, a następnie znikających, by znaleźć się w innej części Londynu lub w ogóle gdzie indziej. Nikt za nimi nie tęskni. Miguel śpi w noclegowni pełnej zbiegów i sierot. Również dziewczynek. Niekiedy jest ich ośmioro lub nawet dziesięcioro w jednym łóżku, splątanych w jeden kłęb. Nie jesteście w stanie sobie wyobrazić, co się dzieje w takim łóżku. A może jesteście.

To nie jest bardzo ruchliwa lokalizacja, to miejsce w Crutched Friars. Ale ludzie tam chadzają, a niektórzy nawet bywają szkodrzy. Wysoki

mężczyzna ze złocistymi włosami – ten, którego wskazano Miguelowi jako *cirujano* – mija go niemal codziennie, niekiedy w powozie, ale czasem też piechotą, szczególnie teraz, odkąd pogoda zrobiła się lepsza, i zawsze daje monetę. Wczoraj to było pół korony – dłoń na ramieniu Miguela, dobre słowo. Miguel słowa nie zrozumiał, bo było po angielsku, ale głos był naprawdę miły.

Ten piątek to dzień wydania wyroku na Meg Nancarrow, choć oczywiście Miguel nie ma o tym pojęcia. Godzinę temu z domu, w którym mieszka *cirujano*, wyszedł młody mężczyzna – chuderlawy chłopak z ciemną trójkątną twarzą. Wypowiedział do Miguela kilka słów po hiszpańsku, naciskając, by ten sobie poszedł. Ale kimże on jest, by mówić Miguelowi, gdzie ma iść? Miguel ma już tego dość, tego mówienia, gdzie ma iść, a gdzie nie może.

Niemniej zapada już zmierzch i Miguel uznaje, że jednak już pójdzie, z własnego wyboru, oddać małą Jacka jej właścicielowi, który ją przenocuje, a potem do noclegowni. Ale oto ktoś inny wychodzi z domu *cirujano*: wysoki, szary człowiek. Twarz ma groźną, ale się uśmiecha. Ludzie często się uśmiechają na widok Miguela, z jego małą i słodką oliwkową buzią. Człowiek wypowiada jakieś słowa po angielsku i daje Miguelowi odrobinę chleba i sera, które ten przyjmuje z wdzięcznością i dzieli się nimi z Jackiem. Mężczyzna pokazuje w kierunku domu, nadal uśmiechając się, co Miguel pojmuje tak, że w domu jest więcej jedzenia i że jest tam zapraszany.

Dlaczego w sumie miałyby nie pójść? Chleb i ser są bardzo dobre, obaj z Jackiem są głodni, a wysoki, szary człowiek okazuje się miły przy bliższym poznaniu.

*

Zamiatacz Ulic pracuje na pobliskim skrzyżowaniu, akurat tego wieczoru niemal do północy. Spytany parę dni później, przypomni sobie, jak Miguel wchodził do domu – chłopczyk w czapce i butelkowozielonej kamizeli, z małą na ramieniu, eskortowany przez Odenkirka. Czy pamięta, jak wychodzili? Skrzywi usta, próbując sobie przypomnieć, i potrząśnie głową. Nie, nie przypomina sobie, żeby ktokolwiek wychodził. I żadnego z nich już później nie widział.

– A dlaczego chcesz wiedzieć? – spyta nieufnie Waszego Wielce Unizonego.

– To w związku z dochodzeniem – odpowiem.

– Dochodzeniem? Czyim?

– Moim.

Jeżeli ktokolwiek opisze wam bitwę, jest łgarzem. Jakąkolwiek z wielkich bitew, znaczy – autentycznych, między dwiema armiami. Jasne, możliwe jest ułożenie sobie układanki zdarzeń, do których musiało dojść – porównując notatki z innymi wojakami w następnych dniach i tygodniach, wyłuskując urywki i okruchy tego, kto co gdzie widział, i układając je w jeden wzór – ale kiedy jesteś tam, w samym środku, nie ma nic oprócz wrzasków i zamieszania we mgle prochowego dymu. Wyłaniają się z niej zjawy, dają się słyszeć krzyki i jęki, i jedyne, co wiesz na pewno, to że jeszcze żyjesz – choć może to ulec zmianie w następnym ułamku sekundy, przy akompaniamencie brzęczenia kuli z muszkietu, niby upiornego chrząszcza – a jedyne, co widzisz naprawdę wyraźnie, to przyjaciel padający na ziemię u twego boku.

Pole widać o wiele lepiej w nocy, po zakończeniu bitwy. Znika tuman dymu, pozostaje tylko ciemność, niekiedy osrebrzona światłem księżyca i gwiazd. Są również refleksy światła z ziemi, tysiące maleńkich punkcików: odblaski ze sprzączek, napierśników, szabel i strzelb tych, którzy polegli w bitwie. Jęki i wołania, lament koni. Tu i tam truchtają ludzie z noszami, przenosząc jednego lub dwóch, których jeszcze może da się uratować, ale zazwyczaj nikt się tak naprawdę tym nie przejmuje. Nie ma sensu wychodzić w noc, by przynieść rannych, gdyż szpitale polowe i tak już pękają w szwach, chirurdzy ślaniają się na nogach, a ostrza pił przypominają noże do masła. Tak więc wkrótce pole zostaje pozostawione poległym, a także padlinożercom, którzy wychodzą z nastaniem ciemności – zwierzęcym i ludzkim. Szybkie, gwałtowne ruchy na skraju pola

widzenia: podskakujące kruki i skulone większe cienie. Błysk ostrza i zdławione westchnięcie, gdy jakiemuś biednemu wojakowi, nie całkiem jeszcze martwemu, pomagają wybrać się na tamten świat.

Tak wyglądało pole bitwy pod Quatre Bras owej nocy 16 czerwca zeszłego roku, kiedy wyszedłem szukać Danny'ego Littlejohna. Marszałek Ney rzucił tu przeciwko nam pół francuskiej armii, podczas gdy Napoleon prowadził pozostałą jej część przeciwko Prusakom pod Ligny – to było dwa dni przed Waterloo. Siedział tam chłopiec bez rąk, pogrążony w smętnej kontemplacji, który nie był Dannym Littlejohnem, mnogość innych, powykęcanych bezładnie, którzy również nie byli Dannym, oraz setki kolejnych, których musiałem obejrzeć, potykając się o porozrzucone członki i wykrzykując jego imię. Ciała ciągnące się w noc, rozrzucone i okaleczone, i dalej, dalej, dalej, jakby morska fala nieobjętej wielkości wyrzucała je na nieskończony brzeg, a następnie wycofywała się z sykiem.

Człowiek zaczyna nieco tracić rozum – tak mi się wydaje. Zaczyna myśleć, że zbyt wielu, zbyt wielu umarło tutaj, na tym polu i na tej ziemi. Świat chyba osiągnął limit, i ja też. Nie mogę znieść myśli o jeszcze jednej śmierci.

Wszystko to jakoś mieszało się w mojej głowie, gdy pędziłem w kierunku Newgate o poranku – rok później – kiedy wieszali Meg Nancarrow.

*

Mam przebłyski i strzępki wspomnień z tego poranka, choć są one fragmentaryczne i niepełne – zarówno sprzed lania, jak i po nim. Rozciągające się morze ludzkości, gdy w pośpiechu przeciskałem się w dół; chudziutka sylwetka Meg na dalekiej platformie szafotu i jej biała twarz, zanim opuszczono kaptur. Duszący ścisk, desperacja, by się przebić – ręce, łokcie i „Hej, spierdalaj!” – nagłe mdlące uderzenie, gdy poczułem się ciśnięty na bruk. A potem czerni buta pomocnika szeryfa wypełniająca całe pole widzenia.

Przypominam sobie, że później dotarłem do domu Janet Friendly, choć nie pamiętam, jak się tam dostałem. Pamiętam przeświadczenie, że muszę zobaczyć się z panną Smollet i wyjaśnić, co się stało. Pamiętam szok na jej biednej twarzyczce, gdy stałem, chwiejąc się, w drzwiach, a także wyraz

twarży Janet i pani Sibthorpe, bo zdawało się, że krew jest wszędzie, płaszcz zdarty z pleców, a jeden z moich butów – wspaniałych oficerek, z których byłem tak dumny – zupełnie nie wiadomo gdzie. „Nie dałem rady ich zatrzymać – pamiętam, że powtarzałem to w kółko, własne słowa wypowiedane niewyraźnie, jakby przez starego pięściarza, który przyjął o jeden prosty na twarz za dużo. – Zbyt wielu”. Przekonały mnie, żebym się położył, lecz co chwila chciałem się zrywać, mimo bólu, który pulsował w każdym skrawku mego ciała, a jego sztylety przeszywały mnie przy najdrobniejszym ruchu. Musieli posłać do Cripplegate po pana Comriego. Pamiętam, że przybył jakiś czas później i wykrzyknął na mój widok:

– Niech to jasny kutas strzeli!

– Został zaatakowany. – Janet mówiła ściszym głosem – Tyle udało nam się z niego wyciągnąć.

Najwyraźniej niejasno przedstawiałem szczegóły.

Udało im się mnie posadzić na stołku, podczas gdy pan Comrie badał moją czaszkę w poszukiwaniu pęknięć i próbował określić, czy moje gały utrzymują ten sam kierunek, czy też rozłazą się, jak dwóch pijaków turlających się do domu. Janet stała zafrasowana z ręcznikiem i miską zakrwawionej wody – robiła, co mogła, by mnie obmyć – podczas gdy panna Smollet i pani Sibthorpe, roztrzęsione, zajmowały się robieniem zamieszania.

Spytałem panią Sibthorpe, która jest godzina, na co ona odpowiedziała, że po pierwszej. Było to dla mnie wielkie zaskoczenie: najwyraźniej Wasz Wielce Uniżony błąkał się po Londynie godzinami, niewiele z tego pamiętając. Ale zaczynałem sobie jaśniej przypominać kilka rzeczy i udało mi się je przekazać panu Comriemu: że dotarłem na egzekucję i przedzierałem się przez tłum, by koniecznie im powiedzieć, co odkryłem i jak straszny popełniono błąd. I że wreszcie dobrnąłem pod szubienicę, gdzie zostałem pobity.

– Nie chcieli słuchać – powiedziałem mu, otwarcie już płacząc. – Walczyłem z nimi, ale było ich zbyt wielu.

Patrzyli na mnie z rozdziawionymi ustami, pan Comrie i kobiety. Pewnie sądzili, że dopadły mnie jakieś rzezimieszki w zaułku, co jest zwyczajowym powodem wyglądu, jaki przedstawiał sobą Wasz Wielce Uniżony.

– Zaraz – powiedziała Janet. – Jedną chwileczkę... Pomocnicy szeryfa na jebanej egzekucji?

– Janet – odezwał się cichy głos. – Słownictwo.

– Och, Will – westchnęła panna Smollet, której oczy – pamiętam ten szczegół, mimo ogólnego rozgardiaszu tamtej chwili – były wielkie i błyszczące.

A pan Comrie patrzył na mnie, jak patrzyłby przez pręty w Bedlam, szpitalu dla obłąkanych, na biednego, obsranego wariata, przykutego nago do ściany.

– Niech to jasny kutas strzeli, Williamie. D l a c z e g o?

I koniecznie musiałem im to wyjawić. Wszystkim czworgu, ale przede wszystkim panu Comriemu. Dla Meg Nancarrow było już za późno. Już była martwa – mało, że martwa, to jeszcze rozpruta. Wywieźli ją do jednego ze szpitali przed wpół do dziesiątej i w pięć minut później wyłożyli na stół w Domu Śmierci. Podczas gdy Will Starling zataczał się ulicami Londynu, bełkocząc o potwornych niesprawiedliwościach, Meg leżała naga jak ją Pan Bóg stworzył, podczas gdy chirurdzy i studenci zaczynali ją rozcinać. Do tego wróble, szczury i chybotliwe światło tych potwornych cuchnących świec.

Ale nie mogłem tak myśleć. Musiałem myśleć jasno, bo pan Comrie musiał wiedzieć.

– To nie ona zabiła Cheese’a – powiedziałem.

– Wiem, że w to wierzysz, Williamie. Ja też w to chciałem wierzyć, ale...

– To był Atherton.

– Co?

– Mam świadków.

– William!

Zacząłem podnosić się ze stołka, odpychając trzymające mnie ramię. Świat mi się znów zakołysał. Musieli wiedzieć. Musiałem im pokazać.

– Chodźcie ze mną!

Zawsze mnie zdumiewało, co są zdolni zrobić ludzie w szoku po urazie. Przypominam sobie czarnowłosego porucznika pod Vitorią, przyniesionego do szpitala polowego ze strzaskaną nogą, którą trzeba było odjąć powyżej kolana. Kiedy skończyliśmy, odmówił przyjęcia wszelkiej pomocy, prócz szklanki brandy, a wypił ją duszkiem, pomrukując, że utrata kończyn wywołuje pragnienie. Następnie strząsnął nas z siebie i podniósł się ze stołu

na nogi – czy raczej na nogę – a kiedy wskazałem mu wóz, który przyjechał, by wywieźć go poza linię frontu, doskakał do niego bez pomocy, niczym kulawa wrona. Widziałem go po raz ostatni, jak siedział z tyłu wozu, wyprostowany i kredowoblady, odjeżdżając z turkotem ku zachodzącemu słońcu. Wyglądał jednocześnie nędznie i szlachetnie.

Tak to było tego dnia z Waszym Wielce Uniżonym – czy też tak mi się wydaje, gdy spojrzę w przeszłość. Moje rany nie były tak poważne jak amputowany kulas, ale wystarczające, aby mnie później uziemić na trzy pełne dni, a potem jeszcze bym musiał łązić pokręcony i obolały jak własny pradziad. Ale gdy zataczałem się na północ, w dół Fleet Street, a potem skręcałem na wschód, ledwie czułem ból, tak byłem skupiony na moim celu. Pan Comrie sadził kroki na pałakowatych nogach obok mnie, a Janet Friendly i panna Smollet spieszyły za nami.

„Dokąd idziemy, do diabła?” – pytał ciągle pan Comrie, a ja mu powtarzałem: „Flitty Deakins. Panna Deakins przyszła do mnie z dowodem, teraz inni muszą go usłyszeć z jej własnych ust”.

– Służąca Athertona? Ta uzależniona od laudanum?

– Tędy.

– Gdzie ona jest?

Wtedy poczułem się zbity z tropu i spłynęło na mnie, że nie wiem gdzie.

– Williamie?

Zatrzymałem się i patrzyłem na pana Comriego, jak gdyby odpowiedź była zapisana w poprzek jego zrytej zmarszczkami twarzy. Ale tam jej nie było, podobnie jak w twarzach Janet Friendly i Annie Smollet. Rozejrzałem się, ale odpowiedzi nie było nigdzie na Fleet Street.

Panna Deakins objawiła mi się dziś o poranku. Odwróciłem się i ruszyłem biegiem aż do Newgate. Ale gdzie się podziała?

– Jest tutaj – zająknąłem się.

– Gdzie tutaj?

– Gdzieś w Londynie. I wszystko wie. Może wam powiedzieć.

Wymiana spojrzeń między Janet i panem Comriem.

– Will... w porządku.

– Nieprawda! Atherton chciał ją zabić. I zabijał już wcześniej.

– Dostałeś straszne lanie po głowie...

– Czeka!

Bo wtedy to do mnie dotarło, w przebłysku ponownie budzącej się nadziei. Flitty Deakins nie była jedyna – był również drugi świadek, który mógł potwierdzić moją wersję.

– Widział Buttonsa w noc morderstwa – noc, gdy został zabity Wujek Cheese. Widział go z Odenkirkiem. Namawiającego się z człowiekiem Athertona!

– Słuchajcie go! – wykrzyknęła panna Smollet, gdy zobaczyła, że Janet Friendly kręci głową. – WIERZĘ w Willa Starlinga!

Chciałem pochwycić jej rączki w moje i wylać swą serdeczną wdzięczność. Chciałem ją tulić w ramionach. Ale najpierw musiałem im pokazać.

– On zna prawdę! – zawołałem – Charley ją zna!

Znów na wschód, przebijając się przez ludzką ciżbę. Okrutne pulsowanie bólu, słońce łupiące w głowę, wspomnienie zagubionego buta z każdym wbijającym się w stopę kamieniem... Ale dotarliśmy wreszcie do stóp Ludgate Hill, gdzie pośród tłumu, przed wyłożonym kapeluszem siedział Gibraltar Charley, podczas gdy Tim posłusznie tańczył na tylnych łapach.

– Charley! – W swoim głosie usłyszałem podniecenie. – Przeprowadziłem ich i teraz oni też muszą się dowiedzieć, nawet gdybym miał tutaj paść martwy z wyczerpania... Mężczyzna przed drzwiami Trzech Wesołych Kogutów... człowiek, który rozmawiał z Buttonsem. Powiedz im!

Charley podniósł swe zasnutę bielmem oczy.

– Łaskawie zachęcajcie go, dobroduszni chrześcijanie! Zachęcajcie Tima, Prawdziwego Tresowanego Francuskiego Psa!

– Nie, Charley... spójrz, to ja. Will Starling. Rozmawialiśmy...

Ale oczy Charleya ślepo spoglądały w kierunku odległych dachów.

– Miedziak da mu radość, dobroduszni chrześcijanie. Miedziaka dla Tima, Prawdziwego Tresowanego Francuskiego Psa!

W osłupieniu patrzyłem na pana Comriego. Widziałem wielki smutek w jego twarzy. Czułem, jak bierze mnie za ramię.

– Chodź, Williamie – powiedział cicho. – Zabieram cię do domu.

Zdaje się, że chciałem się wyrywać, ale wtedy usłyszałem huk i nastąpiła ciemność. Nic więcej nie pamiętam.

List do p. Comriego od panny J. Friendly

15 maja 1816 roku

Wielmożny Panie,

rzekłeś mi wczoraj, kiedym przysłała odwiedzić Willa: czy mogę Tobie powiedzieć cokolwiek w kwestii Jego stanu umysłu przed nieszczęsnymi wydarzeniami dnia uprzedniego, co mogło do nich doprowadzić. Pamiętam, że odrzekłam krótko, powiadając, iż prawdopodobnie z nas dwojga to Pan możesz mieć takie informacje, jako że do pozaprzeszłego poranka Willa nie widziałam ani razu od momentu opuszczenia Przytułku, lat sześć z górką temu, podczas gdy Ty byłeś z nim co dzień. Zapewne na mój nastrój wpłynął widok jego, pobitego, spuchniętego i jęczącego bez zmysłów w gorączce. Zakończyłeś słowami, że mogłabym przesłać Panu liścik, jeżeli cokolwiek przyjdzie mi na myśl, pod warunkiem oczywiście, że umiem pisać.

Jakżeż to przezorne z Pańskiej strony, że uwzględniłeś, iż mogę być kretynką.

Tak, Panie Comrie: umiem pisać. To ja teraz piszę właśnie. Jeżeli kiedyś będziesz przechodzić koło naszego sklepu, możesz ujrzeć, że również czytam, a i rachuję, a nawet liczę do ponad stu.

Ale zanim wyszłam, spytałeś o coś innego. Spytałeś: jaki był Will, kiedy był dzieckiem? I kiedy Pan pytałeś, było w Panu coś tak bardzo smutnego, że ostatniego wieczoru zaczęłam uważać, że należy się Panu odpowiedź.

Zacznę od tego.

Ojcem Willa był kapitan okrętu – co prawdopodobnie Pana zaskoczy – choć nie typ dobroczynny, jak Thomas Coram. Wezwano go na służbę w mroźny grudniowy poranek i następnego wieczoru wyruszył z Southampton, pozostawiając swemu nienarodzonemu synowi jedynie błogosławieństwo i mosiężny chronometr, który otrzymał od swojego znów ojca w sytuacji nadzwyczaj podobnej, trzydzieści lat wcześniej. Tę oto historię ujawnił pewnego dnia grupie zasłuchanych znajd, gdyż zawsze był z niego pierwszorzędnym gawędziarzem. Więcej nie chciał powiedzieć, przynajmniej nie od razu, gdyż nie miał prawa – tak dał nam do zrozumienia w kilku tajemniczych wzmiankach – by wyjawiać dalsze szczegóły. Oczywiście je wyszperaliśmy.

Ojciec Willa był Korsarzem, czyli nie piratem, lecz czymś zgoła lepszym, gdyż Korsarz żeglujecie na mocy Listów Kaperskich podpisanych przez samego Króla, które pozwalają mu grabić wrogów JKM. Ojciec Willa to właśnie robił w tejże chwili – tak Will w zaufaniu mówił nam w krótkich wspólnych momentach na korytarzu lub przy zabawie na poręczach na zewnątrz. Atakował francuskie statki kupieckie i zatapiał, gdy się nie poddawały, wszystko po to, by pomieścić szyki Bonapartemu. Płynął z Gibraltaru, komenderując francuskim okrętem Hercule, który został zdobyty pod Trafalgarem i przemianowany na Eleonorę. Był to slup, mały, lecz wspaniale szybki, wyposażony w dwadzieścia osiem dział i dwie dziewięciopuntówki na rufie, które ojciec Willa dla kaprysu nazwał Claude i Duvall, na cześć słynnego rozbójnika-dżentelmena, niegdyś grasującego w Hampstead Heath ze spluwą w każdej garści. Ojciec Willa był również słynny ze swej odwagi, ale także zajadłości, dzięki której zdobył przydomek Krwawy Bill Starling. Gdyby on i Thomas Coram spotkali się na otwartym morzu, jak wyjawiał nam Will, Krwawy Bill na pewno zatopiłby tego drugiego.

„Bill to skrót od William! – wykrzyknął jeden z najmłodszych chłopców w grupce tego dnia. – Zupełnie jak ty!” A był to Isaac Bliss, który słuchał historii z wybałuszonymi ślepiami. Isaac nie był wtedy jeszcze tak pogięty – wyglądał zaledwie jak znak zapytania. „Prawda” – odpowiedział Will i odebrał od nas przysięgę milczenia. Miał wtedy dziewięć lub dziesięć lat.

„Co za wspaniałe zbieg okoliczności – powiedziałam. – Skoro na imię miałeś wtedy nie Starling ani William, gdyż te wybrali ci Opiekunowie, bo jeden z nich usłyszał świergot ptaka za oknem. Ciekawam, czy gdyby to gruchał gołąb, twój Tato nazywałby się zupełnie inaczej” „Zatkaj jadaczkę, Janet Friendly – powiedział rozjuszony Will – bo tylko udowadniasz, jaka jesteś tupa”.

Odrzekłam mu, żeby się sam stosował do własnych porad, zanim ktoś zasłuży sobie na fangę w kinola – do czego zresztą doszło. Ale zniósł to dzielnie i nie mazgał się, nawet gdy wychłostano go za zbrudzenie kurtki krwią, gdy twierdził, że nos mu krwawił bez powodu, ze zwykłej złościwości.

Ile z historii o Krwawym Billu było prawdą? Cóż, mam swoją opinię w tym temacie, Panie Comrie, jak i w wielu innych. Ale Will miał ten mosiężny chronometr. Trzymał go owinięty we flanelową szmatkę na dnie małego blaszanego pudełka, w którym przechowywał swoje skarby. Pokazał mi go raz, z takim namaszczeniem, że przysięgłbyś, iż odwija zegarek samego Mojżesza, znaleziony wśród egipskiego sitowia. Nie mam pojęcia, skąd go wziął – jeżeli zaś miałabym zgadywać, zaryzykowałabym stwierdzenie, że sam nie był już pewien. Tak długo twierdził, że pochodzi od jego ojca, że w trzech czwartych sam w to uwierzył. Poza tym rzeczywiście istniał okręt Eleonora, słupek z dwudziestoma ośmioma działami. Został zatopiony w następnym roku przez trzydziestosześciodziałową fregatę u wybrzeży Hiszpanii i nikt prawdopodobnie z niego nie ocalał. Była wzmianka w marynistycznych kolumnach gazet. Will stał się blady jak płótno, gdy się o tym dowiedział, choć później twierdził, iż wierzy, że przynajmniej część załogi zdołała ujść z życiem i już planuje triumfalny powrót do Anglii, z Krwawym Billem na czele.

Co zatem Panu próbuję powiedzieć? Will Starling jako chłopiec nie był głupi – wprost przeciwnie. Nie nazwałabym go również łgarzem, nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Ale wymyślał różne historie i powtarzał je tak często – nam, ale przede wszystkim sobie – że zaczął rzeczywiście uważać je za prawdę.

Wierzę, że zaczął sobie opowiadać kolejną historię, dotyczącą człowieka zwanego Dionysus Atherton, i zaczynam podejrzewać, że to historia bardzo ponura.

Odkryłam również coś dzisiejszego poranka, Panie Comrie. Pani Smollet zaczęła paplać. To drugi powód, dla którego piszę do Pana ten list.

Czy wiedział Pan o tym, że wykopali trupa? Wspólnie – Will Starling i pani Smollet, w sobotę wieczorem? Człowieka nazwiskiem Aldridge czy Elditch – nie jestem do końca pewna, bo panna Smollet strasznie szybko gadała – który został zabity, a potem przywrócony do życia.

Czy jakoś tak.

Bóg jeden wie.

Jeżeli Will przeżyje, jak rozumiem, będzie Pan chciał go o to zapytać.

Światło słoneczne ciurkało przez okno, tworząc kałużę wokół łóżka, gdzie leżałem podparty twardą poduszką w łóżku pana Comriego, surowym i niewygodnym jak droga do zbawienia.

Było środowe popołudnie. Najwyraźniej leżałem tutaj, mającąc i jęcząc, od czasu, gdy pan Comrie przyniósł mnie z powrotem do Cripplegate w poniedziałek. Śniłem koszmary o Meg Nancarrow i Bóg jeden wie, o czym jeszcze – Bobie Gapicielu i rozdętym niebieskim trupie, wrzeszczącym pawiu z pięknymi piórami, który zamienił się w Panicza Buttonsa za sądową barierką, a potem o złotowłosym demonie, który nie był wcale demonem, tylko Dionysusem Athertonem. Panna Smollet przyszła dwa razy, jak się dowiedziałem – raz, by dostarczyć bukiet kwiatów, a drugi tylko po to, by przy mnie usiąść. Janet Friendly również raz przyszła, pan Comrie zaś czuwał przy mnie przez całą pierwszą noc, bojąc się dać mi zasnąć z uszkodzoną głową.

Siedział teraz obok mnie na stołku, z nogami szeroko rozrzuconymi na boki, i wlewał w obłożnie chorego krupnik. Najbardziej nieatrakcyjna pielęgniarka wszech czasów, w dodatku cmokająca językiem.

– Niech to jasny kutas strzeli! Jak ty wyglądasz! – Zaśmiał się kwaśno. Nigdy nie był typem roztkliwiającym się nad czyimś nieszczęściem. – Pół tuzina pomocników szeryfa! Co ci do łba strzeliło? Chciałeś obić ich wszystkich, wskoczyć na szafot i uratować życie biednej białołowy?

Wzruszyłem tylko ramionami, przy czym złapał mnie spazm bólu. Zaczynał się w ramionach i szyi, a następnie przebiegał w dół przez całe ciało. Pan Comrie poczekał, aż mi przejdzie i powiedział:

– Wczoraj poszedłem do Crutched Friars rozpytać o tę kobietę, Deakins. To postawiło mnie na baczność. Co tam bóle!

– Gospośia powiedziała, że zniknęła. Dała mi adres, pod który – jak uważała – mogła udać się ta Deakins. Noclegownia na północ od Smithfield. Więc tam poszedłem.

– No i?

– Rozpoznali opis. Powiedzieli mi, że nocowała tam raz lub dwa razy w zeszłym tygodniu. Następnie ruszyła dalej. Mówiła, że wraca do swoich, do Devonshire.

– Nie – powiedziałem. – To niemożliwe. Widziałem ją wtedy, tu niedaleko, w poniedziałek rano.

– Widziałeś?

– Tak!

– Jesteś tego pewien?

Przyglądał mi się badawczo.

– Pewnie, że jestem.

Ale siedząc w kałuży środowego słońca, zacząłem się zastanawiać, czy aby wszystkiego nie pomieszałem. Być może Flitty Deakins okłamała mnie – lub w ogóle nie było jej tutaj, w Cripplegate. Być może była tylko widziadłem, wynikającym z mojego ówczesnego stanu. Czymś, co powstało tylko w mojej głowie, tak jak myśl, że Gibraltar Charley nie był w rzeczywistości ślepy, jak połowa innych ślepych żebraków w Londynie.

– Nie jestem zupełnym szaleńcem – rzuciłem.

Muszę przyznać, że i taka myśl zaświeciła w mej głowie, gdzieś pomiędzy nastaniem gorączki a pierwszym błogosławionym promieniem świtu. Być może gdzie się zagubiłem i skończę jak te biedne, żalodne istoty, przykute do ściany w Bedlam, wyjące ku uciesze niedzielnych gości. Oto myśl krzepiąca strapione serce w smolistoczarnych mrokach samotnej nocy!

Czekałem, aż pan Comrie znowu się kwaśno roześmieje i machnie ręką na ten pomysł, ale nadal mi się przyglądał, badawczo i chmurno.

– Są różne rodzaje szaleństwa, Williamie. Nienawiść może być jednym z nich.

– Może pan myśleć, co chce...

– Wykopać trupa tego gnoja Eldritch?! Niech to jasny kutas! – Wyrzucił to z siebie gwałtowniej, niż zamierzał. Krupnik przelał się przez krawędź

miski. – Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobił Atherton. Nie chodzi o Eldritch. Mówię o tym, co zrobił t o b i e, Williamie. Odesłać cię tak po prostu spod drzwi... Sprzeniewierzyć się obowiązki.

– Nie ma żadnego...

– Ależ oczywiście, że ma! Ma psi obowiązek, Williamie. Był moim przyjacielem – j e s t moim przyjacielem... Ale, na Boga, stracił w moich oczach po tym, jak ciebie potraktował.

Jego twarz nadal była czerwona, ale udało mu się zagnać emocje z powrotem do nory, skąd nie mogły już straszyć nas obu upokorzeniem, bezwstydnie latając dookoła bez okrycia. Następnie przysunął stołek. Nigdy nie mieliśmy takiej rozmowy, a wyglądało na to, że właśnie do niej zmierzamy. Odchrząknął.

– Rozumiem, dlaczego go nienawidzisz, Williamie. Twój jedyny krewny, a nie chce cię znać.

– Wszystko mi jedno.

– Łżesz.

W innych okolicznościach poszedłbym sobie, ale udało mi się choć odwrócić wzrok i patrzeć w przestrzeń ponad jego ramieniem.

Jego sypialnia była spartańska niczym koszary. Wąskie łóżko, stół z miednicą i dzbanem. Na jednej ścianie akwarela – bohomaz przedstawiający szkocką przełęcz, naprzeciw wizerunek obrzydliwej moszny Charlesa Bella. Skupiłem na nim z wysiłkiem wzrok, jako na widoku doskonale pasującym do mojego obecnego stanu ducha.

Pan Comrie odchrząknął.

– Wini siebie, w jakimś sensie... Spodziewam się, że o to chodzi. Za to, co spotkało twoją mamę. Mam wrażenie, że byli ze sobą blisko. Ale on stanął po stronie rodziny, kiedy ją odrzucili. Czarna owca, te sprawy... Niemniej jego własna siostra. A potem zmarła. No i później twoje pojawienie się, po tylu latach...

– Jak to dobrze, że ma pan dla niego wytłumaczenie.

– Nie ma wytłumaczenia. Ale nienawiść może rzucić się człowiekowi na głowę. To wszystko, co chcę powiedzieć. Człowiek może zniszczyć siebie nienawiścią.

Nastąpiła cisza. Jego ręka na moim ramieniu. Niespodziewanie łagodnie, jak na mężczyznę z tak sękatymi łapami.

– Meg nie żyje, Williamie. Twoja mama też, skoro już o tym mówimy. Pozwólmy im spoczywać w pokoju.

*

Pozostałem w łóżku jeszcze przez dwa dni z powodu bólu, a potem przez kolejne dwa warował przy mnie czarny pies. W nocy moje sny nawiedzał koń z połową głowy, na którym jechał Danny Littlejohn. Ale wreszcie wstałem z łóżka.

Panna Maggs we własnej osobie łaskawa była skrzywić się z niepokoju, kiedy kuśtykałem w dół po schodach, a pan Comrie spytał, dokąd się wybieram. Ale ja kuśtykałem dalej, do schodów i na ulicę, cały czas na południe, do podnóża Ludgate Hill, gdzie tańczył Tim, Prawdziwy Tresowany Francuski Pies, a Gibraltar Charley brzdąkał na regale. W tej chwili grał melodię, która mogła być irlandzkim reelem lub może *Abide with Me* – jego talent zawierał się bardziej w ślepotie niż w wirtuozerii. Tim na chwilę przestał tańczyć, gdy mnie zobaczył, jak gdyby chciał wykrzyknąć: „Wyglądasz jak kupa, *merde*”. Gibraltar Charley podniósł zasnutę mleczną mgłą oczy, czując, że ktoś obok niego stoi.

– Przeszedłem sam – powiedziałem. – Nieważne, czy widzisz, czy nie. Muszę znać prawdę. Czy tamtej nocy Buttons spotkał się z człowiekiem Athertona?

Ślepiec siedział w milczeniu, patrząc przed siebie, a w końcu rzekł:

– Jeśli tak było, dla Meg i tak już jest za późno. Nic, co mógłby powiedzieć ślepiec, już jej nie pomoże.

Mleczne oczy przeniosły się na mnie.

– Chryste! – krzyknął poruszony Gibraltar Charley. – Ależ cię urządzili!

A wyglądać to musiało tak...

Jest dobrze po północy, gdy wychodzi z mordowni. Słyszy nadjeżdżający z tyłu powóz: stukot kopyt i skrzypienie kół. Konie zwalniają. Zasłona się opuszcza, błyszczący uśmiech dżentelmena siedzącego w środku.

– To zbyt późna pora, by młoda dziewczyna chodziła samotnie ulicami Londynu.

Dzieje się to w marcu, tak sądzę. Marzec lub luty – miesiąc lub dwa przed opisywanymi przeze mnie wydarzeniami. Nie było mnie tam, więc nie mogę dokładnie stwierdzić, jak wszystko przebiegło, ale miałem ostatnio mnóstwo czasu, by spekulować i się zastanawiać – nic oprócz czasu i kajdan. Czasu, by przesiać wszystkie pozbierane przeze mnie elementy układanki i poskładać je najpierw w taki sposób, a potem w inny, aż wreszcie zaczął wyłaniać się wzór i cień prawdy nabrał powoli kształtu, jak Latający Holender pośród fal.

Zatem coś bardzo podobnego musiało się wydarzyć.

Na pewno była mgła, o której mówię. O tak, na takie spotkanie jak to musimy mieć mgłę – prawdziwy londyński tuman pełznący znad Tamizy niczym złowróźbny skrzyp wiolonczeli – stłumione światło byczego oka i uśmiech Dionysusa Athertona.

– Nazywasz się Meg, nieprawdaż? Meg Nancarrow.

Ona nie przerywa marszu w górę Ludgate Hill. Powóz zwalnia, by dostosować się do jej tempa.

– Znasz mnie, Meg?

Zatrzymuje się z ociąganiem. Nieufnie patrzy w ciemność.

– To ty jesteś tym chirurgiem.

– Tak, to ja.

Widział ją raz czy dwa razy. Musiał widzieć, bo wtedy zaczyna to mieć sens. Prawdopodobnie zobaczył ją z Wujkiem Cheese'em przy którejś z poprzednich okazji, w Trzech Wesołych Kogutach. Zauważył ją tam lub ktoś mu ją pokazał. Rozpytał się o nią.

Kobieta rabusia grobów i kurwa. On lubi ostrą grę. A w tej jest coś – jakaś dzika, pierwotna esencja – co burzy krew.

Otwiera jej drzwi.

– Wsiadaj.

Ona robi krok w tył.

– Słyszałam o tobie – mówi.

– Co słyszałaś?

– Słyszałam o tym, co zrobiłeś.

Ale czy powiedziałaaby to na głos? Prawdopodobnie nie – z pewnością nie. Jest zbyt sprytna. Ale zrobiła krok w tył. Zobaczył cień, który zarysował się na jej twarzy.

– Wsiadaj – powtarza. – W taką noc, we mgle, nie jest bezpiecznie.

Woźnica zsiada z kozła i staje za nią. Meg odkrywa to, gdy odwraca się, by uciec. Wysoki, szary mężczyzna z uśmiechem wyciętym w poprzek twarzy.

– Dzentelmen – mówi – zaprasza panią.

Ale oto w ciemności jest ktoś jeszcze, wielki i zwalisty w mglistym świetle lampy. Jedną z dłoni zaciska się w pięść, a twarz przybiera grymas zawziętości z powodu podejrzenia, że ktoś tutaj wymaga naprostowania poglądów.

– Cześć, Meg – rzuca. – Przyszedłem odprowadzić cię do domu.

– Jemmy!

– Mam nadzieję, że ci dzentelmeni nie robią ci przykrości?

Meg przeciąga chwilę, wystarczająco długo, by szary człowiek marnie ocenił swoje szanse, a sam Atherton cofnął się ostrożnie w głąb powozu. Dosłownie cal lub dwa, ale Meg to widzi. Jej ciemne oczy mierzą go z góry na dół.

– Nie robią – mówi. – I nie dzentelmeni.

Jej uśmiech czyni Athertona żalonym i śmiesznym.

– Dobranoc – rzuca lekko, a potem odwraca się, kuli jedno ramię, by mocniej otulić się szalem. Jemmy obejmuje ją wielgachnym ramieniem.

– W porządziu, Meg? – pyta, ostatni raz podejrzliwie łypiąc za siebie.

– W porządziu, Jem – mówi do niego, uśmiechając się w odpowiedzi.

Pochłania ich kłęb mgły. Już ich nie ma.

Chirurg patrzy za nimi i można sobie wyobrazić wyraz czystej wściekłości na jego twarzy. Tak to już jest z tą mgłą: zwodzi na manowce.

*

A może nic takiego się nie wydarzyło? Może to tylko mgliste opary z przegrzanej łepetyny?

Ja jednak myślę, że tak było, naprawdę. To był ten pierwszy raz, kiedy widzieli się twarzą w twarz – w marcu lub lutym – i tam, właśnie tam, zaczął o niej myśleć. O tym, co by zrobił Meg Nancarrow. I o tym, co by z nią zrobił potem.

Albo może inaczej – o tym też myślałem, chodząc w tę i z powrotem, w tę i z powrotem – czy jego twarz mogła przybrać inny wyraz? Ukłucie wspomnienia tak nagłe i okrutne, że aż głośno wciągnął powietrze. Wstrząsające podobieństwo, gdy Meg odwróciła się od niego, sposób, w jaki garbiła się od zimna – dokładnie tak jak inna dziewczyna w tę paskudną noc dwadzieścia lat wcześniej. Noc w listopadzie, która była najstraszniejszą listopadową nocą jego życia. Stał w drzwiach ojcowskiego domu, czując, jak serce zamienia się w kamień, podczas gdy ona odwracała się od niego i z trudem wchodziła w chłuszczącą nawałnicę.

Chłupot odchodzących kroków i zduszony przez wiatr szelest płaszcza, gdy się oddalała. I ten moment, kiedy niemal ją zawołał – wykrzyczał jej imię wbrew nocy i rzucił się w ciemność, by ją odzyskać. Ale ten moment przepadł i ona też, pożarta przez ciemność tak gęstą jak ta, która pochłonięła Eurydykę.

Atherton rzeczywiście dotrzymał obietnicy – a przynajmniej dotrzymał jej częściowo. Obietnicy, którą złożył Meg w Newgate przed egzekucją. Wykorzystał dawne długi wdzięczności lub uruchomił jakieś znajomości, skutkiem czego Jemmy Cheese został zabrany z okrętu więziennego Retribution, by odsiedzieć wyrok w szpitalu. Tyle tylko, że to nie był szpital, przynajmniej nie do końca: był to prywatny dom wariatów. Dowiedziałem się o tym od pana Comriego, który usłyszał, jak ktoś o tym mówił w Guy's.

Budynek w Camden Town należał do lekarza nazwiskiem Easton, który „kwaterował szaleńców”, jak mawiało się w tym interesie – bo oczywiście był to interes, jak każdy inny. Świat zbudowano na interesach, a tu akurat kupczono szaleństwem. Były dziesiątki takich przybytków w całym kraju i coraz więcej ich powstawało. No bo w końcu jaki jest rzeczywisty cel tego świata, jeśli nie to, żeby doprowadzić jego mieszkańców do szaleństwa? Wasz Wielce Uniżony mógłby w tym temacie rzec słowo lub dwa z osobistego doświadczenia, jak już zaczęliście się orientować – dni i noce zwinięty jak płód w towarzystwie czarnego psa, nawiedzany przez potworne sny. Ale ja również dałem obietnicę Meg Nancarrow i oto w piękny majowy dzień kuśtykałem w kierunku Camden Town, z każdym krokiem coraz mocniej obawiając się tego, co mnie tam czeka.

Prywatne domy wariatów miały bardzo różny standard. Słyszałem o jednym w St Alban's, gdzie nie trzymano więcej niż sześciu pacjentów jednocześnie, każdy z nich był wart pięć gwinei tygodniowo, regulamin zaś zniechęcał do fizycznego ograniczania swobody, a nawet zalecał uprzejme

słowa jako strategię terapeutyczną. Na drugim końcu skali znajdowały się czeluści piekieł – byłem w jednym lub dwóch takich, towarzysząc panu Comriemu w jego chirurgicznej pracy. Tutaj potępieńców pętano kaftanami, strategie leczenia były znane, wypróbowane i niezawodne: zanurzenie w lodowatej wodzie, wirowanie na krześle obrotowym, no i oczywiście bańki oraz polewanie gorącym woskiem, aby wyciągnąć zakażone humory. Przybytek doktora Eastona plasował się gdzieś pośrodku.

Stał też pośrodku szeregu domów, kuląc się ponuro i posępnie między lepiej wyglądającymi budynkami, jak środkowe dziecko z rodzeństwa, pielęgnujące w sobie doznane krzywdy. Na moje stukanie wyszedł odzwierny, przyjął moją wiadomość, kazał czekać za progiem i poszedł sprowadzić lekarza od wariatów.

– Przyszedłem zobaczyć Jemmy’ego Cheese’a – powiedziałem doktorowi Eastonowi, kiedy wreszcie się pojawił: żwawy człowieczek wchodzący w wiek średni, z chłodnym, oceniającym spojrzeniem. Jego oczy mimowolnie się rozszerzyły przy pierwszym napotkaniu Waszego Wielce Unizonego, co uznałem za swoiste osiągnięcie, biorąc pod uwagę obłąkańców, których doktor musiał codziennie oglądać. Opuchlizna z mojej szczęki już zeszła, przywracając twarzy pierwotne proporcje, ale nadal byłem cały w guzach, zadrapaniach i wykwitach w kolorze purpurowym, przechodzącym w żółć.

– W jakiej sprawie? – spytał.

– Mojej własnej.

– W takim razie radzę, żebyś sam się nią zajął – powiedział, powoli zamykając mi drzwi przed nosem. – A ja zajmę się swoimi sprawami i pacjentami.

– Moim wujkiem jest pan Dionysus Atherton.

Spodziewałem się, że to go powstrzyma. Nie pomyliłem się.

– Jestem synem jego siostry. Umarła.

Nie był pewien, czy mi wierzyć – i któż mógłby go za to winić, Bogiem a prawdą? Złocisty półbóg, Dionysus Atherton, i zbity strzępek w kolorach tęczy. Ale najwyraźniej był mu winien jakąś przysługę, był przez niego sowicie opłacany lub też jedno i drugie. A poza tym człowiek taki jak Atherton mógł mieć przecież to i owo na sumieniu – schadzki z aktorkami i pannami lekkiego prowadzenia, jakieś służki z czasów studenckich – a co za tym idzie, jednego czy dwóch takich, do których mógłby teraz

żartobliwie zwracać się „siostrzeńcze”. Widziałem, jak ta myśl przemknęła przez fizjonomię doktora Eastona, po czym pozwolił sobie na suchy śmieшек.

Spojrzał przez ramię na odźwiernego.

– Proszę pokazać panu... pańska godność?

– Starling. – Zrobiłem wszystko, by się jak najpromienniej uśmiechnąć.

– Proszę zaprowadzić pana Starlinga na dół – powiedział. – A pan niech przekaze serdeczne pozdrowienia swemu... wujowi.

*

Wewnątrz panował półmrok, w oknach były kraty, na drzwiach rygle, wszędzie zaś unosił się delikatny swąd starości i odchodów. Mogło być jednak gorzej. Mieli tu piętnastu czy dwudziestu pacjentów – tak powiedział odźwierny, gdy go o to spytałem – większość z nich w podeszłym wieku. Przetrzymano ich po dwóch lub trzech w pomieszczeniu, gdzie siedzieli jak wynędzniałe puchacze. Stara kobieta co dziesięć sekund monotonnie skrzeczała; inna dreptała nieskończenie małymi kroczkami, tak chuda w swojej zeszmaczonej nocnej koszuli, że mogłaby uchodzić za parę oczu na trzonku od miotły.

Drzwi na końcu, opatrzone ciężką sztabą, otwierały się na schody prowadzące na dół. Odźwierny gestem pokazał, żebym szedł przed nim.

– Niech siostrzeniec pana Athertona uważa, gdzie stawia stopy – rzucił.

Był nerwowym człowiekiem, z wyglądu przypominającym gronostaja, stojącego słupka, by pławić się w ciepłe promieni słonecznych. Teraz przyjął pozę ironicznej troskliwości, mając zamiar – tak zrozumiałem – zabawić się i udawać, że Wasz Wielce Uniżony jest dżentelmenem.

Schody prowadziły w gęstniejący mrok i ciężki, niedźwiedzi odór. Jemmy’ego trzymali w piwnicy.

Był sam. Siedział po turecku na kupce słomy, powoli kołysząc się w tył i w przód. Rozpoznałem jego sylwetkę w nędznym świetle przesączającym się przez jedno maleńkie okienko. Było zakratowane, jak wszystkie inne w tym budynku, chociaż jego rozmiar pozwoliłby się ledwie precyzyjnie kotu, a co dopiero tak potężnemu mężczyźnie. Trzymali go w kaftanie, bydlaki. Na szyi miał żelazną obrozę przyczepioną na krótkim łańcuchu do żelaznego pierścienia zamocowanego w podłodze. Za każdym razem, kiedy

odchyłał się do tyłu, a łańcuch napinał się sztywno, powstrzymując dalszy ruch, słycać było charakterystyczny dźwięk, metaliczne dzynk. Przywodził na myśl smutnego, oszalałego niedźwiedzia, który czeka na ostatnie szczucie.

– Niestety – powiedział odźwierny z troskliwym grymasem, jakby czytając z mojej twarzy – ale to dla jego bezpieczeństwa, sir, wyłącznie, jako że nasz pensjonariusz ulega ekscytacjom.

Temu odźwiernemu na nazwisko było Wallis. Przypomniałem sobie o tym za parę dni, kiedy w gazecie opisano później zaistniałe wydarzenia.

– Cześć, Jemmy – rzuciłem, próbując się uśmiechać – Tu Will, pamiętasz mnie? Obawiam się, że przynoszę bardzo smutne wieści.

Najsmutniejsze wieści, jakie zdarzyło mi się zanościć – tak czułem, stojąc w tej piwnicy, a jest to znaczące wyznanie z ust pomocnika chirurga, który codziennie mówił ludziom przez pięć długich lat, że zaraz stracą nogę lub że razem z nią również rękę, lub też – co jeszcze smutniejsze – że wszystkie aktualnie obecne kończyny zostaną na swoim miejscu, bo nie ma sensu nawet próbować.

– Twoja Meg... – powiedziałem. – To gorzej niż okropne, Jemmy. To najgorsze z możliwych, bo ją wzięli i powiesili. Mówili, że zamordowała twojego brata. Wiedziałaś? – Wtedy dotarło do mnie z okropnym ściśnięciem trzewi, że może nawet nie wiedzieć, że Ned został zabity. – Tak twierdzą, ale to kłamstwo, bo wcale tego nie zrobiła, Jemmy. Była niewinna, ale i tak ją powiesili...

Po prostu nadal się kołysał. Do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu, chrobot i dzynk. Chryste, czy on zrozumiał chociaż słowo z tego, co mówiłem? Jego twarz była zmizerowana i obwisła, a oczy tak mętne, że przysięglibyście, że nikt za nimi nie mieszka. Zacząłem myśleć, że może tak jest lepiej, w tej całej godnej pozałowania sytuacji – lepiej, że Jemmy nie jest już z nami, że jest tam, gdzie udają się ludzie, gdy ich głowy rozbić jak skorupy od jajka, i nie będzie już nigdy potrzebował żyć na tym świecie. Ale gdy znowu odchylił się do tyłu, zobaczyłem łzy płynące po jego policzkach.

Mógłbym płakać z nim. I pewnie bym to zrobił, wtedy jednak ponad nami dało się słyszeć jakieś drobne zamieszanie. Ryk sprzeciwu, dość głośny, potem kolejny, a następnie jazgotliwy chór – jeden z pacjentów podnosił rwetes, zarażając niepokojem innych. Stukotanie pospiesznych

kroków ponad naszymi głowami, wąska struga światła, gdy otwarto drzwi u szczytu schodów i głos doktora Eastona wołający niecierpliwie pana Wallisa, by przybiegł i pomógł.

Wallis wahał się, nie chciał zostawić gościa samego.

– Panie Wallis! W tej chwili!

Spojrzał na mnie pospiesznie.

– Tylko się pan do niego nie zbliżaj! – zakomenderował, a następnie rzucił znacznie mroczniejsze spojrzenie Jemmy’emu. W ułamku sekundy jego twarz przybrała złośliwy wyraz. – A ty, pamiętasz przypiekanie, co? Przypomnij sobie, jak ci się podobało!

A potem już go nie było. Jego buty zadudniły po schodach i zostaliśmy z Jemmy sami.

Podszedłem tak blisko, jak tylko mogłem, i przyklęknąłem w słomie.

– Jemmy, słuchaj... Po prostu mnie wysłuchaj, proszę.

Wreszcie przestał się kołysać. Łańcuch zawisł bezwładnie.

– Nie wiem, ile z tego rozumiesz albo ile mógłbyś mi powiedzieć, nawet gdybyś był w stanie, ale muszę się dowiedzieć... Czy Atherton miał powód, by chcieć śmierci twojego brata? Czy to coś, co wiedział Ned? Jakiś sekret?

Nie odezwał się. Ale również nie poruszył. Zatrzymał się jakby w połowie ruchu, z nisko pochyloną głową.

– Co to było, Jemmy? Co wiedział twój brat? Co było takim zagrożeniem? I czy Meg też wiedziała?

Bo to by wszystko wyjaśniało, czyż nie? Chęć Athertona, by zobaczyć ją zwisającą martwo ze stryczka. I obietnica, którą złożył – by wydostać Jemmy’ego z więziennego okrętu w zamian za spowiedź Meg. Tak, to by pięknie zamiotło ślady za Dionysusem Athertonem. Wujek Cheese w mogile wraz ze swoją tajemnicą, cokolwiek nią było... Meg Nancarrow również uciszona na zawsze, przyznawszy się do morderstwa popełnionego przez Athertona, albo przynajmniej przez Odenkirka na jego zlecenie.

To właśnie musiało się zdarzyć. Klęcząc na piwnicznej słomie, w piźmowym smrodzie biednego Jemmy’ego Cheese’a, czułem się prawie pewien. Wtedy nagle Jemmy podniósł głowę i przysięgam, że zobaczyłem błysk, migoczący płomyczek czegoś – k o g o ś – obecnego za tymi oczami. Tamten zniknął jednak w ułamku sekundy i Jemmy znowu zaczął się kiwać: w przód i w tył, w przód i w tył.

– Dowiem się – powiedziałem – obiecuję ci to, Jemmy. Dowiodę, co zrobił Atherton, i sprawię, że zawiśnie.

Jemmy zrozumiał, choć nie dał żadnego znaku. Wiedziałem, bo był tam ten błysk.

I było jeszcze coś. Za każdym razem, gdy kolebał się do tyłu – gdy napięty łańcuch wydawał dzynek – odginał żelazny pierścień przytwierdzony do podłogi. A pomimo wynędznienia Jemmy Cheese nadal był silny, silniejszy, niż bylibyście skłonni uwierzyć, więc kołek zaczynał ustępować. W swoim czasie na pewno puści, o ile ktoś nie powiadomi odźwiernego...

Opuściłem dom doktora Eastona bez słowa.

Przerażający napad w pobliżu Southwark Bridge

Z gazety codziennej

21 maja 1816 roku

Nowy przerażający atak został zgłoszony w sprawie Boba Gapiciela. Dotyczy Marynarza, który został zaatakowany dwie noce temu, gdy podążał Bankside Street w kierunku wschodnim, w okolicy doków. Gdy przechodził wąskim zaułkiem, nagle otrzymał Sromotne Uderzenie z góry, jakby Napastnik we własnej osobie spadł na niego z gzymsu czy dachu. Powalony na ziemię, Marynarz poczuł odór zgnilizny, zanim przejęło go Wielkie Cierpienie, jako że Napastnik wbił zęby w jego ciało w okolicy prawego ramienia. Jego krzyki zaalarmowały mężczyzn z pobliskiego szynku, którzy nagle ujrzeli Potworną Scenę: Stwór z wybałuszonymi oczami pochylał się nad powalonym Marynarzem, jego włosy były najeżone, paszcza zaś wysmarowana krwią. Zawarczał w najpotworniejszy sposób i czmychnął bez ociągania, przygarbiony, w noc, z niespotykaną i niezwykłą szybkością.

Wrak Toma Sheldrake'a kwaterował w siedzibie Izbie Adwokackiej, rzut kamieniem na północ od Fleet Street. Był tam zewnętrzny pokój, gdzie Sędziwy Kancelista pracował przy stole zawałonym aż po powagę papierami, a kurz wieków osiadał na nim i podnosił się przy każdym ruchu. Dalej było sanktuarium Sheldrake'a, wewnętrzny pokój z biurkiem i półkami, na których stały księgi oprawione w skórę, z tureckim dywanem i oknem wychodzącym na zachód. W lepszych czasach widać przez nie było, jak słońce z szacunkiem zachodzi, oświetlając adwokata bursztynowym blaskiem. Dzisiaj siedział skarłaly, a jego oczy wyglądały na nieproporcjonalnie wielkie. Peruka leżała zmierzwiona i pozbawiona życia w kącie, jak gdyby wypełzła na ulicę w najgorszym możliwym momencie i została przejechana przez powóz.

– To nie moja wina – powiedział, chwytając się tego stwierdzenia jak marynarz liny ratunkowej. – Musisz to zrozumieć, Starling. Nie ponoszę odpowiedzialności za śmierć.

Sędziwy Kancelista wyprostował się, gdy wkuśtykałem przez drzwi przed pięcioma minutami. Jego brwi uniosły się na mój widok jak przyprószone kredą gąsienice, ale mimo widocznych oporów, zaprowadził mnie do wraka.

– Nie przyszedłem pana oskarżać – powiedziałem teraz do Sheldrake'a – W ogóle nie przyszedłem rozmawiać o Bobie Eldritch.

Ale wystarczyło wspomnieć to imię, żeby znowu zaczął:

– To był żart...

– Muszę zapytać pana o Meg Nancarrow.

– Po prostu sobie dworowałem, nic więcej. Wszyscy w pokoju to wiedzieli. Wszyscy oprócz Boba Eldritch, który zupełnie opacznie to zrozumiał, matoł jeden. No i umarł!

Za mną przez otwarte drzwi wpadła delikatna chmura kurzu. To Sędziwy Kancelista uniósł głowę, by spojrzeć ze współczuciem na wrak Toma, który zerwał się na równe nogi i zaczął bezładnie krążyć po pokoju. „O tak – mówiły smętne oczy Sędziwego Kancelisty, gdy na chwilę spotkały się z moimi. – W rzeczy samej: tak to właśnie wygląda i wyglądało, a co dzień jest gorzej. Spójrzcie oto na wrak, jak się rozpada”.

– Co powiedział, kiedy do pana przyszedł?

– Co?

– Chirurg, pan Atherton. Dlaczego chciał, żeby pan bronił Meg Nancarrow?

Patrzył na mnie przez moment, jakby przekonany, że zadałem mu zupełnie inne pytanie. Po dłuższej chwili odwrócił wzrok.

– Tę kobietę? Bóg raczy wiedzieć. Ktoś musiał.

– Ale dlaczego pan, panie Sheldrake?

Bo to było dobre pytanie, czyż nie? Ze wszystkich prawników w Londynie – sprytnych i zdolnych ludzi, ilu ich tam było – dlaczego akurat Sheldrake, zapijaczony i niekompetentny?

– Jakie były jego polecenia?

– Polecenia?

– Zatrudnił pana. Co powiedział?

Sheldrake mrugnął, nadal rozkojarzony przez to, czego chwytają się jego myśli wcześniej.

– Wierzył, że kobieta jest winna – wymamrotał.

– Powiedział to panu?

– Winna jak sam diabeł, biedna suka... Ale formalnościom musi stać się zadość. Uczciwy proces, a następnie szafot.

– A Meg... spotkał się pan z nią, przygotowując się do sprawy. Musiał pan, prawda? Przed procesem w Newgate.

– Oczywiście.

– Czy powiedziała coś panu, panie Sheldrake? O Athertonie? Czy miała jakąkolwiek wiedzę o nim?

– O czym ty w ogóle mówisz? Jaką wiedzę?

– O to właśnie pytam. Cokolwiek. Aluzja, jakiś sekret, który mogłaby znać...

– Jakiś sekret? – Zamrugał ponownie, marszcząc brwi. – Chyba sobie coś przypominam... – I nagle jakby się ocknął, a twarz mu pociemniała. – A na diabła ci takie informacje? Co to cię obchodzi i co ty mnie obchodzisz?! – wrzasnął, nadymając się do swojej dawnej aroganckiej postaci lub przynajmniej starając się stworzyć jej żalospną kopię. – Takie byle co jak ty przyłazi tutaj i marnuje mój czas! Węszy za poufną informacją!

– Meg była moją przyjaciółką.

– Jakaś jego dawna lafirynda, do której czuł sentyment... Nie mam pojęcia, co między nimi było, i nie powiedziałbym ci, nawet gdybym wiedział!

Nagle zajęczał, jakby poczuł fizyczny ból, i krzyknął:

– Ludzka kończyzna?! Bob Eldritch wgryzający się w czyjeś ramię?!

Wśród bałaganu na biurku leżał egzemplarz gazety. Porwał ją i zmiął, a następnie rzucił przez cały pokój.

– Do kroćset diabłów!

Bóg jeden wie, że sam byłem poruszony, kiedy zobaczyłem tego ranka gazetę – mimo iż znałem miejsce pobytu ciała Boba Eldritch, rozdętego i gnijącego w swojej mogile, lub przynajmniej sądzilem, że znam, bo taki artykuł może zasiać ziarno wątpliwości w najbardziej zaszczurzonych zakamarkach umysłu. Niemniej Bob Eldritch nie był obecnie moim priorytetem.

Sheldrake rzucił się po zmiętą gazetę. Kiedy znów się odezwał, głos miał schrypnięty i cichy.

– Cztery dni temu, w nocy. Wtedy do mnie przyszedł.

– Mówi pan o Athertonie?

Stał przy oknie, zgarbiony. Rozprostowywał i wygładzał gazetę. Usłyszałem cichy, rozpaczliwy śmiech.

– Palce na oknie. Myślałem, że to opadłe liście, ale nie... skrobanie w szybę... ta dłoń.

– Bob Eldritch?

– Ta jego twarz, gapiąca się do środka. Te oczy i włosy zjeżone na sztorc. O Boże, pomóż mi. I co noc od tej pory...

Mimowolnie poczułem na karku gęsią skórę, jak gdyby moje własne włosy się zjeżyły. Usłyszałem sam siebie, jak zbity z tropu zadaję pytanie:

- Czego chce?
- Sheldrake zaczął jęczeć.
- Chce, żebym otworzył okno. Chce zemsty.

*

Oczywiście ja też chciałem zemsty.

Mógłbym temu zaprzeczać i przedstawiać się jako prawy poszukiwacz prawdy, bo cóż miałyby mnie przed tym powstrzymać, skoro to ja opowiadam wam tę historię? Ale bądźmy ze sobą szczerzy, nawet jeżeli większe prawdy są poza naszym zasięgiem, wśród skłębionego chaosu życia.

Pragnąłem zemsty na Dionysusie Athertonie. Pragnąłem jej coraz zajadlej z każdą chwilą, odkąd opuściłem biuro Toma Sheldrake'a tego popołudnia i odkryłem, że nogi niosą mnie w okolice Crutched Friars, gdzie stałem ponad godzinę w cieniu drzewa po drugiej stronie ulicy, po prostu patrząc na dom wuja. Zasłony były zaciągnięte. Żadnego śladu życia. Żadnego śladu jakiegokolwiek życia, choć życie rzeczywiście tam było, jak już obecnie wiem. Więcej życia, niż mógłbym sobie wyobrazić, stojąc tak we wtorkowe popołudnie, osiem dni po egzekucji Meg Nancarrow. Kiedy patrzę teraz wstecz, krew ścina mi się chłodem, gdy tylko o tym myślę: w tym domu było życie.

Ale nic się nie poruszało w środku, przynajmniej nic, co mógłbym dojrzeć. Ulica leniwie płynęła w codziennym rytmie, podczas gdy ja patrzyłem ze swojego stanowiska w cieniu, milczący podrzutek kipiący mrocznymi wyobrażeniami. Próbowałem w mojej głowie przywołać obrazy: co robił w tym momencie, a co w następnym. Co robił przez cały ten czas.

Tak, chciałem zemsty. Mściciel w tragedii mojego własnego autorstwa – chciałem jej tak bardzo jak Vindice w tej wielkiej, starej krwawej sztuce, noszący przy sobie czaszkę ukochanej, aby nawet na moment nie zapomnieć, jaką podłość wyrządzono jej oraz jemu[14]. Chciałem jej od pierwszej chwili, gdy stanąłem przed jego domem, po powrocie z głębi kraju pół roku wcześniej, obarczony własnym odkryciem – o mojej mamie, o tym, kim była i co się stało. Targałem tę wiedzę jak stary zbrązowiały czerep w torbie.

*

Panna Smollet była w Cripplegate, kiedy wróciłem. Siedziała na schodach na zewnątrz jak mój osobisty anioł stróż, w letniej sukience i słomianym kapelusiku przybranym kwiatami, skubiąc bułeczkę z konfiturą kupioną od handlarza i udając całkowitą nieświadomość obecności kilku młodych mężczyzn, którzy zatrzymali się po drugiej stronie ulicy, by gapić się na nią z uwielbieniem. Cała jej uwaga była skupiona na kropli marmolady, czerwonej jak żywe serce, chwiejącej się niebezpiecznie w kąciku jej ust – musiała ją w ostatniej chwili zebrać delikatnym muśnięciem języka.

Przychodziła do Cripplegate kilka razy od czasu mojej przygody z pomocnikami szeryfa, by się dowiedzieć, jak się miewam. Nadal byłem obolały i kulalem, ale przynajmniej moja twarz nie była już wykwittem żółci i cynobru – wiem, bo przeglądałem się w kawałku lustra za każdym razem, gdy słyszałem jej głos pytający o mnie. Spodziewam się, że te wizyty po części były jedynie wymówką, by wyjść z kwatery i unikać Janet Friendly. Niemniej mogła udać się do dowolnego miejsca w Londynie, a przychodziła do mnie.

Przyszła uśmiechnięta, choć tego dnia widziała w gazecie wiadomość o Bobie Gapicielu.

– Jest MARTWY – powiedziała z pełnym przekonaniem, tak pełnym, że zastanawiałem się, jak długo musiała to ćwiczyć. – Widzieliśmy go, MARTWEGO i GNIJĄCEGO. Niech zatem piszą, co chcą, Willu Starling – wszak MY znamy PRAWDĘ.

Ta jej umiejętność zbierania się do kupy po każdej katastrofie... Niechaj wzburzone fale oceanu życia walą się na nią z całą swoją morską zawziętością, a ona – patrzcie tylko – wypłynie znów na powierzchnię jak korek. Teraz przechadzaliśmy się – jej dłoń pod moim ramieniem. Zaczęła szczebiotać o tym i owym, i w ciągu godziny lub dwóch natrętna chmura uniosła się i mogłem niemal zupełnie zapomnieć o wszystkim innym: o domnianiach, które szybowały i pikowały jak gawrony, o bladej twarzy Meg Nancarrow na szafocie, o mojej uroczystej przysiędze złożonej Jemmy’emu, gdy kołysał się w przód i w tył, w przód i w tył, podczas gdy łzy płynęły po jego twarzy.

Panna Smollet znowu sprzedawała kwiaty, teraz pod teatrem Drury Lane. Kean w tych dniach występował w sztuce *Bertram*, czyli *zamek Świętego Aldobrandy*, gotyckiej tragedii o herszcie piratów. Panna Smollet ją widziała. Była bardzo dobra, mówiła, miała wszystko, czego należałoby wymagać od sztuki teatralnej, w tym walące się ruiny, złego mnicha i bohatera gnębionego o północy rozmyślaniami. *Bertram* schodził z afisza w końcu miesiąca, kiedy główne teatry Londynu zamykały się na okres letni. Panna Smollet zamierzała wówczas sprzedawać kwiaty pod Royal Haymarket, który miał repertuar na lato. Rozmawiała jednak również z człowiekiem, który mógłby jej zaoferować miejsce w trupie teatralnej jeżdżącej po prowincji – wieść ta została zakomunikowana z błyskiem nadziei w zielonych oczach, a odebrana przez Waszego Wielce Uniżonego z ukrywaną zgrozą.

– Na prowincji! – wykrzyknąłem. – Przez całe lato?

– Och, nawet dłużej. Trasa biegnie aż do Midlands, a potem z powrotem na południe do Kent. Będę tułać się MIESIĄCAMI, jak CYGANKA.

– Pieszko? To ta trupa wędruje?

Roześmiała się.

– Oczywiście, że nie, nie dosłownie. Nikt nie wędruje pieszo z Kent do Midlands – przynajmniej nikt, kto ma jakiegokolwiek pieniądze lub ociupinę zdrowego rozsądku.

– Ja kiedyś to zrobiłem. Kiedy wróciliśmy z Kontynentu, ja i pan Comrie, po Waterloo.

I nagle wbrew woli otworzyłem się i opowiedziałem jej historię, jak wyruszyłem na poszukiwanie mojej mamy. Nigdy nie miałem zamiaru pisać o tym słówka – a na pewno nie pannie Smollet, mojemu aniołowi – ale ostatecznie wylałem to z siebie. Myślę, że czaszka w torbie w końcu zaczyna nadmiernie ciążyć. Trzeba to z siebie wyrzucić. Siedzieliśmy wtedy już na ławce, na zarośniętym krzakami spłachetku zieleni za katedrą Świętego Pawła. Nad nami wielka kopuła, złocąca się w popołudniowym słońcu, oraz łobuzerskie gołębie przekradające się tuż obok.

– Zostałem wychowany w Kent – zacząłem – lub przynajmniej można by tak to ująć, zgodnie z obecną modą. Tam zostałem przekazany mamce po tym, jak mama oddała mnie do przytułku, tam więc poszedłem zeszłej jesieni, by rozpocząć moje poszukiwania. Miałem przecucie, że ktoś mógłby przypomnieć sobie, kim ona była.

I niespodziewanie tak się zdarzyło. Znalazłem położną znającą wiele kobiet, które wzięły podrzutków do wykarmienia. I poprzez zawężanie poszukiwań – rok mojego urodzenia oraz mgliste wspomnienie, że imię mojej mamki mogło brzmieć Dolly – znalazłem się na progu siostry Dolly. Zmarła dosłownie dwa miesiące wcześniej, jak się dowiedziałem, co wywołało u mnie niespodziewane poczucie straty, biorąc pod uwagę, że prawie w ogóle jej nie pamiętałem. Ale siostra zaprowadziła mnie do starego sąsiada, a ten z kolei skierował mnie do człowieka w lokalnej karczmie, którego kuzyn przez lata pracował w transporcie, dorabiając sobie przewożeniem podrzutków z Londynu. Ten kuzyn, gdy go już znalazłem, przypominał sobie z trudem ciemnowłosą dziewczynę ze smutną trójkątną buzią i miał niejasne wspomnienie, że pochodziła skądś w Midlands, jeżeli tylko pamięć mogła przywołać określony epizod sprzed dwóch dekad. Po długotrwałym marszczeniu brwi i wielu kuflach piwa dla rozjaśnienia pamięci, na powierzchnię wypłynęła nazwa miejscowości.

– To było Lichfield – powiedziałem pannie Smollet. – Więc tam się udałem.

– Pieszoz?! – wykrzyknęła zdziwiona.

Prawdę mówiąc, przez większość drogi korzystałem z dylizansów pocztowych, za które płaciłem groszem zarobionym w pubach z pomocą trzech kubków i ziarnka grochu, ale oczy panny Smollet błyszczały, a marsz o wiele lepiej pasował do tej opowieści.

– Krok za krokiem – powiedziałem z pełną powagą. – Przez całą drogę.

– Och, Willu!

I już to widziała, co wywnioskowałem z wilgotnego rozkojarzenia na jej ślicznej twarzyczce, gdy wyobrażała sobie tę scenę. Samotny podrzutek brnący w zacinającym deszczu pociętą koleinami wiejską drogą o zmierzchu – przydługawym zmierzchu, trwającym przez znaczną część tych trzech tygodni, deszczu niespotykanym od czasów, gdy Noe klecił swoją arkę – przez całą drogę, aż do samego Lichfield.

– Całą WYNISZCZAJĄCĄ DROGĘ – powtórzyła panna Smollet. Moja opowieść wyraźnie ją poruszyła. Szczerze mówiąc, zdawała się myśleć, iż bycie podrzutkiem jest szalenie romantyczne, co – jak rozumiem – może być dość typowe, o ile się samemu takowym nie było.

– I znalazłeś ich tam? Swoją rodzinę.

– Znalazłem dom, w którym mieszkała.

Mój dziad był kupcem bławatnym, jak się okazało. Nie żył już, jego żona również. Z mojej rodziny nie pozostał nikt. Ale byli ludzie, którzy ich pamiętali i znali historię, jak moja matka naraziła się rodzinie i została wyklęta. Jej ojciec uniósł się gniewem, brat zaś – miała tylko jednego, ukochanego starszego brata i żadnych sióstr – stanął po jego stronie. A tej akurat nocy padał deszcz – tak mi powiedziano, a ja nie wątpiłem w to nawet przez minutę. Obrzydliwa, przygnębiająca listopadowa noc, a wśród niej samotna postać brnąca przez wiatr, otulona chustą. Ostatecznie trafiła do Londynu. Nikt w Lichfield nie znał szczegółów.

– A potem? – Panna Smollet wyglądała na zmartwioną, wciąż żywiąc nadzieję na szczęśliwe zakończenie.

– Umarła rok lub dwa po tym, jak się urodziłem. Znalazłem jej brata, ale nie chciał mi za wiele o tym powiedzieć. Nie chciał powiedzieć mi czegokolwiek.

– Znalazł pan wuj? – wykrzyknęła. – I jest tutaj, w Londynie?

Poczułem, że na mą twarz wypełza grymas.

– Nic dla siebie nie znaczymy.

– Ale to pański wuj! Musi pan iść i go zobaczyć.

Muszę go zobaczyć na stryczku.

Nie powiedziałem tego, nie głośno, gdy panna Annie Smollet wpatrywała się we mnie, jakby czekając na szczęśliwe zakończenie opowieści.

– Późno już – powiedziałem.

I rzeczywiście, jakimś sposobem nastał już wieczór. Ostrożnie wstałem z ławki.

– Odprowadzę panią do domu, na Milford Lane.

– Milford Lane nie jest moim domem – zaprotestowała – a pańska historia tak się nie zakończy!

Ale to wszystko, co mogła ze mnie wyciągnąć. Wyglądało na to, że jest jedna rzecz, której mogłem odmówić panie Annie Smollet, a było to kolejne słowo na temat mojego wuja. Ostatecznie pogodziła się z tym – lub wyglądała na pogodzoną, przynajmniej wtedy – i przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

Ale tylko przez jakiś czas. Cisza nie była naturalnym stanem dla panny Smollet i wkrótce porzuciła swoje rozgoryczenie, by snuć pełne nadziei plany na przyszłość.

– Będę z nim rozmawiać znów w przyszłym tygodniu – powiedziała, gdy przekroczyliśmy Strand. – Z człowiekiem, o którym mówiłam. Tym, który potrzebuje aktorki na tournée.

A gdyby tournée poszło dobrze, na pewno znajdzie pracę na scenach Londynu. Czy nie byłem o tym przekonany? I to nie odgrywając pokojówki w pomniejszych teatrach, lecz prawdziwe role w Drury Lane i Covent Garden.

– A potem, zanim się zestarzeję i pomarszczę – może mając lat trzydzieści pięć – ogłoszę odejście ze sceny i zaręczyny. Będzie mieć dom przy modnej ulicy, pięć tysięcy rocznie i będzie KOMPLETNIE ZADURZONY... – Przerwała nagle, zauważając grymas – ledwie widoczny, lecz wyrażający całkowite zdruzgotanie – w fizjonomii Willa Starlinga. – Ale to oczywiście nie wydarzy się jeszcze przez całe WIEKI – dodała szybko. – DOSŁOWNIE CAŁE LATA.

Dotarliśmy przed fronton sklepu Janet. We wnętrzu paliły się świece, ale ulica była cicha i wyludniona, budynki zaś wygłaszały nocny harmider ze Strand.

– Och, Willu – powiedziała wtedy w przypiływie szczerości – stał się pan dla mnie TAK DOBRYM PRZYJACIELEM.

Próbowałem się uśmiechnąć w odpowiedzi. Czy nie były to bowiem dokładnie te słowa, które chciałem najbardziej usłyszeć? Przyjacieli.

– I powiem coś jeszcze, Willu. Powiem, że to wszystko MUSI SIĘ DOBRZE SKOŃCZYĆ. Przede wszystkim to z pańskim wujem, ponieważ mam BEZBŁĘDNE PRZECZUCIE w tych sprawach. Naprawdę. NIEZWYKLE, NIEZWYKLE RZADKO SIĘ MYLĘ.

Jakby zielone oczy i śliczna buzia mogły to sprawić jedynie blaskiem najszczerzego przekonania... Gdy zbliżyła się do mnie, poczułem zapach pomarańczy. Muśnięcie ust na moim policzku, a potem zostałem sam na ulicy, w blasku księżyca.

*

Kiedy dotarłem wreszcie na Cripplegate, pan Comrie był w swoim gabinecie z na wpół już opróżnioną butelką.

– Knajpy czy burdelik? – spytał kwaśno. W chwilach dezaprobaty potrafił przedzierzgnąć się w jedną ze swych kalwińskich ciotek.

Ale chyba rzeczywiście miał do tego prawo, ponieważ dziś akurat moje usługi były niemal niezbędne. Mieliśmy umówioną operację, co całkowicie wypadło mi z głowy – kupiec bławatny z Chiswell Street, wielce roztrzęsiony z powodu kamienia w pęcherzu, który zatkał przewód moczowy niczym korek. Zabieg miał zostać przeprowadzony w domu delikwenta, co było standardową praktyką w przypadku pacjentów dysponujących jakimkolwiek majątkiem, a pan Comrie wyznaczył go na godzinę drugą – chciał dotrzeć na Chiswell Street w południe, co również było standardową praktyką, mającą na celu skrócenie mąk psychicznych pacjenta, jak również zapobieżenie jakimkolwiek próbom jego ucieczki, gdyby w ostatnich chwilach nie wytrzymał napięcia. Spędziwszy czas na oczekiwaniu na Waszego Wielce Unizonego niemal przez godzinę, pan Comrie w końcu się poddał i popędził na Chiswell Street w obstawie sękatych asystentów zrekrutowanych w Guy's Hospital, by dotrzeć na miejsce kwadrans po pierwszej – w ostatniej chwili, by pochwycić kupca próbującego wyslizgnąć się kuchennymi drzwiami. Pacjenta do tej operacji przygotowuje się jak kurczaka do pieczenia – gice zgięte w kolanach przywiązuje się do boków, a dupa sterczy w najbardziej żałosny sposób – by wciąć się w pęcherz od dołu, a następnie zmacać kamień szczypcami. Niestety duży kamień sam nie zejdzie, a jeżeli się go nie usunie, ból stopniowo rośnie, a następnie wdaje się gangrena, co kończy się niechybną śmiercią – wszystko to pan Comrie objaśniał kupcowi bławatnemu, gdy wraz z asystentami ciągnął go, kwiczącego, z powrotem do domu, gdzie usunęli mu kamień w jedyne siedemnaście minut.

Opowieść o tym usłyszałem kilka tygodni później. Tej nocy wyburczałem tylko przeprosiny za absencję i zacząłem wspinać się po schodach.

– Czekaj! – warknął pan Comrie.

Najwyraźniej pod moją nieobecność dostarczono liścik. Skrawek papieru, ciasno poskładany, a na nim wiadomość zapisana eleganckim, wypracowanym charakterem pisma.

Panie Starling,

szuka pan informacji. Nie twierdzę, że je posiadam, ani nie jestem przekonany, że bym je ujawnił, nawet gdyby tak było. Powiem natomiast, że jestem człowiekiem o ustalonych przyzwyczajeniach.

*Jednym z nich jest późna kolacja, o godzinie dziesiątej. Jadam ją Pod
Złotym Lwem na Temple Lane.*

Z uszanowaniem,

P. Nuttall

– Sam pan go widział – powiedział pan Nuttall. – Nie wygląda dobrze, biedny pan Sheldrake. Sytuacja mojego pracodawcy jest bardzo kiepska.

Pokręcił głową z żalem. Z peruki posypał się kurz. Sędziwy Kancelista Sheldrake’a był jedną z dosłownie kilku osób w Londynie, które uparcie nie rezygnowały z noszenia peruki w nowoczesnym świecie 1816 roku. Nosił również pantalone do kolan i sprzączki na butach, niczym jakiś Kanut[15] dnia ostatniego, sprzeciwiający się falom mody – falom, które już dawno zalały go, a potem wycofały się, pozostawiając pana Nuttalla jak wyrzuconą na brzeg rozgwiadę.

– Przykro mi z powodu pana Sheldrake’a – skłamałem – ale pańska wiadomość... Pisał pan, że ma pan informacje.

– Wiem, co jest w liściku, młody panie Starling. Sam go pisałem. Mój liścik nic nie obiecywał.

W tym, jak mówił, czuło się upór: pochylony nad swoją zupą, obserwował mnie zza ochronnej bariery krzaczastych brwi. Pan Nuttall podniósł nóż i widelec i powrócił do ćwiartowania kotleta.

Temple Lane leży tuż poniżej Fleet Street. Pan Nuttall był już Pod Żółtym Lwem, gdy tam dotarłem. Siedział na małym, okrągłym stołku przy małym, kwadratowym stoliku w jednym z odległych rogów, popijając porto i tnąc mięso na precyzyjne kawałeczki, jakby niepomny harmidru panującego dookoła. Pod Żółtym Lwem okazało się tawerną sportową, uczęszczaną przez szumowiny, paniczów oraz dandysów, którzy interesowali się wyścigami konnymi i pięściarstwem oraz wszystkim innym, na co można postawić pieniądze. Ściany były obwieszane obrazami

przedstawiającymi szkapy i bokserów: Cribb i Mendoza naprzeciw siebie w gardzie, Byerley Turk pędzący ku zwycięstwu. Na stoliku za nami wstawiony złotodziób bawił swoich kompanów opisem pojedynku Amazonek, którego był świadkiem ostatnio w Wormwood Scrubs, gdzie dwie kobiety okładały się pięściami przez dwadzieścia minut, by wyrównać rodzinne porachunki.

– Nanny Flowers wykazywała nadzwyczajny animusz w pierwszych rundach – mówił – ale w dwunastej zaczęła się chwiać, a w trzynastej została posłana na deski krótkim hakiem z przedramienia.

Pośród tego wszystkiego siedział przy porto i pokrojonym kotlecie Sędziwy Kancelista Toma Sheldrake'a. To ukazywało go w niespodziewanym, zupełnie nowym świetle, wskazując na niedostrzegane dotychczas aspekty i przywołując nagle obraz młodego Nuttalla – pełnego życia i niesędziwego – żłopiącego klaret z dzbana i miazdzącego młodzieńczymi szczękami kość piszczelową pieczonej gęsi.

– Panie Nuttall, czy jest coś, co może mi pan powiedzieć? – spróbowałem ponownie.

– Najpierw proszę mi wyjaśnić, młody panie Starling, dlaczego pan pyta.

– Wierzę, że Meg Nancarrow była niewinna. Wierzę, że Dionysus Atherton zabił lichwiarza lub zlecił to zabójstwo. Chcę poznać prawdę.

– W jakim celu?

– Aby sprawiedliwości stało się zadość.

– I oczekuje pan sprawiedliwości, młody panie Starling? Ze strony prawa?

– Tak!

Pan Nuttall przymknął oczy, a potem bardzo wolno je otworzył.

– W zasadzie nie. – Poddąłem się, czując, że się czerwienię. – Nie, nie spodziewam się sprawiedliwości. Ale chcę, żeby świat się dowiedział, co ten parszywiec zrobił.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego jest pan tak zdeterminowany, by ujawnić niegodziwości pana Athertona?

– Bo go nienawidzę.

Chusteczka pana Nuttalla tkwiła jednym rogiem za jego kołnierzem, służąc za serwetę. Gdy ją wyjmował, poklepał parę razy delikatnie kąciki

ust, przyglądając mi się przez cały czas zza tych krzaczastych białych brwi jak łowca obserwujący kaczkę z kryjówki.

– Nienawiść – powiedział po dłuższej pauzie – to zawsze bardzo potężny motyw. I na swój sposób czysty. W przypadku nienawiści zawsze się wie, na czym się stoi.

Za nami wybuchła ożywiona dysputa: czy Cribb mógłby pokonać wielkiego Broughtona. Każda ze stron bardzo mocno broniła swoich poglądów, co zwykle dzieje się w przypadku pojedynków, do których nigdy nie doszło, szczególnie jeżeli jeden z bohaterów zmarł na długo przed tym, jak drugi miał okazję się urodzić.

– Nic nie wiem – powiedział pan Nuttall – w tym znaczeniu, że nie znam żadnych faktów. Ale nie mam też żadnych względów dla pana Dionysusa Athertona. Nie lubię jego sposobu bycia, młody panie Starling, ani tego, co zrobił mojemu chlebodawcy, gdyż to właśnie znajomość z panem Dionysusem Athertonem złała – choć nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć w jaki sposób – biednego pana Sheldrake’a. Uważam, że ponosi odpowiedzialność. Obwiniam go. I słyszałem pogłoski.

Nachylił się do mnie, zniżając głos. Jego oczy wwiercały się we mnie.

– Słuchaj pan uważnie, młody panie Starling. Nie wierzę, że pan Sheldrake cokolwiek o tym wie. Uważam, że jest tutaj niewinny – niezależnie od innych sprawek pana Sheldrake’a. Ale pogłoski krążą po Izbie Adwokackiej, a kanceliści często słyszą je jako pierwsi. Te określone pogłoski dotyczą dzieci.

– Jakich dzieci?

– Sieroty. Bezdomne. Drobinę niesione przyplływem, o które nikt się nie troszczy ani nikt o nich nie pamięta. Niczyje dzieci, które wchodzą do domu pewnego chirurga i słuch o nich ginie.

Za nami jakiś dżentelmen podkreślał wściekłym waleniem pięścią w stół przekonanie, że Cribb sponiewierałby Broughtona, proponując udowodnienie swojej tezy poprzez przestawienie szczęki pierwszemu, który temu zaprzeczy. Poczułem, jak niewidzialna obręcz ścisła mi żebra. Przypomniałem sobie hiszpańskiego chłopca stojącego przed domem w Crutched Friars.

– Co on im robi?

– Nie mam pojęcia.

– A kto ma?

Sędziwy Kancelista nachylił się jeszcze bliżej.

– Niech pan pomyśli, młody panie Starling. Logika. Jeżeli Edward Cheshire znał sekret – i jego współpracownica Meg Nancarrow też go znała – kto jeszcze mógł go znać?

Byłem głupcem. Wasz Wielce Uniżony był gorzej niż głupcem, nie zauważywszy tej oczywistości aż do tej chwili. Bo odpowiedź była tam, gdzie zawsze: przemykała z uniesioną dupą po cmentarzach Metropolii, z workiem przerzuconym przez wąskie ramię.

*

Dotarłem biegiem do Żołnierskiej Doli. Drzwi były nadal otwarte, a kształty nikczemnych zakrystianów majaczyły gdzieś wewnątrz, wśród zduzonego blasku kaganków i mgły tytoniowego dymu. Tutaj w połowie maja zapotrzebowanie na usługi Trupiarzy niemalże zamierało – skończył się semestr w szkołach anatomii, ciepło zaś sprawiało, że nieboszczycy szybko się rozkładali. Ale w żadnym przypadku nie był to powód, aby rzucić picie.

– Szukam Małego Hollisa – powiedziałem do Szynkarza. Mówiłem cicho, jak należy mówić w takich miejscach, gdzie niekoniecznie inni muszą wiedzieć, jakie masz plany.

– Rozejrzyj się – odburknął. – Widzisz gdzieś tego małego gnoja?

– Nie.

– Zatem założę się, że jest teraz gdzie indziej.

Z pomieszczenia na zapleczu, gdzie składowano Obiekty, dochodził mdlący zapaszek – najwyraźniej zapotrzebowanie nie całkowicie zamarło. Nawet w ładny wieczór pobyt w Żołnierskiej Doli mógł wywołać odruch wymiotny.

– Pewnie pierdzi w wyro. Tam się udawał lub tak tylko twierdził, kiedy wychodził stąd chwile temu.

– Czyli był tu dziś wcześniej.

– Bystrzacha. Nic ci nie umknie.

Odwróciłem się w kierunku wyjścia.

– Popularny dziś nasz Hollis – dodał Alf Szynkarz, który najwyraźniej zdecydował się rozgadać, kiedy już nasycił się drwiną. – Jesteś dziś drugim, co o niego pyta. Wcześniej był tutaj ten człowiek od Athertona, Odenkirka.

*

Mały Hollis melinował gdzieś na południe od Smithfield, tak słyszałem. Ruszyłem truchtem, choć nie byłem tak naprawdę pewien, czy uda mi się go odnaleźć, szczególnie o tej porze nocy.

Jak się okazało, niepotrzebnie się martwiłem. Znalazłem go o wiele bliżej Żołnierskiej Doli – nie więcej niż ćwierć mili od tawerny, w chaszczach rosnących na skraju Long Lane. Leżał na wznak, patrząc w nocne niebo, czego miało okazję doświadczyć już wielu spośród tych, którzy zataczając się, próbowali dotrzeć do domu właśnie tą drogą – lub jakąkolwiek inną drogą Londynu czy świata. Wokół niego stała mała grupka ludzi, wśród nich zgrzybiały strażnik z lampą.

Ale Mały Hollis nie leżał na wznak, jak się wydawało na pierwszy rzut oka. W świetle latarni widać było, że leży na brzuchu, z rozrzuconymi rękami i nogami oraz dupą skierowaną ku księżycowi. A jego oczy patrzyły w tym samym kierunku co jego dupa, gdyż ktoś mu skrzył głowę na wąskich ramionach, elegancko i czysto, jak gdyby wykręcał ogonek z wiśni.

Isaac Bliss gaśnie. Jest coraz chudszy i bardziej smętny, półprzezroczysty, jak bardzo stary człowiek. Na naszych oczach staje się swoim pradziadkiem, człowiekiem, którym byłby, mając dziewięćdziesiąt lat. Ale oczywiście Isaac nie będzie żył tak długo, w ogóle nie będzie już żył długo. Przeżył już cały swój żywot, poza ostatnimi kilkoma ziarenkami piasku w klepsydrze – od urodzenia do starczej niemocy. Oto on, nie osiągnąwszy jeszcze trzynastych urodzin.

– Czy bardzo cię boli? – pyta go delikatnie chirurg.

– Nie – mówi Isaac. – Tak...

Leży na kupie starych łachmanów w kącie warsztatu pana Bowella, gdzie znajduje się od wczorajszego poranka, kiedy się okazało, że brak mu sił, żeby wstać. Jego oddech jest płytki i rzęzący. Grabarz stoi, patrząc ponuro w przestrzeń, a z góry schodów wychyla się młody Thos, jego syn i spadkobierca, udając najlepiej, jak umie, chłopca, który spędziłby każdą godzinę, siedząc z dyskretną troską u wezgłowia biednego, złożonego niemocą Isaaca i karmiąc go polewką z miseczki.

Pan Atherton klęka, by osłuchać płuca chłopaka. Na jego twarzy maluje się powaga.

– Czy sądzisz, że w tym stanie zniesiesz podróż powozem?

– Jeżeli ktoś mnie zaniecie, sir.

– Nie będę cię oszukiwać. Jesteś bardzo poważnie chory.

– Tak, proszę pana.

– Ale sądzę, że nadal będę mógł ci pomóc. Chcę, żebyś ze mną pojechał.

– Do szpitala, sir?

– Do mojego domu.

Zwierzęcy strach miga w oczach Isaaca. Ale oczy chirurga są niebieskie, błękitne i kojące, a jego twarz wygląda łagodnie.

– Mam tam sypialnię, gdzie mógłbym cię umieścić, młody Isaacu. Jest w niej łóżko z pierzyną oraz kominek, a także okno wychodzące na ulicę. Czy mogę cię tam zabrać?

Nikt nigdy nie zadawał mu takiego pytania w całym jego krótkim życiu. Po prawdzie nie jest całkowicie pewien, czy to rzeczywiście pytanie oraz czy odpowiedź będzie miała jakiegokolwiek znaczenie, ale chirurg jest tak poważny i miły, a Isaac jest tak zmęczony...

– No – mówi grabarz. – Co się mówi swojemu dobroczyńcy, Bliss?

– Dziękuję – szepcze Isaac.

*

To miało miejsce parę dni wcześniej. Dokładnie w niedzielę – w wigilię egzekucji Meg Nancarrow i dzień po tym, jak sam odwiedziłem Isaaca. W sobotę wyglądał jeszcze całkiem nieźle, ale tego wieczoru jego stan gwałtownie się pogorszył, a w niedzielę wezwano chirurga.

Nie było mnie tam osobiście, rzecz jasna, ale jestem przekonany, że ta scena właśnie tak wyglądała – widzę ją, jak rozwija się w moim umyśle, choć wtedy nie miałem nawet najdrobniejszego przeczucia. Chce mi się płakać, kiedy o tym pomyślę.

Spójrzcie na nich.

Chirurg ostrożnie podnosi chłopaka, wiedząc, ile to powoduje cierpienia. Nie waży więcej niż wiązka chrustu. Można niemalże usłyszeć grzechotanie suchych kości, kiedy wynosi go na zewnątrz i ostrożnie wkłada do powozu. Każdy podskok koła na bruku wywołuje nowy ból, ale pan Atherton załatwił poduchy i koc, a Isaac jest w stanie usiąść, przynajmniej odrobinę, i popatrzeć na Londyn. Kiedy docierają do Crutched Friars, odkrywa, że pan Atherton jest równie dobry, co wiarygodny.

Niesie go na górę w ramionach. Pokój jest wielki i piękny, z książkami w biblioteczce i grubym tureckim dywanem na podłodze. W rogu, obok kraty popielnika stoi fotel, na którym Isaac będzie mógł się zwinąć, gdy tylko jego stan nieco się poprawi. Samo łóżko – z baldachimem! – jest

czyste i niemożliwie miękkie, z jaškami i poduchami. Isaac nigdy nawet sobie nie wyobrażał, że będzie leżeć w takim łózk, zupełnie sam. W takim luksusie chłopak mógłby się położyć i nigdy już nie wstawać.

– Teraz odpocznij – mówi Atherton.

Ułożył chłopaka na boku, by ten mógł wyglądać przez okno. To jedyny sposób – plecy Isaaca wygięły się już tak bardzo, że jest on niemal złożony we dwoje. Na zewnątrz rośnie drzewo, śpiewają ptaki. Piękny widok – i dźwięk, gdyż dzień jest ciepły i wiosenny. Okno jest otwarte, choć to oznacza, że Isaac nie może zobaczyć pokoju za sobą. Nie widzi ani biblioteczki, ani drzwi, ani miłego pana Athertona, który tam stoi. To sprawia, że czuje pewien niepokój.

– Widzisz – mówi chirurg – nie ma tajemniczej półki w moim domu.

Jest jednak pokój, za zamkniętymi drzwiami w połowie hallu. Widział go, kiedy wchodzili.

– Są kościotrupy – rzuca chłopak.

– Tygrys – tak, oczywiście. I gronostaj. Jeden stoi po wewnętrznej stronie drzwi, drugi na półpiętrze. Studiuję anatomię. Mam tutaj szkielety zwierząt. Trzymam je jako ciekawostki.

– Inne też.

– Inne szkielety?

– W głębi korytarza. – Korytarza na piętrze, to ma na myśli Isaac. Pochwycił go wzrokiem, kiedy weszli na górę. Mały szkielet połączony w całość drucikami, stojący w westybulu. Niewątpliwie ludzki. – Chłopak, tak wyglądało.

W pokoju zapadła cisza.

– Skąd on się wziął, panie Atherton? Ten kościotrup?

– Ze sklepu, młody Isaacu. Z zakurzonego sklepu na Gray's Inn Road, pełnego starych bibelotów. Te kości są bardzo stare, nie zauważyłeś? Szkielet zbrązowiał ze starości. – Głos chirurga jest ciepły, wzbudza zaufanie. – Odpoczywaj teraz. Nie ma się czego obawiać. A ja wkrótce tutaj wrócę, żeby się z tobą zobaczyć.

Przedziwna sprawa Uciekającej Kobiety

„The London Record”

22 maja 1816 roku

Czytelnicy znajdą sensacyjną sprawę Boba Gapiciela, która ostatnio wstrząsnęła stolicą, jak donosiliśmy rzetelnie na naszych

szpaltach, jednakże co to wydarzenie mówi o skłonności upiorów do opuszczania cmentarzy Londynu lub też co, z innej strony, mówi o zdolności Mitu do pobudzenia zbiorowej imaginacji z taką mocą, by przybrał on formę Rzeczywistości, nie chcemy oceniać, gdyż leży to poza wąskim obszarem naszej wiedzy. Niemniej wczoraj wieczorem natknęliśmy się na nowy przypadek tego zjawiska w postaci Zamiatacza Ulic, który opowiadał przechodniom o niezwykłym spotkaniu z tajemniczą Uciekającą Kobietą.

Zamiatacz, młody człek w łachmanach i niemiłosiernie wygniecionym kapeluszu, przedstawiający się jako „Nathaniel Gacek, Wasza Waszmości, Nathaniel Gacek, od moich uszu”, trzyma straż na skrzyżowaniu koło St Helen’s w Bishopsgate. To skrzyżowanie zamiata on do czysta za co łaska zaoferowane mu przez dobrych ludzi „o każdej porze, Wasza Miłość, od piania koguta do chwili, gdy zegar dwunastom wybije, zakładając, że w okolicy da siem słyszeć koguta, co siem oczywista nie da, ale sami rozumiecie, że mówiem w sposób przenośny”. Nocą w zeszły czwartek rozbudziło go, gdy drzemał na stojąco – „jako że było bardzo późno, Wasza Waszmości, na ulicy prawie żywej duszy, a Nathaniel drzemał oparty o swom miotle” – widmo młodej kobiety, bosej i otulonej w płaszcz, biegnące w jego kierunku. Widział wyraźnie, powiada, mimo ciemności i gęstniejącej mgły, w świetle latarni stojącej naprzeciwko.

Odezwałby się, by spytać, czy nie potrzebuje pomocy, ale w tejże chwili spośród mroków nocy za nią wyłonił się powóz, zajechał jej drogę, a z powozu wyskoczył mężczyzna, aby ją pochwycić. Kobieta wydała chrypliwy okrzyk i zaczęła się wyrывać, jednakże jej napastnik – lub opiekun, gdyż Nathaniel Gacek nie chciał wydawać osądów – pokonał jej opór i zaciągnął ją do powozu, „wierzgajoncom jak biedni nieszczęśnicy dyndajoncy w pentli w Newgate”. Później oddalili się z wielką prędkością, „jakby sam Zły ich ścigał”.

Wokół nas zebrał się tłumek zwabiony nadzwyczajną opowieścią. Zachęcony zainteresowaniem młody Gacek przedstawił dalsze szczegóły: oczy Uciekającej Kobiety były czerwone. „I to nie czerwone od płaczu, Wasze Waszmoście, a czerwone jak krew”. Dokładnie tak, ciągnął przemowę, jak oczy wielkiego mastifa, który

szalał po ulicach rok wcześniej – „tutaj na teźe ulicy, Wasze Waszmoście, dokładnie na tem samem rogu, na którym mamy przyjemność stać w tem momencie”.

Dały się posłyszeć okrzyki i wszyscy poczuliśmy nienaturalny dreszczyk, wspominając zdarzenie, które tak emocjonalnie przedstawił młody Nathaniel Gacek. Była to w rzeczy samej smakowita sensacja, jako że lubujemy się w tajemniczych opowieściach, udrapowanych w płaszcz Rzeczywistości. I oto nasz Zamiatacz Ulic opowiadał, jak Uciekająca Kobieta ugryzła mężczyznę w nadgarstek, gdy ją więził w ramionach – wysoki, szary człowiek, twierdził Gacek, przypominający wilka – i jak ten odpowiedział uderzeniem wierzchem dłoni oraz straszliwym przekleństwem, wołając do niej, gdy otwierał drzwi powozu: „Powinien był cię zostawić w Piekło, gdzie twoje miejsce!”.

Mój wuj raz operował tętniaka aorty. Pacjentem był latarnik z Tamizy, człowiek w wieku lat czterdziestu pięciu, z żoną i czterema berbeciami w domu, którego przywieziono do Guy's Hospital w poważnym stanie. Obydwie nogi miał zimne, a przyczyna była dość oczywista: pulsowanie i opuchlizna na brzuchu. Rokowania nie pozostawiały cienia nadziei: nie było szansy na przeżycie kilku następnych dni, w najlepszym przypadku – lub najgorszym, zależnie od spojrzenia na sprawę. Przeróżający ból był niemożliwy do uśmierzenia.

Tak więc mój wuj zdecydował się operować. Wywołało to znaczące poruszenie w Guy's, gdyż takiego zabiegu nigdy jeszcze nie próbowano na żywym pacjencie. Podwiązywano z sukcesem inne arterie, ale nie aortę, wielką tętnicę wyprowadzającą krew prosto z serca. Operacja na jamie brzusznej w każdym przypadku była beznadziejna, ale mój wuj powiedział niezwykle poważnie: „Ten biedak będzie martwy, jeżeli nic nie zrobimy. To jedyna droga”. I niewiele brakowało, a dodałby: „I prawda, i oświecenie”.

Spędził noc w Domu Śmierci, ćwicząc na nieboszczykach, a następnego popołudnia wniesiono biednego latarnika do sali operacyjnej. Widownia była szczelnie wypełniona kolegami i studentami. Tłum obserwował wszystko ze wstrzymanym oddechem, jak gdyby oglądali Keana w Drury Lane – wyciągali szyję, by zobaczyć, jak Atherton kraja człowieka od krocza do mostka i sięga do środka. Oczywiście, że był wrzask – ból zdawał się nie do wyobrażenia – ale nie zwracajmy na to uwagi. Miast tego lubujmy się zręcznością chirurga, który namierza po omacku aortę.

Nagle znieruchomiał, podniósł głowę i wykrzyknął: „Panowie! Mam zaszczyt powiedzieć wam, iż trzymam ją w dłoni!”.

Aplauz, okrzyki: „Brawo!”. Byli zachwyceni, każdy spośród obecnych – oprócz oczywiście jednego. Latarnik pragnął w owej chwili umrzeć na miejscu.

Ale nie umarł. Mojemu wujowi udało się podwiązać aortę, a latarnika wyniesiono żywego z sali operacyjnej, przy głośnych hosannach wznoszonych na cześć chirurga.

Następnego wieczoru nogi pacjenta znowu były ciepłe, co stało się dowodem na to, że krew znalazła inną drogę. Potem jednak ponownie stały się zimne. Latarnik dostał gorączki i przed północą zmarł, co mój wuj musiał przewidywać już w momencie, gdy chwycił za skalpel. Ale człowiek umiera tak czy siak, a poza tym to był tylko latarnik. Następnego popołudnia wuj oznajmił swoim przepełnionym uwielbieniem studentom, że operacja jako taka musi zostać uznana za udaną, niezależnie od śmierci pacjenta. Jest to – ogłosił – wielki dzień dla nauki.

Nie byłem wtedy obecny, gdyż działo się to kilka miesięcy przed moim powrotem do Londynu latem 1815 roku, ale sytuację opisało mi kilku świadków. Wspominam wam teraz o niej, gdyż coś przyszło mi na myśl, gdy szedłem przez London Bridge do Guy’s Hospital, tego samego dnia, gdy przeczytałem o Uciekającej Kobiecie w „The London Record”.

*

Ciała czterech złoczyńców powieszonych za morderstwo. Tyle zgodnie z prawem należy się co roku Królewskiej Akademii Chirurgii – czterech nieboszczyków w roku i ani jednego więcej, nieledwie przekąska w porównaniu z ucztą, która musi być wniesiona co roku na stoły prosektorskie Londynu. Ciało Meg miało być jednym z nich. Uzgodniono to przed wieszaniem. Miało zostać odcięte i na wózku dostarczone bezpośrednio do Domu Chirurgów, dwieście kroków na północ od więzienia. Ale nigdy tam nie dotarło.

Tyle się dowiedziałem od Keatsa. Przyjechałem do Guy’s Hospital w sprawach pana Comriego, czując niepokój w sposób, którego nie umiałbym nawet opisać, oraz z zupełnie nowym zestawem obrazów do moich nocnych koszmarów: Małego Hollisa na brzuchu, patrzącego do

góry w księżyc, mastifa z twarzą Meg Nancarrow i oczami czerwonymi jak krew... To była moja pierwsza wizyta w Guy's od czasu egzekucji i odkryłem, że moje nieudane przedsięwzięcie stało się teraz przedmiotem radosnej legendy. Pośród studentów chirurgii zacząłem być określany jako Szalony Starling, który próbował zdobyć więzienie Newgate szturmem, jako jednoosobowy tłum rewolucjonistów. Zupełnie inny Will Starling – Will Starling, który istniał, zanim zaczęło się to wszystko – mógłby się tym nawet cieszyć. Mógłby się puszyć i puszczać oko, przykładać palec wskazujący do nozdrza, zamiast odpowiedzieć na pytanie: „O co, u diabła, ci chodziło, Starling?”, oraz błyskać zębami w porozumiewawczym uśmiechu, wskazującym na przemyślaną, acz tajną strategię, ale teraz w ogóle nie miałem do tego nastroju. Gdy wpadłem na Keatsa, udaliśmy się razem do szynku schowanego wśród gęstwiny uliczek na zachód od St Saviour's, nieuczęszczanego przez studentów.

Keats kręcił się na swoim stołku z dziwnym wyrazem twarzy. Wyglądał, jakby coś gniotło go w żołądku.

– To wpływ operacji – zasugerowałem, bo jak słyszałem, Keats w tym dniu wykonał samodzielnie niewielki zabieg, podczas którego wycinał narośl z policzka pacjenta.

– Ależ nie – powiedział. – Sam zabieg przeszedł znośnie. Nie byłem pewien, czy powinienem być zadowolony, czy przerażony. Kłopoty żołądkowe przyszły później.

– W takim razie weź karuku za pensa i rozpuść w pięciu uncjach wody. Bardzo skuteczne na kłopoty trawienne.

– Jeżeli to są kłopoty trawienne – rzucił, z nieco zatroskanym wyrazem twarzy – a nie cholera w stadium wstępnym.

– Keats, to żadna cholera.

Był świetnym facetem, ale miał fiksację na punkcie swojego zdrowia. Skrzywił się i szybko zmienił temat. Okazało się, że napisał wiersz, który przyjęto do druku w gazecie „The Examiner”. Zaproponował, że mi go wyrecytuje, więc odpowiedziałem, że czemu nie, ciesząc się na okazję, by zająć myśli czym innym. Poza tym nie gardzę dobrym wierszem, szczególnie jeżeli występuje w nim szkocki góral lub szarża kawalerii, a rytm galopuje przez strofy. Ten akurat okazał się sonetem traktującym w dużej mierze o samotności i drzewach, toteż po paru wersach przestałem słuchać. Kiedy skończył, zapewniłem go, że utwór jest zaiste

bardzo dobry, z tego rodzaju wierszy, które najlepiej trafiają w gust męzczyzny, a on spytał mnie o egzekucję. Chciał wiedzieć, dlaczego to zrobiłem.

Powiedziałem, że dlatego, iż znałem Meg Nancarrow i nie wierzę, że była winna.

– Była twoją przyjaciółką?

– Tak... Nie. Nie do końca. Nie chciała przyjaźni, a już najmniej od takich jak ja. Ale ja chciałem jej pomóc.

– Na tyle, żeby dać się pobić na śmierć?

Odwróciłem wzrok, zdając sobie sprawę, że nie wiem nawet, od czego zacząć. Albo gdzie skończyć, gdybym już zaczął opowiadać Keatsowi, wokół czego krążyły moje myśli.

– Oczy mastifa były czerwone – powiedziałem niespodziewanie dla siebie samego.

Keats spojrzał na mnie pustym wzrokiem.

– Mastifa?

– Zrobił mu coś. Atherton. Nie pamiętasz? Było w gazetach zeszłej jesieni. Jakiś straszliwy eksperyment – mastif oszalał i zaatakował dwa konie. Oczy miał czerwone jak krew.

Keats zaczął się śmiać – nie wziął tego na poważnie. Najwyraźniej atak cholery ustępował.

– Te bzdury w gazecie dziś rano... Czy to cię męczy?

– Nieważne – bąknąłem, żałując, że w ogóle otworzyłem gębę.

– Uważasz, że ta kobieta to co, to była Meg Nancarrow? Powstała z grobu? *Surrexit Meg de sepulchro*?

– Oczywiście, że nie.

– To najczystszej wody fikcja, Starling.

– Wiem o tym, Keats! Idź leczyć swoją cholera i zostaw mnie w spokoju.

Najwyraźniej go to ubodło, a ja już po chwili pożałowałem, że to powiedziałem. Obydwaj pogrążyliśmy się w smętnym milczeniu.

– Jeżeli to jest cholera – powiedziałem po dłuższej chwili – powinieneś przyjmować kalomel w pigułkach i olej rycynowy. Przestrzegaj diety z kleiku z tapioki i ryżu na chudym rosole.

– To nie jest cholera – wyburczał Keats i zamilkł, ale po chwili znowu przemówił, a to, co powiedział, bardzo mnie zaskoczyło. – Przyszedł dzisiaj do szpitala. Atherton.

Najwyraźniej nie widziano go w Guy's Hospital od ponad tygodnia. Ale tego ranka znów się pojawił, wchodząc w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Jak wśród łopoczących proporców – powiedział Keats – ale nawet jeszcze bardziej niż zwykle. Jak burza przemknął korytarzem i wkrótce znów zniknął, nie zostając nawet na własny wykład z anatomii. Podobno był zbyt zajęty przygotowaniem jakiegoś pokazu anatomicznego, który miał się odbyć wieczorem za dwa dni w obecności śmietanki Londynu. Wedle pogłosek miało to dotyczyć jakiegoś wielkiego odkrycia naukowego, wynikłego podczas sekcji ciała Meg Nancarrow.

Ta myśl była w pewien sposób groteskowa.

– Atherton? – spytałem. – On ją ciął?

– I jestem przekonany, że zrobił to wyśmienicie. Pan Atherton to poeta, tyle że jego materia są ciało i krew, i to jest w nim takie niepokojące, gdyż ciało jest rzeczywiste, a krew należy do kogoś innego. – Widząc wyraz mojej twarzy, Keats znowu zaczął się śmiać. – Sekcja, Starling. Nie bądź taki przerażony. Ale czy ją zrobił, czy nie, na pewno nie było to w Domu Śmierci, bo ciało nie zostało tu dostarczone.

– Jak to?

– Słyszałem od jednego z portierów.

Wlepiłem w niego wzrok

– Dokąd zatem je zawieziono?

– Portier nie wiedział. Ale słyszał, jak ktoś mówił, że prawdopodobnie trafiło do zakładu Bowella.

*

Brwi pana Bowella działały na tych samych zasadach co jego uśmiech – uruchamiane zmyslnym układem dźwigni i bloczków. W tej właśnie chwili zostały gwałtownie uniesione, by wyrazić zadziwienie. Denatka Nancarrow? Tutaj? Ależ skąd! Żaden denat o takim nazwisku nie trafił tutaj w zeszły poniedziałek ani kiedykolwiek indziej, jak pan Bowell sięgał pamięcią.

– W Guy's Hospital mówią co innego.

Mechanizm znowu zaskrzypiał. Pan Bowell nie miał pojęcia, skąd to przekonanie. Ani dlaczego chłopak od pana Comriego miałby się tym

w ogóle interesować.

Staliśmy w głównej izbie zakładu, gdzie pan Bowell zwykł się spotykać ze swymi klientami – tymi, którzy jeszcze oddychali. W tym pokoju Stary Kościej mógłby czuć się jak u siebie, z patykowatymi kulasami opartymi na otomanie i szlafmycą na głowie: mały, ciemny, wąski, jakby aluzja do bardziej długookresowych pomieszczeń, które pan Bowell miał w ofercie. W pokoju migotały kaganki, a na podłodze leżał chodnik głuszący odgłos kroków. Człowiek sam czuł, że powinno się w takim miejscu szeptać, aby nie pobudzić tych, którzy sztywno i nieruchomo spoczywali w pomieszczeniu poniżej. Przybiegłem tu prosto z mojego spotkania z Keatsem i dotarłem akurat w momencie, gdy pan Bowell zamykał okiennice na noc.

– Chciałbym ci pomóc – powiedział, mając na myśli coś wprost przeciwnego – ale nigdy nie widziałem tej Nancarrow, ani za życia, ani później. Musisz porozmawiać z chirurgami, jak mniemam, lub portierami w szkołach anatomii. Lub też może strażnikami z Newgate. Mogliby ci pomóc, gdyż wielu leży tam pochowanych, jak pewnie wiesz, pod brukiem Drogi Nieboszczyka. Wszyscy, którzy schodzą z tego świata w więziennych murach i tym samym odchodzą na wieczny odpoczynek bezimienni, za to przyprawieni wapnem. Ale ja nie mogę ci pomóc. Nie mam takiej wiedzy. Dobranoc.

Tyle że kłamał. Zobaczyłem drgnięcie napięcia w jego twarzy, a jednocześnie drgnięcie czegoś innego za nim. Thos Bowell Młodszy krył się w cieniu za bramą i obserwował. A jeżeli można powiedzieć, że grabarz został dotknięty zimną dłonią niepokoju, to jego syn najwyraźniej został przez nią pochwycony i podniesiony za kudły w powietrze.

*

Młody Thos wkrótce miał odczuć jeszcze większy niepokój. Niedługo później wyszedł drzwiami od podwórza, kierując się ku wychodkowi, gdy nagle stanął twarzą w twarz z ciemną figurą młodzieńca o trójkątnej twarzy, który na niego czekał. „Jezu Chryste!” – kwiknął, gdyż wielce rozstrajające jest być ofiarą takiej zasadzki w ciemnościach nocy, gdy spodnie są już rozpięte, a myśl skupia się wyłącznie na przykucu w samotności i kontemplacyjnym smrodku.

Ale odpowiedział na moje pytania, po zachęcie obejmującej obietnicę obcięcia mu klejnotów, gdyby tego nie uczynił. Miałem wrażenie, że aż się palił, by wszystko opowiedzieć, i zrobił to z prawdziwą mroczną satysfakcją.

O tak, powiedział. A jakże. Przywieziono tu trupa dziwki Nancarrow na wózku, bezpośrednio po egzekucji. Przyjechał z nią chirurg. Był strasznie poruszony, warczał i wykrzykiwał rozkazy – „Zrób to i to, młody Thosie” oraz „Bądź czujny, młody wilczku” – i najpierw, ku rosnącej konsternacji młodego Thosa, wyglądało na to, że będzie próbował ożywić ciało.

– Ale potem się zatrzymał, a jego gęba przybrała taki wyraz, że nadal się trzęsę, jak sobie przypomnę.

A więc chirurg najwyraźniej zmienił zdanie. Zdecydował się czekać. Zabrać Meg w inne miejsce i ożywić ją w inny sposób, skoro już wyglądało, że jest na pewno martwa.

Ja sam byłem coraz bardziej zdziwiony.

– Mówisz, że były wątpliwości? Meg mogła nadal żyć?

Młody Thos powiedział, że nie z tak rozbitą miną, że nie mogła być udawana. To właśnie czyniło tę sprawę jeszcze dziwniejszą. Ponieważ od początku Meg Nancarrow była zupełnie martwa.

– Była trupem od chwili, kiedy ją przywieźli do zakładu, słowo honoru. Widuję trupy codziennie, leżące gołe na stole, z kuciapą na wierzchu. Wiem, jak wyglądają trupy. I taka była Meg Nancarrow.

Dał mi do myślenia.

I ani razu mi nawet nie przemknęło przez głowę, by spytać o Isaaca Blissa.

Sensacyjny koniec Boba Gapiciela

Z gazety codziennej

23 maja 1816 roku

Cały Londyn z zapartym tchem śledził sprawę Boba Gapiciela, nocnego upiora, który po raz pierwszy dał o sobie znać parę tygodni temu w okolicach cmentarza St Mary-le-Bow, niepokojąc przechodniów, aby następnie przejść do potwornych czynów i kanibalistycznych napadów na żywych. Obecnie wygląda na to, że ta straszna saga osiągnęła swój kres we wczesnych godzinach zeszłego poranka, gdy trio młodych dżentelmenów, wracających późnym wieczorem z „wyjścia” do miasta, zostało nagle zatrzymane

przez dźwięki wskazujące na damę w opałach, dobywające się z alejki w okolicach Haymarket.

Ruszywszy w tamtym kierunku, dojrzeliby oni jedną z cór Koryntu będącą celem napastnika, którego zamiarem w pierwszych chwilach wydawało się wyrwanie miłości siłą. Jednakże w tym właśnie momencie promień księżycy przebił się przez zasłonę chmur – jak gdyby był to nie księżyc, lecz nieustająco czujne Oko Opatrzności – i w jego srebrzystym blasku ujrzeli oni, iż napastnikiem jest nie byle śmiertelny opryszek, lecz nikt inny jak Bob Gapiciel, kucający nad szamoczącą się niewiastą lekkiego prowadzenia się niczym potworna ropucha.

Kreatura zbiegła natychmiast, lecz młodzi dżentelmeni ruszyli w pościg, zachęcani przewagą liczebną oraz duchem nieustraszonego, wypełniającym w takim momencie serce każdego prawdziwego syna Albionu, jak to ostatnio działo się na polach Waterloo. Inni podjęli pościg i nagonkę, zwabieni wołaniami trzech dżentelmenów o wsparcie, i wkrótce rosnący tłum gonił Potwora, niosąc latarnie oraz prowizoryczne uzbrojenie. Kreatura uciekała z wielką szybkością, kierując się ku dzielnicy biedoty St Giles Rookery, w której owianych złą sławą labiryntach niemal z pewnością udałoby jej się schować. Lecz oto Opatrzność ponownie wyciągnęła swą Sprawiedliwą Dłoń, kierując Potwora w ślepy zaułek, gdzie odwrócił się on z wrzaskiem pogańskiego szału, a wtedy pogoń dopadła go i obaliła.

Zeznania są niejednolite i niezgodne co do dalszego przebiegu wypadków. Jednakowoż wydaje się, że gdy tłum okładał Kreaturę pałkami, polano ją pewną ilością substancji łatwo poddającej się zapłonowi, być może olejem skalnym, a następnie podpalono knotem lampy. Gdy Potwór leżał bez zmysłów, obrzucono go jeszcze palnym materiałem w postaci drewna z pobliskiego przybytku, który popadł w ruinę, z czego znane są żałosne budowle w tej obrzydliwej części Londynu. W przeciągu kilku chwil podniósł się wielki płomień, przypominający Płomienie na Smithfield, które w pradawnych czasach rozpalano pod heretykami i zbrodniarkami.

Jakież rozpaczliwe myśli przemknęły przez umysł Kreatury, jeżeli w ogóle pozostała tam jakakolwiek myśl, nie sposób zgadnąć. Może

być, że w ostatniej chwili ujrzała Największy z Płomieni, który niechybnie jej oczekiwał. Ale pewne jest, że ziemskie przewinienia Boba Gapiciela znalazły koniec, a po pół godzinie nie pozostało nic prócz popiołów i węgla, które następnie rozpląnęły się we wstrętnych czarnych potokach za sprawą ulewnego deszczu, który lunął w tym momencie, jak gdyby same Niebiosa chciały oczyścić Metropolię ze wszelkich pozostałości nieczystego Boba.

Panna Smollet przyjęła te wieści tak, jak moglibyście się spodziewać: emocjonalnie. Poszedłem tego ranka na Milford Lane, gdy tylko przeczytałem gazetę, w której znalazłem tę historię.

– Nie chciałam tego – powiedziała panna Smollet i powtarzała to w kółko, przyciskając nieprzytomnie dłonie do piersi. Ale nie jak aktorka na scenie – już raczej jak bardzo młoda kobieta spacerująca niespokojnie przed sklepem, ze słońcem we włosach i bolesnym przeświadczeniem, że jakimś sposobem stała się przyczyną okropnych wydarzeń. – Chciałam, żeby zostawiono mnie w spokoju, to wszystko. Chciałam, żeby sobie POSZEDŁ. Widzieliśmy go przecież w trumnie. Obydwoje – pan i ja – na WŁASNE OCZY. I czy uważa pan – och, Willu – czy to rzeczywiście jego zabili zeszłej nocy? Czy może zamordowali kogoś innego?

Janet Friendly nie miała wątpliwości. Staliśmy przy ladzie, podczas gdy pani Sibthorpe starała się nakłonić pannę Smollet, by poszła na górę i się położyła.

– Trzech ogierów po balandze? – parsknęła. – Mogli zabić kogokolwiek. Natykają się na kogoś w uliczce i nagle wpadają w szal. Bóg jeden wie, że i twoje oczy wyglądałyby jak jaja, Willu, gdyby pół Londynu pędziło za tobą z wyciem. I włosy też by ci się zjeżyły. Nie mam współczucia dla gnoja, w końcu atakował tę dziewczynę, ale na pewno nie był to żaden pierdolony Bob Gapiciel.

Janet może była cyniczna, ale pan Comrie był wprost zniesmaczony.

– Czy to był Bob Gapiciel? Nie żaden Bob Gapiciel, bo nigdy cholernego Gapiciela nie było, zacznijmy od tego.

Jego szkocki akcent zrobił się bardzo wyrazisty, co zawsze było oznaką wewnętrznego poruszenia. Wróciłem do Cripplegate, gdzie znalazłem go w pokoju zabiegowym, wbijającego gwoździe w ścianę. Najwyraźniej zdecydował się zawiesić kilka nowych obrazów.

– Widziano go – zaryzykowałem.

Nie wiedziałem już, w co mam wierzyć – w sprawie Boba Gapiciela czy jakiegokolwiek innej. Szczególnie po wieściach dotyczących Uciekającej Kobiety oraz opowieści, którą młody Thos wykwiczał pod wychodkiem zeszłej nocy. Efektem tej kombinacji była bezsenność dręcząca mnie do chwili, gdy błogosławione światło poranka zaczęło wkradać się przez okno mojego pokoju na poddaszu.

– Akurat – wyburczał pan Comrie. – Akurat widziano Boba Gapiciela.

– Widziały go różne osoby.

– Pod cmentarzami, molestującego małe dziewczynki. W kominach, gdzie stroił grymasy do kominiarzy.

– Wydawało mi się, że raz go sam widziałem. Tutaj, na Cripplegate. W nocy, gdy panna Smollet spała w moim pokoju.

Nigdy mu tego nie powiedziałem i teraz też się zawahałem. Przestał walić młotkiem, ale się nie odwrócił.

– Gdzie go dokładnie widziałeś, Williamie?

– Na dole schodów.

Wskazałem palcem – bezużyteczny gest, jako że pan Comrie nadal wpatrywał się uparcie w gwoździe, jakby mógł go wcisnąć do końca w ścianę czystą mocą kaledońskiego zniesmaczenia. Jego głos stał się płaski i złowroźnie spokojny.

– A co dokładnie zobaczyłeś? Jeżeli wolno spytać.

– Postać – powiedziałem, tracąc kontenans. – Kształt.

– Opisz.

– Cóż, jakby przygarbioną...

– Jakby przygarbioną?

– Coś w rodzaju męskiej sylwetki, z przygarbionymi ramionami.

– Takiej, jaką widują dzieci w ochronkach, Williamie? Kiedy ktoś przed snem nastraszy je złym dziadem?

– Tak, przyznaję. Mogłem to sobie wyobrazić...

– Takiej, jaką półgłówki i stare baby widują w bezksiężycowe noce, kiedy to czarownice fruwały na miotłach?

– Ale to nie tylko ja. Połowa Londynu uważa...

– Połowa Londynu to osły! Od ciebie oczekuję więcej.

Spuentował tę wypowiedź ostatnim uderzeniem młotka i podniósł pierwszy z obrazów: obrzydliwą mosznę Charlesa Bella, którą najwyraźniej postanowił jednak tu zawiesić.

– Jest nauka, Williamie, i jest przesąd. Rozum albo szaleństwo. Jedna strona albo druga – i jeżeli to ta druga, niech Bóg się nad nami zlituje. Te nocne eskapady, rozkopywanie grobów, to nie przyniesie nic dobrego. Nie widzisz tego? Znaczysz dla mnie tyle, co rodzony syn, i – Williamie – to jest wariactwo.

Na jego twarzy ukazały się plamy świadczące o gniewie i niepokoju. Nie widziałem takiego niepokoju od tego wieczoru po Waterloo, kiedy odnalazł konia z połową głowy i Waszego Wielce Uniżonego wstrząsanego niekontrolowanym szlochem. Miałem znowu go zobaczyć w tym stanie następnego wieczoru w Guy's Hospital.

Ponieważ tego ranka przysłano wiadomość. Pan Dionysus Atherton miał wygłosić wykład i przeprowadzić pokaz historycznej chwili. Obecność jego dawnych kolegów z uniwersytetu jest absolutnie konieczna, jak również wszystkich wiodących chirurgów Londynu i luminarzy Towarzystwa Królewskiego. Objawienie miało spaść na nich niczym grom i rozbić w drobny puch obecne założenia wiedzy.

„Dzisiejszego wieczoru, stary przyjacielu. Godzina ósma. Pod żadnym pozorem się nie spóźnij”.

*

Sala operacyjna w Guy's Hospital przypomina arenę, co stałoby się dla was oczywiste na pierwszy rzut oka, gdybyście tam kiedyś byli – niech Bóg się nad wami zlituje, jeżeli tak – z piętrzącą się wokół niej z trzech stron galerią. Kiedy nadciągnął pan Comrie, była nabita do ostatka studentami i kolegami. Siedziało tam o wiele więcej bogów nauki, niż się spodziewałem. Mój wuj zaprosił ich wszystkich, zatem przybyli – jednak czy ze względu na naukową podniętę, czy sekretne pragnienie, by ujrzeć jego upadek, nie jestem w stanie powiedzieć. Nigdy nie byli pewni, jak go oceniać, wszyscy ci utytułowani patrycjusze z Towarzystwa Królewskiego.

Błyskotliwy człowiek – och, niewątpliwie – pnący się ku szczytom. Jednakże w jakiś sposób nie jeden z nich. Zobaczyłem samego Banksa, otoczonego prasą – sir Josepha Banksa, prezesa Towarzystwa Królewskiego, który rozpoczął swoją błyskotliwą karierę jako oficjalny botanik wypraw Cooka dookoła świata, a obecnie był niedowidzącym starcem po sześćdziesiątce, dręczonym podagrą i kamieniami w nerkach. Był tam chirurg John Abernethy, a także jego dawny student William Lawrence, stojący po przeciwnych stronach sali ze względu na wzajemną nienawiść. Społeczność naukowa nadal była rozświergolona od komentarzy po niedawnym publicznym wykładzie, w którym Lawrence zmiażdżył poglądy swojego dawnego mentora na energię życiową znajdującą się we krwi.

Atherton wszedł od tyłu, przez korytarz, którym cierpiących wprowadza się na salę operacyjną w środy i piątki o pierwszej. Miał na sobie nowy surdut uszyty na tę okazję i kroczył sprężysto w nerwowym podnieceniu. Nie spał ostatniej nocy, prawdopodobnie również przez kilka ostatnich dni. To rzucało się w oczy od razu. Ale wpadł na salę jak Kemble[16] w *Koriolanie*, ściągając na siebie wzrok wszystkich zebranych – nawet tych, którzy przed wejściem ćwiczyli pogardliwe grymasy. Molekuły powietrza tańczyły wokół niego. Dosłownie.

– Panowie! – wykrzyknął. – Dziękuję za przybycie. Więcej, gratuluję wam przybycia, gdyż dla każdego z obecnych będzie to wieczór historyczny. Jest to wieczór historyczny dla każdego żyjącego mężczyzny – i dla kobiety też, i dla dziecka, gdyż to, co powiem wam w tym momencie, wstrząśnie gmachem śmiertelności.

Odpowiedziały mu pojedyncze okrzyki, a także stłumione śmieszki z obozu wroga, gdyż oczywiście każdy błyskotliwy i pnący się po szczeblach kariery człowiek musi mieć wrogów. Pan Comrie obok mnie wydał zboląły jęk.

– Słuchaj go! – wykrzyknął. – Co on, do diabła, bredzi?

Ja siedziałem zafascynowany w ciszy, patrząc z zapartym tchem. Miałem przeczucie, dokąd to wszystko prowadzi.

– Panowie! – wykrzyknął ponownie Atherton, a jego oczy prześliznęły się po tłumie, rzucając nam wszystkim wyzwania. Rzeczywiście, mógł być nadzwyczajnym człowiekiem, przyznaję. – Słyszeliśmy ostatnio wiele o iskrze życia. Czym może być oraz jak gaśnie. I jak może być ponownie

rozpalona. Słyszeliśmy debaty na ten temat, pełne dogłębnej wiedzy i przekonań, pomiędzy dwoma uczonymi obecnymi na tej sali.

Miał oczywiście na myśli Lawrence'a i Abernethy'ego. Lawrence, postawny i pełen wyższości, pozwolił sobie na uśmiezek. Zacięta twarz Abernethy'ego pociemniała.

– Wierzę – kontynuował mój wuj – że jest w nas energia życiowa, jak twierdzą pan Abernethy i inni. Wierzę, że jest podstawową zasadą naszego istnienia, a nawet można powiedzieć, że w jakimś sensie jest tożsama z tym, co prosty lud określa pojęciem duszy. Ale dzisiejszego wieczoru nie zamierzam ponownie otwierać debaty.

– Cóż, cieszymy się z każdej drobnostki – odezwał się beznamienny głos.

To był Lawrence. Gdzieniegdzie rozległy się śmiechy, lecz mój wuj udął, że ich nie słyszy.

– W Newgate powieszono w zeszły poniedziałek kobietę – powiedział. – Nazywała się Meg Nancarrow.

Śmiech zamarł. Natychmiast zapadła cisza, a potem podniósł się szmer przekleństw.

– Niech to kutas... – wymamrotał pod nosem pan Comrie – Och, Atherton, nie zrobiłeś tego.

A jednak zrobił. Właśnie to zrobił. Przeświadczenie spłynęło na mnie ze ściskającą moszną pewnością.

– Byłem świadkiem wielu egzekucji przez powieszenie, panowie. Niektórzy z was również. To pragnienie wiedzy nas tam pcha, żądza zrozumienia mechanizmu śmierci. I często miałem możliwość obserwować – wielu z was również – że życie może biec dalej przez dobrą chwilę po tym, jak wszystkie empirycznie wyczuwalne jego oznaki zanikną. – Zaczął przechadzać się z jednej strony na drugą, co robił zawsze, kiedy wykladał. – Zapadnię pod Meg Nancarrow otwarto po ósmej. Dwadzieścia siedem minut po tej godzinie ustał wszelki ruch, a trzydzieści trzy minuty po niej obecni chirurdzy orzekli zgon. Przejąłem ciało niezwłocznie po jego odcięciu, uprzednio dokonawszy odpowiednich ustaleń w tym celu.

– Przekupiwszy szeryfa? Czy o to chodzi? – zapytał ktoś z oburzeniem.

Banks.

– Jak zwał, tak zwał. Zorganizowałem również przewiezienie ciała do pobliskiego zakładu pogrzebowego, gdzie dotarło sześć minut po dziewiątej.

A więc młody Thos mówił prawdę lub przynajmniej jej część. Ciało najpierw dotarło do zakładu Bowella.

– A potem, co pan zrobił? – zawołał Banks. – Nie chce nam pan powiedzieć, że próbował pan ożywić ciało...

– Nie – powiedział mój wuj – nie próbowałem. Zdecydowałem się czekać.

Znów niepewność. Pomruki dezorientacji.

Głos mojego wuja wzniósł się ponad nimi.

– Jak wicie, próba wskrzeszenia została raz już dokonana przez samego Johna Huntera.

Słynna próba ożywienia wielebnego Dodda, powieszzonego w Tyburn za fałszerstwo w 1787 roku. Kazał przewieźć ciało w tajemnicy bezpośrednio spod szafotu do zakładu grabarza.

– Poniósł porażkę, panowie. Ale spróbował – Hunter, *fons et origo*[17] współczesnej nauki anatomicznej. Ojciec chirurgii naukowej i mentor takich sław jak pan Abernethy, którego widok dzisiaj wśród nas cieszy mnie niezmiernie. Sam Hunter wierzył, że ciało można wskrzesić – i dokonał próby.

– Nic podobnego! – huknął Abernethy. Do tej pory stał w ciszy, a jego nalana twarz przybierała coraz głębsze odcienie czerwieni. – John Hunter, proszę pana, nie próbował wskrzesić ciała. To dzieło naszego Pana. John Hunter próbował o c u c i ć człowieka, który mógł być jedynie nieprzytomny.

– Przyjmuję argument, choć jest to kwestia techniczna.

– Techniczna?! Techniczna?! Jest różnica pomiędzy nauką, proszę pana, a nekromancją. Jest różnica pomiędzy uczciwą działalnością a bluźnierstwem!

Znów podniosły się głosy, niektóre nakazujące Abernethy'emu się uciszyć. Studenci nadal trzymali stronę mojego wuja, w przeważającej większości, podobnie wielu młodszych chirurgów. I nawet ci, którzy go nienawidzili, chcieli wiedzieć, dokąd to wszystko prowadzi.

– Zgadza się – odparł mój wuj – że próba Huntera była ograniczona w zakresie i ambicji. Wielki krok naprzód pozostawił Aldiniemu.

Aldini, Włoch, który próbował wskrzeszać trupy prądem elektrycznym.

– I Aldiniemu zwrócono uwagę, że jego eksperymenty są wynaturzone! – krzyczał Abernethy. – Signor Aldini został potępiony przez wszystkich

rozsądnych ludzi. Signora Aldiniego poproszono, by opuścił Londyn, co też zrobił!

Mój wuj oblał się pąsem i przez chwilę wydawał się nieco zbity z tropu. Na pewno spodziewał się oporu, ale nie tak zaciekłego. W końcu był Dionysusem Athertonem. Kroczył przez życie otoczony złocistym blaskiem.

– Panowie! Staję oto przed wami, aby wam powiedzieć, że Hunter miał rację. Aldini również. Co prawda ich próby się nie powiodły, ale teoria była słuszna. Martwych można przywrócić do życia.

– Niech to jasny kutas... Atherton, coś ty zrobił?

Głos pana Comriego wzniósł się ponad harmider. Oczy Athertona odszukały go, stojącego sztywno pośród tłumu. Znalazły również mnie, wciśniętego w bok pana Comriego. Jego przystojną twarz rozświetlił blask triumfu. A potem, gdy gwar opadł, wszystko nam opowiedział.

– Ciało było u grabarza przez jakieś pół godziny, kiedy podjąłem decyzję. Zamiast próbować natychmiastowej resuscytacji, kazałem przewieźć je do mojej rezydencji w Crutched Friars. Za domem jest stajnia i tam wyłożono je na stół siedem minut po pierwszej – cztery godziny i trzydzieści cztery minuty po orzeczeniu śmierci. Jak wszyscy dobrze wiecie, orzeczenie śmierci klinicznej może być dalekie od pewności, nawet jeżeli chirurg jest zarówno kompetentny, jak i trzeźwy. Ale powiem, że wygląd ciała, które leżało przede mną, zdawał się całkowicie spójny z opisem symptomów śmierci przez uduszenie. Nie było śladu bicia serca ani oddechu. Skóra w dotyku wydawała się chłodna, choć przyznaję, że była to ocena subiektywna. Sznur pozostawił ślad w kształcie siniego zagłębienia powyżej kości gnykowej, wygiętego ku górze. Twarz była bardzo blada, z dziwnym wyrazem spokoju, który często jest widoczny na twarzach powieszonych z ramienia prawa, mimo powiązanego z tym intensywnego cierpienia. Język był czarny i wystawał z jamy ustnej, w kącikach ust odłożył się pienisty osad. Oczy były otwarte i wychodziły z orbit, dłonie były zaciśnięte tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało dłoni. Zwieracze pęcherza i odbytu były rozluźnione. Obłożyłem ciało podgrzаныmi kocami w celu stymulacji krążenia i szesnaście minut po pierwszej rozpocząłem próbę ożywienia. Zacząłem od stymulacji oddechu poprzez nadmuchiwanie płuc za pomocą miecha, a następnie zastosowanie soli trzeźwiących i gorącego balsamu. Następnie przeszedłem do stymulacji

galwanicznej za pomocą stosów Volty i metalowych prętów umocowanych w okolicach klatki piersiowej. Przy pierwszym naelektryzowaniu członki zadrgały. Przy drugim pacjentka wydała jęk. Przy trzecim górna część ciała wyskoczyła do góry, jak gdyby próbowała wstać.

Na sali nikt nie śmiał odetchnąć. Atherton stał teraz nieruchomo. Zdawał się patrzeć na każdego po kolei.

– I tak było faktycznie – ciągnął. – Złapałem ją w ramiona, nim znowu upadła. Z jej ust popłynęły czarna żółć i krew, po czym podjęła rzęzące oddychanie. Jej nogi drgały, ręce latały bezwładnie, a przekrwione oczy zaczęły się rozglądać i napotkały moje. Wyobrażacie sobie, panowie, moje emocje w tamtej chwili. Trzymałem ją w ramionach – żywą kobietę, której śmierć ogłoszono niemalże pięć godzin wcześniej. Jej usta poruszały się, próbując układać się w słowa, czego efektem był chrapliwy świst, ze względu na uszkodzenie aparatu mowy. Sądziłem wówczas, że prosi o wodę, więc ją podałem. Wytrąciła mi kubek z ręki i od tej pory się zastanawiam, czy słowem, które próbowała wypowiedzieć, nie było przypadkiem „biada”, gdyż to właśnie słowo wypisała potem na ścianie pomieszczenia, gdzie byłem zmuszony ją przetrzymywać, wykorzystując kał pobrany z wiadra. Okres dezorientacji trwał kilka dni, z których ostatniego dnia na krótko wymknęła się spod nadzoru. Ale potem stała się znacznie spokojniejsza, a następnego poranka wszedłem do jej pokoju i zobaczyłem ją stojącą przy oknie, z twarzą zwróconą ku słońcu. Wkrótce potem zajęła się czyszczeniem pokoju, podczas której to czynności przez drzwi słyszałem schryplę świszczanie, które z radością uznałem za próbę śpiewu na miarę jej ówczesnych możliwości. Tego popołudnia uśmiechnęła się z przyjemnością, gdy wyłożyłem przed nią nową suknię, którą dla niej nabyłem, po czym umyła się i uczesała włosy. Panowie! – Jego głos dźwięczał teraz w sali. – Wy spośród wszystkich ludzi – jako chirurdzy, jako ludzie nauki – wy zrozumiecie doniosłość tego, co udało się osiągnąć. W najskromniejszym ujęciu jest to podważenie przyjętej definicji śmierci klinicznej. W najszerszym obaliłem wszystkie dotychczasowe założenia co do możliwości współczesnej medycyny naukowej w obszarze ludzkiej długowieczności.

Na sali podniósł się cichy, zduszony pomruk, rosnący z każdą chwilą.

– Odenkirk! – krzyknął. – Panie Odenkirk! Proszę ją wprowadzić!

Pomruki przerodziły się we wrzawę. Wszystkie oczy za Athertonem obróciły się w kierunku tylnego wejścia. Półświadomie czułem, jak pan Comrie ściska moje lewe ramię – ramię, które pomocnicy szeryfa kopali ze szczególną pieczołowitością – ale nie czułem bólu, bo stałem wczepiony wzrokiem wraz ze wszystkimi w otwarte drzwi, przez które w tej chwili miała wejść Meg Nancarrow niczym zbawiona Eurydyka.

Ale nikt nie wszedł.

– Odenkirk! – krzyknął ponownie mój wuj.

Z tłumu dały się słyszeć pierwsze salwy śmiechu.

Wtedy pojawił się Odenkirk, pochylony w pospiesznym truchcie. Ale był sam. Coś poszło nie tak. Zobaczyłem jego przejętą twarz, gdy szeptał coś w ucho Athertona.

– Dobry Boże! – wykrzyknął jakiś kpiarz. – Wskrzesił ją jako m ę ż c z y z n ę!

Szydercze wycie. Wesołkowaty śmiech, przychodzący wraz z falą ulgi. Kpiące okrzyki i drwiny. Teraz rzucili się na niego w zemście, wszyscy ci, którzy przyszli ze skrytą nadzieją, że powinie mu się noga. Z każdą chwilą dołączali do nich kolejni. Stałem tam, czując, jak rozstępuje się ziemia, jakbym był jakimś duszkiem o nieskończenie małym znaczeniu na rubieżach wielkiej bitwy na niebiańskich polach, obserwującym jak Lucyfer, niosący światło, zaczyna chwiać się na krawędzi przepaści, patrząc niedowierzającymi oczami na wirujący w dole chaos.

Atherton stał jak porażony. Wykrzyknął coś w kierunku Odenkirka z tłumioną furią, następnie opamiętał się i odwrócił, podejmując ostatnią próbę zapanowania nad sytuacją.

– Panowie! – wykrzyknął. – Panowie, jestem zmuszony wyjawić, że kobieta przywrócona z martwych, której stan umysłowy nie został jeszcze do końca ustalony, uciekła spod nadzoru i obecnie znajduje się gdzieś na wolności w Londynie!

Jemmy Cheese słyszy jej wołanie. Nie rzeczywisty głos, to raczej nagłe przekonanie – tak intensywne, że przegania precz wszelkie inne urywki myśli płaczące się po rubieżach jego snu na jawie – że ona go wzywa.

W taki sposób by to opisał – jeżeli rzeczywiście mógłby wam to opisać, a nie może – bo Jemmy Cheese nie wypowiedział ani słowa od momentu, gdy go stłukli na cmentarzu St George-in-the-East. Siedzi, kołysząc się powoli w słomie pośrodku wilgotnej piwnicznej podłogi domu doktora Eastona w Camden Town, tak jak robi to od czasu, gdy go tutaj przyprowadzono. Łańcuch i kaftan. Smutny, stary, pomyłony niedźwiedź. Do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Grzechot łańcucha, gdy się garbi i ostre, metaliczne dzynk, kiedy odchyła się do tyłu. Pod metalową obręczą jego szyja to wielka jęcząca się rana. Smród w piwnicy jest tak intensywny, że niemal widoczny, jak mgła na bagnach w Woolwich, wśród których kotwiczy statek więzienny Retribution.

Ale przychodzą do niego myśli. Nie tak jak kiedyś, niemniej przychodzą, trzepocząc przez chwilę, zanim znowu zapadną się w ciemność jak nietoperze. Myśli i obrazy: fragmencik nocnego nieba przez małe, zakratowane okno, które wydaje się ukazywać widok przez inne okno, do pokoju, gdzie swego czasu jego Meg leżała skulona przy nim. Zmieszanie i trzepot myśli, a potem przekonanie, że zdarzyło się coś okropnie złego. Gdyby tylko mógł pojąć, o co chodzi, i pomyśleć, jak to naprawić... Ten dziwny, ciemny chłopak, który tu przyszedł. „To gorzej niż okropne, Jemmy. To najgorsze z możliwych, bo ją wzięli i powiesili”. Ta myśl każe

mu jęczeć z niepokoju i samotności. Potrząsa kudłatym łbem na boki i kołysze się mocniej. Grzechot i DZYNK.

Ciemność za oknem i zmizerowana, biała twarz księżycy. Myśli trzepoczące, przywodzące do szaleństwa, pojawiają się i już po chwili ich nie ma. Gdyby tylko ręce były wolne, mógłby złapać jedną z nich, gdy przelatowała obok na błoniastych skrzydłach. Napina ramiona w kaftanie i czuje przestrzeń do ruchu. Stracił na wadze, odkąd siedzi w tej piwnicy – co najmniej trzydzieści funtów. W kaftanie jest więcej miejsca, niż myślą, a Jemmy Cheese nadal jest szalenie silny.

Księżyc, blady jak śmierć, w okienku. Przytłaczające poczucie, że ona woła.

– Jemmy!

Księżyc, blady jak śmierć.

Mała, blada twarz. Biała twarz w okienku. Do środka zagląдают krwawe oczy.

*

Jakiś czas później drzwi do piwnicy zostają odryglowane. Do środka wpada światło i wchodzi odźwierny Wallis, dokonujący obchodu o północy.

– Pieprzony smród – mamrocze. – Pieprzony zwierz. Rzygać się chce. Hej...

Urywa. Podnosi lampę, by się przyjrzeć. Jemmy Cheese leży bezwładnie, nieruchomo jak kamień. Jego oczy w świetle latarni są puste i nieruchome.

– Hej – mówi pan Wallis – żyjesz, kupo gówna?

Jemmy Cheese jest zaiste żywy. Co więcej, ma myśl. Złapał ją za błoniaste skrzydło, kiedy przelatowała obok, i teraz trzyma ją w garści. To prosta myśl, lecz bardzo potężna i już mu nie ucieknie.

– Hej – powtarza odźwierny, trącając go czubkiem buta. Kiedy to nie wywołuje reakcji, wymierza mu otrzeźwiającego kopniaka.

Jemmy porusza się, słycać metaliczny grzechot: to łańcuch. Pan Wallis zauważa – pół sekundy za późno – że kołek został wyrwany z podłogi.

Następnego poranka już połowa Londynu słyszała o sromotnym wystąpieniu Athertona. W gospodach i kawiarniach brzęczało jak w ulu, gazety jakby spuszczone ze smyczy. W jednej z nich znalazł się kąśliwie żartobliwy rysunek: chirurg w ubraniu jednej z sióstr Łazarza, z zatroskanym wyrazem twarzy i podpisem: „Poszukiwane Wskrzeszone Rodzeństwo, Jedna Sztuka”. Przed nastaniem niedzieli grzmiały już pierwsze kazania z ambon przeciwko bluźnierczym praktykom, a do poniedziałku ton gazetowych rycin uległ zmianie. Przedstawiły teraz chirurga, który bezsprzecznie był moim wujem, podnoszącego z pomocą czarów lewitujące ciało z trumny z wyrazem szatańskiego tryumfu na twarzy, podczas gdy w mroku dwa pokraczne i wychudzone jak nietoperze diabły obejmowały się z wyrazem przerażenia na pyskach. „On opróżni nam piekło!” – krzyczał pierwszy. Ale był jeszcze trzeci, mądrzejszy, który uśmiechał się pod nosem i mówił: „Wprost przeciwnie. Ostatecznie zwiększy liczbę gości o JEDEN!”.

I oczywiście świat nauki pogrążył się w roztrząsaniu przytłaczającego pytania: co w rzeczywistości z r o b i ł Atherton?

Pan Comrie wierzył, że mój wuj zrobił to, co twierdził, że zrobił: zdobył ciało, a następnie je ocucił. „Ale uwaga: powiedziałem o c u c i ł – rzekł, krzywiąc usta nad kuflem piwa Pod Czarnym Łabędziem. – Nie powiedziałem o ż y w i ł. Martwi nie powstają i nie chodzą wśród żywych, Williamie, nie po tej stronie cholernej Golgoty”.

Było to dwa dni po zdarzeniu. W karczmie Pod Czarnym Łabędziem panował gwar. Trzech czeladników przy sąsiednim stole próbowało wesoło

poderwać dwie młode kramarki, podczas gdy żałobny baryton w kącie zawodził, śpiewając pieśń *Cieszymy się życiem*, co w sumie pasowało do chwili.

– Więc odcięto ją, gdy jeszcze żyła? – spytałem.

– Jasne, że tak – warknął. – I to nie tak, że nigdy wcześniej to się nie zdarzyło.

– Smith na Wpół Powieszony.

– Właśnie.

Smith na Wpół Powieszony, John Smith, został stracony za włamanie w zeszłym wieku, w czasach, gdy złoczyńcami ukraszano wielką szubienicę w Tyburn. Kiedy odcięto go po dwudziestu minutach, zaczął się krztusić i miotać, po czym powrócił do świata żywych tuż pod szubienicą. Zgodnie ze zwyczajem ułaskawiono go i przeżył kolejne dwadzieścia lat, podczas których jeszcze dwa razy został skazany za włamanie, bo nie był typem, który uczy się na własnych błędach.

– Ale Smith ocucił się natychmiast – zauważyłem. – Atherton zostawił Meg na niemal pięć godzin.

– Lub tak tylko twierdził.

– Sądzi pan, że łgał?

Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym czaiło się bezbrzeżne szkockie niedomówienie.

Nikt nie widział mojego wuja od tego wieczoru, gdy uciekł z Guy's Hospital z Odenkirkiem. Wyznaczył nagrodę – tyle było wiadomo – sto gwinei za informacje dotyczące obecnego miejsca pobytu Meg Nancarrow, płatne po jej pochwyceniu. Mówiono, że co noc przemierzał ulice, szukając jej we wszystkich najpodlejszych dziurach Londynu. Pojawiały się pogłoski, ale były zbyt szalone, by można było w nie uwierzyć. Meg widziana na statku widmie na Morzu Irlandzkim, który zniknął w tumanie pozaziemskiej mgły. Meg pojawiająca się w kłębach ognia i galopująca przez moczary Hampstead Heath na kruczczożarnym koniu.

– Leżała przez pięć godzin? Dobre sobie. O ile się nie mylę, kłamał od początku do końca. – Pan Comrie skrzywił się i zajrzał w głąb swojego kufła. Mimo ostatnich wydarzeń zachował wcześniejszą sympatię do mojego wuja. – Wszystko, od początku do końca, i nigdy tak naprawdę nie miał ciała... Ale dlaczego ktokolwiek by coś takiego zrobił? Ktokolwiek,

a przede wszystkim Atherton? Wystawić się na pośmiewisko i zniszczyć swoją reputację. I po co? To wszystko nie ma dla mnie sensu, Williamie.

Było jeszcze coś, co miało nawet mniej sensu. Jedno pytanie nie dawało mi spokoju – mały, ciemny demon wątpliwości szarpiący mnie za rękaw. Jeżeli Atherton chciał śmierci Meg, to po co miałby chcieć ją w ogóle cucić? Jeżeli Wujek Cheese został zamordowany, bo chirurg chciał sobie zapewnić jego milczenie – i jeżeli Małego Hollisa wykończono z tego samego powodu – wtedy dlaczego, na Boga i Szatana, Atherton przywrócił do życia Meg?

Wcześniej podzieliłbym się tym z panem Comriem, ale ostatnio położył się między nami jakiś cień i czułem się jeszcze bardziej samotny niż kiedykolwiek od czasu tej nocy, gdy mój przyjaciel Danny Littlejohn zmarł, a ja byłem dręczony przez widmo niemal tak zatruwające duszę jak koń z połową głowy: rosnący strach, że wszystko pokręciłem, że źle zinterpretowałem to, co zrobił Atherton, i przyczyny tego, co robił.

Jednak nad ranem pojawiły się dwie nowości – i nagle wszystko się zmieniło.

Pierwsza to wieści o ucieczce Jemmy’ego Cheese’a z domu wariatów doktora Eastona. Ponoć w jakiś sposób owinął szyję odźwiernego łańcuchem, złamał ją jak gałązkę, a następnie wylazł po schodach z piwnicy i umknął w noc, zanim ktokolwiek mógł go zatrzymać. A zaraz potem przyszły następne rewelacje, na które czekałem w napięciu od czasu rozprawy Meg Nancarrow.

Znaleziono Panicza Buttonsa.

*

Szukano go dla mnie po całym Londynie.

Brzmi to górnolotnie. Możecie sobie wyobrazić Waszego Wielce Unizonego pośrodku pajęczyny – ślepią skryte pod kapturem, myśli nieodgadnione – jak rozsyła agentów po całej Metropolii, choć tak naprawdę to wsunąłem po parę pensów w dłonie kilku uliczników, którzy pętali się w okolicach Smithfield i Cripplegate, obiecując im więcej, jeżeli przyjdą z informacją.

No i jeden z nich przyszedł. Nazywał się Barnaby. Lat dziesięć lub coś koło tego, z wąską, ostrą twarzą i aurą cwaniaka – typ dzieciaka, który na

pewno osiągnie sukces w życiu, o ile ktoś go wcześniej nie powiesi, z czego skłaniałbym się ku tej drugiej możliwości. Czekał na mnie, gdy wychodziłem ze sklepu z dżinem.

– Widziałem go – oznajmił. – Buttonsa.

Barnaby nigdy nie patrzył na człowieka wprost – miał zwyczaj mrużyć oczy i spoglądać w kierunku horyzontu, jakby coś o wiele ciekawszego działo się właśnie tam.

– Jesteś pewien, że to on? – spytałem.

– No toż mówie, nie?

– Gdzie on jest?

Barnaby skupił się na obserwowaniu chmur, które kłębiły się wysoko ponad kopułą Świętego Pawła. Wysuplałem sześciopensówkę.

– Kosztuje szylinga – powiedział.

– Dam ci drugie tyle, jeżeli informacja się sprawdzi.

– Kurwa, cynk pierwsza klasa.

– Najpierw powiedz, gdzie jest.

– Źeś kurwa sie szarpnął – wymamrotał Barnaby, ale w końcu powiedział. – Ten Buttons ma hawirę zaraz na południe od Piccadilly. Koło Haymarket.

*

Okazało się, że to kwatery w uliczce niedaleko Norris Street, gdzie obdarty starzec z mojąszową brodą leżał w rozległej kałuży, a trzech młodzieńców grało pod murem w odbijankę monetami. Tak, powiedział właściciel, który otworzył mi drzwi, Panicz Buttons rezydował tutaj, choć w obecnej chwili go nie ma.

Starąłem się zachować spokój.

– Czy wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

Właściciel charknął i splunął w kierunku upadłego Mojżesza.

– Spróbuj U Rybaka.

Znałem to miejsce: nora hazardu niedaleko King Street, parę kroków na zachód od St James's Square. Niewątpliwie miało też jakąś oficjalną nazwę, ale wszyscy nazywali je po prostu U Rybaka, a to ze względu na fakt, iż przybytek prowadził William Crockford. Crocky był człowiekiem robiącym karierę. Wychował się w sklepie rybnym w okolicach Temple Bar

i zaczynał w najgorszym piekle Londynu, koło Billingsgate. Wytrwale migrował na zachód wraz z tym, jak rósł jego majątek, i niewątpliwie aspirował do tego, by pewnego dnia mieć klub w Mayfair, gdzie hazardowi oddawali się tacy jak elegancik Beau Brummell, a całe majątki zmieniały właściciela pomiędzy kolacją a świtem. W tej chwili znajdował się pomiędzy skrajnościami, świadcząc usługi swego rodzaju klasie średniej półświatka.

Klub na King Street był dość zakapiorskim miejscem, wywołującym gorzkie skargi sąsiadów dotyczące nocnych wrzasków, bójek oraz okrzyków: „Pomocy” i „Mordują!”. Ale nadal było to zbyt szacowne miejsce dla takich jak Wasz Wielce Unizony. Szczerze mówiąc, było to zbyt szacowne miejsce nawet dla takich jak sam Rybak, który pozostał tym, czym był zawsze: przysadzistym, grubym plebejuszem, mówiącym z silnym prostackim akcentem i bezwstydnie podlizującym się lepszym od siebie oraz dysponującym najlepiej kalkulującym umysłem w Londynie. Ale miałem łut szczęścia – tak przynajmniej to wyglądało w owym czasie. Kiedy przybyłem, wykidajło przy drzwiach wejściowych był zajęty pijanym porucznikiem w stanie spoczynku, przeświadczonym, że go oszukano, zatem konieczne było odeskortowanie go w te pędy na zewnątrz, zanim padłyby nadmiernie ostre słowa, wyzwanie na pojedynek, a potem dwóch bladych jak śmierć bywalców salonu znalazłoby się dziesięć kroków od siebie na Hampstead Heath w mgłach mroźnego poranka, dzierżąc w prawicach spluwy, zamiast być tam, gdzie tacy dżentelmeni w tym czasie powinni się znajdować – w bezpiecznych wnętrzach przybytku, tracąc pieniądze na rzecz Rybaka. A więc zanim wytaszczono wojaka, prześliznąłem się przez drzwi i znalazłem się w środku.

Klub składał się z jednego dużego pomieszczenia z wytartym do cna dywanem na podłodze i kandelabrem wiszącym nad zatłoczonymi stolikami. Całość cuchnęła dymem i potem. Siedzieli tam Crockford, tłusty i służalczy, czujnie obserwujący towarzystwo, a także kupcy i oficerowie w stanie spoczynku, kilku rzezimieszków z bystrą gadką oraz co bardziej szemrani przedstawiciele profesji szulerów, a także oczywiście ich ulubione ofiary: miejskie prostytutki, młokosy i niepierworodni synalkowie, którym brakowało rozumu, by dojrzeć, jak łatwo dają się robić w konia.

I pośród tego wszystkiego, grając w kości, rozsiadł się Panicz Linwood Buttons. Na twarzy błyszczał mu pot, oznaka desperacji.

Nie należał do tego miejsca ani na jotę bardziej niż Wasz Wielce Uniżony. Powinien był nawiedzać miedziane i srebrne jaskinie hazardu w okolicach Covent Garden, gdzie można było grać na półkoronówki i szylingi. Ale wyglądało na to, że jego pozycja w świecie wzrosła, odkąd widziałem go ostatnio: na tylnych łapkach w Old Bailey, wysyłającego Meg Nancarrow prosto na szafot. Teraz miał na sobie dwurzędową kamizelę na modłę dandysów, z długim białym szalem owiniętym wokół szyi, spiętym złotą szpilą. Jakimś sposobem wszedł w posiadanie gwinei, by móc grać o kolejne tutaj, na King Street – chociaż niewątpliwie ten stan rzeczy nie miał szans utrzymać się długo. Crocky krążył w okolicy, jak robią rekiny, gdy wyczują w wodzie krew.

– Piątka, uwaga... stawiam na pięć! – Głos Panicza Buttonsa wzniósł się ponad szum sali. – Pięć na pewno, panowie! – Rzucił kości na stół. Wypadły dwie czwórki.

– Oj pech, wasia wielmożność – wymamrotał Rybak tuż przy łokciu Buttonsa. – Paskudna fortuna, zayste, ale nie ma co rozpaczać – *nil desperandum*, wasia wielmożność, jak w zwyczaju mieli mawiać cysorze rzymscy, bo nie ma fortuny tak podłej, żeby siem nie odwróciła.

– Osiem zatem. Oto moja ósemka – wykrzyknął Buttons, a następnie zaklął szpetnie, kiedy wypadła szóstka.

Obserwowałem go, nieruchomy i cichy jak pająk. Stańc przed nim teraz? Nie, na pewno nie. Poczekać na niego – wyjść za nim na zewnątrz, śledząc go do jakiegoś zacisznego miejsca? Przy odrobinie szczęścia jego gra może się przeciągnąć do zmroku, co znacząco ułatwi mi śledzenie. Mimowolnie zacząłem żywić nadzieję, że jednak wygra choć trochę, żeby przedłużyć jego posiedzenie przy stole.

– Osiem! – krzyknął Panicz Buttons, rzucając ponownie kośćmi. – Tym razem ósemka gwarantowana!

I czy uwierzylibyście? Bóg mający w opiece łotrów i łapserdaków uśmiechnął się do nas obydwu. Wypadły piątka i trójka. Buttons zapał z radości.

*

Jeszcze przez chwilę obserwowałem sytuację z mojego cienia, a potem wycofałem się za drzwi i czekałem na ulicy. Czekałem i czekałem – cztery

godziny według mojego zegarka – aż słońce zaszło i zapadł zmrok.

O jedenastej noc nadal była ożywiona gwarem miasta. Klekoczące powozy, krzyki z rzeźni na rogu... Na pobliskiej New Street buzuje życie, a Haymarket bez wątpienia jest drugą Gomorą, ze wszystkimi tymi słoczonymi sklepami z dżinem i nimfami śmiejącymi się wronimi głosami. Po drugiej stronie ulicy wybuchła kłótnia – dwie córki Koryntu, najwyraźniej dodatkowo rozjuszony alkoholem. Gdy przeszły do wrzasków i targania się za kudły, Panicz Buttons wyturlał się z karczmy za moimi plecami.

– Unosi mnie na swym kole, bogini Fortuna, a potem znowu mnie zrzuca w dół, wredna suka!

Jego głos wzniósł się do wyższych rejestrów tragedii. Kierował swe żale do wojujących córek Koryntu, jak mniemam, ale głównie utyskiwał pod adresem wszechświata. Zachwiał się w kałuży, błądy od pijaństwa i rozpacz. Jego złota szpila zniknęła, a biały szal ciągnął się za nim w brudzie ulicy. Córki Koryntu na chwilę zaprzestały szarpania się za kudły, by doradzić mu, aby poszedł się jebać, co on wziął za przykład właśnie tego, jak sprawy się naprawdę mają na tym padole. Następnie ruszył przed siebie, krocząc niepewnie, niemniej szybko.

Dotknąłem noża w kieszeni i zacząłem się skradać za nim niczym pająk. Przeciął plac i potykając się, skierował swe kroki ku New Street. Tam stanął w miejscu, kołysząc się, jakby zbity z tropu przez ruch uliczny, ale wtem zniemacka ruszył w sam jego środek, jakby rzucając mu wyzwanie, by spróbował go przejechać jak psa. Skoczyłem za nim i niemalże sam nie zostałem przejechany przez dryndę w galopie, a gdy dotarłem na drugą stronę, zorientowałem się, że go zgubiłem.

Ale nie – znowu go widziałem, oświetlonego blaskiem ze sklepu z dżinem. Nachylał się, wchodząc w przejście, które prowadziło w kierunku Norris Street, na północ i wschód.

Rzuciłem się za nim biegiem.

Przejście było wąskie – nie więcej niż trzy stopy szerokości – i ciemne choć oko wykol. Usłyszałem go, zanim zobaczyłem: sporadyczne pluskanie na bruku i akompaniujący mu żalony bełkot. Panicz Buttons szczał i płakał.

Mój wzrok przyzwyczaiał się do ciemności i widziałem już jego sylwetkę. Stał w srebrzystej poświacie księżycy może metr ode mnie, twarzą do

ściany, jedną ręką podpierając się o tę ostatnią, a drugą przytrzymując wacka. Jego głowa zwisała w takiej rozpaczy, że nawet pajak mógłby poczuć najdelikatniejsze ukłucie współczucia.

– Za ile cię kupili?

Wydał okrzyk zaskoczenia i gwałtownie się odwrócił, nie przestając sikać. Nie miał pojęcia, kim jestem. Ale na pewno widział nóż w mojej dłoni. Ostro wciągnął powietrze.

– Czego chcesz? Zostaw mnie w spokoju!

Spodnie miał rozpięte, a jego ulubieniec nadal majtał radośnie na wolności. Był słusznych rozmiarów, ale kurczył się z chwili na chwilę.

– Rozbój, tak? Chcesz pieniędzy? Cóż, spóźniłeś się. Straciłem wszystko, co do grosza!

– Odenkirk – powiedziałem.

Stał jak skamieniały.

– Człowiek Athertona. Zakładam, że potrzebowali aktora, więc zatrudnili jednego. Jednego takiego, który był dodatkowo w długach u Wujka Cheese’a i naprawdę nie miał z tym problemu, żeby ten poszedł do piachu. Czy dobrze zgaduję?

Otworzył usta, a potem zamknął.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Sądzę, że wiesz. I sądzę, że mi powiesz.

Przynajmniej taki był mój plan – wystraszyć go na tyle, żeby powiedział prawdę. Wiedziałem, co Odenkirk oznajmił mu tamtej nocy na zewnątrz Trzech Wesołych Kogutów, i wiedziałem, dlaczego Buttons kłamał na rozprawie. A w momencie, gdy skończy swoją piskliwą spowiedź, będę miał zeznanie, że mój wuj zlecił zabójstwo Wujka Cheese’a i wrobienie Meg Nancarrow. Będzie to nadal jedynie najdrobniejszy fragment układanki, ale zawsze jakiś początek.

Ale Panicz Buttons okazał się mieć więcej ducha, niż kiedykolwiek przypuszczałem. Oblizał usta i już widziałem, że waży swoje szanse. Odwrócić się i uciekać? A może wycić o pomoc?

– Powiedz albo przysięgam, że poderżnę ci gardło.

Zamiast tego rzucił się naprzód.

Liczył na przewagę masy, tak przypuszczam. Uznał, że zdoła złapać nóż i wyrwać mi go, co było bardzo możliwe, bo zdawał się szybszy, niż sądziłem. Ale to nie była jego noc, od początku do końca. Rozpięte spodnie

opadły mu na biodra i krępowały nogi. Padł do przodu z dzikim przekleństwem, łapiąc po drodze mój nadgarstek.

Szarpnąłem do tyłu, ale podczas szarpaniny ostrze obróciło się do góry – tak przypuszczam, składając to wszystko do kupy po całym zdarzeniu. W tamtym momencie nie było nic poza chaosem, szarpaniną i dziwnym, mokrym odgłosem dławienia się.

Nagle otoczyła go żółta poświata. Przedziwny i wspaniały efekt, osiągnięty za sprawą lampy, która pojawiła się u wylotu zaułka za nami – choć na początku to do mnie nie dotarło. Stałem z rozdziawionymi ustami, a Panicz Buttons klęczał przede mną, z twarzą uniesioną do góry, jak gdyby delectował się ostatnią tryumfalną chwilą na scenie. Jego usta poruszały się, ale nie dobywały się z nich słowa, a tylko bulgoczące rżenie i potok krwi, jak woda z ulicznej pompy. Potem powoli, niemal elegancko, osunął się na bok, na ścianę, a następnie opadł na bruk. Rękojeść mojego noża wystawała z jego krtani.

I tak oto stał Wasz Wielce Uniżony, z krwią Buttonsa bulgoczącą wokół jego butów, a z za jego pleców odezwał się okrzyk: „Chryste!”. Odwróciłem się, by spojrzeć w żółty blask. Latarnię trzymał starszawy strażnik. W drugiej ręce miał chwytak, a na twarzy wyraz śmiertelnego przerażenia.

– Hej! – wykrzyknął. – Ratunku! Morderca!

Tragiczne odejście dziecięcego geniusza

„The London Record”

28 maja 1816 roku

Z przykrością musimy powiadomić naszych czytelników, w szczególności zaś tych, których pamięć sięga do teatralnych wydarzeń w ostatnich latach poprzedniego wieku, że niegdyś jaśniejąca gwiazda na firmamencie Tespisa zgasła na zawsze. We wczesnych godzinach wtorkowego poranka Panicz Buttons został znaleziony zabity w pasażu niedaleko Haymarket. „Zgaśnij – jak Wielki Bard niezrównanie podsumował kwintesencję ludzkiego losu – wątłe światło!”

Gwiazda urodzonego w rodzinie aktorskiej Linwooda Buttonsa osiągnęła apogeum podczas krótkiej mody na Dziecięcych Geniuszy ćwierć wieku temu, gdy występował na scenach Londynu w wielu płomiennych rolach, z których kilka nadal można przywołać

w pamięci. Cherubin z dźwięcznym, wysokim głosem, był wielce chwalony za melodyjną kadencję deklamacji, a także za wspaniałe „punkty” gry aktorskiej – te najistotniejsze rozkwity talentu, po których każdy aktor jest oceniany względem wielkiego panteonu Lwów Tragedii, sięgającego od Burbage’a przez Garricka i Kemble’a aż do Keana. Kiedy w czarnym makijażu odgrywał Maura, jego głos obniżał się przejmująco do najniższych rejestrów przy złowróznej kwestii: „Krwi!”, podczas gdy jako Melancholijny Duńczyk drżał konwulsyjnie wszystkimi członkami, spojrzawszy po raz pierwszy na czaszkę Joryka, zanim zaśpiewał, w sposób idealnie dobrany, by wyrazić daremność wszelkich śmiertelnych przedsięwzięć, żałobną sylabę „Ach!”.

W późniejszych latach pokazywał się rzadziej, „by swoją rolę przez parę godzin wygrać na scenie”, a następnie przepadł w nicości pamięci tego niepoprawnego wielbiciela każdej kolejnej bańki nowinek – Publiczności. Od czasu do czasu plotka wspominała o byłym Geniuszu, którego widywano przy stole gier w okolicach Covent Garden lub w innej niegodnej tawernie w Seven Dials, siedzącego z wyłożonym przed nim kapeluszem, deklamującego perły Barda przed świńskimi opojami. Teraz zaś upadek jego Fortuny się dopełnił. Wdzięczne dziecię Tespisa dosięgła dłoń skrytobójcy, w tym Rynsztoku Londynu szeroko znanym jako Zakątek Piekła; i modlimy się, aby z jego Diabelskich Czeluści został on podniesiony, i „niechaj mu do snu nucą chóry niebian”. Żarliwie się również modlimy, by Sprawiedliwość, „jak duch się skradając, krokiem Tarkwiniusza”, dopadła jego mordercę.

Oznajmiamy, że napastnika zidentyfikowano i pościg trwa w najlepsze. Nasze źródła na Bow Street donoszą, że złoczyńca poszukiwał Biednego Artysty w miejscu jego pobytu wcześniej tego dnia, a następnie odnalazł w salonie gier na King Street. Najwyraźniej śledził Panicza Buttonsa po tym, jak ten opuścił rzeczony przybytek, po czym napadł na ofiarę z tyłu i zadał cios; „niech grzech ten na głowę jego spadnie”. Unikając pogoni, złoczyńca zbiegł, ale śledztwo w klubie hazardu pozwoliło ustalić jego tożsamość, gdyż został tam rozpoznany. Jeden z gości ostatnio

korzystał z usług chirurga, u którego niegodziwiec znalazł zatrudnienie.

Jego nazwisko brzmi Starling. Opisuje się go jako młodzieńca nikczemnej postury, znanego złodzieja i łotrzyka, który okradał poległych na polach bitewnych Europy w czasie ostatniej wojny przeciwko kapralowi Bonaparte. Ostatnio służył za pomocnika u chirurga w Cripplegate, w związku z którym to zajęciem miał okazję nawiązać bliską współpracę z niegodnymi jegomościami parającymi się kradzieżą doczesnych szczątków obywateli. Bez wątplenia zaszył się obecnie w jakiejś dziurze w Londynie. Ale ramię brytyjskiej Sprawiedliwości jest długie. Jesteśmy przekonani, że sięgnie, pochwyci mordercę Linwoda Buttonsa i wyciągnie go, szamoczącego się, na światło dzienne.

No i proszę bardzo. Biegnie sobie człowiek ulicami Londynu, a tamto nie mogło się wszak wcale wydarzyć – ale się wydarzyło. Pod stopami chrzęszczą potłuczone skorupy wszystkich aspiracji na przyszłość, bo oto nadchodzi zrozumienie: oto właśnie ty, załatwiony na czysto. Jedno jedyne życie, które kiedykolwiek będziesz mieć, i właśnie wyrzuciłeś je w błoto.

Na wschód i południe przez Strand, w kierunku rzeki. Cripplegate było za daleko. Musiałem zmienić ubranie. Musiałem pomyśleć.

Janet Friendly.

Dom był pogrążony w ciemnościach. Namacałem kamyczek pod jej oknem. Potem drugi i trzeci. Wreszcie świeca. Chrobot otwieranej okiennicy i długa, ponura twarz pod szlafmycą, spoglądająca w dół zza mgły zaspanych oczu.

– Will? Co do cholery...

– Po prostu mnie wpuść. Proszę.

Minutę później drzwi się otworzyły.

– Trzeba było rzucić butem – zamamrotała, kiedy prześliznąłem się obok.

Sklep wyglądał w świetle świecy niesamowicie. Zwały odzieży leżały jak bezgłośni śpiący lub martwi.

– Przysięgam na wszystko, powinnam była wylać na ciebie nocnik... powinnam była... – Słowa zamarły jej w gardle, gdy przyjrzała mi się z bliska.

– Jezu Chryste! – powiedziała. – Jesteś ranny.

– Nie.

– Jesteś zakrwawiony.

– To nie moja krew.

– Och, Will, do jasnej anielki, coś ty narobił?

Powiedziałem jej i klapnęła – bum – na drewniane krzesło. Trzeba było naprawdę wiele, żeby ogłuszyć Janet Friendly, ale Wasz Wielce Uniżony tym razem nie miał z tym problemu.

– W ogóle tego nie chciałem – powiedziałem ponuro.

– I tak cię powieszają.

Oczywiście, że tak. Będę głosił niewinność swego serca, rozświetlając salę sądową najbardziej żalonym uśmiechem, jaki kiedykolwiek zagościł na twarzy podrzutka, a sędzia będzie wolny w ciągu pół godziny. W następny poniedziałek poprowadzą mnie na szafot i nie będzie żadnego kata Jacka Ketcha, który by włożył własną głowę w pętlę, ani Puncha odgrywającego fanfary, a jedynie William Starling, wierzgający nogami na cześć wszystkich zebranych, oraz jego *Ostatnia spowiedź* dostępna za pensa, w której składa wszystko na karb chciwości i braku ojcowskiej ręki w dzieciństwie.

Janet wciągnęła powietrze i wstała.

– Dobra. Musisz uciekać z Londynu. Tej nocy. Zdejmuj ciuchy.

– Co?

– Spójrz na siebie. Wyglądasz jak pieprzony Makbet wychodzący z sypialni Duncana. I nie sromaj mi się tutaj jak cnotka w noc poślubną. Zdejmuj! Boże drogi, kto by się przejmował.

Ściągnąłem kurtkę i koszulę, pozwalając, by opadły na podłogę, podczas gdy Janet przetrząsała szybko kopy ubrań, po chwili rzucając w moim kierunku spodnie.

– Masz pieniądze?

Miałem zapasik w moim pokoju w Cripplegate, ale jak szybko przedstawiciele prawa się tam zjawiają? Wszystko zależało od tego, jak długo im zabierze odtworzenie trasy Buttonsa do knajpy U Rybaka, gdzie już jedno pytanie prowadziłoby do następnych.

– Nieważne – rzuciła Janet, sięgając po puszkę schowaną za kontuarem.

– Ja trochę mam. Musisz je, kurwa, przyjąć, więc zatkaj jadaczkę. Teraz uciekaj! Mogli cię śledzić.

Zobaczyła mój wzrok, wędrujący tęsknie po wąskich schodach prowadzących do pokoi na górze. Pani Sibthorpe nadal spała, Annie Smollet też.

– Doskonały pomysł – warknęła Janet. – Obudzimy panienkę Smollet i urządzimy scenę. Będziemy mieli Romea i Julię, właśnie tu, na Milford Lane. Właśnie tego nam tu brakuje, jeszcze więcej dramatu.

Miała oczywiście rację. Nie to, żeby mi się zrobiło od tego lepiej.

– Wyjaśnię jej – wymamrotała, mięknąc dosłownie odrobinę.

– Powiedz jej, że nigdy nie próbowałem nikogo zabić.

I wtedy zaczęło to do mnie docierać. Panicz Buttons opadający z moim nożem sterczącym z grdyki. I wcale nie miał zamiaru się przetoczyć ani wstać, by złożyć ukłon, podczas gdy z galerii sypałby się aplauz. Leżał tak, jak upadł, patrząc na mnie niedowierzającymi oczami Danny’ego Littlejohna.

– Powiem jej, Willu. Dam też znać Comriemu.

– Powiedz jej...

Nie skończyłem myśli, gdyż uwięzła mi w gardle.

– Mam panience Smollet powiedzieć, że ją kochasz, Will? Noo, jasne. Mogłabym pochwycić jej liliową rącznię, gdy będę to robić, jeżeli chcesz. Mogłabym wybełkotać emocje przepelniające moje zbolące serce i wypłakać wiadra łez, ty pieprzony matole... A teraz leć, zanim ktoś się dowie, że tu jesteś! Wydostań się z Londynu, uciekaj z Anglii. Wyślij wiadomość, gdy będziesz bezpieczny.

W następnej chwili świat zubożał o wszelki tlen, bo Janet złapała mnie w uścisku tak silnym, że niemal złożyła mi ramiona razem. Również niemal podpaliła mi włosy, bo zapomniała odłożyć przedtem świecę. Ale odsunęła się na krok, zanim dokonała trwałych szkód, i przez najkrótszą z chwil przez jej twarz przebiegł cień rozpacz, a przez oczy blask, który prawie można by wziąć za łzy.

– Powinna była wylać na ciebie nocnik – powiedziała.

Pada lekki deszczyk, gdy Alf Szylnkarz zakłada kłódkę na drzwi knajpy i zaczyna człapać kołyszącym krokiem w dół Black Friars Lane. Jest bardzo późno, po drugiej w nocy, i oprócz niego na ulicy nie ma nikogo. Zatrzymawszy się na chwilę, by ulżyć pęcherzowi, podąża dalej, lekko się chwiejąc, jakież bowiem oberżysta byłby trzeźwy o takiej porze? Zaczyna bełkotliwie śpiewać jakąś pieśń. Alf ma wysoki, cienki głos, dość komiczny w zestawieniu z jego potężną sylwetką.

*Tam, gdzie nurt rzeki Shannon wody modre swe gna,
Żaden dzielny Irlandczyk nie był szczęśliw jak ja,
Żadna z harf w swej radości nie równała się mej,
A wraz ze mną wędrował wszędzie wierny pies Tray.*

To smutna piosenka, bo nie kończy się dobrze dla psa. Ale sam Alf jest w dobrym nastroju – człowiek pogodzony ze wszechświatem. W knajpie dopiero co zatrudniono nową dziewczynę, którą wziął dosłownie godzinę temu na posadzce piwnicy. Tak jak bierze wszystkie, które przychodzą do pracy do Trzech Wesołych Kogutów. Tak jak miewał przy różnych okazjach tę sukę Nancarrow – tę, która dała się powiesić. Mógł się za ostro obejść z tą dzisiejszą dziewczyną, jak to się czasem zdarza, jako że Alf jest dużym mężczyzną z wybujałym apetytem. Jednak prawdę mówiąc, dostają to, na co zasługują, bo są diabelskim pomiotem, ot co. Nie są godne, by wytrzeć o nie buty, jak często przypomina mu jego matka, z którą mieszka. Jego matka jest chrześcijanką, niemalże świętą.

*Biedna psina! Była wierna i dobra jak nikt,
I kochała mnie szczerze, choć był chudy nasz wikt ...*

Deszcz pada teraz intensywniej. W ciemności Alf dostrzega dwie sylwetki: jedna masywna, druga znacznie mniejsza. Wydają się na kogoś czekać.

*I gdy ludzie bez serca przeganiali mnie precz,
Tray był zawsze przy mnie, wiadoma to rzecz.*

Nie ruszają się, kimkolwiek są, pozostając tuż poza granicą światła padającego z ulicznej latarni. Alf mruży oczy nosorożca: nie widzi zbyt wyraźnie nawet w dobrych warunkach. Pierwsza postać to zwalisty mężczyzna ubrany w łachmany, które zwisają na nim luźno, jakby kiedyś był jeszcze większy. Alf ma niejasne przeczucie, że mógłby go może rozpoznać, gdyby zdołał go dojrzeć wyraźniej. Jest z nim kobieta, szczupła i ciemnowłosa, lecz jej twarz wtulona jest w płaszcz.

Alf zwalnia, zrównując się z nimi, ale nie przestaje śpiewać.

*Lecz padł martwy u stóp mych w mroźny zimowy dzień,
Więc zagrałem pamięci jego ten żalobny...*

Przerywa z chrząknięciem, potknął się bowiem – jeden z jego kajakowatych butów zaczepił o bruk. Zwalisty mężczyzna wyciąga ramię, by go objąć. „Cóż za uczynny człowiek” – myśli Alf.

– Pokaż mu – słyszy głos kobiety. Dziwny, niski i chrapliwy.

Alf wydaje dźwięk: „Uff”. Nie jest on związany z pieśnią, a raczej z tym, że mężczyzna złapał go w ramiona i ścisnął tak potężnie, że z płuc uszło mu powietrze.

– Tak trzymaj – mówi kobieta tym swoim chrapliwym głosem.

Alf polemizowałby, gdyby mógł złapać niezbędny do tego oddech. Zupełnie nie tak trzymać, powiedziałaby, niezależnie od tego, jak serdeczne emocje były źródłem tego uścisku. Dalej wyjaśniłby, że musi już iść, bo jego mama czuwa w łóżku, gdy on wraca spóźniony do domu, a potem się dąsa.

– Argg – mówi zamiast tego.

Mężczyzna podnosi go, co w innych okolicznościach mogłoby spowodować, że Alf krzyknąłby z zachwytu, biorąc pod uwagę, że waży dobrze ponad sto dwadzieścia kilo, a ten człowiek właśnie uniósł go jak pustą beczkę. Ramiona nadal się zaciskają.

Usta Alfa otwierają się szeroko. Po części dzieje się to dlatego, że zaczynają pękać mu żebra, ale również dlatego, że przeżył poważny szok. Kaptur płaszcza kobiety opadł i Alf, nie wierząc własnym oczom, ją rozpoznaje: wąska twarz, blada i posępna jak szafot, a w niej dwoje oczu palących go, czerwonych jak krew.

– Pokaż mu, Jemmy. – Słyszysz jej głos. – Pokaż temu gnojowi, gdzie raki, kurwa, zimują.

*

Alf zostanie znaleziony chwilę przed wschodem słońca, gdy wcześnie zrywający się do pracy zmiatacz w półmroku dojrzy coś, co na pierwszy rzut oka weźmie za martwego konia leżącego na skraju Pilgrim Street. Nastąpi identyfikacja, a potem w doniesieniach prasowych będą spekulować, że ofiara musiała zostać przypadkowo potrącona przez ciężką furę lub wóz i przejechana kołami, bo nastąpiło klasyczne złamanie kręgosłupa.

Zniknąć w Londynie to nic trudnego. Łatwo rozplątać się pośród miliona dusz, dziesiątków tysięcy izb na strychach i w piwnicach całej Metropolii, gdzie za pensa można mieć wiązkę słomy, a za trzy nawet łóżko – do spółki z czworgiem lub pięciorgiem innych, rzecz jasna, nie licząc gryzoni, ale zawsze łóżko – choć możecie je nazywać jak tylko podpowie wam fantazja. Nawet jeśli będziecie mieć pecha i zostanieie rozpoznani, to wokół jest tysiąc zaułków, w których zwinny chłopak ukryje się bez śladu. A nawet jeśli wszystko zawiedzie i ogary zwietrzą wasz zapach, zawsze pozostają szemrane dzielnice. Wijące się slumsy Jacob's Island i Tom-All-Along's lub nawet sama Ziemia Święta: ogromne, przerażające mrowisko St Giles, gdzie cały regiment mógłby się zapaść pod ziemię.

Zostałem na noc w noclegowni w Aldgate, a następnie przeniosłem się do kolejnej przy Radcliffe Highway. Wmawiałem sobie, że po prostu zbieram myśli, by zdecydować, dokąd najlepiej zbiec. Lecz kiedy dwie noce przeciągnęły się do trzech i przeniosłem się do kolejnej kryjówki dalej na wschód, musiałem dopuścić myśl, że nie zamierzałem w ogóle uciec z Londynu. Czwartego ranka obudziłem się w norze przy dokach, ściśnięty na pryczy we wspólnej sali pomiędzy starcem w starożytnej kurtce myśliwskiej z drewnianymi guzikami a młodszym jegomościem, z którym poprzedniej nocy w kuchni dzieliłem kielonek dzinu. Mój nowy przyjaciel nosił brązową koszulę, niegdyś w kratkę, i parę damskich trzewików z dziurami wyciętymi na czubkach. Był on kiedyś, jak mówił, partnerem w kantorze, wykształconym człowiekiem, a teraz proszę: stoczył się taki kawał w dół. „Ale kiedy człowiek upadł dość nisko – powiedział z ponurą

satysfakcją, cmokając i patrząc na mnie posepnie – może równie dobrze dokończyć sprawę, no nie? Może równie dobrze pójść na całość. I oto tu jesteśmy, brachu. Świnia w całej okazałości, nawet ze szczecina”.

Wygramoliwszy się spomiędzy nich, przemknąłem obok kuchni, gdzie zbierali się już niektórzy mieszkańcy. Na zewnątrz było podwórze z porzuconymi wózkami ręcznymi i kilkoma kupami szmat nadal pograżonymi we śnie. Umyłem się najlepiej, jak potrafiłem, przy pompie i podjąłem decyzję.

Wyglądało na to, że nie zamierzałem opuścić Londynu. Zamiast tego ruszyłem do Smithfield, gdzie odnalazłem młodego Barnaby’ego oglądającego walkę kogutów. Pod murem podwórza rzeźni zawodnicy toczyli dysputę otoczeni tłumem obdartusów. Barnaby śledził moje przybycie, zezując jednym okiem, jakby sam był jakąś odmianą kapłona.

– Słyszysz o tobie – powiedział grobowym głosem.

– Muszę wysłać wiadomość.

– Jednom już żeś wysłał do tego aktora, no nie? Kurwa. Słyszałem... Ej!

– Przerwał, by wykrzyknąć zachętę do mniejszego z zawodników, chudego kogucika, który nadrabiał braki w masie drobiową zawziętością. – Tera oddziob mu łeb!

– Wiadomość – powtórzyłem. – Zapłacę sześć pensów.

– Sześć tera i sześć potem.

– Dwanaście pensów za wiadomość?

Znowu spojrzał na mnie kogucim wzrokiem.

– Opłata za ryzyko. Desperant z ciebie, nie ma co. Można położyć szyje za samom gadke z tobom i... Ej! Tak! A tera go, kurwa, wykończ!

Wysłałbym młodego Barnaby’ego do pana Comriego, tyle że na pewno mieli Cripplegate na oku. Więc zamiast tego wysłałem go na Milford Lane. Godzinę później był z powrotem, wyciągając brudną dłoń.

– Beńdzie tam, gdzie powiedziałaś. O ósmej dziś wieczór.

*

Dotarłem na cmentarz dokładnie w chwili, gdy zegar wybijał godzinę. Zapadł już zmrok i wiał chłodny wiatr poruszający koronami drzew. Gromada włóczęgów przeszła wzdłuż wschodniego muru, mijając otwartą bramę i rzucając spojrzenia w moim kierunku. Czekałem dziesięć minut,

a potem jeszcze kwadrans, jednak nadal nie było śladu Janet, co zaczęło mnie niepokoić.

Pożałowałem też wyboru miejsca spotkania. Ze wszystkich cmentarzy w Londynie wybrałem St Sepulchre's, dokładnie naprzeciw więzienia Newgate, rozciągający się niemo i nieprzyjaźnie w ciemnościach nocy. Złapałem się na tym, że wpatruję się w Drzwi Dłużnika, przed którymi Meg Nancarrow wierzgała i dusiła się zaledwie dwa tygodnie wcześniej – i gdzie Wasz Wielce Uniżony miał ukłonić się po raz ostatni w pewien poniedziałkowy poranek, którego data zostanie dopiero ustalona, jeśli Majestat Brytyjskiego Wymiaru Sprawiedliwości postawi na swoim.

Po upływie pół godziny zacząłem się zastanawiać, czy młody Barnaby nie skłamał i nie schował po prostu do kieszeni moich dwunastu pensów. Lecz wtedy wreszcie dojrzałem znajomą postać idącą w pośpiechu ulicą po drugiej stronie ogrodzenia i skręcającą w bramę.

– Ty pieprzony matole – wysyczała Janet tytułem powitania i rzuciła przez ramię zatroskane spojrzenie. – Myślę, że mogę mieć ogon.

Na tę myśl krew zaczęła mi krzepnąć w żyłach. Rozejrzałem się szybko wokół.

– Zgubiłaś ich?

– Nie jestem pewna. Staralam się. Jezu, Will... Chryste na patyku. Domyślałam się, że czytałeś o sobie?

Owszem, czytałem wszystkie gazety na stoisku kawiarnianym, a dzisiejszego popołudnia zapłaciłem pensa za sprawozdanie prasowe na temat morderstwa i dowiedziałem się, że zrobiłem to, by pomścić śmierć Furi z Fleet Ditch, z którą miałem jakieś zbrodnicze powiązania.

– Wkrótce będą pisać o tym ballady – powiedziałem, udając obojętność.
– A za tydzień będzie sztuka teatralna.

– Byli w sklepie. Sędzia i dwóch konstabli. Wczoraj z samego rana.

Na tę wieść krew skrzepła mi jeszcze bardziej. Lecz przecież mogłem się tego spodziewać – jeśli byli w Cripplegate, to z pewnością rozmawiali z panną Maggs, która puściła farbę na temat moich powiązań z Janet i Milford Lane. Panna Maggs bez wątpienia wygadała niejedno na mój temat, pilnując własnego nosa i własnego świętego spokoju.

– Co im powiedziałaś? – dopytywałem, siłąc się na spokój.

– A co myślisz? Powiedziała, że cię nie widziałam.

– Uwierzyli?

– Cholera wie. Ważne, że wiedzą, kim są twoi przyjaciele. Wiedzą, gdzie szukać. A szukają wszędzie.

Umknęliśmy głębiej w ciemność przy murze. Wybuch szorstkiego śmiechu od strony włóczęgów i cmentarna woń niesiona wiatrem od drugiej strony.

– Will, co ty do kurwy nędzy robisz jeszcze w Londynie? – zapytała Janet, a domyśliwszy się odpowiedzi z wyrazu mojej facjaty, dodała: – O Chryste, nawet mi nie mów. Smollet?

Miała rację, przynajmniej częściowo. Myśl, że mógłbym w ogóle nie zobaczyć mojej Annie przez całe miesiące, a nawet lata, była zbyt pośepna. Podobnie jak myśl o opuszczeniu samego Londynu: Metropolia sprowadzona do smugi na horyzoncie widzianej z okna odjeżdżającego powozu pocztowego, a potem zieleń oddalającej się Anglii wraz ze wszystkimi przyjaciółmi na tym świecie, i znacznie jaskrawsza zieleń twarzy Waszego Wielce Uniżonego przewieszzonego przez reling statku.

Ale przede wszystkim musiałem wiedzieć.

– Muszę znaleźć Meg Nancarrow – jęknąłem. – Muszę wiedzieć, co zrobił. Jej i innym.

– Kto? Atherton?

– Tak.

– Jakim innym?

– Tego właśnie muszę się dowiedzieć.

– Pieprzyć go, Will. Pieprzyć to wszystko. To nie twoje zmartwienie!

– Owszem, moje. Tu się mylisz. To wszystko jest moim zmartwieniem.

– Chyba oszalałeś.

Co do tego Janet miała rację, tak myślę. Patrząc wstecz, podejrzewam, że naprawdę byłem w połowie szalony tamtej nocy na cmentarzu St Sepulchre's. Każdy z nas miewa w życiu takie chwile, kiedy nie jest całkiem zdrowy na umyśle. Ludzka krew zbierająca się kałużą wokół waszych butów – to widok, który pozostawi w was uczucie chłodu, nudności i potwornego osamotnienia, o czym z pewnością nie wiecie z własnego doświadczenia i winszuję wam waszej niewinności. To uczucie sprawiło, że lady Makbet biegała, jakby urwała się z domu wariatów, a była ukuta z twardszej stali niż William Starling.

Poza tym lady Mac miała na sumieniu tylko jedno morderstwo, a moje zabicie Panicza Buttonsa było uwikłane w o wiele większą sprawę.

W powieszenie Meg, wyszeptane słowa Nuttala Sędziwego Kancelisty i dręczące przekonanie, że Dionysus Atherton popełnił czyny skazujące nas na wygnanie poza ciepło i światło wielkiego społecznego ogniska, wokół którego zbieramy się my wszyscy, którzy jesteśmy ludźmi na tym świecie. Mój wuj: kość z mojej kości, krew z mojej krwi. A wszystko to odbijało się w zamierającym blasku oczu Littlejohna.

Tak, wierzę, że mogłem być szalony owej nocy na cmentarzu St Sepulchre's.

– Dość już tego – mówiła Janet. – Musisz wyjechać teraz. Byłam w Cripplegate... Szkot dał mi to.

Wyciągnęła garść monet z kieszeni. Pięć złotych gwinei.

– Jego pierdolone oszczędności życia, jak sądzę. Albo sprzedał część narzędzi. Pewnie jakiś nieszczęsny skurwiel leży teraz u niego na stole i zaraz będzie miał nogę odcinaną piłą w złym rozmiarze, a wszystko po to, żeby Will Starling mógł opłacić swoją podróż na kontynent. A tymczasem oto on, nadal w Londynie, patałach! – Wcisnęła mi monety w dłoń. – Po prostu weź pieniądze. Chciał, żebyś je miał, więc są twoje. Bierz i idź. Zanim ktoś inny przyjdzie cię szukać, bo następnym razem mogą cię znaleźć!

I było coś w sposobie, w jaki to powiedziała. Jakiś alarmujący ton, który kazał mi się zastanowić, czy tylko konstable pukali do drzwi Janet.

– Ktoś jeszcze?

– Nieważne – rzuciła szybko.

– Janet?

Odwróciła się, otulając ramiona szalem.

– To nie jest ważne. To nic, co musiałbyś wiedzieć.

– Powiedz.

– Był pewien człowiek – odezwała się w końcu, cedząc słowa, jakby każde musiało być wyrywane niczym trzonowy ząb. – Przyszedł do sklepu dziś po południu. Szukał cię. Nie konstabl, nie miał z nimi nic do czynienia. Ale jakoś dowiedział się, że cię znamy. Ktoś mu powiedział, żeby do nas przyszedł.

– Jaki człowiek?

– Powiedział, że nazywa się Sheldrake. Powiedział, że ma wiadomość. „Powiedz Starlingowi, że ona chce się z nim spotkać”. Tyle rzekł. „Powiedz Starlingowi, że został wezwany”.

O n a.

Cały Londyn zamarł wraz z tą sylabą.

– Zapomnij o nim. – Głos Janet brzmiał teraz prosząco. – Zapomnij o tym wszystkim i po prostu wyjedź. Daj nam znać, kiedy będziesz bezpieczny. Bo Bóg wie, że tu nie jesteś, nie w Londynie i na pewno nie na tym cmentarzu, jeśli rzeczywiście ktoś mnie śledził. Po prostu... proszę cię.

Nigdy wcześniej nie widziałem jej takiej. Obdarzyła mnie kolejnym miazdzącym żebra uściskiem, a potem zniknęła, spiesząc w mroki Londynu.

Wtedy zrozumiałem, że intuicja nie zawiodła Janet. Rzeczywiście była śledzona przez całą drogę z Milford Lane. Ktoś stał w ciemności tuż przy bramie.

– Och, Willu – powiedziała Annie Smollet.

*

Miała na sobie ciemnozieloną pelerynę pożyczoną ze sklepu, chwyconą, bez wątpienia, w desperackim pośpiechu, gdy pędziła za Janet, i było kwestią czystego przypadku, iż barwa stroju tak ślicznie korespondowała z jej urodą.

– Janet nie chciała powiedzieć, dokąd idzie, Willu, lecz ja wiedziałam. Po prostu wiedziałam, że szła na spotkanie z panem. Więc poszłam za nią.

Bóg mi świadkiem, cieszyłem się, że to zrobiła. Cieszyłem się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, stojąc tam, na cmentarzu St Sepulchre's.

– Tak się bałem, że już się nie zobaczymy – powiedziałem.

– Czyż jestem aż tak warta oglądania? Nie sędzę, Willu. Sędzę, że nie jestem warta oglądania, jeśli to ma KOSZTOWAĆ PAŃSKIE ŻYCIE.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z panią, panno Smollet.

Naprawdę to powiedziałem. I mam świadomość, że dodałem do tego lekki ukłon, jak mógłby może zrobić ktoś inny – na przykład rozbójnik-dzientelmen Claude Duval. W tyle głowy kołatała mi się myśl o tym, jak widziałaby tę sytuację Janet, i nieomal słyszałem wśród nocnego wiatru jej szept: „Och, ty matole”. Lecz ona była już teraz ćwierć mili stąd, spiesząc w stronę Milford Lane, a tu, w ciemnościach cmentarza St Sepulchre's, stali tylko William Starling i panna Annie Smollet.

Miała na głowie kaptur, który zaciemniał jej twarz, jakby zapomniała, że to nie ona jest zbiegiem. Jej oczy jaśniały prawdziwą emocją.

– Jutro rano – odezwała się – wyjedzie pan z Londynu. Chcę, żeby mi pan to obiecał. Jeśli nie dla własnego dobra, to dla dobra pańskich przyjaciół. Dla mojego dobra, Willu. Chcę pańskiej NAJSZCZERSZEJ PRZYSIĘGI.

I po dziś dzień nie jestem pewien, co bym jej odpowiedział, gdyby dano nam jeszcze pięć sekund. Równie dobrze mógłbym się roztopić w tych zielonych oczach, zmięknąć i zrobić to, czego owa skrywana część mnie pragnęła od dawna: zejść z samotnej iglicy mojej żądz zemsty – Bóg wie, że wiatr tnie niczym szablą, gdy się jest tak wysoko – zejść w stronę bezpieczeństwa i czmychnąć niczym mysz polna w wysoką trawę. Ale wtedy właśnie dwie latarnie zamrugały przy cmentarnej bramie, przez którą zajrzało dwóch strażników.

Nie szukali Waszego Wielce Uniżonego. Po prostu para funkcjonariuszy na obchodzie. Panna Smollet chwyciła mnie za ramię.

– Nie możemy tu stać – wyszeptała. – Musi pan pozostać W UKRYCIU.

Nie zamierzałem z tym dyskutować. Jej uścisk stał się mocniejszy.

– Znam miejsce, gdzie może się pan dziś zatrzymać. Za mną Willu, prędko!

– Nie mogę iść na Milford Lane.

– Nie tam. Do Holborn.

*

Gdy dotarliśmy na miejsce, sklep ptasznika był pogrążony w ciemnościach. Wyglądało na to, że Borsuczyca wróciła ostatnio do pokoju na piętrze, rozstawszy się ze swoim dżentelmenem. „TO ZŁAMAŁO JEJ BIEDNE SERCE, WILLU” – powiedziała mi Annie, gdy tam szliśmy. Okazał się oszustem, ów dżentelmen, a jego dwa tysiące rocznie czystą fantazją, za to w całym tym interesie były jeszcze dwie inne Borsuczyce. Jednakże korzystnym zrządzeniem losu Borsuczyca akurat tej nocy nie korzystała ze swego pokoju. Najwyraźniej zdążyła już pozbierać kawałki swego biednego pękniętego serca i wyjechała na kilka dni z nowym dżentelmenem, co Annie uznała za przejaw dzielności i dowód na posiadanie HARTU DUCHA.

Annie miała własny klucz. Poprowadziła mnie wąskimi schodami, macając drogę w ciemnościach. Na najwyższym piętrze pogmerała kluczem w zamku, a potem – już w środku – macała w poszukiwaniu zapalek i świecy, aż w końcu pokój objawił się w świetle płomyka, jak gdyby wyczarowany jej ręką. Wyglądał tak, jak go zapamiętałem, zarzucony ubraniami – najwyraźniej Borsuczycza wraz ze swym HARTEM DUCHA wyjeżdżała w pośpiechu. Annie otworzyła okno, by pozbyć się zapachu pleśni, i wpuściła tym samym woń wychodka i gwar Holborn Street.

– Jest pan głodny? – zapytała. – Proszę zaczekać.

Wróciła po dwudziestu minutach, niosąc chleb, ser i pasztet z gospody oraz dzban mocnego piwa. Urządziliśmy sobie piknik, siedząc na łóżku, a kiedy skończyliśmy jeść, strzepnęła okruszki z kolan i podniosła wzrok w poszukiwaniu mojej twarzy.

– Teraz – odezwała się – musi mi pan opowiedzieć o tym, co się wydarzyło. OD SAMEGO POCZĄTKU aż do CHWILI OBECNEJ.

– Ile Janet...

– Janet niewiele mi mówi o czymkolwiek, Willu, ponieważ uważa mnie za cipę. Nie, nie musi pan zaprzeczać, ponieważ taka jest PRAWDA – tak FAKYCZNIE uważa Janet – a PRAWDA TO COŚ, Z CZYM MUSIMY ŻYĆ. I nie powiem złego słowa o Janet Friendly, o nie, za wyjątkiem tego, że sama jest być może wyniosłą cipą.

Zatem jej opowiedziałem. A przynajmniej opowiedziałem jej mniej więcej, opuszczając co bardziej ponure szczegóły, które mogłyby sprowokować u panny Smollet taki wybuch wielkiej litery, że mogłaby już nigdy do mnie nie wrócić, lecz wznieść się spiralnym lotem niczym uciekający skowronek przez okno wprost w nocne niebo, skrzące się gwiazdami ponad dusznym Londynem. Powiedziałem jej o swej pewności co do tego, że Atherton zrobił Meg w morderstwo Wujka Cheese'a – chociaż pozostawało dla mnie dręczącą zagadką, czemu miałby ją następnie wskrzesić. Napomknąłem o mrocznych pogłoskach na temat innych zabójstw, których motywy pozostawały niejasne i opisałem moją potajemną naradę z panem Nuttalem Sędziwym Kancelistą. Mówiłem o Flitty Deakins, o wraku Sheldrake'a i o Jemmym, a na koniec o moim nocnym spotkaniu z Paniczem Buttonsem, gdy wyciągnąłem nóż, by go przestraszyć, i wszystko poszło straszliwie nie tak.

Kiedy wreszcie skończyłem, świeca wypaliła się już do połowy. Minęły dwie godziny. Panna Smollet siedziała z oczami jak spodki niczym oniemiałe dziecko.

– Och, Willu...

Spartaczyłem zakończenie innej historii, którą jej opowiedziałem – tej o mojej podróży w głąb kraju. Najwyraźniej jednak tę zrelacjonowałem, jak należy.

– Jednej rzeczy nadal nie rozumiem – powiedziała. – Dlaczego tak go pan nienawidzi?

Zacząłem mówić, że nie nienawidziłem Panicza Buttonsa – nie tak, jak nienawidzi się wroga, bo nigdy go nawet nie znałem. Nienawidziłem tego, co zrobił, to wszystko.

– Nie jego. – Potrząsnęła głową. – Chirurga. Dlaczego tak nienawidzi pan Dionysusa Athertona?

W jej wielkich zielonych oczach widniała dezorientacja, ale i rodzaj przenikliwości. Panna Annie Smollet nie była głupia, bez względu na to, co myślała Janet Friendly.

Powiedziałem jej więc najprostszą część prawdy.

– Ten człowiek jest moim wujem.

Jej oczy znów się rozszerzyły, bardziej spektakularnie niż kiedykolwiek wcześniej.

– W u j e m? Tym, o którym mi pan opowiadał? Który nie chce uznać pańskiego istnienia?

Już żałowałem tego wyznania i szykowałem się na rozwój sytuacji w stronę łzawej operetki, lecz panna Smollet mnie zaskoczyła. Powoli potrząsnęła głową na boki w gorzkim zdumieniu.

– To, co zrobił mnie, Willu, było już wystarczająco nikczemne. Siedzieć tam, śmiejąc się owej nocy z Wilkami, gdy powinien mnie chronić. Lecz to... – Znów potrząsnęła głową. – Są na tym świecie NIEGODZIWCY, Willu. Istnieją GODNE POGARDY PSY, a dopiero po nich jest pan Dionysus Atherton. I być może pewnego dnia POWIEM MU TO W TWARZ.

– Proszę się trzymać od niego z daleka – rzuciłem szybko. Niepokojąca myśl – do czego zdolna była Annie Smollet pod wpływem DRAMATYCZNEGO IMPULSU. – Nie mam dowodu, jeszcze nie. Lecz wierzę, że jest niebezpieczny.

– Och, tak! – wykrzyknęła. – Jeśli bodaj ćwierć tego, co pan podejrzewa, jest prawdą – jedna trzydziesta druga jednej dwunastej, Willu – to pan Dionysus Atherton jest NAJNIEBEZPIECZNIEJSZYM człowiekiem w Londynie!

Podniosła się i przeszła w stronę okna, gdzie stanęła w aktorskiej pozie, lecz twardo na ziemi.

– A teraz zapomni pan wszystko, co go dotyczy – powiedziała stanowczo. – Nie, proszę mnie posłuchać, Willu Starling, bowiem zrobi pan, co panu powiem. Wyrzuci pan tego NIEGODZIWCZA ze swych myśli i wyjedzie pan jutro. Wyjedzie pan i pozostanie daleko, aż OCZYŚCI PAN SWOJE NAZWISKO.

No, może oboje staliśmy twardo na ziemi, lecz najwyraźniej jedno z nas odrobinę oderwało stopę i przesunęło ją bliżej Drury Lane. Ona już zdecydowała, jak rozegra się ta sztuka.

– Oczyści pan swoje nazwisko, Willu, a potem pan WRÓCI.

Bo oczywiście tak by się wszystko potoczyło, gdybyśmy byli na scenie. Młody bohater mógłby się znaleźć w takim położeniu, w jakim obecnie był William Starling, w momencie kulminacji akcji w akcie pierwszym – w rzeczy samej, co by to była za sztuka, gdyby było inaczej? A pod koniec aktu drugiego akcja stałaby się jeszcze poważniejsza, a nasz bohater zakuty w kajdany czekałby w CELI ŚMIERCI na poranną egzekucję. Jednakże akt trzeci z pewnością ujawniłby NIEOCZEKIWANEGO ŚWIADKA oraz OSZAŁAMIAJĄCE ODKRYCIE, które prawie na pewno dotyczyłoby pochodzenia bohatera – zapomnijcie o bękarcim siostrzeńcu chirurga. Okazałoby się, że bohater jest dziedzicem tytułu szlacheckiego i wielkiej posiadłości. W dniu narodzin padł ofiarą katastrofy morskiej i został uznany za straconego na zawsze, a jednak teraz cudem przywrócony na łono swej rodziny, *et cetera*.

W zbyt częstym chodzeniu do teatru tkwi niebezpieczeństwo. Janet Friendly miała rację co do mojej Annie, do pewnego stopnia. Niekoniecznie widziała ona życie, jakim rzeczywiście było – widziała raczej role, które potencjalnie mogłaby odegrać, i w tym momencie przygotowywała się do jednej z nich: upozowana przy oknie w maleńkim pokoju przy Holborn, oświetlona jedną świecą, stojąca na porzuconych szmatkach Borsuczycy. Rozpracowywała rolę DZIEWCZYNY, KTÓRA BĘDZIE CZEKAĆ TAK DŁUGO, JAK DŁUGO BĘDZIE TRZEBA – co oczywiście dotyczyło

bardziej splendoru samej roli niż jej rzeczywistych uczuć w stosunku do Williama Starlinga. Patrząc wstecz, wiem to z całą pewnością. Podejrzewam, że wiedziałem to już tamtego wieczoru.

A jednak było w niej coś uroczego. Annie Smollet może i nie zapuszczała się zbyt głęboko, ale te jej płycizny były prawdziwie słodkie. Właściwie do tamtej pory sporo już o niej wiedziałem – więcej niż sądziła, jestem tego pewien. Rzeczy, o których napomknęła lub które rzuciła bez zastanowienia. Jedyne dziecko ładnej, więdnącej matki, szereg wynajmowanych pokoi i szereg przybranych ojców, z których niektórzy byli mniej mili od innych. Jeden z nich, zionący brandy i majaczący w nocy na progu. Dziecko, niegdyś ufne, kulące się w sobie. I oto ona w wieku dwudziestu jeden lat. Ze szczerym sercem i uroczą – pomińmy zęby – i wbrew wszelkim przeciwnościom nadal cudownie obdarzona nadzieją.

– Pożegluje pan do Francji – mówiła teraz. – Dotrze pan do Paryża, Willu, i wynajmie tam pokój. I będzie pan do mnie pisał listy, które będą ZAWSZE OTACZAĆ PIECZĄ. W owych listach będzie pan opisywał swe życie w Paryżu, a ja będę je przechowywać związane wstążką.

Mówiła z takim żarliwym przekonaniem, że mogłem to wręcz zobaczyć. Tu, w tym małym pokoiku przy Holborn, mogłem przez chwilę w to uwierzyć.

– To będzie pokój na poddaszu, Williamie, kamienny pokój, bardzo zimny zimą i obawiam się, że będą tam szczury. Lecz, Willu, to będzie P a r y ż. A pan zostanie aptekarzem. Przeczuwam to, Willu – widzę to równie wyraźnie, jak swoją drogą twarz. Tyle pan wie o leczniczych napojach... Zyska pan sławę jako uzdrowiciel.

Odeszła od okna i usiadła obok mnie na łóżku.

– Będę o panu myślała BARDZO CZĘSTO.

Siedzieliśmy teraz dość blisko siebie – dzieliła nas może stopa. Moja dłoń na kocu między nami gładziła jej dłoń. Jej twarz w świetle ogarka była odwrócona profilem.

– Może i pan będzie o mnie myślał – powiedziała pana Smollet.

Jeden kosmyk włosów opadł jej luźno na czoło, a ja pozwoliłem sobie go odgarnąć. Na jej policzek wypełzł rumieniec. Usta miała lekko rozchylone.

– Sądzę, że to będzie w porządku – rzuciła – jeśli bardzo pan tego pragnie.

*

Byłem już wcześniej z dziewczętami. Wspominam o tym teraz na wypadek, gdybyście się zastanawiali. Z różnymi, i tylko nie więcej niż połowa wymagała opłacenia usługi – no bo jakże by miał inaczej żyć młody człowiek w Londynie? W mieście, którego witalność wprawiała lędźwie w drzenie, gdzie piersi pęczniały, a rozpusta buchała wszędzie. Lecz nigdy nie było tak jak owej nocy w Holborn.

Płomień świecy oświetlał jej ciało wygięte w łuk nade mną, a jej piersi kołysały się, gdy się pochylała. Pierwsza porażająca chwila i wyraz czystego piękna na jej twarzy. Gdzieś w środku tego wszystkiego ktoś wyszeptał: „Kocham cię”. Słyszac to, zaśmiała się radośnie. „Mówi to na głos” – powiedziała. Potem przykryła mnie sobą, jej włosy opadły na moją twarz, a jej piersi naparły miękko i mocno.

Po wszystkim leżeliśmy zwinięci pod kocem.

– Złapiesz poranny dyliżans pocztowy – odezwała się. – Do Plymouth. A potem wypłyniesz wraz z pierwszym odpływem.

Po jakimś czasie trochę się zdrzemnąłem, chociaż nie chciałem przesypiać najlepszej nocy mojego życia – a wiecie... to była właśnie ta noc. Najradośniejsza noc, jaką kiedykolwiek miałem przedtem czy też potem. A także najradośniejsza, jaką będę kiedykolwiek miał po tej stronie życia – zważywszy na to, że niewiele mi ich już zostało i żadna z nich nie zapowiada się lepiej niż cmentarnie i wisielczo. Ale nawet wtedy wiedziałem, że nie mogło mnie spotkać nic lepszego.

Gdy się obudziłem, siedziała przy oknie. Świeca dawno już się wypaliła, ale rozpoznawałem jej kształty w pierwszym słabym świetle wchodu. Owinięta kocem, z włosami opadającymi na ramiona.

– Annie?

– Twój wuj. – Jej głos był pełen pogardy. – I pomyśleć tylko, że mogłam myśleć, że żywię jakieś UCZUCIA do tego człowieka.

– Wracaj do łóżka.

Wróciła, a po chwili musiałem znowu odpłynąć w sen z Annie w ramionach, bo w ciemności był w pokoju ktoś jeszcze. Na skrzyni pod oknem siedział mój przyjaciel Dany Littlejohn, mając nogami.

– Powiedziałeś jej prawdę, Długi Willu? – zapytał, patrząc z góry na nas dwoje. – Dalej, powiedz jej, co zrobiłeś. A potem patrz, jak zadziera

spódnicę i zmyka od ciebie, chłopie, tak szybko, jak tylko te zgrabne białe nóżki ją poniosą. – Zamrugał, a potem się skrzywił w ten swój przebiegły zawadiacki sposób. – Skłonności rodzinne – to jest właśnie to. Po tym twoim wuju.

Gdy znów się obudziłem, był ranek. Promienie słońca wpadały przez okno, a z dołu było słychać śpiew ptaków.

Moja Annie zniknęła.

Tej samej nocy Dionysus Atherton wparował do nocnego lokalu w Seven Dials z Odenkirkiem depczącym mu po piętach, działając na podstawie informacji, że w środku przebywa Meg Nancarrow. Jednak kobieta okazała się kolejną ulicznicą, o oczach nie bardziej przekrwionych niż oczy każdej innej ulicznicy woniejącej dżinem i napuchniętej z przepicia. Odpychając ją od siebie, Atherton rozrzucił pełną garść monet wśród pozostałych dziwek i zawołał:

– Sto złotych gwinei – słuchajcie dobrze – czeka w zamian za informacje, które doprowadzą mnie do niej!

Opuściwszy spelunę, udał się do taniej tawerny nad rzeką, gdzie siedział nad butelką piwa do czasu, gdy padły na niego pierwsze promienie brzasku. Wyglądał niczym Crusoe, którego sztorm cisnął w ramiona obsesji.

*

W świetle tego samego poranka przy fontannie na Trafalgar Square siedzi kobieta. Pomimo wczesnej pory plac już się zapełnia ludźmi: przechodniami, straganiarzami i żebrakami. Stary człowiek sprzedaje drewniane dziecięce grzechotki, a za nim obdarty ciemnoskóry marynarz przechadza się z dokładnie odwzorowaną miniaturą okrętu Victory lorda Nelsona umieszczoną na czubku głowy, dzięki czemu wygląda to tak, jakby z każdym rozkołysanym krokiem statek zanurzał się i wypływał na wzburzonym morzu ramion i kapeluszy.

Kobieta przy fontannie ma na sobie prostą szarą suknię i szal naciągnięty na głowę jak kaptur. Siedzi przygarbiona niczym pielgrzym w podróży, już

nazbyt uciążliwej. Obok niej jest mężczyzna, wielki ociężały mężczyzna w łachmanach, który przyniósł jedzenie i picie – pieróg od ulicznego sprzedawcy i kubek salepu – lecz ona odmawia, mówiąc, że chyba nie jest dziś głodna. Jej głos brzmi szorstko i przedziwnie.

Podnosi głowę, by się do niego uśmiechnąć, lecz gdy szal zsuwa się jej z głowy, marszczy twarz w słońcu.

– Za jasno – szepcze.

Jej szyja jest odrobinę skrzywiona w jedną stronę, niczym łodyga kwiatu, która została zgięta. Wielki ociężały mężczyzna przyciąga ją bliżej, by swym ciałem osłonić ją przed blaskiem.

Dokładnie w tym samym momencie inna kobieta idzie Trafalgar Square w ich kierunku. Znalazło to potwierdzenie w pewnych dziwnych epistołach, które miały się wkrótce ukazać drukiem w gazetach w działach korespondencji, ku rosnącemu zadziwieniu Metropolii. Flitty Deakins wraca właśnie z apteki w zaułku St Martin's Street z małą brązową buteleczką. Przechodząc spieszenie obok fontanny, widzi, jak kobieta w szarościach podnosi głowę – dwoje oczu niczym czerwone rozżarzone węgle płonące między fałdami szala.

Panna Deakins widziała oblicze Beliala wpatrującego się w nią przez okno pokoju, lecz oblicze Beliala jest niczym w porównaniu z tym. Cofa się z okrzykiem, raz już bowiem widziała w życiu tę twarz, gdy kobieta przyszła do Crutched Friars w towarzystwie Trupiarzy. I teraz oto znów ta twarz naznaczona śmiercią – och, z pewnością jest to śmierć we własnej osobie wyzierająca z owych przerażających czerwonych oczu, czyż nie? – bo Meg Nancarrow została powieszona przed Newgate dwa tygodnie wcześniej.

Panna Deakins wydaje znów okrzyk, w którym pobrzmiewa strach pomieszany z zadziwieniem, i pada na kolana w świętej trwodze.

*

Tutaj opowieść staje się szalona. Będziemy potrzebować ciemnych nocy i burz z piorunami, wyjących wichrów i serc płonących od niewypowiedzianych pragnień, lecz przysięgam na mą duszę: to, co wam mówię, to prawda. Nawet gdy jestem zmuszony chwycić fakty niczym biedny Jemmy młócający ślepo rękami, podczas gdy myśli przelatują obok,

ponad wszelką wątpliwość wiem, że sama opowieść jest prawdziwa w tym sensie, w jakim opowieści zarówno wspaniałe, jak i nędzne mogą wskazywać na daleką prawdę, której nie potrafi oświetlić tysiąc faktów – bez względu na ułomność narratora.

A poza tym, czemuż miałbym kłamać? Cóż mógłbym zyskać w mojej sytuacji?

Piszę te słowa w sobotę 16 listopada późną nocą. Dzisiejszy dzień wstał słotny i przenikliwie chłodny, a noc jest ostra nawet tu, w kokonie kamiennych ścian grubych na trzy stopy. Jutro w kaplicy Newgate odbędzie się msza dla skazanych w towarzystwie trumny dla oddalenia płochych myśli i wzmocnienia ducha pokuty. Nadal rozpatrywane są apelacje, lecz nie mam powodów, by żywić jakąkolwiek nadzieję. Czas odmierzam teraz ćwierciami cali palącej się świecy i biciem dzwonów u Świętego Pawła. Wspaniałe pozwala zebrać myśli – według sławnej maksymy Sama Johnsona – wiedza, że zostanie się powieszonym w ciągu dwóch tygodni. Z tego wnoszę, że nawet wielki Sam mógł być starym pierdołą. Z mojego doświadczenia wynika, że ta perspektywa niespecjalnie pomaga w zbieraniu myśli, zamiast tego walnie się przyczynia do wprowadzania ich w chaotyczną gonitwę niczym stado płotek, na które pada długi cień szczupaka. Przynosi nocne strachy, dręczące nadal w świetle dnia, a potem kolejnej, jeszcze gorszej nocy, gdy tymczasem dwa tygodnie kurczą się do jednego, a ostatnie godziny spadają jedna po drugiej jak więdnące płatki kwiatu.

Są jednak przy mnie i błogosławieństwa. Mam rękawiczki, papier i atrament, który jeszcze nie zamarzł. W tej chwili mam na sobie dwa płaszcze, na ramionach koc słusznej wielkości, a na końcu mojego nosa nie ma żadnego sopła, przynajmniej jeszcze nie. I mam zadanie. Piszę najszybciej, jak potrafię, i poprosiłem moich przyjaciół, by dokończyli tę opowieść, gdybym ja nie mógł już tego zrobić. To dobrzy przyjaciele – Bóg wie, że lepsi, niż zasługuję – i dali mi swoje słowo.

Tak, obawiam się, że teraz to już jest tego rodzaju opowieść.

Dalej zatem.

*

Wrak Shelldrake'a jeszcze nie poszedł na dno, lecz lodowate wody wzbierały wokół niego. Od czasu do czasu pojawiał się w swojej kancelarii, lecz za każdym razem zdawał się chudszy i mniej cielesny. Zdołałem to ustalić dzięki zdolnościom młodego Barnaby'ego do węszenia i podglądania, jako że oczywiście nie mogłem już ryzykować pokazania się w Izbie Adwokackiej osobiście, czy choćby kontaktu z tamtejszym Sędziwym Kancelistą.

Nieogolony i z podkrążonymi oczami wrak dryfował do pokoju zewnętrznego, gdzie pan Nuttall nadal pracował przy swoim biurku, ze stertą papierów – obecnie już żałośnie małą – przy każdym łokciu. Z powitalnym grymasem Shelldrake czmychał do swojego gabinetu, a tam – jak słyszano – krążył nerwowo i mamrotał. Zdarzało mu się zawyc potępieńczo, jakby zmienił się w ducha samego siebie, pojawiającego się, by wpędzić Toma Shelldrake'a prosto do grobu. Potem znów nagle wybuchał, rozglądał się dziko wokół, domagając się odpowiedzi na pytanie, czy ktoś przychodził i rozpytywał o niego. Raz miał w ręku brzytwę, a cienka rubinowa linia znaczyła jego gardło. To poważnie zaniepokoiło pana Nuttalla, bo nikt, goląc się, nie chyba policzka o kilka cali, nawet gdy jest rozkojarzony.

Próbował wtedy dopytać Shelldrake'a o zdrowie, lecz to się na nic zdało. Wrak zrejterował do swojego gabinetu, zatraskując za sobą drzwi. Dalej następowały mamrotanie i wiele mówiące odgłosy szurania meblami, z których Sędziwy Kancelista wydedukował, że wejście zostało zabarykadowane. To mocno wytrąciło go z równowagi, jako że widział już wcześniej taką zmianę: u podstarzałej krewnej, a dokładnie jego matki, która umacniała się w przekonaniu, że sąsiedzi zbierają się potajemnie, by przypuścić atak na dom. Ostatecznie rodzina była zmuszona zamknąć ją na strychu, skąd od czasu do czasu udawało jej się zbiec za sprawą wielkiej determinacji, z przekleństwami na ustach i w gotowości do bitwy.

Nagle Shelldrake zniknął. Nie widziano go w ogóle przez kilka dni, a pan Nuttall zaczął snuć ponure wizje: Shelldrake zwisający niczym gruszka z krokwi lub unoszący się na powierzchni Tamizy. A potem równie nagle wrócił. Było to wieczorem, tuż po zmierzchu. Kancelista, ślęcząc nad ostatnimi trzema dokumentami ze sterty, podniósł wzrok i ujrzął w drzwiach swojego pracodawcę. Tom Shelldrake był kredowobiały, zionął dżinem i zdawał się tak wyczerpany z braku pożywienia, że nie zostało

z niego wiele nad skórę i kości. Lecz miał na sobie nowy surdut z kanarkowożółtą kamizelą i radosny bukiet kwiatów w butonierce.

– Panie Sheldrake! – wykrzyknął pan Nuttall. – Czy coś się stało?

– Stało? – wybuchnął Tom. – Wszystko się stało, Nuttall – życie, śmierć... Cały Londyn się staje w tym momencie. Świat się staje, spójrz pan przez okno! Wirujemy w tej właśnie minucie wokół naszej osi. Gnamy przez nieskończoność. A pan pyta, czy coś się stało?

– Chodziło mi o to, czy dobrze się pan czuje...

– Owszem, bardzo dobrze – odpowiedział wrak.

Nie wyglądało jednak na to, więc pan Nuttall się zawahał.

– Miałem właśnie zamykać na noc, sir – powiedział. – Czy wolałby pan, bym zamiast tego został?

– Wolałbym, by pan zrobił, jak pan chce – odpowiedział Sheldrake, a mówiąc to, pochylił się, jakby zdradzał informacje wielkiej wagi. – Czy rozumiesz pan, co do niego mówię? Mówię: rób pan, co chcesz.

Jego oddech był zepsuty niczym trzydniowy trup, a oczy błyszczały desperackim ożywieniem.

*

Tak wyglądał, gdy wrócił do domu tamtego wieczoru. Miał pokoje niedaleko King's Cross, w których mieszkał sam, za jedyne towarzystwo mając kota imieniem Roger. Kiedy się o tym dowiedziałem, nieomal go za to polubiłem. O wiele trudniej gardzić człowiekiem, gdy ma on kota imieniem Roger.

Było to w czwartek 4 czerwca. Nie wychodziłem z pokoju przy Holborn przez całe dwa dni po tym, jak przebudziłem się, by stwierdzić, że Annie Smollet zniknęła. Pierwszy dzień spędziłem w niespokojnym oczekiwaniu, w każdej minucie spodziewając się usłyszeć na schodach jej kroki. Jednak nie przyszła ani tego dnia, ani następnego, który przeczekałem zwinięty samotnie na łóżku, z czarnym psem czającym się na półpiętrze oraz ptasimi trelami i ptasim smrodem płynącymi z dołu. W końcu podniosłem się, zostawiłem łzawy liścik i wymknąłem się po schodach niepokieszony i z zawrotami głowy – minęły wszak dwa dni bez jedzenia – wprost w burczenie i warkot ulicy. Z zapadnięciem zmroku czekałem przed mieszkaniem Sheldrake'a.

Nadszedł od strony Gray's Inn Road, oświetlony latarnią z byczym okiem. Gdy przechodził obok, wyszedłem szybko za nim.

– Wysłał pan wiadomość, że chce się pan ze mną spotkać, panie Sheldrake?

Odwrócił się, wciągając powietrze, a ja pozwoliłem, by zobaczył mój nóż.

– Dla pańskiej informacji, panie Sheldrake – jeśli to podstęp lub pułapka, zabiję pana. To nic osobistego, żadna groźba. Po prostu solenna obietnica. Zrobi mnie pan w konia i będzie pan martwy.

Słyszając to, zaczął się śmiać.

– Martwy, sir? A co ma pan na myśli, mówiąc „martwy”? Myślę, że powinien pan być bardziej konkretny w temacie śmierci. – Przyłożył palec wskazujący do nozdrza i puścił upiorne perskie oko. – Śmierć już nie jest tym, czym była. W rzeczy samej, myślę, że może pan nie nadążać za duchem czasu.

Jego oczy rozszerzyły się do niepokojących rozmiarów, a twarz wokół nich była zapadnięta, dokładnie tak jak mówił Barnaby. Oddech cuchnący trupem, ale też nowa kamizela i bukiet kwiatów. Pomyślałem o opisach, które kiedyś czytałem, na temat skazańców w dawnych czasach: gdy wieziono ich do Tyburn Tree wozem, mieli oczy zapuchnięte z przepicia, ale nadal byli pełni determinacji, by zakończyć żywot na wesoło, i przez całą drogę wygłupiali się z tłumem.

– Czy ona żyje? – dopytywałem się.

– Ona, sir?

– Meg Nancarrow.

– Ach. To zależy, sir. To bardzo zależy.

– Od czego?

– Od tego, co rozumie pan przez *ż y c i e*.

Uniosłem nóż, opierając końcówkę ostrza na jego gardle. Jabłko Adama podskoczyło.

– Szukał mnie pan, panie Sheldrake. Powiedział pan, że zostałem wezwany. Jeśli wie pan, gdzie ona jest, niech mi pan powie teraz.

Skrzywił się w zawadiackim uśmiechu, przymierzając się do roli dawnego smutnego wesołka.

– W rzeczy samej, sir. Za mną, sir. Sheldrake to właściwa osoba. Proszę iść za Tomem.

Przecieliśmy Gray's Inn Road i kierowaliśmy się dalej na zachód. Nadal byłem na wpół przekonany, że to pułapka, i spodziewałem się oddziału konstabli czekającego za każdym rogiem z pałkami w dłoniach. Ale nikogo nie spotkaliśmy za wyjątkiem zwykłych londyńskich nocnych przechodniów.

– To nie było morderstwo – odezwałem się, dopasowując się do jego człapiącego kroku. – Ten aktor. Buttons... Mówią, że go zamordowałem, ale to nie było tak.

Nie wiem, czemu zdawało mi się ważne, żeby to zrozumiał. Ale mogłem sobie darować.

– Nie było morderstwa. – Mrugnął upiornie. – Racja. Żadnej krwi na rękach mojego dobrego przyjaciela Starlinga, żadnych plam na tych miękkich białych rączkach.

– Powiedziałem, że to nie było celowe.

– A czemuż to te ręce miałyby być niesplamione, pośród wszystkich rąk w Londynie, sir, unurzanych w posoce po łokcie? Czemu jedynie te miałyby być tak czyste, pozostaje tajemnicą. Ale proszę bardzo. Oto one. Ręce Starlinga są białe.

Jeszcze raz trącił nos palcem, jednocześnie podnosząc latarnię. W jej blasku jego twarz wyglądała niczym upiorna maska.

Sheldrake zdwoił tempo, skręcając na południowy zachód, aż przecieliśmy Kingsway i doszliśmy do Great Russell Street.

– Dokąd idziemy? – spytałem, chociaż już zgadywałem odpowiedź.

Do Ziemi Świętej – St Giles Rookery. Wielki, plugawy labirynt rozciągający się od Great Russell Street na północy do kościoła St Giles na południu. Nazwa St Giles-in-the-Fields pochodziła z czasów, gdy były tam zielone pola i drzewa zamiast cegieł i brudu. Tej nocy tu i ówdzie w płataninie podwórek i wąskich smrodliwych uliczek błyskał ogień, a wokół niego gromadziły się skulone ludzkie postaci. Zapuszczone budynki podpierały jeden drugi, opierając się pijacko ramię w ramię, niczym starzy konspirujący rozpustnicy. Strumienie brudu płynęły środkiem uliczek w miejscu czystych potoków, które szemrały tu w owych dawnych idyllicznych czasach, a w roli gładkich mokrych kamieni występowały grudy ekskrementów. Teraz już nie musiałem obawiać się konstabli. Żaden przedstawiciel prawa nie postawiłby tu stopy, nie nocą, ani nawet za dnia, bez wsparcia tuzina towarzyszy uzbrojonych w muszkiety.

A nawet gdyby był ich tuzin, to cóż mogli osiągnąć? Każdy, kto znał te wąskie uliczki, mógł zniknąć w pół minuty, a jeśli naprawdę znacie Ziemię Świętą, w ogóle nie musicie używać uliczek. Wiecie o drzwiach łączących budynki i o korytarzach prowadzących z jednej piwnicy do następnej. Możecie zniknąć w ciemności i nigdy więcej nie wyjść na światło dzienne – z własnego wyboru lub z woli kogoś innego. Moglibyście gnić w jednej z tych piwnic, aż nie zostałoby z was nic poza kośćmi i grzybem. Nikt z tych, którzy was znali, nie miałby o tym pojęcia.

Wrak Shelldrake'a kluczył dalej, to spiesząc jednym zaułkiem, to skręcając w inny i przebijając się przez mrok i smród, podczas gdy niewidzialne oczy śledziły nas z ciemności, a nocne cienie cofały się do dziur, gdy przechodziliśmy obok. W końcu zatrzymaliśmy się przed koślawymi drzwiami gdzieś w ciemnym sercu labiryntu. Rąbek żółtego księżycyca spojrzał nagle w dół, a potem na powrót schował się za chmurami. Staralem się, jak mogłem, zapamiętać wszystkie nasze skręty i pętle, spinając się na myśl, że będę musiał szybko wydostać się z tego przerażającego labiryntu, w którym Bóg jeden wie, jaki czał się Minotaur.

Nastrój Shelldrake'a się zmienił.

– Ręce białe niczym lilie – powiedział gorzko, patrząc na mnie z góry. – Ze wszystkich rączęt w Londynie.

– To tutaj mieszka?

– Nie prosiłem o te rzeczy! – wrzasnął nagle. – Nie chciałem ich oglądać ani o nich wiedzieć! – Na jego twarzy pojawił się ten sam wyraz rozpacz, co owego popołudnia na cmentarzu St Mary-le-Bow, kiedy to rzucił się do otwartego grobu Boba Eldritch. – Czy prosiłem, by Meg Nancarrow zawisała? Nie. Czy prosiłem, by Bob Eldritch zadławił się na śmierć? Nie, sir, nigdy w życiu! Powtórzę: nie prosiłem o to. Nie chciałem tego. Nie pytano mnie o opinię!

A potem dał nura przez drzwi w czerń, a ja ruszyłem za nim.

Smród, niepokojący bezruch i pewność, że jestem obserwowany: takie było moje pierwsze wrażenie. W takim miejscu mogły być nawet trzy piętra po dwa tuziny osobnych pokoi, a w każdym z nich sześcioro – albo dziesięcioro – lub dwadzieścioro mieszkańców. Od czasu do czasu chwiejący się budynek wykonywał śmiertelny przechył, a następnie zapadał się sam na siebie z duszami w łachmanach gramolącymi się niczym mrówki, by uciec przez okna. W tym domu wraz z nami musiały być

dziesiątki osób, ale w owej chwili nie dało się słyszeć ani jednej z nich. W świetle latarni Sheldrake'a ujrzałem przelotnie powykręcane go chłopca spoglądającego w dół z półpiętra nad nami, z rodzicem – lub po prostu większym kaleką – za plecami. A potem obaj zniknęli, a ja podążyłem za wrakiem jakimiś chybionymi schodami prowadzącymi w dół, w jeszcze głębszą ciemność.

Brakowało tam poręczy, a często również i stopni, jako że deski dawno już przegniły lub zostały zerwane jako drewno opałowe. Wszystkie domy w Ziemi Świętej konsumował w końcu ogień, lecz odbywało się to przeważnie kawałek po kawałku. Zimy tutaj były najgorsze w Londynie, styczeń chlastał mrozem przez powybijane okna zasłonięte papierem i szmatami. Dwukrotnie nie trafiłem na stopień i o mały włos poleciałbym na głowę, zanim wreszcie zeszliśmy na poziom korytarza. Był wilgotny i ciasny, z kałużami wody – wolę myśleć, że to była woda – pod naszymi stopami. Szczury przemykały w czerni za nami, a wrak Sheldrake'a schodził coraz niżej. Napotkaliśmy rozwidlenie korytarza i kolejne drzwi.

Wtedy się zatrzymał.

– Tędy – powiedział, wskazując palcem. – Na dół.

Czekałem, sądząc, że poprowadzi dalej, jednak teraz cofał się niczym koń, który narowi się przed bramą, wytrzeszczając białka oczu, i nie ruszy ani o stopę dalej, choćbyście go chłostali do krwi.

– Nie – rzucił, a głos mu się załamał ze zdenerwowania. – Zrobiłem, czego ode mnie wymagano. Nic ponadto. Ona chce zobaczyć ciebie.

I czmychnął, zabierając światło.

U mych stóp kolejne stopnie prowadziły w dół, jednak czerń poniżej nie była całkiem nieprzenikniona. Słaba poświata sączyła się w górę z podziemnych czeluści. Wziąłem głęboki oddech i zacząłem schodzić w pustkę. Sześć niewidzialnych stopni prowadziło na półpiętro, a z każdym z nich poświata robiła się coraz wyraźniejsza, jakby wznosiła się niczym wody Styksu do moich kostek, a potem do kolan. Na półpiętrze skręć w lewo i jeszcze osiem stopni do miejsca, które z pewnością leżało dokładnie w Pierwszym Kręgu Piekła pana Dantego. Lub zaraz pod nim.

Piwniczna izba śmierdząca dymem i istotami ludzkimi, z sufitem tak niskim, że nawet Wasz Wielce Unizony ledwo mógł się wyprostować. Stół z palącymi się świecami i trzy lub cztery postaci w łachmanach skulone nad

posiłkiem. Białe twarze uniosły się, wpatrując się we mnie, a wtedy strzęp czerni oderwał się od cieni w najdalszym kącie pomieszczenia. Stara kobieta, tak kanciasta i ostra jak Atropos przecinająca nić.

Tyle że ona wcale nie była stara. Teraz to zobaczyłem, kiedy moje oczy zaczęły przyzwyczajać się do gryzącego dymem mroku. Jej twarz zdawała się wynędzniała, ale nie miała zmarszczek, a jej oczy rozpałało laudanum i szaleństwo.

– Pan Starling jest tutaj! Przyjaciel przybył. Radujmy się – powiedziała Flitty Deakins.

*

Do niedawna zatrzymywała się w Szczurzej Oficynie – taniej noclegowni dla bezrobotnej służby domowej. Sporo było takich miejsc w całym Londynie, pełnych wykolejeńców zwolnionych za kradzież lub zły charakter, którzy spędzali teraz całe dni na planowaniu rabunków – i gorszych jeszcze rzeczy – w odwecie. Ta konkretna noclegownia znajdowała się niedaleko Charing Cross i panna Deakins wróciła tam, gdy opuściłem ją tego poranka, kiedy odbyła się egzekucja.

Tyle udało mi się później poskładać do kupy. Lecz wtedy w pierwszej chwili, jak zapewne zrozumiecie, to nie perypetie lokalowe panny Phyllidy Deakins zaprzętały moje myśli.

– Gdzie ona jest? – zawołałem. – Czy żyje? Mogę się z nią zobaczyć?

Panna Deakins przekrzywiła głowę.

– Nie wiem, panie Starling. Może pan?

Rozejrzałem się gorączkowo, ale w tej cuchnącej piwnicy byliśmy tylko ja, panna Deakins i jeszcze oberwańcy wokół stołu.

– Obawiam się, że zrobiłam naszemu przyjacielowi psotę – powiedziała Flitty, zwracając się do pozostałych. – Biedny pan Starling... – Jej twarz aż wykrzywiła się z uciechy. – Obawiam się, że zawsze robiłam psoty. Mój ojciec zwykł tak mówić, panie Starling. „Phyllida jest moją drogą, kochaną dziewczynką, lecz obawiam się, że jest psotna”. Mój ojciec był duszpasterzem, duchownym w Devon. Wiedział pan o tym?

– Chcę zobaczyć Meg...

– Byłam najmłodsza, panie Starling, jego oczko w głowie. Chodziłam z nim przez pola, gdy odwiedzał parafian, i byłam dobrą dziewczynką,

szczerą jak złoto. Wszyscy by to panu powiedzieli. „Lecz obawiam się, że moja Phyllida jest psotna – mawiał mój ojciec. – I modłę się, by nie musiała złożyć z tego rozrachunku”. Było to jego wielkie zmartwienie, panie Starling – rozrachunek, który czeka każdego z nas o wyznaczonej godzinie.

– Chcę zobaczyć Meg!

Słowa wyszły ze mnie w formie krzyku, przeraźliwie głośnego w piwnicznej izbie. Panna Deakins cofnęła się odrobinę, mrużąc swoje szalone oczy niczym kot wzdragający się z niesmakiem.

Odwróciłem się na dźwięk skrzypienia schodów. Więcej postaci w łachmanach stanęło za mną – dwie lub trzy – blokując przejście. Dotarło do mnie, że nie wydostanę się stamtąd, chyba że oni mi na to pozwolą. Domyślałem się, że ta sama myśl zaświtała w głowie Flitty Deakins. Uśmiechnęła się leciutko.

– Kim są ci ludzie? – zapytałem.

– Przyjaciółmi. – odpowiedziała.

– Pani?

– Jej. Wszyscy jesteśmy jej przyjaciółmi. Dlatego tu stoimy.

– Czy Meg żyje?

– W przeciwieństwie do dzieci, które wylądowały w stajni chirurga w Crutched Friars.

– Wie to pani na pewno?

– Widziałam, jak wchodziły. I nie mam wątpliwości, co zostało zrobione.

I oto stała tam: naoczny świadek, którego szukałem. Czarne łachmany i spojrzenie błyszczące od maku.

– Eksperymenty, panie Starling. Doprowadzono je do granicy śmierci i poza nią, by sprawdzić, jak daleko można pójść i nadal wrócić. Najpierw zwierzęta, potem dzieci. Żebracy i sieroty, za którymi nikt nie będzie tęsknił. Raz wszedł tam stary człowiek, innym razem była to dziewczyna – jakaś kurewka wyłowiona z Tamizy. Rzuciła się do wody, jak przypuszczam, z powodu, z jakiego kurewki robią takie rzeczy. Odenkirk niósł ją na ramieniu – utopiła się, ale nie była całkiem martwa. Widziałam to, bo otworzyła oczy – na samym końcu, zanim zamknęły się za nimi drzwi stajni.

Zrobiła się tak chuda, że zastanawiałem się, czy w ogóle jeszcze jada, czy też całym jej pożywieniem były teraz opium i mleko. W tym zanikaniu w pewien sposób się skryzalizowała, jakby rozpoczął się jakiś alchemiczny

proces destylacji jej czystej esencji. Była teraz bardziej Flitty Deakins niż kiedykolwiek wcześniej. Zdawała się też bardziej czysto i głęboko szalona.

Wtedy właśnie pojawiło się ziarno pierwszej prawdziwej wątpliwości.

– Miałam być następna, panie Starling. Zajęliby się mną, gdybym nie uciekła. Droga, kochana córeczka mojego ojca na tym ich stole...

– Muszę ją zobaczyć, panno Deakins. Muszę zobaczyć Meg Nancarrow.

Bredzenie przeszło w ciszę. Ciężkie spojrzenie szalonych oczu.

– Potrzebuje pan dowodu, że ona żyje. Czy to chce pan powiedzieć?

– Mówię, że chcę się z nią zobaczyć.

– A ona chce się zobaczyć z panem, panie Starling, dlatego sprowadziliśmy pana tutaj. Jest wdzięczna za to, co starał się pan zrobić, i ma nadzieję, że może zrobić pan więcej. Lecz najpierw potrzebujemy od pana dowodu.

– Dowodu na co?

– Dowodu, że jest pan z nami. Aż do ostatecznej rozgrywki.

Epistoła do londyńczyków

„The London Record”

5 czerwca 1816 roku

W jej głowie była potworna kipiela, powiedziała mi, jakby jej życiowe soki były tłoczone w górę przez ciężar jej ciała wiszący na linie. Jej czaszka spuchła do groteskowego rozmiaru i z pewnością miała zaraz pęknąć jak wzdęty brzuch jagnięcia. Przedłużało się to, jak powiedziała, nieznośnie. W końcu nastąpił wybuch światła i w okropnej jasności zobaczyła anioła.

„Lecz nie był to Anioł znad Kołyski – powiedziała do mnie – taki dla dzieci. Ani taki jak te dwa jasne aniołki, Phyllido, które kiedyś były pod twoją opieką”.

Nie, to był wielki i straszliwy Byt, wyższy niż drzewa. W dłoni miał płomienny miecz, a w jego oczach ujrzała Prawdę.

„Jaka Prawda została ci objawiona?” – zapytałam.

To Wielkie Pytanie nigdy nie zostało zadane Łazarzowi. Wstał i zaczął chodzić – jak mówi Ewangelia – lecz nigdy nie powiedział ani słowa o tym, gdzie był i co widział. Nic, co napęłniłoby jego siostry nadzieją lub przerażeniem. Nic, co wprawiłoby jego przyjaciół w śmiertelne drżenie, czy też ucieszyło ich biedne serca.

Odpowiedziała: „Zobaczyłam, że jesteśmy wolni”.

Stałyśmy na dachu, kiedy to mówiła. Jest taki dach, na którym stoi ze swoim chłopcem w szarym świetle zmierzchu, gdy słońce zachodzi za ich plecami, a ich cienie kładą się na Londynie.

„Jesteśmy wolni – powiedziała Meg Nancarrow – i możemy czynić, co chcemy. I och! Nadejdzie wielki Rozrachunek”.

O świcie zwędziłem egzemplarz gazety z ulicznego straganu niedaleko Covent Garden. Epistoła była wydrukowana u dołu strony, gdzie odkryła ją grupa birbantów wracających chwiejnie do domu z popijawy. Jeden z nich czytał na głos, podczas gdy pozostali stłoczyli się wokół niego, wydając okrzyki niedowierzania. Bywają w życiu chwile, gdy mijacie okno lub szklaną taflę. I zatrzymujecie się, by zobaczyć najśmieszniejsze ze stworzeń wpatrujące się z kolei w was, w jakiejś okropnej kamizelce, którą uznało za ostatni krzyk mody, z pstrokatą gawroszką zamotaną wokół szyi niczym sztandar jego pretensji, z wyrazem dojrzałego nadęcia, które miało najwyraźniej wyglądać jak głęboka mądrość. Mrugacie – możecie się nawet zacząć śmiać – aż zaświta wam w głowach: to jest odbicie i ono jest moje. Ustroiliście się w pawie piórka i owinęliście kokonem żarliwych przekonań, lecz w owym odbiciu oto wy: wystawieni zupełnie nago w waszej nedorzeczności.

Owego ranka Epistoła Flitty Deakins stała się moim zwierciadłem. Gdzieś głęboko w szurzących norach umysłu znowu rozpoczęło się nerwowe popiskiwanie. Szczury zaczęły przemykać już poprzedniej nocy, gdy stałem w piwnicznej izbie, słuchając jej bredzenia o martwych dzieciach i biednych potępionych kurewkach. Nawet w tamtym upiornym miejscu miałem świadomość, że to, co słyszałem, to opowieść szalonej kobiety. A tym bardziej tu, w świetle londyńskiego świtu, czyż zdrowy na umyśle człowiek mógłby nadal w to wierzyć?

Daleko lepsi od Waszego Wielce Uniżonego tracili wiarę w Boga i kończyli jako całkiem zdruzgotani ludzie. Sadzę, patrząc wstecz, że

owego ranka w Covent Garden pogrążyłem się we własnym kryzysie wiary. Był to inny rodzaj kryzysu, lecz nie mniej niszczący.

Zacząłem kwestionować moją pewność istnienia diabła. A bez diabła jakże mielibyśmy iść naprzód? Na kogo mamy wskazywać palcem i kogo winić? Nie ma już kogo i czego nienawidzić, jest tylko odbicie gapiące się na nas ze szklanej tafli.

*

Poprzedniej nocy sprawy nie poszły dobrze, nawet gdy już wyszedłem z piwnicy i błędząc, wydostałem się wreszcie z Ziemi Świętej, po czym wróciłem do noclegowni na nabrzeżu, gdzie zatrzymałem się przed pójściem do Holborn z moją Annie. Dochodząc do końca ulicy, zatrzymałem się w samą porę, gdy zobaczyłem dwie postaci w ciemności na rogu najbliższej domu, ukazujące się w blasku lamp. Rudowłosa mężczyzna w szkarłatnej kamizeli i jego mniejszy, ciemniejszy towarzysz starali się najlepiej, jak potrafili, odwzorować dwóch koleżków, którzy po prostu wyszli zaczerpnąć powietrza w tę deszczową noc w dokach i którym ten właśnie śmierdzący róg ulicy najbardziej przypadł do gustu.

Łowcy z Bow Street.

Nie rozpoznałem tej konkretnej pary, ale znałem ów gatunek – specjaliści śledczy wynajęci przez Sąd Magistracki Bow Street do ścigania przestępców. Ktoś w noclegowni rozpoznał mnie i sprzedał.

Cofnąłem się w mrok, zanim mnie dostrzegli, ale nieszczęście było o włos. Włóczyłem się przez całą noc w tłustym deszczu, aż dotarłem do Covent Garden, kiedy targowisko budziło się do życia. To tam zwędziłem gazetę i przeczytałem Epistołę. Potem powłóczyłem się jeszcze trochę, a w końcu poszedłem na Milford Lane.

Deszcz przestał padać godzinę lub dwie wcześniej, ale bruk był nadal śliski, gdy słońce wzniosło się ponad dachy domów. Sklepikarz otwierał okiennice, chłopiec rzucał zasupłaną szmatę szczeniakowi o klapniętych uszach, a wokół miasto zaczynało wrzeć.

Janet wyszła przed drzwi swojego sklepu i na mój widok stanęła jak wryta, a potem rozejrzała się z przerażeniem wokół, jakby spodziewała się konstabli wynurzających się zza okolicznych dachów.

– Nie możesz tu być – syknęła, chwytając mnie za ramię i ciągnąc w bardziej ustronne miejsce w zaułku. – Byli tu znowu zeszłej nocy, łowcy z Bow Street. Pytali o ciebie na całej ulicy. Will, oni obserwują to miejsce.

Człowiek przy okiennicach patrzył w naszą stronę – w sposób, w jaki patrzycie, zastanawiając się leniwie, czy coś się stało, skoro głosy są gorączkowe, a twarze napięte. Mały chłopczyk też zerkał na nas między szarpaniem zasupłanej szmaty.

– Czy ona tu jest? – spytałem.

– Mówisz o La Smollet? Nie, nie widziałem jej ani nie miałam od niej wieści od tamtej nocy, kiedy spotkaliśmy się na cmentarzu.

Oto wiadomość, która przyniosła świeżą falę osamotnienia oraz ciągle pogłębiającego się niepokoju.

– Wiesz, gdzie mogła pójść? – zapytałem.

– Nie.

– Powiedziałaabyś mi, gdybyś wiedziała?

– Tak! Przysięgam. Wyszła trzy noce temu i nie wróciła. Nie mogę znieść tej próżnej cipy, ale nie okłamałabym przyjaciela.

– Myślisz, że nic jej nie jest?

– Kurwa, a skąd ja mam wiedzieć, czy coś jej jest, czy nie?!

Ale widząc wyraz mojej twarzy, złagodniała. Dotknęła mojego ramienia.

– Will, założę się, że nic jej nie jest. Postawiłabym na to nasz sklep. A czemu? Bo tym właśnie zajmuje się La Smollet: wychodzeniem cało. Cokolwiek się dzieje, jej gatunek zawsze spada na cztery łapy. Przy końcu świata zostaną tylko szczury i Annie Smollet. I jeśli nie mówię tego z miłością, to przynajmniej z tolerancją.

U wylotu zaułka pojawiła się furmanka zbierająca ekskrementy. Otwierały się kolejne drzwi i coraz więcej spojrzeń podążało w naszym kierunku. Mały chłopczyk i jego szczeniak patrzyli na nas z opadniętymi szczękami i zainteresowaniem idioty występującym u obu gatunków.

– Jeśli wróci... jeśli dostaniesz od niej wieści... powiedz jej, że wyjeżdżam.

Tym razem mówiłem serio.

– Pożegnaj ją ode mnie. Możesz to zrobić?

– Tak, mogę to zrobić, ty pieprzony matole.

Wtedy dotarło do mnie, że to był naprawdę ostatni raz, kiedy miałem widzieć Janet Friendly. Tę długą, pochmurną twarz i te czerwone ręce

zwinięte w pięści. Odkryłem, że ta myśl napełnia mnie wielkim smutkiem.

Szczeniak zaczął nas obszczekiwać, rzucając się w przód i w tył.

– Will, idź już.

Więc poszedłem. Jeszcze jeden, ostatni uścisk Janet, ostatnie zropaczone spojrzenie w stronę okna Annie, a potem skręciłem i popędziłem przed siebie.

Jednak nie mogłem opuścić Londynu – jeszcze nie. Nie przed złożeniem ostatniej wizyty.

Wyjeżdżali razem konno na pola, mój wuj i jego siostra – tak przypominał sobie jeden z sąsiadów w Lichfield. Mój wuj miał ognistego wałacha, kasztana, szesnaście piędzi w kłębie. Ona jechała za nim na grubym białym kucu.

Pewnego popołudnia spadła z kuca. Miała wtedy sześć lub siedem lat, jak przypominał sobie sąsiad. Jej brat mógł mieć dziewięć lub dziesięć. Próbowwała go naśladować, gdy jego koń przesadził powalony pień, bo naśladowała go we wszystkim. Ale kuc potknął się i przerzucił ją przez kłęb. Leżała bez ruchu jak szmaciana lalka.

Dionysus zawiózł ją do domu w ramionach, dysząc z przerażenia, że zabił siostrę. Ale z czasem doszła do siebie. Położono ją na sofie, gdy na kaczych nogach przyturlał się nalany doktor. Zawyla z bólu, kiedy dotknął jej skręconej kostki, a wtedy jej brat uniósł się niepohamowanym gniewem – dziewięcio- czy dziesięcioletni Dionysus wygnał z domu lekarza i oznajmił, że sam zajmie się Emily. Zrobił to, opatulając jej kostkę kocem, który miała od dzieciństwa, i siedząc przy niej przez całą pierwszą noc. Trzy dni później była już na nogach, a pod koniec tygodnia kuśtykała beztróska w dół alejki, wsparta na ramieniu brata. Szczuplutka dziewczyna w białej muślinowej sukience, a przy niej brat – wysoki, złocisty i jaśniejący opiekuńczością.

W listopadową noc, która nastąpiła dziesięć lat później, kiedy płaczącą wypędzano ją z domu, jej brat stał blady jak marmur i równie twardy.

Skulenie ramion, gdy odwracała się od drzwi. Oddalający się chłupot kroków i szelest miotanego wiatrem płaszcza.

Od tej pory nawiedzała go nieustannie.

*

Późnym porankiem zaczęło się robić ciepło. Miał to być pierwszy prawdziwie ciepły dzień roku, przedsmak nadchodzącego za wiele dni sierpnia, gdy słońce będzie piekło przez brunatną mgłę, a Londyn zacznie dojrzewać we własnym smrodzie. Odpadki, bydło i gnijące warzywa – w takich dniach zaułki i zakamarki mogłyby być równie dobrze otwartymi kloakami, cmentarze zaś wywoływały odruch wymiotny na sto kroków od ogrodzenia. W Iberii bywały oczywiście gorętsze dni – bardzo wiele takich. Pamiętam marsze w czterdziestostopniowym upale i wilgoci, duszne szpitale polowe, w których pot lał się strumieniami po twarzy pana Comriego i wielce prawdopodobne, że gangrena wdawała się w kikuty, jeszcze zanim piła felczera dojrzała do połowy kości. Nie mam wątpliwości, że w piekle będzie jeszcze goręcej.

Krwawy Bill Starling może by się z tym nie zgodził – mój piracki ojciec, którego zawadiackie przygody opowiadałem znajdom w Lamb's Conduit Fields. Krwawy Bill w końcu opłynął Róg Afryki i płynął tygodniami prosto wzdłuż równika. „To dopiero było gorąco” – powiedziałby na pewno, gdyby był tu obecny w tej chwili. Rozgrzane, palące powietrze stało w miejscu przez dwa miesiące na Morzu Południowochińskim, z Billem pośrodku, w roku 1803. Gorąco było też w Czarnej Dziurze Kalkuty, niesławnym bengalskim więzieniu, o którym Bill mógłby pewnego dnia opowiedzieć historii mrozące krew w żyłach. Ale Bill nie będzie się w tej chwili wypowiadał – ani w żadnej innej chwili, prawdę mówiąc – bo oczywiście Krwawy Bill Starling nigdy nie istniał.

Janet Friendly zamęczała mnie o to w czasach sierocińca.

– Po prostu wymyśliłaś gościa – oskarżyła mnie któregoś dnia na trzepaku. – Tylko nie możesz się do tego przyznać, co? A wiesz dlaczego?

– Nie, nie wiem, ale spodziewam się, że będę wiedzieć za dwie sekundy – odparowałem – bo spodziewam się, że panna Janet Mądralińska właśnie ma zamiar mi to powiedzieć.

– Nie przyznajesz się, palancie, bo zacząłeś w to, kurwa, wierzyć. Tak często to opowiadałeś, że zapomniałeś, iż sam to wymyśliłeś.

Skląłem ją za to porządnie, za co dostałem potem od niej lanie, po którym byłem śmiertelnie obrażony i poprzysiągłem sobie, że nigdy więcej się do Janet Friendly nie odezwę – i rzeczywiście, nie odezwałem się prawie miesiąc. Ale najgorsze z tego wszystkiego było to, że miała rację. Wymyśliłem Krwawego Billa. Poskładałem go ze ścinków i fragmentów, a potem opowiadałem historię tak chętnie i często, że stała się dla mnie nie tylko wiarygodna, lecz także prawdziwa.

Wychodząc z Milford Lane, ruszyłem na wschód wijącymi się alejkami wzdłuż rzeki. Po jakimś czasie znalazłem się na zboczu Ludgate Hill, za katedrą Świętego Pawła, gdzie na straganie kupiłem ciastko i zmusiłem się do przełknięcia trzech kęsów, nim wyrzuciłem rzekomy smakołyk na bruk. Natychmiast rzuciły się na niego gołębie, jak wróble w Domu Śmierci rzucają się na smakowity kawałek palca – albo jak łowcy z Bow Street na zbiega. Następnie skierowałem się dalej na wschód, wślizgując się w zgiełk Cheapside, i brnąłem na południe, przekraczając Gracechurch Street i skręcając w Fenchurch Street.

I właśnie kiedy zegar na kościele Wszystkich Świętych zaczął wybijać dziesiątą, dotarłem do drzwi mojego wuja w Crutched Friars. Otworzyła mi gosposia.

– Ochhhhh – wciągnęła powietrze pani Tolliver. A później wytrzeszczyła oczy.

Widziała mnie tu wcześniej, rzecz jasna. Wiedziała, kim jestem. I czytała gazety.

– Muszę się z nim widzieć – powiedziałem.

– Ooooo.

Ta ostatnia samogłoska mogła być pytaniem: „O kogo chodzi?”, ale myślę, że przede wszystkim był to odgłos wstrząśniętej gosposi, która na swym progu natyka się na mordercę w łachmanach, o dziesiątej rano w czerwcowy dzień. Przecisnąłem się obok niej do środka.

Hall wydawał się mniejszy, gdy oglądało się go w świetle dnia. Skromny w porównaniu z salą, którą Atherton wymarzył sobie w Mayfair, gdy już będzie stał w jednym rzędzie z panem Astleyem Cooperem jako wiodący chirurg Londynu. Jego hall w Mayfair będzie przestronny i szeroki, z obrazami olejnymi na ścianach i ogromnymi marmurowymi schodami. Będzie tam całe skrzydło dla jego zbiorów oraz bawialnia w stylu egipskim, który jest niezwykle modny – pozostaje w modzie od czasów kampanii

Napoleona nad Nilem – oraz wielka jadalnia, gdzie Atherton przyjmowałyby lordów i baronetów, ludzi mających w Yorkshire tereny łowieckie pełne głuszców i pięć tysięcy dochodu rocznie, a przede wszystkim ludzi nauki i sztuki. Edmund Kean bardzo będzie chciał przyjść, ale nie zostanie zaproszony.

Tutaj, w Crutched Friars, schody poprowadzono naprzeciwko wejścia, a obok nich biegł wąski korytarz. Było tam dwoje zamkniętych drzwi, a na końcu jeszcze trzecie, półotwarte.

– Stać! – krzyknęła pani Tolliver.

Była to skromna biblioteka: dwa regały z książkami, fotel i kominek, a dalej drugie drzwi – zamknięte – prowadzące na tył domu. Atherton siedział przy zabałaganionym biurku w rogu, notując coś w papierach. Teraz obrócił się na odgłosy zamieszania i wstał z miejsca.

Pani Tolliver prychała za moimi plecami.

– Wdarł się tutaj, panie Atherton! Nie mogłam go zatrzymać.

– Powiedz, żeby zostawiła nas samych – powiedziałem. – Powiedz, żeby nie leciała po Odenkirka ani po śledczych.

– W porządku, pani Tolliver – rzucił. – Proszę iść na górę. Mój siostrzeniec jest tu mile widziany.

Usta pani Tolliver znowu ułożyły się w literę O.

– Pański s i o s t r z e n i e c, panie Atherton?

– Tak powiedziałem.

Pierwszy raz mnie w ogóle uznał. Skołowana pani Tolliver wybąkała jeszcze parę sylab, a następnie wycofała się, zdeorientowana, zostawiając nas samych.

Story były zaciągnięte. Mój wuj stał w cieniu.

– Za twoją głowę wyznaczono nagrodę – powiedział. – Wiesz o tym?

Tak naprawdę odkryłem to dopiero tego ranka, w gazecie. Pięćdziesiąt gwinei za moją skórę wyznaczył nie byle kto, tylko sam Edmund Kean. Najwyraźniej, będąc jeszcze brzdącem, widział na scenie Panicza Buttonsa i teraz ogarnął go wielki smutek, wynikający z jego życzliwej natury. Wyglądało na to, że Kean często miewał odruchy życzliwości wobec swych rywali, szczególnie wtedy, gdy już zamienili się w obsranych degeneratów – lub jeszcze lepiej: gdy zostali zamordowani w zaułku – więc urządził kwestę i wyznaczył nagrodę, która niewątpliwie przysporzy mu znaczącego

poklasku. Przy odrobinie szczęścia może również pomnożyć tłumy przychodzące na jego *Bertrama*.

- Więc jesteś mordercą – oznajmił mój wuj.
- O tobie mówią gorzej.
- Zatem mamy, jak widzę, coś wspólnego.
- Nie mamy nic wspólnego.
- Czego chcesz?

Wyglądał okropnie: zapuszczony i nieogolony, zwisająca koszula rozpięta do pępka. Zgaduję, że plotki nie odbiegały szczególnie od prawdy – przeczesywał rynsztoki Metropolii od czasu zniknięcia Meg, łażąc po zaułkach i wciskając się w każde drzwi. Wyglądał jak człowiek, który nie spał od wielu nocy i zaczyna myśleć, że nigdy już nie zaśnie.

- Chcę usłyszeć to z twoich ust – powiedziałem – co zrobiłeś.
- Powiedziałem im wtedy, w Guy's Hospital. Byłeś obecny.
- Chcę prawdy.
- Prawdy. – Jego głos był gorzki jak piołun. – Takiej drobnostki.

Na stoliku w kącie stała karafka z brandy i szklanka z grubo rżniętego szkła. Jego ręce drżały, gdy nalewał sobie miarkę, którą następnie wypił jednym haustem.

- Prawda jest taka, że zobaczyłem okazję.
- Aby pozbyć się kobiety, która mogła wysłać cię na szubienicę?
- Nie. Żeby ich zadziwić.
- I to wszystko?

Roześmiał się.

– Wszystko?! Wskrzesić kobietę powieszoną na oczach połowy Londynu, i ty mówisz, że to w s z y s t k o? Mamy różną perspektywę, ty i ja. – Alkohol najwyraźniej nieco go uspokoił. Wypił resztkę ze szklanki i kontynuował: – Zobaczyłem szansę, żeby wyrobić sobie nazwisko. I uratować niewinną kobietę.

- Wiedziałeś, że jest niewinna?
- Wierzyłem w to. Tak czy siak, tak zdecydowałem.
- Więc przekupiłeś szeryfa, żeby ją tu przytaszczył, a następnie zostawiłeś na pięć godzin, by mieć absolutną pewność, że jest zupełnie martwa.

- Tak zrobiłem?
- Powiedziałeś to wszystkim w Guy's.

– Cóż. Może przesadzałem.

Zmęczony półuśmiech, jednocześnie przepaszający i cwany. Uśmiech chłopca przyłapanego na jakiejś sprytnej psocie.

– Po prostu po trosze lubię się popisywać, siostrzeńcze. Zauważyłeś? Nie potrafię się temu oprzeć. Tak więc może również upłynęło nieco mniej czasu.

Ciekawe, jaki był jako chłopiec? Dziwna myśl nagle mnie zaskoczyła. Wysoki, złocisty młodzieniec, który umiał się tak uśmiechać – właśnie tak, przepaszająco, a jednocześnie zwycięsko – i rozbijał każdego. Najmądrzejszy chłopak w Lichfield.

– A czego się po nich spodziewałeś, kiedy wyprowadziłbyś Meg? Tej nocy w Guy's, gdyby nie uciekła. Czego tak naprawdę się spodziewałeś?

– Chciałem, żeby z o b a c z y l i. Wszystkie te wąskie oczy i ciasne umysły...

– A co z wymiarem sprawiedliwości? Przecież schwytaliby ją i ponownie powiesili.

Machnął niecierpliwie ręką.

– Nie zrobiliby tego.

– Dlaczego nie, do diabła?

– Bo nie dopuściłbym do tego.

– Była – j e s t – skazaną morderczynią. Podpisała zeznanie.

– A ja przysiągłem, że będę jej bronić. Dałem jej swoje słowo.

– Posłuchaj sam siebie! – wykrzyknąłem. – Czy ty rzeczywiście wierzysz...

– Boże! Czy nikt nie rozumie, czego dokonałem? Pięć godzin – dwie godziny – co to ma za znaczenie? Kobieta była martwa, a ja dałem jej życie. Zrobiłem to, Willu. Zrobiłem to! Przywołałem kobietę z najdalszego brzegu, a ona przyszła do mnie!

Ekspłodował prawdziwymi emocjami: żalem i wściekłością. Wszystkie nadzieje i złote perspektywy rozbite w drzazgi. Stał tak pośród zgliszczy, zdezorientowany i do głębi zraniony, i wtedy dotarło to do mnie – przyprawiające o zawroty głowy olśnienie: potrafiłem go żałować. Gorzej – o dziesięciokroć gorzej – potrafiłem go z r o z u m i e ć.

Chłopiec, który zawsze był pierwszy, od dnia swoich narodzin. Pierwszy proponował jakąś karkołomną hecę i pierwszy potrafił jej dokonać. Najlepszy w każdej klasie, z urokiem, który rozkwitał jak fala

rozbryzgiwana dziobem fregaty. Wybaczyłoby się mu niemal wszystko, temu chłopcu – jego drobne przewiny zbywano mrugnięciem, a większe sam przewracał falą burtową, przepływając obok. Znikały jak łódeczki, które zbłądziły zbyt blisko wielkiego żaglowca: rozbite, rozproszone, podskakujące na fali kilwateru. Ojciec, któremu od dumy guziki wystrzeliwały z pętelek, i mała siostra, która go wielbiła – taki początek życia musi ukształtować człowieka. Musi go czynić wolnym w nieodgadniony sposób. I ograniczać go.

Znów odwrócił się do mnie plecami. Nalał kolejną szklanekę i wlał ją sobie do gardła.

– Muszę ją znaleźć, Willu – powiedział, używając po raz drugi mojego imienia. – Chcę jej tylko pomóc. Wyznaczyłem nagrodę.

– Wiem o tym. Sto gwinei.

– Po to tu jesteś? Po pieniądze?

– Nie wiem, gdzie jest. Ale widziałem Flitty Deakins.

Szybko rozejrzał się, jakby nie rozumiał.

– Twierdzi, że widziała Meg – rzuciłem. – Ten list w gazecie...

– Te majaczenia? To Phyllida Deakins?

Oczywiście, że przeczytał Epistołę, tak jak do tej pory zrobiła to połowa Londynu. Poranna gazeta z dzisiejszą datą była wśród papierów rozrzuconych na biurku.

– Ogłupiała, otumaniona narkotykami suka.

– Tak – powiedziałem. – Biedna panna Deakins.

Jego spojrzenie – niemożliwie błękitne – sprzęgło się z moim. W tych oczach była nieludzka głębia, niezmierna przestrzeń, jak samo niebo albo morze, i można by je przeszukiwać w nieskończoność, a nie znaleźć dna. Miałem mrowiące poczucie, że sam byłem w tym czasie przeszukiwany, jakby moja twarz była możliwym do odczytania kodem. Po chwili wyraz twarzy Athertona się zmienił.

– Masz rację, oczywiście – powiedział. – Biedna panna Deakins. Musimy o tym pamiętać.

Było coś, co powiedział kiedyś o nim Keats, ciekawe spostrzeżenie: „To tak, jakby nie wiedział. Przyjrzyj mu się kiedyś – obserwuj sposób, w jaki patrzy na innych. Jakby nie był pewien, jak odpowiedzieć, dopóki nie zobaczy odpowiedniej emocji na czyjejs twarzy. Wtedy może ją do siebie odbić. To tak, jakby był – trudno mi to ująć – dzieckiem w swoich

emocjach, dopiero uczącym się stawiać pierwsze kroki. Tak niesamowity rozwój intelektu, a jednocześnie tak skarłała dusza”.

– Biedna panna Deakins – powtórzył, potrząsając głową. – Zrujnował ją jakiś kogucik – tak wygląda ta historia. Odenkirk się dowiedział. W Devonshire, gdzie pracowała jako guwernantka. Prawdopodobnie był to inny służący lub któryś z paniczów. Zostało poczęte dziecko i pannę Deakins wypędzono. Bóg wie, co się stało z dzieckiem, choć sądzę, że możemy zgadywać. Urodzone w rowie na skraju drogi i tam pozostawione. Własna rodzina ją wydziedziczyła.

– Tak jak rodzina mojej matki?

Żachnął się i znieruchomiał.

– Kim był mój ojciec?

– Nigdy nie wyjawiała.

– Nawet tobie?

– Odwróciłem się od niej, razem z resztą.

I musiał coś w sobie złamać, żeby mi to powiedzieć – przyznać się do prawdy. Patrzyłem, jak jego twarz tężeje od cierpienia, i wiedziałem, że za tę prawdę zapłacił bardzo wysoką cenę.

– Widziałeś kiedyś jej twarz? – spytał.

– Mojej matki? Nie. Niby jak?

Wskazał ręką.

– Na biurku.

Wśród kotłowaniny papierów leżały różne przedmioty. Okrągły, polerowany kamień i czaszka kota jako przycisk do papieru; stary skalpel służący do ostrzenia piór, przewrócony kałamarz, z którego ostatnie krople krwawiły na zieloną bibułę. Segregator na korespondencję z listami poutykanymi w szpary, w jednej z nich owalna kamea. Portret ciemnowłosej dziewczyny, szesnasto- lub siedemnastoletniej, młodszej niż ja sam, gdy patrzyłem na nią. Ciemne włosy i ciemne oczy, elfia słodycz buzi. Patrzyła na mnie moja twarz, tyle że przemieniona w coś pięknego.

– Widzisz to, oczywiście – powiedział mój wuj. – Podobieństwo.

W pokoju zaczęło się robić parno. Pomiedzy zielonymi storami była jedynie szpara. Prześlizgiwała się przez nią żółta linia światła słonecznego, przepoławiając turecki dywan leżący na podłodze. Kamea w mojej dłoni była chłodna jak kość słoniowa.

– Wróciłaby po ciebie, Willu. Gdyby żyła, odebrałaby cię z sierocińca tak szybko, jak tylko by zdołała. Kochała cię, a konieczność oddania ciebie złamała jej serce. Znałem swoją siostrę lepiej niż kogokolwiek na świecie. Tak by zrobiła.

Znowu cisza. Oddechy dwóch mężczyzn.

– Mógłbym jej pomóc, gdybym tylko odnalazł ją na czas. Nawet dzień czy dwa, zanim gorączka owładnęła nią całkowicie. Nie miałem jeszcze umiejętności, nie w tamtych dniach, ale nawet wtedy nie pozwoliłbym, żeby zabrała ją gorączka. Jestem o tym przekonany.

Mówił z tak upartym przekonaniem, że przysięgłbym, iż widzę, jak wielka prawda właśnie staje się ciałem. Cytadela, którą zbudował na słowach, kamień po kamieniu, codziennie, odkąd moja matka wyśliznęła mu się na zawsze.

– Uratowałbym ją, tak jak uratowałem Meg Nancarrow. Przywróciłem Meg Nancarrow jej życie, niezależnie od tego, jak mnie teraz za to nienawidzi.

– Musisz uciekać z Londynu – oświadczyłem wtedy. – Planują cię zabić.

I wtedy, niespodziewanie, dla siebie opowiedziałem mu wszystko – jakkolwiek mało wiedziałem.

– Jest ich banda w Ziemi Świętej. Flitty Deakins to jedna. Inni to po prostu... Nie wiem doprawdy, czym są.

Garstka wyrzutków, nędzarzy i obdartych banitów, w tym niektórzy przynajmniej tak szaleni jak sama Flitty. Ale zdawali się niebezpieczni. I – jeżeli można wierzyć Flitty Deakins – codziennie ich przybywa.

– Mówią, że podążają za Meg Nancarrow, choć nie chcą powiedzieć, gdzie jest. I Bóg jeden wie, do czego mogą się posunąć.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Żebyś mógł się ratować.

Mój wuj pozostał w cieniu. Zraniła go do żywego informacja, jak strasznie go nienawidzą. Ale sądzę – jestem niemal pewien – że na jego twarzy było zdumienie.

– Wyświadczyłeś mi przysługę – powiedział. – Większą niż cokolwiek, co ja dla ciebie do tej pory zrobiłem.

Staliśmy tak, dwaj mężczyźni: wuj i siostrzeniec, rozdzieleni przepaścią, lecz połączeni tyłoma innymi sprawami. Połączeni więzami krwi i bólu.

„W tej twarzy również widzę siebie”.

Myśl niepokojąca swoją intensywnością.

„Zawsze widziałem siebie”.

– Nie powiem: było, minęło – powiedział mój wuj – bo to by ci uwłaczało. Ale chciałbym, żebyśmy nie byli wrogami, Willu. Bardzo bym tego chciał.

Wyciągnął dłoń. I niech mi Bóg wybaczy, ja wyciągnąłem swoją.

Wtedy boczne drzwi uchyliły się ze skrzypieniem. Otwierały się na westybul, który prowadził do korytarza. Ktoś w nich stał, szczupły i zaspany. Burza truskawkowych włosów na ramionach opiętych cienką nocną koszulką. Zamrugła przez rozplywające się mgły, a następnie zamarła, widząc Waszego Wielce Unizonego. Zamarła w akcie przeciągania się, jak kociak w plamie słońca.

– Will! – wykrzyknęła Annie Smollet.

Garrick miał numer, który często wykonywał na salonach. David Garrick, wielki przyjaciel Sama Johnsona i największy aktor swoich czasów. Było to oczywiście wiele lat temu – nigdy sam nie widziałem Garricka ani też Sama Johnsona.

Słownik Sama trafił w moje ręce wkrótce po bitwie pod Salamanką w lipcu 1812 roku – egzemplarz z pozaginanymi rogami, mocno zużyty i zaplamiony, otrzymałem od sapersa z okolic Tyneside, charakteryzującego się, prócz anielskiej buzi, zacięciem naukowym, który leżał, umierając nadpełzającą w ślimaczym tempie śmiercią, od postrzału w żołądek. Mam tę książkę ze sobą w tym momencie. Leży otwarta przy moim łokciu, gdy siedzę tutaj nad moją lukubracją, z łaciny *lucubratio*: „praca przy świetle świecy; nocna nauka; cokolwiek tworzonego w nocy” – wielkie dzięki, Samie. W wolnych chwilach kartkowałem te strony, wyłuskując co lepsze kąski, by wypróbować je w mowie, i tym samym zdobyć w całym regimencie opinię dziwacznej hybrydy – pół wyrzutek, pół papuga. Zyskałem również niczym nieoparte przeświadczenie, że Sam i ja byliśmy starymi druhami i towarzyszami podróży, i wyobraźcie sobie, jak szeroko otworzyłem oczy, gdy dowiedziałem się, że pochodzę – tak jak Sam – z Lichfield lub przynajmniej stamtąd byli moi przodkowie. Kiedy tam przybyłem, zapytałem, w którym domu się urodziłem, ale spojrzeli na mnie dziwnie i wzruszyli ramionami.

No i proszę, jak się rozpisalem, bredząc o byle czym, jak żaloszny stary pajac, podczas gdy zostało tak niewiele czasu i tyle jeszcze do opowiedzenia. Moglibyście niemal zobaczyć mnie, złamanego boleścią,

tonącego w łzawych wspomnieniach. Moglibyście wyobrazić sobie mnie skutego kajdanami i rozpaczającego, kołyszącego się w tył i w przód, w tył i w przód.

Garrick... Ten jego numer.

Chował się poza zasięgiem wzroku za drzwiami, a potem pojawiał się w otworze drzwi, odgrywając jakieś nastawienie lub emocję – radość, miłość, strach. Znikał po drugiej stronie framugi, a za chwilę pojawiał się znowu, odgrywając zupełnie inną emocję. Nie tylko odgrywając, s t a j ą c s i ę n i ą. Przechodził w jedną i drugą stronę, pokazując wszystkie ludzkie uczucia w błyskawicznej sekwencji. Miłość, zazdrość, wściekłość. W jedną i w drugą – dwadzieścia pięć razy lub nawet trzydzieści w ciągu niecałej minuty – rozpacz, zachwyty, letarg, determinacja... Stary Garrick był mistrzem techniki.

Ale aktorstwo to więcej niż technika. To również uczucia – i Garrick miał coś intrygującego do powiedzenia również w tym temacie. Aktor w żywiole gry może być zdumiony, jak powiedział, intensywnością własnych emocji – i nie, nie chodzi o atrapy, lecz uczucia najprawdziwsze z prawdziwych. Rzeczywiste emocje, rozpalone radością gry, unoszą go jak latawiec.

Gdy patrzę wstecz, dochodzę do wniosku, że to się stało z Annie Smollet. Obsadziła siebie w roli tego wieczoru, gdy poszła za Janet Friendly na cmentarz St Sepulchre's i znalazła tam Waszego Wielce Unizonego. Odegrała zatem swoją rolę – zaczął wówczas wiać wielki wicher uczuć. Porwał ją i rzucił na Holborn Street, do pokoju nad sklepem ptasznika i nie opadł aż do momentu, gdy świt zajrzał do okien, przynosząc ze sobą światło rzeczywistości. Ostatecznie zrobiła to, co muszą zrobić wszystkie latawce, i lekko łopocąc, opadła na ziemię. A któż może winić latawiec za bycie latawcem?

Jak powiedziałem, doszedłem do takiego sposobu myślenia dużo później. Nie miałem tak filozoficznego podejścia tamtego wieczoru w domu mojego wuja, kiedy Annie weszła przez westybul i zająknęła się na widok Waszego Wielce Unizonego. Chciałbym móc napisać, że wyprostowałem się na całą wysokość, obrzucając ją chłodnym spojrzeniem, pod którym panna Smollet skuliła się ze wstydu, po czym pozostawiłem mojego wuja z lodowatą świadomością, że zyskał właśnie śmiertelnego wroga, ale obawiam się, że byłoby to pewnym naciąganiem faktów.

Stałem tam, jękając się z rozpaczy. Wybełkotałem coś nieokreślonego do Annie, a potem wrzasnąłem coś innego do mojego wuja. Następnie odwróciłem się i uciekłem. Poszedłem do knajpy, później do drugiej i trzeciej, gdzie zamarudziłem dłuższą chwilę i oddawałem się gorzkim enuncjacom dotyczącym pana Dionysusa Athertona – obwołałem go zdrajcą i psem – póki pozostali goście przybytku nie poczuli się tym znuzeni i jeden młody typek nie zaproponował mi głośno, abym poszedł się mazgaić gdzie indziej. To był chłopak od rzeźnika, jak sądzę – błądziłem w ogólnym kierunku Smithfield. Wyzwałem go, jak zrobiłby każdy dzielny młody człowiek, pod warunkiem że byłby wystarczająco pijany i miał złamane serce, no i w dodatku był imbecylem. Nie mam wątpliwości, że sprąbym go na kwaśne jabłko, tyle że jego pięści spadły na mnie nagle, jakby przejechał mnie dylizans zaprzęgnięty w czworo koni. Nagle świat obrócił się na bok pośród trzasku stołów i stołków, a już wkrótce siedziałem na ulicy i starałem się zatrzymać krwotok z nosa, zwiędnięty jak usychający tulipan.

Wkrótce pojawiła się przede mną para znoszonych butów, nad którymi dwie łydki niknęły w przykrótkich nogawkach spodni. Te były związane w pasie konopnym sznurkiem, a mój wzrok powędrował w górę po uświnionej kamizelce do znajomej, ostrej twarzy.

– No ja pierdole – powiedział młody Barnaby, patrząc gdzie indziej. – Toż to nasz banita.

Nie przyszło mi do głowy, by okazać na jego widok zdziwienie. Ta dzielnica była zwyczajowym miejscem, w którym się kręcił. Innego popołudnia, gdy Wasz Wielce Uniżony byłby trzeźwiejszy i mniej zrozpaczony, być może niosłoby to ze sobą najdrobniejszy znak nieprawdopodobieństwa – że to akurat Barnaby mnie znalazł, ze wszystkich uliczników w Smithfield. Mogłaby mi nawet przemknąć przez myśl wątpliwość, czy tak naprawdę nie szukał Williama Starlinga z powodów znanych tylko jemu. Ale nie dziś.

– Musisz dostarczyć wiadomość ode mnie – rzekłem.

W Crutched Friars stoi dom, powiedziałem mu – mieszka tam chirurg nazwiskiem Atherton. Jest z nim młoda kobieta, panna Smollet.

– Przekaż jej, że muszę się z nią spotkać. Dziś wieczorem. Ósma – powiedziałem i podałem nazwę kościoła: St Alban's na City Road. – Możesz to zrobić?

Barnaby wyciągnął dłoń.
– Powiedz, że musi przyjść sama.

*

Dotarłem do St Alban's, kiedy dzwon wybijał ósmą. Kościół był pusty, poza dwiema staruchami w czerni, zgiętymi w modlitwie jak czyniące pokutę gawrony, oraz kościelnego szwendającego się gdzieś przy końcu nawy. Pachniało starością i pobożnością, jak to w kościele, z mdląco-słodką nutą dobiegającą z cmentarza na tyłach. Ostatnie promienie zmierzchu padały ukośnie przez witraże, a w ciemności tańczyły drobinki kurzu.

Nie byłem w kościele od ponad roku, odkąd Danny Littlejohn zmarł. Nie to, że Wasz Wielce Uniżony był jakimś wielkim bywalcem kościołów w ogóle. Odwiedziłem parę w Iberii, ale do tego czasu zostały zamienione w szpitale polowe, gdzie za wiernych robili okaleczeni ludzie, a za kapłanów skąpani w posoce chirurdzy. Można powiedzieć, że służyłem u ołtarza przez pięć lat, jeżeli chcielibyście na to tak spojrzeć, podając skalpel i piłę do kości zamiast opłatka i wina, ale nie mogę powiedzieć, żeby tego rodzaju kościół budził w chłopcu ducha prawdziwej religijności. Przekonanie, że spogląda na nas z góry Miłosierny Zbawca w otoczeniu Wszystkich Świętych oraz że któregoś dnia, bardzo rychło, w miejsce wrzasków i jęków rozlegnie się śpiew archaniołów, oraz że smród krwi, gówna i zgnilizny ustąpi hiacyntowej woni niebieskich łąk. A to, co zdarzyło się Danny'emu, jeszcze bardziej odarło mnie z jakiegokolwiek nadziei, że w Domu Odkupienia znajdzie się jakiegokolwiek miejsce dla Williama Starlinga.

Niemniej poprosiłem pannę Smollet, by tego wieczoru spotkała się ze mną w kościele. Tak więc kto wie? Być może miałem kielkujące przeczucie, że spotkanie w kościele wywoła jakiś przełomowy cud; że panna Smollet, przekraczająca te drzwi, zobaczy Williama Starlinga stojącego w nawie, w blasku świec i gasnącej aureoli spowodowanej ostatnimi promieniami słońca padającymi przez kolorowe szkła witraży, i zacznie rozumieć głębię swego błędu. I powiedziałbym jej wówczas, że nie winię jej, nie winię za cokolwiek; że nie mam do niej prawa ani najmniejszego powodu, by myśleć, że kiedykolwiek w ogóle była moja, nie nawet na czas jednej nocy. Chciałem jej to wszystko powiedzieć w taki

sposób, żeby zrozumiała, jak szlachetne serce leży przed nią rozbite, i pojęła w nagłym przypiływie poczucia winy, że popełniła najhaniebniejszy błąd, ponieważ n a p r a w d ę kocha Williama Starlinga i kochała go bez pamięci przez cały ten czas.

Ósma trzydzieści, a panny Smollet nie było.

Zdychająca mucha plujka tłukła się łbem o witrażowe okno koło mnie. W szkle przedstawiono Świętego Piotra, w szacie i z aureolą. Wiadomo było, że to Piotr, dzięki złotemu kluczowi, który trzymał w dłoni – kluczowi do Bram Niebios, pod które niewątpliwie zawędruje któregoś poranka Wasz Wielce Uniżony.

Ósma czterdzieści pięć. Pokutne gawrony wyszły, kościelny również, po zapaleniu gdzieniegdzie świec. Zrobiłem, co mogłem, by przed przyjściem tutaj się oczyścić: wyszczotkowałem płaszcz i umyłem twarz przy pompie na rogu. Byłem pachnący jak dworski kochanek, z ulotną nutą dżinu. Stan upojenia powoli odpływał, a jego miejsce zajmował następujący po nim mdlący ból łąba.

Zegar wybił dziewiątą. Na co ja miałem nadzieję? Spojrzałem w kierunku okna i przysięgam, że sam Święty Piotr w witrażu unikał mojego wzroku, jak zwykły, nieokrzesany rybak, kiedy prawda jest zbyt niezręczna, by to głośno przyznać.

„Lubię cię, Will”. To ostatnie słowa, które by powiedziała, gdyby w ogóle przyszła. „Byliśmy PRZYJACIÓŁMI i niezmiernie mi przykro, że jakoś inaczej to rozumiała...”.

Ale nie miała zamiaru przyjść. Teraz to wiedziałem, choć czekałem kolejną godzinę i dłużej, gdy ostatnie promienie światła za Świętym Piotrem zgasły i kościół pogrążył się w ciemności rozpraszaney tylko płomykami świec. Wyszedłem tuż po wpół do jedenastej.

I znowu stałem tam, po drugiej stronie Crutched Friars.

Noc ucichła, przynajmniej o tyle, o ile może ucichnąć noc w Londynie. Było słycać odgłos odległego ruchu ulicznego i żałobne poszczekiwanie psów, rosnące i opadające nieopodal. Być może ze stajni za domem mojego wuja. Wątle światło sączyło się z dwóch lub trzech okien. Przez jedno z nich, na pierwszym piętrze, nagle zobaczyłem – lub wyobraziłem sobie – cień za kotarą, jakby ktoś przechodził.

Czy ona nadal tam była?

Okno zostawiono otwarte, by wygonić skwar dnia. Zasłoną poruszała lekka bryza, ledwie zauważalny ruch, który sprawił, że niemal uwierzyłem, że widzę palce sięgające, by odchylić tkaninę, szczupłą postać w peniuarze i burzę truskawkowych loków.

Ale czy tam była? Czy była sama? Czy też w jego ramionach?

Jest to najgorsza tortura, jaką kiedykolwiek wymyślono i w którą się arcypięknie pakujemy. Będziecie to wiedzieć aż za dobrze, jeżeli kiedyś przyjdzie wam stać w ciemności pod domem ukochanej, patrząc w rozświetlone okno. I pewnie już się to wam przydarzyło – przyznajcie się. Każdy z nas był tym mrocznym, złym duchem, choćby tylko w myślach. Wyrzuceni z biesiady weselnej i spoglądający zza kręgu światła, z wrzącym sercem i toczonymi gangreną myślami. Wspięlibyście się do okna – naprawdę, choćby tylko w myślach. Znaleźlibyście trejaż lub podciągnęlibyście się, wczepiając w załomy muru, choćby tylko po to, by potwierdzić najgorsze przypuszczenia i zmusić się do oglądania tego.

A gdyby nadal tam była, czy groziło jej jakieś niebezpieczeństwo?

Najbardziej zgniła z myśli, a ja nie mogłem przestać do niej wracać. Już prawie zdecydowałem się walić w drzwi, by wpaść do środka i stanąć twarzą w twarz z czymkolwiek, co tam było: z samym piekłem czy Odenkirkiem. Ale w tej agonii niezdecydowania zdałem sobie sprawę jeszcze z czegoś: nie stałem już sam. Były za mną cienie – dwa ciemne zarysy w głębiach ciemności. Dwa milczące kształty: jeden zwalisty i ponury, drugi przy nim jak chuchro.

Rudowłosy łowca z Bow Street i jego mniejszy kolega brunet – takie było moje pierwsze przeświadczenie. Ale okazało się, że to nie stróż prawa.

– A więc to jednak ty. Chłopak od chirurga błędzący w ciemności – powiedziała Meg Nancarrow.

Jej ciemne włosy były rozpuszczone i splątane, szal ścisnęła pod szyją. Zadrzała od bryzy, mimo ciepłej nocy. Jemmy otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Zrobiłeś dla mnie, co mogłeś, Willu Starling. Masz za to moją wdzięczność.

Jej głos był schrypłym szeptem, a oczy jeziorami krwi – dokładnie tak, jak niosła plotka. Naczynia krwionośne pękły podczas duszenia. Widziałem to wcześniej, choć nigdy nie było to tak wstrząsające. Jej szyja była

przekrzywiona w jedną stronę, a kącik ust opadał bezwładnie, jak czasem można to zobaczyć u ludzi wstrząsanych atakiem apopleksji.

– A zatem to prawda – rzuciłem, gdy odzyskałem głos. – Ty żyjesz.

Tak, to jest coś, co więzi sylaby w krtani, uwierzcie mi. Stać w nikłym świetle gwiazd z kobietą, którą powiesili z kretesem trzy tygodnie temu w poniedziałek.

Cień słabego, ironicznego uśmiechu. Wyciągnęła rękę.

– No dalej, dotknij mnie. Nie jestem duchem.

Kości kruche jak u wróbla. Jej twarz była wymizerowana i szara jak u kogoś, kogo dręczy nieprzerwany ból.

– Czy jest bardzo źle? – zapytałem.

– Nieistotne.

W jej oddechu rzeźił płyn, co podobało mi się najmniej. Zacząłem podejrzewać, że serce zostało przeciążone. Podczas traumy egzekucji nastąpiło jego trwałe uszkodzenie.

– Jeżeli mógłbym coś zasugerować... roztwór aloesu sokotrzańskiego. Każdy aptekarz to ma. Jedną szklanekę co rano...

Urwałem. Lekarstwo na osłabienie zdrowia. Wiedziałem, że czasem działa. W pewnym zakresie. Moja przypadkowo posklecana wiedza o miksturach nagle wydała się śmieszna.

Jemmy przytulił ją mocniej. Widziałem go pierwszy raz od tamtego dnia w piwnicy doktora Eastona. Jego oczy zdawały się nieobecne, ale był za nimi ktoś patrzący z odległego szczytu góry.

– Dobrze, że ma ciebie – zwróciłem się do niego.

– Tak – powiedziała Meg. – Inaczej byłabym zagubiona.

Myślę, że uśmiechnął się, gdy to usłyszał. Poruszył ustami. Widziałem coś takiego w szpitalach polowych – u ludzi, którzy doznali obrażeń mózgu. Niektórzy z nich dochodzili do siebie – mniej więcej – po jakimś czasie. Inni mieli nagłe napady szału. Nigdy nie widziałem żadnego równie wielkiego, jak Jemmy Cheese, stojący przy swojej Meg.

– Co widziałaś? – zapytałem.

Jak mogłem w końcu nie zapytać? Kobieta, która przekroczyła Styks i powróciła – jeżeli rzeczywiście się to wydarzyło. Oprócz tego, że nie powróciła do końca. Prąd pochwyił ją, zanim osiągnęła brzeg, i próbował ściągnąć ją w dół.

– Kiedy byłam martwa, czy o to ci chodzi?

Dźwięk jakby osypujących się kamyków. To Meg się zaśmiała, ponuro i krótko.

– Widziałam twarz Athertona gapiącą się na mnie.

– Nic więcej?

– Nie twierdzą, że tam nic nie ma. Skąd w końcu miałabym wiedzieć? Tyle że nic nie widziałam.

Ciepły wiatr się wzmagił. Meg znowu zadrżała.

– Powinnaś poszukać pomocy – powiedziałem.

– U lekarza, tak? A może u c h i r u r g a? – Znowu ten dźwięk osypujących się kamyków.

– Co on ci zrobił?

– Nie umiem powiedzieć. Było ciemno, potem nagle jasno. Prawdopodobnie sam wiesz lepiej, wszak przestajesz z chirurgami. Ale słusznie pytasz. Co mi zrobił? Dlaczego? Mam prawo wiedzieć.

Płyn w jej oddechu i nocny wiatr buszujący w drzewach. Żałobne wycie psa, skądkolwiek dobiegało, ucichło. Patrzyła w skupieniu na jego dom.

– Zabijesz go? – spytałem.

– Najpierw muszę mieć pewność.

Twarcz w plątaniu ciemnych włosów i para oczu czerwonych jak krew.

– Panna Deakins już dawno by to zrobiła. Po prostu osądzić i zabić. Ale ja jestem lepsza od nich, Willu Starling. I najpierw poznam prawdę, zanim zdecyduję.

*

Odenkirk wyszedł z domu bladym świtem. To ten jedyny moment w całym dniu, kiedy powietrze jest łagodne, a sam Londyn pachnie niemal świeżo. Człowiek może ziewnąć, podrapać się po jajach i poczuć, że gdzieś w tym szerokim świecie nadal istnieje nadzieja, a obietnica otwiera się przed nim. Ciemność zamieniła się w szarość, w której zobaczył mnie, stojącego samotnie po drugiej stronie drogi i patrzącego wprost na niego.

Widziałem, jak płynnie zwolnił, aż znieruchomiał. Oczy zwężone w szparki, jaja pozostawione w spokoju.

– Przyjacielu Starling – powiedział, od niechcienia ruszając w moją stronę. – Czy coś cię tu sprowadza?

– Czekam na ciebie – odparłem.

Ptaki zaczęły śpiewać na dachach wzdłuż ulicy. Na jej końcu samotny wózek turkotał w półmroku. Odenkirk zrobił dwa kroki, a potem kolejne dwa. Stał teraz pośrodku drogi, o sześć szybkich susów i morderczy uścisk ode mnie. Tylko nas dwóch: mały Czerwony Kapturek i wilk.

Mały Czerwony Kapturek zostaje zjedzony. Takie jest zakończenie tej opowiadki – przynajmniej w tej wersji, którą słyszałem przy mojej żyłkowanej piersi w Kent. Od tego czasu powstała inna wersja, napisana przez dwóch braci, Niemców. Słyszałem o tym od pruskiego oficera kawalerii w szpitalu polowym, który prowadził wywody o bajkach dla dzieci, gnijąc powoli od kikuta lewej nogi. W wariacie niemieckich braci, jak powiedział, na końcu ginie wilk – co wydawało mi się bezsensowne. Kto postawiłby na małego Czerwonego Kapturka?

– Jestem Cyganką – powiedziałem – i przyszedłem przepowiedzieć ci przyszłość.

– Moją przyszłość?

– Jesteś trupem.

I wtedy zobaczyłem ten wyraz twarzy, który wcześniej oglądało dziesięć tysięcy świń w ostatniej chwili swojej bytności na tym padole. Dziesięć tysięcy świń i Wujek Cheese, a jako ostatni Mały Hollis. Odwróciłem się i zacząłem wiać co sił w nogach.

Odenkirk rzucił się w pogoń. Jego wielkie susy pożerały dystans między nami. Był naprawdę przerażająco szybki i jeszcze pół sekundy, a pochwyciłby mnie w swoje łapska. Wpadliśmy za róg i do zaułka, który był za nim, i nagle Odenkirk stanął w miejscu, gdy zobaczył ich, przyczajonych w zasadzce: tuzin ciemnych postaci z pałkami i dwa kamienne mury wyrastające z obydwu flank.

– A widzisz? – powiedziałem. – Trupem.

Zaklął siarczyście, jak zazwyczaj czynią czarne charaktery na scenie lub w samotnych zaułkach w okolicach Crutched Friars. Wyciągnął krótką pałkę, którą miał ukrytą pod kapotą, gotów tłuc, kogo popadnie, na lewo i prawo, rozbijając łby wszystkim obecnym i zachowując ostatni cios na czerep Williama Starlinga. Spodziewam się, że mógł tego nawet dokonać. Odenkirk był strasznym człowiekiem.

Ale nawet nie w połowie tak strasznym jak Jemmy Cheese, który wyłonił się za nim z cienia, niczym widmo Apokalipsy.

Był inny chłopak, którego szczególnie zapamiętałem, tamtej nocy, kiedy poszedłem po Danny'ego Littlejohna. Nieopierzony rekrut, co to poszedł w kamasze po tym, jak kapral Bonaparte wrócił z wygnania w marcu 1815 roku i całe to krwawe szaleństwo zaczęło się od początku. Syn kamieniarza gdzieś z północy, w czerwonej kurtce za małej o dwa rozmiary, z wielkimi, szorstkimi łapami. Wystrzelona kula armatnia poturlała się w jego kierunku po ziemi, w tempie niewiele szybszym niż truchtający człowiek. Bez namysłu – bezwiednie – wystawił jedną ze swych wielkich stóp, by ją zatrzymać, jak zatrzymuje się piłkę, która wyleciała dzieciom poza boisko. To był jego koniec, rzecz jasna. Odkręciło go w bok i pozostał tak, siedząc i mrugając w oszołomieniu, z nogą tak wykręconą, że niemalże oderwaną. W trakcie tego wszystkiego rozszarpało mu arterię udową, więc oczywiście siedząc tam, wykrwawił się na śmierć. Nadal na wpół siedział, kiedy odnalazłem go wiele godzin później, z opuszczonymi ramionami i głową zwieszoną na piersi oraz najbardziej kredowobiałą twarzą na całym polu bitewnym.

Danny Littlejohn nie był złotodziobem – walczył przez ponad rok na całym Półwyspie Iberyjskim. Ale odpłynął wiosną 1814 roku, i to w pewien sposób pogorszyło sprawę o dziesięciokroć. Wsiadł na transportowiec i popłynął do domu, wołając: „Will – szukaj mnie w Londynie, jak już tu skończysz”. Ale potem odwrócił się na pięcie i zaciągnął z powrotem. Nigdy do końca nie zrozumiałem dlaczego, a Danny nigdy dokładnie tego nie wyjaśnił. Myślę, że w domu nie poszło mu tak, jak miał nadzieję, że pójdzie. Przeczucie mówiło mi, że nie było za wiele pracy, za to pojawiło

się złe towarzystwo – jakaś sprawa o kradzież i długie ramię Brytyjskiej Sprawiedliwości sięgające po niego. Jakkolwiek by było, wrócił i Quatre Bras było jego pierwszą bitwą tego drugiego razu.

Francuscy lansjerzy sformowali linię i wycofywali się – tak mi powiedział stary piechociniec, który zobaczył, jak Danny padł. „Był tuż przy mnie – szepnął – a potem już go nie było”. Wiedział, że my dwaj szczególnie się przyjaźnimy; widział dzień wcześniej, jak śpiewaliśmy komiczne piosenki, i podśmiewał się pod wąsem. Powiedział mi to dopiero o zmroku w szpitalu polowym, gdyż sam wkrótce został ranny, gdy kula roztrzaskała mu bark.

Gdy zapadała noc, wyszedłem znaleźć Danny’ego – po prostu wstałem i wyszedłem, podczas gdy na stole nadal leżeli ludzie z na wpół upiłowanymi nogami, a pan Comrie wołał do mnie o światło. Szukałem przez tę całą długą noc, przeczesując armie umierających i martwych, którzy leżeli porozrzucani na polu bitwy jak liście. Musiałem znaleźć mojego przyjaciela, nawet gdyby mi przyszło podnieść każdy opadły liść na całym świecie, i tam – na samym końcu tysięcy innych – był on, nadal żywy, siedzący na pagórku z plecami opartymi o przewrócony wózek.

– Długi Will – powiedział. – Niech cię licho, nie spieszyłeś się. – Wbrew wszystkiemu miał na twarzy ten krzywy, szeroki uśmiech – uśmiech, w którym był cały on. Jego głowa kiwała się nieco, gdy tak siedział, a ręce miał złożone na brzuchu, dokładnie tak, jakbym znalazł go w stanie poobiedniej błogości, wybekującego wyrazy sennej satysfakcji ze spożytej kolacji. – Obawiam się, że mogę potrzebować chirurga. Mógłbyś może sprowadzić tutaj swojego przyjaciela, pana Comriego. Co ty na to?

– Pokaż mi to, Dan – rzuciłem i przyklęknąłem obok niego.

– Obawiam się, że wyszedłem na niezłego głupka, pakując się w tę sytuację. – Chciał się roześmiać, ale próbę zdławił nagły atak bólu. Dłonie miał zaciśnięte na brzuchu, jakby przy odrobinie ostrożnego wysiłku mógł utrzymać swoje wnętrzności w środku, ale one co chwila mu się wyslizgiwały na zewnątrz, błyszczące i poskręcane. – Chryste, Długi Willu, leć po chirurga.

Ale żaden chirurg na ziemi nie mógł już pomóc Danny’emu, bo nie dało się operować jamy brzusznej. Próba oznaczała pewne zakażenie i śmierć gorszą, niż gdyby nic się nie zrobiło. Śmierć Danny’ego będzie i bez tego

bardzo zła – zrozumiałem to natychmiast, z pewnością, która wypełniła moją duszę pustką. Śmierć Danny’ego może potrwać wiele dni.

Podtrzymałem mu głowę i dałem łyk wody. Zakrztusił się.

– Pędź już, Długi Willu, spiesz się. Ale najpierw daj mi coś na ból. Jesteś taki zmysłny z miksturami, a nie sędzę, żebym był to w stanie dłużej znieść.

– Nic nie mam, Danny...

– Właśnie, że masz. Wiem to. – Zaczął płakać i przeklinać mnie za to, że nie chcę się podzielić. – Nawet Judasz podzieliłby się miksturą z przyjacielem. Judasz, który w tej chwili smaży się w piekle. Nie pozwoliłbym ci tak cierpieć, ty sukinsynu. Nie mógłbym tego znieść.

– Ja też nie, Danny – odparłem. – Ja też nie mogę tego znieść.

Złapałem jego nos między kciuk i palec wskazujący, po czym zakryłem mu usta dłonią. Otworzył szeroko oczy.

– Tak mi przykro, Dan – powiedziałem.

Oczywiście szarpał się, choć każdy ruch przynosił mu nowy paroksyzm bólu. Podrygiwał jak człowiek na stryczku w Newgate. Jego wielkie, przerażone oczy spotkały moje i od tego czasu wciąż się zastanawiam, co zobaczył w tych ostatnich chwilach, gdy płuca mu się skręcały, a żyły pękały – wlepiające się w niego ślepia Starego Kościeja, czy tylko starego przyjaciela Willa?

A może widział – i to była najgorsza myśl ze wszystkich, która przyszła dopiero długo później – w ostatnim momencie twardy błysk, taki jak inni umierający w swoich ostatnich chwilach dojrzeni w oczach mojego wuja? Ci, którzy utonęli w bezdennym, błękitnym spojrzeniu Dionysusa Athertona.

*

Zatargali Odenkirka do Ziemi Świętej, niosąc go między sobą: jego stopy szorowały po ziemi, a głowa kiwała się, jakby wyłowiono go z Tamizy. Któż by dwa razy spojrział na coś takiego, w pierwszych promieniach poranka? Kolejny wesoły londyński ogierek, który przeholował podczas bibki i właśnie był ciągnięty do domu przez przyjaciół. W piwnicy przywrócili mu świadomość, wymierzając mu policzki, a następnie ponownie zaczęli go tłuc. Robiła to Flitty Deakins, Flitty i jeszcze kilku innych. Kiedy Meg zeszła na dół, była bardzo zła. „Nie jesteśmy bydlętami

– powiedziała im – nie jesteśmy wilkami”. Wtedy przestali, Flitty i pozostali, cichnąc w zawstydzeniu, a następnie przemykając za jej plecy, gdy Meg przechodziła pomiędzy nimi, a Jemmy tuż za nią. Patrzyłem z cienia, jak przyklękła przy Odenkirku, niczym matka pocieszająca krwawiącego chłopca, i zapytała go o prawdę.

Nie miał już w sobie woli walki i wybełkotał ją przez połamane żółte zęby. Tak, powiedział, zabił Edwarda Cheshire’a, zamordował go na zlecenie mojego wuja. Pomagał również w zabijaniu innych – sierot, uliczników i degeneratów, wykorzystywanych w eksperymentach medycznych, tak jak cały czas twierdziła Flitty.

Meg trzymała teraz jego głowę na podolku. Odenkirk spojrzał jej w twarz, błagając o zrozumienie.

– Ned Cheshire wiedział – rzekł. – Dlatego musiał umrzeć.

– Słyszał jedynie pogłoski, to wszystko – powiedziała Meg, zgorzkniała i bardzo zmęczona. – Chodziły plotki o tym, że zwracano się do Trupiarzy o ciała nie do końca jeszcze martwe. Pogłoski to nie to samo co wiedza.

– Ale Atherton bał się, że wiedzieliście – rzucił Odenkirk – a potem ktoś wezwał stróżów prawa, gdy rozpoznano ciało lichwiarza. Wujek Cheese na stole w Domu Śmierci. Więc potrzebny był morderca, ktoś do obarczenia winą. Ktoś inny musiał zawisnąć, panno Meg, i on zdecydował, że to będziesz ty.

Mówili cicho. Odgarnęła z jego czoła zlepioną grudę włosów, a gdy cofała rękę, jej palce były krwistoczerwone.

– Dlaczego zatem nie pozostawił mnie martwej? – zapytała. – Byłam martwa, jeżeli o to mu chodziło. Ale sprowadził mnie z powrotem.

– Bo mógł.

– To wszystko?

– Kobieta powieszona na oczach całego Londynu? Nigdy by się nie oparł takiej okazji, żeby pokazać, co potrafi. Tak więc zdecydował się i to zrobił.

– A to później? Czy po tym wszystkim chciał, żebym... co? Żebym mu podziękowała?

– Chciał, żebyś go pokochała.

Powiedział to inny głos, z ciemności. Mój własny głos, zduszony nagłą pewnością.

Popatrzyli w moim kierunku, Meg i reszta.

– Była młoda kobieta, która umarła. Wybrał cię, a następnie zdecydował, żeby cię wskrzesić – to wszystko jest jakoś splątane z naprawianiem dawnych krzywd. Krzywd wyrządzonych siostrze. Tam to wszystko ma początek.

Meg mrugnęła tylko raz, bardzo powoli.

– Początki to dobra rzecz – powiedziała. – Ale najważniejsze to skończyć.

Odenkirk zaczął cicho chlipać.

– Och, panno Meg, to okropny człowiek. Jest bardzo złym człowiekiem, ten Dionysus Atherton. Otumanił mnie, ale przysięgam, nie jestem taki jak on.

– Wierzę ci. Już cicho.

– I mogę pani teraz pomóc. Wiem, gdzie są zakopane ciała w Crutched Friars. Wiem o wszystkich, bo wszystkie sam zakopałem. Mogę pani pokazać.

– Wierzę, że dość zrobiłeś.

– Och, panno Meg, popełniłem takie występki. Takie potworne występki. Czy może mi pani wybaczyć?

Lewą ręką podparła jego zmierzwioną głowę, podnosząc ją bliżej. Te oczy, czerwone jak krew, i delikatny uśmiech na wynędzniałej twarzy, która nagle stężała.

– Nie – powiedziała.

Wybałuszył na to oczy, a jego nogi zaczęły drgać. Meg prawą ręką wbiła mu nóż pod żebra i wsunęła go szybko i bezbłędnie prosto w serce. Odenkirk wydał słabe westchnienie, niczym niemowlę zapadające w sen, i już było po nim.

*List od pana Dionysusa Athertona
6 czerwca 1816 roku*

Comrie!

Wybacz, że bazgrzę w pośpiechu. Obawiam się, że nie ma już miejsca na sztukę epistolarną. Zanim ten list do Ciebie dotrze, mnie już nie będzie. Ulicznik, który Ci go dostarczy, może żądać odpowiedzi, ale się nie kłopotcz. Nazywa się Barnaby i będzie próbował wyłudzić opłatę za wiadomość, co do której doskonale wie, że nie będzie jej w stanie dostarczyć, gdyż opuszczam Londyn w tej

chwili. Może wyjadę za granicę, przynajmniej do kiedy obecna sytuacja się nie uspokoi. Uciekam w nocy, z reputacją w strzępach, gdy Furia z Fleet Ditch – jak informują mnie wiarygodne źródła – wyje z żądzы mojej krwi. Tak się sprawy mają, Stary Przyjacielu. Spory szok dla Twojego dawnego szkolnego kumpla – dowiedzieć się, że miłość do niego nie jest powszechna. Musisz sobie wyobrazić, jak pisze te słowa – rozczarowany, ze złamanym sercem. Wyobraź sobie łzę skrzącą się w kąciku jego oka.

Ale wiedz jedno, Comrie. Musisz zrozumieć: historie, które o mnie opowiadają, to kłamstwa. Jestem uzdrowicielem i człowiekiem Nauki. Nie zrobiłem nic, czego Ty nie zrobiłeś, nie próbowałeś lub przynajmniej czego nie pragnąłbyś zrobić – Ty, Stary Przyjacielu, a także każdy inny chirurg w Londynie. Jeżeli jestem winny, to Ty również. I tak samo wszyscy inni. Nikt z Was nie ma prawa mnie oceniać.

Musisz wiedzieć coś jeszcze: spełniłbym swój obowiązek wobec chłopaka. Otworzyłbym mu drzwi swojego domu, swoje ramiona, ale on nigdy by na to nie pozwolił. Nienawidził mnie od samego początku, Stary Przyjacielu – nienawidził mnie na długo przed tym, zanim pierwszy raz mnie zobaczył. Patrzył na mnie i widział wpatrującego się w niego Beliala. Jakie szanse kiedykolwiek miał Twój stary szkolny kumpel przeciwko Diabłu?

Sądzę, że zniszczyła go Wojna. I sądzę, że Ty też o tym wiesz. Wojna zniszczyła Willa Starlinga, a Ty go na nią zabrałeś. Może zdołasz się pogodzić z tą świadomością. Mam nadzieję – dla Twojego dobra.

Bądź zdrów, Stary Przyjacielu.

Z pozdrowieniami

Atherton

Szturm na Crutched Friars rozpoczął się zaraz po zapadnięciu zmroku, jak później donosiły gazety. Większość informacji pochodziła od nieszczęsnej gosposi – pani Tolliver – która dwanaście godzin później nadal miała nawracające napady hysterii. Położyła się wcześniej ze względu na ból głowy i obudziła się na odgłos podkutego buciora wyważającego frontowe drzwi. Spytana, skąd wie, że bucior był podkuty, odparła pytającemu, że najpierw niech mu wyważają drzwi przez całą noc, a dopiero wtedy niech ją pyta o kwestie obuwia. Wybiegając na podest schodów, zobaczyła, że dom został przejęty przez wrzeszczących potępieńców. Nie, nie widziała wcześniej potępieńca, ale doskonale wie, jak wrzeszczą.

Tutaj sprawozdanie pani Tolliver traci ciągłość, prawdopodobnie ze względu na to, że wskoczyła głową do przodu do schowka, zakrywając ją rękami, zgodnie ze sprawdzoną zasadą, że potwornościom należy stawiać czoła wypiętą dupą. Niemniej zeznania sąsiadów sugerują, że do domu wtargnęło około tuzina osób w plugawej odzieży i wyglądających nieobyczajnie, niosących latarnie i pałki. Prowadził ich zwalisty wielkolud.

Zdewastowali dom, przewracając łóżka, zrywając ozdoby ze ścian i wrzeszcząc, by chirurg się pokazał. Inni zaczęli zrywać deski z podłogi w poszukiwaniu dowodów. Kiedy Atherton się nie pojawił, a gnijących ciał nie znaleźli, zaczęli rozbijać wszystko, co znalazło się w ich zasięgu, począwszy od potwornego pokoju ze słojami zawierającymi Zbiory, których zawartość można było zobaczyć następnego poranka rozwłóconą jak szczątki na polu bitwy. Wybiegli z wyciem z domu i wyważyli drzwi do stajni na jego tyłach, uwalniając ze środka znajdujące się tam istoty.

Okazały się one nie tygrysami bengalskimi ani dwugłowymi małpami, jak głosiła powszechna plotka, lecz zwykłymi kandydatami do badań anatomicznych: małymi gryzoniami, królikami, dachowcami i kundlami. W większości były one w żalosnym stanie, skóra i kości, ale rozradowane uzyskaną wolnością, a w niektórych pozostało jeszcze sporo ducha. Jeden starszawy dog niemiecki przyjął na siebie obowiązek stróżowania, jak to mają w zwyczaju pruscy dżentelmeni, po czym stając na wysokości zadania, ugryzł pierwszego konstabla, który przybył w celu zbadania sprawy.

Wpadając z powrotem do domu, napastnicy dopadli panią Tolliver i pociągnęli ją, wyjąca, w dół schodów, gdzie została postawiona na kolanach i znalazła się naprzeciw kobiecej istoty, całej w czerni, tak chudej i zmizerowanej, że mogłaby być równie dobrze wykonana z pomocowanych ze sobą kijków.

– Gdzie on się chowa? – spytała istota, a jej oczy płonęły.

Pani Tolliver niemal umarła, gdy ją rozpoznała.

– Flitty! – zakrzyknęła – Panno Deakins! Nie poznaje mnie pani? Jesteśmy przyjaciółkami!

– Nie jesteśmy – powiedziała Flitty Deakins. – I pytam ponownie: gdzie Dionysus Atherthon?

– Uszedł! – zawołała biedna pani Tolliver. – Nie ma go, panno Deakins. Uciekł z tego domu. Odjechał pół godziny temu, z kilkoma naprędcami zebranymi rzeczami.

– Dokąd pojechał?

– Nie powiedział! Och, panno Deakins, jest pani chrześcijanką, niech mnie pani zostawi w spokoju!

Flitty Deakins nic takiego robić nie miała zamiaru. Pani Tolliver wyczytała to z jej twarzy, jak zapowiedź Dnia Sądu. Flitty poderżnęła jej gardło, a następnie pożarła wątrobę, pociętą w cienkie jak papier plasterki, niczym słynna szynka serwowana w ogrodach Vauxhall – tak cienkie, jak przysięgali bywalcy, że dało się przez nie czytać gazetę.

Życie uratowało jej zamieszanie na ulicy. Pomimo późnej pory zebrał się tam tłumek i dał się słyszeć krzyk, że konstable już nadciągają. Napastnicy zakotłowali się w chwilowym popłochu, a następnie uciekli przez tylne drzwi, zabierając ze sobą Flitty. Z każdym oddalającym się krokiem ryczała, że chce zemsty, zeznała pani Tolliver, która na tym etapie padła

znów na twarz i przyjęła pozycję odpowiednią dla tego typu okazji: ręce na głowie, tyłek ku gwiazdom.

Sam wiele dni później czytałem sprawozdania w gazetach. Czytałem je niespiesznie, mając już wtedy bardzo wiele czasu – niemal sześć miesięcy, jak pokazała przyszłość, w Newgate. Ale tamtego wieczoru, kiedy napadliśmy na Crutched Friars, byłem bardzo skoncentrowany. Podczas gdy reszta rozbiegła się w poszukiwaniu mojego wuja, ja przemierzałem dom w desperackim poszukiwaniu panny Smollet, wpadając do pokoiów, wykrzykując jej imię i bojąc się na każdym zakręcie, że zaraz znajdę moją Annie zamordowaną – lub gorzej. Ale nie było jej w domu, w stajni również nie, bo tam też potem szukałem, wykorzystując latarnię wyrwaną jakiemuś współwandalowi. Rozejrzałem się za szpadlem, kilofem – czymś, czym mógłbym kopać – w dzikim strachu, że mogłaby już być pogrzebana. Tu, pod podłogą, lub na zewnątrz w ogrodzie – gnijąc wraz z innymi, których Odenkirk tu pochował, jak się zarzekał, choć nie zaczęliśmy jeszcze ich wygrzebywać. Jeszcze nie.

Znalazłem miast niej coś innego. W rogu stajni były nieheblowane drewniane drzwi, a za nimi pokój śmierdzący zgnilizną i stęchlizną, z obsraną słomą rozrzuconą na podłodze. Była tam latarnia wisząca na haku i stół roboczy w rogu, na którym niezwykle starannie ułożono szkielet. Kości były wygotowane na brązowo i czekały na połączenie drutem.

To był szkielet chłopca z wykręconymi nogami i kręgosłupem jak obręcz beczki.

Zawylem.

*

Znalazłem Barnaby'ego w mordowni w Smithfield, pośrodku tłuszczy skupionej wokół klatki do walk szczurów.

– Powiedz mi, dokąd pojechał! – krzyknąłem.

– Gdzie pojechał kto? – rzucił ni to do mnie, ni to w powietrze.

Ale bardzo dobrze wiedział, bo cwany gnojek wyszedł wcześniej tego dnia z Crutched Friars z wiadomością – dowiedziałem się tego od pani Tolliver, zanim sam stamtąd umknąłem. Inni się rozpierzchli, Jemmy i banda. Nie miałem pojęcia, dokąd poszli.

– Atherton! – wrzasnąłem – Gdzie on jest?! Gadaj!

Prawdopodobnie zobaczył w mojej twarzy czystą żądzę krwi, bo nawet nie poprosił o pieniądze z góry.

– Dziś kibluje w gospodzie. Zmyka z Londynu dyliżansem pocztowym jutro o świcie.

– Znasz nazwę gospody?

– Wydaje mi się, że wpadła mi w ucho.

– Ona jest z nim?

– Dziewczyna?

– Tak, dziewczyna! Czy pojechała z nim, gdy opuścił Crutched Friars?

– Tak – powiedział Barnaby. – Była bardzo dramatyczna. Jak aktorka na scenie czy coś.

Za nami w szczurzej klatce terier imieniem Titus, który miał tylko jedno ucho, dokonywał wielkiej egzekucji szczurzego rodu, czemu towarzyszyły zachęcające wrzaski. Zabił ich już z tuzin, łamiąc im kręgosłupy, za każdym razem tą samą metodą: doskok i kłapięcie. Wokół leżały porozrzucone truchła, a pozostałe przy życiu zwierzęta zbiły się w kupkę w rogu. Niewątpliwie właśnie rodzi się legenda w ciemnych dziurach, gdzie zbierają się gryzonie: Jednouchy Titus Szczurożerca, który przychodzi po niegrzeczne szczurzątko.

– Gadaj, jak nazywa się gospoda!

– Biały Jeleń. W Islington.

*

I patrząc wstecz, właściwie nie poznaję tego chłopca – Williama Starlinga, który opuścił knajpę i wyruszył samotnie w kierunku Islington, z całą śmiertelną nieugiętością samego Jednouchego Titusa Szczurożercy. Widzę go w moim umyśle: patrzę na niego w bojaźliwym zachwycie.

Znalazłem Białego Jelenia, waląc do drzwi i pytając o drogę. Czysty budynek z dwuspadzistym dachem pośrodku podwórza poprzecinanego koleinami, ze stajniami dla koni pocztowych po jednej stronie i przyćmionym światłem lamp w środku. Na moje długotrwałe bębnienie w drzwi pojawił się płomyczek świecy i w końcu otworzył mrużący oczy oberżysta.

– Komplet mam – mruknął, wyglądając zza drzwi. – Nie ma miejsc.

– Atherton – powiedziałem.

– Atherton? Nie mam takiego. Żadnych Athertonów i żadnych pokoi. Dobranoc.

Drzwi zatrzymały się na mojej stopie.

– Wysoki mężczyzna – doprecyzowałem. – Jasny blondyn. – Oczywiście, że używał innego nazwiska. – Z nim młoda kobieta.

Tu oberżysta coś zaczął kojarzyć, a szyling wzmocnił przypływ pamięci. Człowiek odpowiadający temu opisowi może prawdopodobnie być w sali jadalnej.

Niskie pomieszczenie z ławami i ciężkimi drewnianymi stołami. Z jednej strony szerokie palenisko, sponad którego łeb dzika patrzył z wyrazem szklistej nienawiści. Atherton siedział przy oknie, pisząc przy świecy. Siedział sam, inni goście już dawno udali się na spoczynek.

Na mój widok, ponurego jak sama śmierć, aż podskoczył.

– Przyszedłem z Crutched Friars, wuju. Widziałem kości Isaaca. Mojego przyjaciela Blissa.

Tylko my dwaj w chybottliwym świetle pojedynczej świecy. Malunki psów i łowczych na ścianach oraz portrety słynnych rozbójników, patrzących beczelnie z mroku, z odciągniętymi kurkami pukawek. Ja sam też miałem pistolet, zakupiony w lombardzie w Temple Bar za jedną z gwinei pana Comriego. Atherton zaczynał się podnosić, ale teraz znieruchomiał.

– Will, co ty, do diabła, robisz? Odłóż to.

– Eksperymenty na żyjących, wuju. Szukanie punktu śmierci i próba przywrócenia ludzi spoza niego. Tak? A ile czasu trzeba było, żeby zabić mojego przyjaciela?

– Był martwy, kiedy przywieziono go do mojego domu.

– Kłamiesz. Odenkirk wszystko wyśpiewał, zanim Meg go zabiła. Próba generalna przed wskrzeszeniem Meg – tym był dla ciebie Isaac? Był wprawką, wuju? I jak bardzo cierpiał, gdy umierał?

– Odenkirk nie żyje?

– Nie obchodzi mnie Odenkirk!

Ale wuja najwyraźniej obchodził. Nie wiedział o jego zabójstwie.

– Jezu Chryste – powiedział.

Wyglądał teraz na zastraszonego i zaszczutego. Wydało mi się wtedy, że widzę cień kogoś innego, kogoś jednocześnie obcego i znajomego w cieniach i rysach tej zmartwiałej twarzy.

– Nie – powiedział – nie, Will, nie zabijesz mnie.

Odwiodłem kurek.

– Zamordowałbyś własnego ojca?

Wtedy świat zamarł w miejscu, a wszystko razem z nim.

Mgliste rysy mojej twarzy, rysujące się w jego obliczu, jak cień wyłaniającego się palimpsestu. I wiedziałem o tym przecież, czyż nie? W jakimś ciemnym, instynktownym zakamarku mnie samego, w jakiejś śmierzdzącej dziurze, gdzie kotłują się szczury, wiedziałem to od samego początku.

I zdaje mi się, że teraz go obserwuję – patrzę na niego z góry, z wysokości mojego gniazda w Newgate, patrzę na Willa Starlinga, tego, który poszedł tamtej nocy do Białego Jelenia. Patrzę, jak mruga ślepiami w pełnym niezrozumienia ogłupieniu, chwiejnie robi pół kroku do tyłu, niczym pięściarz, który otrzymał dobrą angielską plombę w wątrobę od samego Toma Cribba. Taki cios odczuwa się niemal od razu. Najpierw unieruchamia, paraliżuje i odbiera dech, po czym na białych grzywaczach mdłości przypląwa agonia i wszechświat rozpada się na kawałki. Słyszę samego siebie, jak jąkam się, wściekle zaprzeczając, nawet wtedy, gdy ogarnia mnie pewność.

To prawda. Oczywiście, że tak. Jest potworem, a ja jestem jego. Wiedziałem to od początku. Jestem splamiony nim i wszystkim, co jest w nim. Świat został zbrukany nami oboma.

Światło świecy zamigotało na twarzy Athertona i zobaczyłem ten cień. Refleks najczystszy poczucia winy – czegoś ukradkowego i wstydliwego. A potem zaczątek – niech go diabli! – uśmiechu. Ledwie widocznego, pełzającego, wyzywającego uśmieszku, nienawistnego i pełnego nienawiści do siebie. Najmądrzejszy chłopak w Lichfield i mała, ciemna, chlipiąca siostrzyczka.

Wystrzeliłem.

Athertona odrzuciło do tyłu, złapał się za ramię. Trafiony, ale nie zabity. Wyszarpnąłem swój nóż, kiedy nagle jakiś kobiecy głos wykrzyknął:

– POMOCY! RATUNKU! ZBRODNIA!

Annie Smollet zeszła po schodach. Złapałem kątem oka jej postać zastygłą w dramatycznym geście przerażenia, podczas gdy przez ten cały chaos dotarło do mnie coś jeszcze: zbliżająca się galopada ludzkich stóp na zewnątrz i coś wielkości młodego buhaja wpadające przez drzwi.

Rudowłosy łowca z Bow Street, któremu po piętach deptał jego ciemnowłosy kolega. Przybiegli w niezmiernym pośpiechu, jak się później dowiedziałem, otrzymawszy donos, że zbieg Starling będzie właśnie tutaj. W tamtym momencie docierały do mnie tylko wrzaski i ciosy. Wielki ciężar przygniótł mnie do ziemi i znowu uchwyciłem moment, kiedy Annie Smollet biegła podtrzymać rannego Athertona.

A za drzwiami ktoś przez cały ten czas podskakiwał: ulicznik Barnaby, oszalały z tryumfu.

– Płaćcie! – wrzeszczał – Płaćcie, skurwysyny! Pięćdziesiąt gwinei za tego łebka i każda z nich jest tylko moja!

W tych szalonych dniach to Flitty wiodła ich ku katastrofie. Nie mogę tego powiedzieć z całkowitą pewnością, ponieważ nie byłem tam osobiście. Siedziałem w tym czasie w więzieniu Newgate, gdzie zostałem zaciągnięty bezpośrednio z Islington przez moich dwóch przyjaciół, łowców z Bow Street, i czekałem na rozprawę w związku z zamordowaniem Panicza Buttonsa. Niemniej wszystko układa się w logiczną całość.

Flitty od początku była kompletną wariatką, a w Meg znalazła Gwiazdę Polarną dla swoich majaków. Tak to było, jak sędzę, mniej więcej – ktoś bowiem może wiedzieć na pewno, co się dzieje w czyimś umyśle, a szczególnie umyśle tak chorym, jak u biednej Phyllidy Deakins, utopionym w żalu, laudanum i nienawiści do siebie? W zmartwychwstałej Meg ubzduriała sobie kogoś, kto mógłby dać jej rozgrzeszenie – jestem przekonany, że to istota całej sprawy. Kogoś, kto mógłby powiedzieć: „Od tej chwili bądź wolna i rób dokładnie to, co chcesz”. Sama Meg w ogóle nie miała planu, poza wyrównaniem rachunków z tymi, którzy najbardziej ją skrzywdzili – dla niej to była wyłącznie osobista sprawa. Ale szła Flitty był inny – to ten rodzaj Świętego Szału, który wyje przeciwko grzesznikom i grzechom oraz rozpala oczyszczający płomień pod stosami.

Zaczęło się od chirurga z St Bart's, którego zatłukli niemal na śmierć w Smithfield. Innego ścigali w biały dzień Borough High Street. A potem przyszły ataki na prywatne szkoły anatomii, trzy w ciągu jednej nocy. Dwie w Southwark i trzecia na St James Street: wyważone drzwi, pobity portier, budynek puszczony z dymem. Ogień w St James przeniósł się na domy po obydwu stronach – domy dobrych londyńskich mieszczan, umykających

w noc w samych koszulach nocnych – i to przepełniło czarę goryczy. Na ataki na chirurgów można patrzeć przez palce – można nawet mieć z nich ubaw, jeżeli taki chirurg wrzeszczy wystarczająco cienko, uciekając ulicą – jeden pobity portier mniej czy więcej nie ma większego znaczenia w nieskończonym mechanizmie wszechświata, ale zniszczenie mienia – spalenie domów w szacownej dzielnicy Londynu – to inna sprawa. To anarchia.

Dwa tuziny konstabli wspartych oddziałem piechoty wdarło się do Ziemi Świętej. Maszerowali z nastawionymi bagnietami, a sypał się na nich grad butelek i kamieni. Mieli ze sobą informatora, który znał labirynty dzielnicy nędzy, a co więcej, znał dom, w którym schowali się ludzie Meg. Kiedy na pierwsze wezwanie nikt nie opuścił budynku, wystrzelono dwie salwy. Kapitan wydał rozkaz do ataku, więc wyważyli drzwi wejściowe, a tam już na nich czekał Jemmy Cheese.

Meg została trafiona drugą salwą – tak to wygląda według świadków. Upadła, a Jemmy pochylał się właśnie, by ją podnieść, kiedy wraz z drzwiami wpadły czerwone kurtki. Z rykiem rzucił się na nich. Chwycił pierwszego z brzegu i złamał go, ot tak. Przełamał mu kręgosłup i rzucił go w kąt, a następnie obrócił się przeciwko następnym. Jego pięści były niczym kule armatnie. Nie była to bowiem ta noc, dawno temu, na cmentarzu, gdzie tłukli pałkami cichego i pełnego poczucia winy Jemmy’ego. Meg leżała bezwładnie w rosnącej kałuży krwi, więc Jemmy miał zamiar zabić całą armię brytyjską.

Mogło mu się to udać. Na pewno zabiłby jeszcze kilku, jako że przez wąskie drzwi mogli go atakować jedynie pojedynczo. Inni strzelali przez okna, a wystrzały przypominały pęknięcie muslinowej tkaniny – pop-pop-pop. Miał kulę w ramieniu i drugą w łydce, co tylko jeszcze bardziej go rozjuszyło.

Tyle że budynek płonął.

To mógł być wypadek – świeczka przewrócona w rozgardiaszu. Niebieski jęzor liżący skraj podartej zasłony, a potem – zanim ktokolwiek miał czas zareagować – strzelający w górę płomień, kłęb dymu i spróchniałe drewno zajmujące się raptownie ogniem. Ja jednak sądzę, że to Flitty Deakins dokonała umyślnego podpalenia. Nikt tego nie wie na pewno i nie będzie wiedzieć, nie teraz, kiedy biedna Flitty jest przykuta do ściany w Bedlam i pluje klątwami na Dionysusa Athertona, ale czuję to,

biorąc pod uwagę, co robiła, kiedy płomienie buchały w górę, a także jej jęki, gdy później wyciągano ją ze zgliszczy, osmaloną i wściekłą, jak na wpół spaloną czarownicę.

Byłbym gotów założyć się nawet o życie – o ile miałbym jakieś życie, które byłoby coś warte.

Z półpiętra Flitty widziała, że Meg upadła. Widziała, jak Jemmy rzucił się w jej kierunku, i słyszała rozkazy wykrzykiwane z zewnątrz, więc chwyciła ogarek i cisnęła nim w kupę szmat w rogu. Złapała następny i podpaliła pokój na drugim piętrze, rozlewając olej skalny jak oszalała kapłanka, podczas gdy cienie w łachmanach umykały w kierunku drzwi. Widzieli ją potem z dołu żołdacy i konstable – wychylającą się z okna nad nimi, otoczoną buchającym dymem i w akompaniamencie strzelających płomieni, wrzeszczącą jak szaleniec i wzywającą Archanioła Michała, by spadł na nich z płonąącym mieczem. Ale była w tym również metoda, ponieważ zasiała wśród nich zamęt. Spowodowała rozprężenie i kupiła czas innym – przede wszystkim Jemmy’emu i Meg.

Jemmy wziął Meg na ręce „jak rannego kotka” – tak później powiedział jeden z żołnierzy. Kilku z nich to widziało, choć budynek wypełniał się już dymem, a dwóch czy trzech przelotnie zobaczyło, jak pędzi po schodach na górę. Napastników odepchnęły gorąco i dym; wypadli, krztusząc się, na ulicę, pełną krzyków, zamętu i wołania o wiadra z wodą. Nagle strach – te domy, zbudowane z podpałki, stłoczone razem... Ogień mógł pochłonąć w jedną chwilę całą Ziemię Świętą i rozpanoszyć się po Londynie. I wtedy zobaczono na dachu Jemmy’ego, trzymającego nadal Meg w ramionach. Rozległ się okrzyk i jeden z żołdaków wystrzelił w jego kierunku, trafiając go prosto w gardło i kładąc trupem na miejscu.

Żołnierz nie miał potem wątpliwości. Nazywał się Davies – syn górnika z Carmarthen. Źle się czuł z tym, jak mówił, że zabił człowieka w taki sposób – zestrzelić go z dachu, zamiast pokonać na polu bitwy – ale był pewien, że kula powaliła Jemmy’ego. Widział, jak się zachwiał i padł. Inny jednak człowiek twierdził coś zupełnie innego – że wcale nie padł, tylko się potknął, a następnie wyprostował. Jak twierdził, widział przez dym, jak przeskakuje na dach sąsiedniego budynku, nadal trzymając Meg w ramionach. Jeżeli to była prawda, mógł również przeskoczyć na kolejny dach – wszystkie one były tak blisko siebie – i wgramolić się gdzieś przez okno, by w ukryciu doczekać do zmroku.

Ale oczywiście nic z tego się nie wydarzyło. Jemmy został zastrzelony przez piechocińca Daviesa i zmarł na tym dachu z Meg w ramionach, nawet jeżeli nie udało się odnaleźć ich ciał następnego dnia, gdy konstable przekopywali się przez zgliszcza. Nie ma w tym nic zaskakującego, biorąc pod uwagę intensywność pożaru, choć oczywiście wkrótce zaczęły się rozprzestrzeniać najfantastyczniejsze pogłoski. Ktoś twierdził, że widział, jak dwie postaci poszybowały wraz z dymem w kierunku londyńskiego nieba, które się otwarło, by je pochłonąć. Widziano ich również potem w Glasgow i Liverpoolu. Była również przedziwna historia żony farmera z Essex, która znalazła dwoje włóczęgów: milczącego jak głaz wielkoluda i dziwną, ciemnowłosą kobietę z przekrwionymi oczami, kryjących się w szałasie pasterskim. Obydwoje byli poważnie poranieni, choć żywi, i żona farmera zaproponowała, że przyniesie im coś do jedzenia. Kiedy wróciła, szałas był pusty.

Zniknęli.

Tej samej nocy w sypialni Toma Shel Drake'a jest ktoś jeszcze. Tom o tym wie, gdy zachłystując się, budzi się nagle i siada na łóżku.

– Roger? – szepcze, wbrew rozpaczliwemu przekonaniu.

To nie jest kot.

Zasłona drży w sączącym się przez nią świetle księżyca. Ktoś otworzył okno. Ściskając kołdrę z całych sił pod krtanią, Tom Shel Drake czuje smrodliwy powiew drewnianego dymu. Dym unosi się z ciemnego kształtu u stóp łóżka.

– Roger!

Tym razem to nie pytanie. To desperackie wołanie o pomoc do swojego kociego przyjaciela, który jeszcze, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, mógłby wpaść, sycząc i prychnając, przez drzwi, niczym furia pełna pazurów i zębów, by obronić swojego najlepszego przyjaciela.

Nic z tych rzeczy. Roger w tym momencie jest w salonie, pod sofą, gdzie zwinął się w kłębek i dygoce.

Tom Shel Drake siedzi sztywno.

Kształt u stóp łóżka to męczyzna, spalony w stopniu niemalże uniemożliwiającym jego rozpoznanie. Spalony na węgiel, z białymi oczami wytrzeszczonymi jak połówki jaja.

– Kandyzowana śliwka – mówi gorzko.

– Bob! – krzyczy Shel Drake. – Biedny Bob! Kochany Bob! Przyjacielu!

To ten moment. Przez mgłę paniki i opary brandy wypitej wieczorem Shel Drake pojmuje, że nadszedł dzień rozrachunku. To coś siedzi na drewnianym krześle, śmierdząc jak wędzarnia, z nadal tłącymi się

koniuszkami palców i włosów. Lewa stopa Boba nagle zajmuje się płomieniem. Zadeptuje go, szepcząc pod nosem przekleństwo.

– Kandyzowana śliwka – powtarza.

– Wypadek!

– W mojej grdyce.

Sheldrake jęczy.

– Miły Bobie – m a r t w y Bobie. Och, powiedz mi, jak to jest być martwym?

– To świetna sprawa – mówi Bob. – Zbieramy się na skąpanych w świetle księżycy cmentarzach i nie możemy się nadziwić, że tyle czasu czekaliśmy, by umrzeć.

– Naprawdę?! – krzyczy Sheldrake, chwytając się tej idei jak brzytwy. – Bob Gapić mierzy go wzrokiem pełnym bezbrzeżnego lekceważenia i Tom zaczyna drzeć. – Och, Bobie – jęczy. – Jestem nienawistny, stary druhu. Jestem obrzydliwy.

– Tak, jesteś.

– Ale powiedz mi, że jest jakaś nadzieja na odkupienie. Powiedz, że zawsze jest nadzieja, stary druhu. Jak długo żyjemy, zawsze tli się nadzieja, srebrzysty promień światła w ciemnościach, które leżą po drugiej stronie.

Bob nie odpowiada. Na granicy słyszalności syczy strużka dymu z jego dopiero co ugaszonej lewej stopy. Prostuje się.

Coś lodowatego ściska serce Sheldrake'a.

– Bob? Stary druhu... Co zamierzasz zrobić?

Krześło zgrzyta o podłogę, gdy Bob wstaje. Wokół niego daje się wyczuć znacznie większy cień, rosnący wraz z nim, głęboki i żarłoczny jak sama przeszłość. Tom Sheldrake wrzasnąłby, gdyby mógł.

*

Kiedy odzyskuje zmysły, pomieszczenie tonie w półmroku świtania. Ale na krześle coś leży.

Sznur, wijący się niczym wąż.

Annie Smollet przyszła pewnego popołudnia odwiedzić mnie w Newgate. Było to w początkach sierpnia, chwilę przed procesem, jako że doszło do opóźnienia. Nie byłem pewien, czy w ogóle przyjdzie, biorąc pod uwagę, jak sprawy zakończyły się między nami, ale jednak przyszła. Zerwała już z Athertonem. „NIENAWIDZĘ GO – zapewniała mnie, pełna energii. – Nienawidziłam go od początku, Willu. Tyle że zapomniałam o tym na kilka tygodni przez moje WRAŻLIWE SERCE”.

O ile mogłem wywnioskować, poszła do Crutched Friars tego nieszczęsnego dnia w czerwcu z niejasnym zamiarem zmycia głowy Athertonowi za to, jak traktował swojego siostrzeńca, mając nadzieję na doprowadzenie do pełnego łoż pogodzenia się chirurga z Waszym Wielce Unizonym, co byłoby zaiste świetnym osiągnięciem, godnym uczczenia na scenie. Ale Dionysus Atherton był piekielnie przystojnym mężczyzną – uważała tak od pierwszego wieczoru, gdy objęta jego ramieniem trafiła do Kotłowni – a co więcej, mężczyzną, którego nadal można było uważać za pnącego się na szczyt, mimo ostatnich niefortunnych potknięć. I tak jedno – jak jedno ma w zwyczaju – doprowadziło do drugiego.

Teraz znów była w Londynie i mieszkała nad sklepem ptasznika z Borsuczycą, przechodzącą akurat przez serię niezbyt szczęśliwych przygód z dżentelmenami. Sama Annie spotkała człowieka, który mógłby zaproponować jej główną rolę w sztuce, co do której żywiła SZCZEGÓLNE NADZIEJE. Muszę powiedzieć, że cieszyłem się jej szczęściem. W pewien sposób.

To również ona opowiedziała mi o tym, jak Toma Sheldrake'a spotkał smutny koniec jego ziemskiej tułaczki. Dowiedziała się o tym od pani Sibthorpe, która – jak się okazało – знаła gosposię biednego wraka, a ta znalazła go zwisającego z krokwi w sypialni, całkiem martwego, z potwornie wybałuszonymi oczami. W kieszonce jego kamizelki była wiadomość upraszająca o wybaczenie rodzinę Boba Eldritch'a i prośba, by ktoś zaopiekował się kotem Rogerem. Było to wszystko naprawdę bardzo przygnębiające, ale Annie znajdowała otuchę w świadomości, że Bob Eldritch również odnalazł wieczny pokój – musiał, skoro już nie widywano go nigdzie w Londynie, co było WIELKĄ ULGĄ DLA WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH.

Opisała mi to wszystko przez podwójną kratę na Press Yard. Wasz Wielce Uniżony stał w kajdanach po niewłaściwej stronie, mając za plecami harmider wyjców z Newgate. Moja Annie była piękniejsza niż kiedykolwiek, w niebieskim letnim żabocie i bereciku. Jak emisariusz z magicznych krain, które leżały daleko poza murami więzienia, rzucającymi długi cień nawet wczesnym popołudniem.

Moja Annie. No cóż, była moja, czyż nie? Była naprawdę moja, przynajmniej na ten jeden słodki, nieskończenie krótki błysk wieczności. Ostatnio podliczyłem swoje noce na tym świecie i ustaliłem, że Wasz Wielce Uniżony istniał na nim przez 7387 z nich do finalnego momentu – włączając w to tę noc, w którą zapisuję te słowa. Obecną noc, ostatnią z nich. A panna Annie Smollet była całkowicie moja przez jedną. Zatem: 0,0135 procenta mojej Annie, po zaokrągleniu.

– Wierzę również w coś innego – mówiła do mnie szczerze. – Wierzę, że na końcu świeci BIAŁE ŚWIATŁO i w tym białym świetle się ZNAJDZIEMY. Ponieważ tak to się dzieje, Willu, dla takich jak biedny pan Sheldrake i Bob Eldritch oraz nas wszystkich – dla mnie, dla ciebie i każdej żyjącej osoby. Wierzę w to, Willu, ponieważ to PRAWDA. A należy TRZYMAĆ SIĘ PRAWDY, niezależnie od tego, co CZEKA CIĘ W PRZYSZŁOŚCI. – Mówiła z tak cudownym przekonaniem – choć z aktorkami człowiek nigdy nie może być pewien. I wyciągnęła dłoń tęsknie przez kraty, zanim opadła ona tragicznie, nie sięgnąwszy celu, co było najbardziej przeuroczą rzeczą, jaką mogła zrobić. – Takie z nas były gołąbki, prawda, Willu? Takie piękne gołąbeczki, my dwoje...

Moja Annie wkrótce potem odeszła, z oczami błyszczącymi od dzielnie powstrzymanych łez, złożywszy mi obietnicę, że przyjdzie ponownie.

Nie przyszła.

*

Baryton dzwonu Świętego Pawła wybił właśnie trzecią. Pozostało pięć godzin – ale prawie skończyłem opowiadać wam tę historię. Ogarek mojej świecy ma jeszcze dwa cale i wystarczy mi do czasu, gdy nadejdzie świt. Mam wystarczająco papieru i inkaustu.

No to idźmy dalej.

Proces, kiedy wreszcie się wydarzył, miał od początku przesądzony werdykt. Pan Comrie w jakiś sposób załatwił doskonałego adwokata, człowieka, który umiał kroczyć godnie, a głos miał jak kościelne organy, ale od początku to nie miało sensu. Zanim ktokolwiek się zorientował, wyjęto czarny kaptur i Wasz Wielce Uniżony został skazany.

Pan Comrie przychodzi niemal codziennie z wizytą, Janet Friendly też. Były długie opóźnienia ze względu na zażarte dyskusje i apelacje, ale ci dwoje nigdy mnie nie zawiedli. Często odwiedzali mnie razem, Janet trzymająca go pod ramię, gdy przemierzali Press Yard. Ona wyższa od niego, jej czerwona twarz kraśniejsza niż kiedykolwiek, teraz, kiedy nadszedł listopad – najniezgrabniejsza z najśłodszych par. Powiedziałem to wczoraj, co spowodowało, że pan Comrie stał się całkiem różowy, Janet zaś zaoferowała, że tak zamaluje mnie w papę, o ile zechcę w tym celu zbliżyć się bardziej do kraty, że wszystkie zęby zadzwonią mi jak groch w metalowym wiadrze. Ale kiedy odchodzili, znowu wzięła go pod ramię.

Tego popołudnia, kiedy ostatni raz opuszczali więzienie, Janet otwarcie ryczała. Smarki i chlupanie – trudno było to znieść. Pan Comrie zwlekał z odejściem. Dałem strony już zapisane strażnikowi, który stał w przestrzeni pomiędzy dwiema kratami. Patrzył na nie podejrzliwie, ale przekazał. Nie sądzę, żeby pan Comrie spodziewał się ich aż tyłu.

– Będzie ich więcej – powiedziałem – bo skończę dziś w nocy. Ordynariusz mówi, że da je panu.

Skinął głową.

– Spisuję to – powiedziałem. – Wszystko, od samego początku. Chcę, żeby się dowiedziano, co zrobił.

Pan Comrie znów skinął głową. Jego usta były zaciśnięte jak skorupa małża. Mrugał gwałtownie. Zimny wiatr wiał mu w twarz, co ewidentnie wywołało łzy, a także sprawiło, że nie mógł ufać swojemu głosowi.

Mój głos też zawodził mnie w tej chwili.

– Panie Comrie? Nie wiem, czy dam sobie radę jutro rano.

– Dasz radę – powiedział głucho. – Będę tam. Patrz na mnie najdłużej, jak się da. Przejdziemy przez to razem.

*

Potem przyszedł mnie odwiedzić wielebny doktor Cotton. Rumiany człowiek w mocno średnim wieku, bardzo zatroskany o stan mojej duszy. Zapytał, czy jestem gotów się wypowiedzieć, a ja mu powiedziałem, że owszem. Wymamrotał żałobne wyrazy ulgi na tę okoliczność i szybko przygotował papier i pióro, zachęcając mnie do głośnej spowiedzi, którą zamierzał notować.

– Zabiłem Danny’ego Littlejohna – powiedziałem.

Przestał skrobać po kartce.

– Kogo?

– Mojego najlepszego przyjaciela. Był bardziej pełen życia niż ktokolwiek, kogo znałem, a ja to życie zabrałem. Myślałem, że robię to dla jego dobra, ale tylko Bóg raczy wiedzieć, czy tak było. Danny zmarł, nienawidząc mnie – tylko to się liczy i na pewno zasługuję na to, co mnie czeka. To moja ostatnia przedśmiertna spowiedź przed Bogiem. Wyciśnij z tego, co możesz, dla gazet.

*

Jako ostatni przyszedł się ze mną zobaczyć ojciec.

Wrócił do Londynu po pożarze, jako że już żadne niebezpieczeństwo mu tutaj nie groziło, choć Flitty Deakins nadal wyrzaskiwała swoje groźby. Była – ciągle pozostaje – przykuta do ściany w szpitalu Bedlam, przysięgając, że powstanie z tego potwornego grobowca i przyniesie Dzień Sądu Dionysusowi Athertonowi. Powstanie, jak mówi, w godzinie, gdy najmniej się będzie tego spodziewał, i tego dnia czeka go taki sąd, że nawet diabły zaczęłyby krzyczeć w konsternacji. Ale mój ojciec niewiele sobie

robił z biednej Flitty. Wrócił do pracy w Guy's Hospital i zaczął przebąkiwać, że wkrótce opublikuje prawdziwą historię swojego eksperymentu. Nadal był bardziej niesławny niż podziwiany – ale niesława również jest nie byle jakim osiągnięciem, ba, jest na swój sposób atrakcyjna. A poza tym nie istnieje żaden prawdziwy dowód, który pozwoliłby go skazać – bo któż by wierzył Flitty Deakins? Albo Williamowi Starlingowi?

Przyszedł do Newgate dopiero o zmroku. Gasły ostatnie promienie słońca i zrobiło się naprawdę chłodno.

– Przykro mi, że do tego doszło – powiedział. – Nie chciałem tego.

Widziałem, że pił, ale znowu był sobą: takie było moje pierwsze wrażenie, gdy patrzyłem na niego przez podwójną kratę. Stał przygarbiony, z rękami w kieszeniach, jak człowiek mający tysiąc lepszych miejsc, w których mógłby się teraz znajdować, i niechybnie zaraz się skieruje do jednego z nich. Wokół niego zobaczyłem blask, ten sam co kiedyś.

– Przyjdiesz jutro rano? – spytałem.

– Nie.

– Nie masz zegarka?

– Nie bądź śmieszny.

– Żadnego ostatniego błogosławieństwa dla odchodzącego dziecka?

– Nie ja to sprawiłem. Sam na siebie to sprowadziłeś.

– To wszystko t w o j a wina.

Cisza pomiędzy nami, szelest wyschłych liści o bruk. Wiatr się nasilał. Nadchodziła burza. Strażnik stał opodal, osłaniając się przed podmuchami.

Jeżeli przyjrzelibyście się wtedy mojemu ojcu, zobaczylibyście, że jednak coś się zmieniło. Wyglądał pospoliej, jakby zmałał, jakbyście zaskoczyli aktora za kulisami po występie i zorientowali się, że jego kostium jest znoszony, a sam aktor pod makijażem jest o wiele starszy, niż sądziliście. Niebieskie oczy były dziwnie rozbiegane, a na policzkach pojawiła się ledwie widoczna czerwona pajęczynka.

Czułem straszliwe zmęczenie i desperację.

– Powiedz mi prawdę – zażądałem. – Chcę tylko usłyszeć, że to przyznajesz.

– Meg Nancarrow była martwa, poza wszelką wątpliwością. Była martwa, a ja ją sprowadziłem z powrotem. Udało mi się. Taka jest prawda. Niezależnie od tego, czy ktoś jeszcze w to wierzy, czy nie.

– Nie. Prawdę o pozostałych.

– Pozostałych?

– Pozostałych zabitych przez ciebie. Powiedz to głośno. Ostatnia prośba od umierającego syna.

Niebo za nim poczerwiało. Jego twarz była również ciemna, gdy pochylił się bliżej do prętów kraty.

– Edward Cheshire nie żyje. Tak jak Meg, Mały Hollis i Odenkirk. Nie ma świadków – żadnych rąk skalanych krwią, żadnych ciał. Tak więc nie jestem w stanie odgadnąć, jakich „innych” masz na myśli.

Cień uśmiechu. Wyprostował się, jakby się zbierał do wyjścia.

– Ojczy... – Słowo zawisło pomiędzy nami jak trup na stryczku. – Przynajmniej przyznaj, że kłamałeś w jednej sprawie.

Stał w ciemności przez dłuższą chwilę. Zimny wiatr wciąż się wzmaczał.

– Jesteś dzieckiem swojej matki – powiedział – całkowicie. Widzę ją w tobie. Jest w twoich rysach i w każdym geście. Nie widzę absolutnie nic z siebie.

To były ostatnie słowa, które do mnie wypowiedział. Patrzyłem, jak odchodzi w gęstniejącą noc. Mimo wszystko nagle poczułem lekkość.

Zawołałem go po raz ostatni:

– Atherton!

Zatrzymał się, ale nie spojrzął za siebie.

– Powiedz im, że się uśmiechałem.

Epilog

*Londyn, 1841 rok
Tu Comrie.*

Od opisanych powyżej wydarzeń minęło ćwierćwiecze. Jestem już starym człowiekiem, lub prawie starym, choć moja Janet niewątpliwie ujęłaby to inaczej. Zapewniłaby Państwa, że stary byłem już od początku, przynajmniej w moim pojmowaniu siebie samego, wreszcie zaś pozyskałem bolączki, reumatyzm i siwiznę jako dopełnienie tego stanu. Czasem odczuwam ból w piersi i ramieniu, a po wejściu na schody muszę złapać oddech. To złości wnuka, który nieprzerwanie biega, aż nie padnie jak kawka, a mnie, muszę przyznać, też wyprowadza z równowagi. Jako chirurg wiem również, co to oznacza.

Chciałbym postawić sprawę jasno: nie uskarżam się. Ale zdało mi się, że nadszedł czas, by pozajątwiać zaległe kwestie na koniec mojej długiej i ubabranej kariery, a jedną z nich było uporządkowanie stosu papierów, który zostawił mi William. Obiecałem mu, że to zrobię, lecz jakoś zawsze odkładałem to na następny dzień. Wiedzą Państwo, jak to jest: życie zawsze wchodzi w drogę, a sprawa nie wydawała się pilna aż do teraz. To także Państwo znają: czas wydaje się nieskończony, aż do chwili, gdy przestaje być.

Ale wreszcie uporałem się z tym – jak Państwo już wiedzą, skoro doczytali aż dotąd. Pozostaje mi dodać kilka ostatnich stron.

Nie będę się rozpisywał. Nigdy nie byłem elokwentny, jak William Państwu wyjawiał, a poza tym czuję się zmęczony. Jest późno, po dziesiątej, piszę te słowa przy lampie w moim gabinecie, w naszym domu na

Tavistock Street. Dom pełen ludzi, z moim synem i jego rozkwitającym potomstwem. W sumie wyszło nam o wiele lepiej, niż kiedykolwiek bym oczekiwał. Moja Janet twierdzi, że sama jest zadziwiona. I proszę: obiecywałem lakoniczność, a się rozpaplałem.

Dowód ujrzał światło dzienne w 1822 roku, sześć lat po egzekucji Williama. Wtedy to Trupiarz nazwiskiem Semmens sam marnie skończył. Wiele wskazuje na to, że wraz ze współnikiem, człowiekiem nazwiskiem Pilchard, hołdował logice, że ciała najłatwiej pozyskać, gdy nadal tryskają życiem. Semmens nawiązywał znajomość z nimi w gospodzie, zapraszał na kontynuację poczęstunku do swojej kwatery, gdzie w trakcie wieczoru Pilchard zakradał się od tyłu i uciszał ofiary poduszką. Następnie można było sprzedać ciało tym anatomom, którzy niezbyt skrupulatnie badali przyczynę śmierci. Innymi słowy, połowie anatomów w Londynie.

W początkach 1816 roku Semmens dostarczył pewnemu chirurgowi pewnego ulicznika. Wyjawiał to podczas ostatniej spowiedzi w wieczór przed śmiercią na szubienicy. Do tego momentu piskliwie ogłaszał swoją niewinność, wtedy jednak załamał się i zaczął bełkotliwie wyznawać wszystkie swoje brudne sprawy od czasu, gdy jako huncwot pierwszy raz rzucił kamieniem w kota.

Ulicznik zmarł z zimna i wyczerpania, tak w każdym razie uznał Semmens, kiedy natknął się na ciało skulone przy kościelnym murze. Zrobił więc to, co zrobiłby każdy Trupiarz: wrzucił je do worka i zaniósł prosto do znanego sobie chirurga, na Crutched Friars. Na pukanie w furtkę od zaplecza otworzył człowiek chirurga, który poprowadził go za stajnię i zażądał pokazania Towaru, więc Semmens wyładował worek. Wtedy obydwaj zdali sobie sprawę: nadal wyczuwalny był cień oddechu.

– Zostaw go – powiedział chirurg.

Zaszedł ich cicho z tyłu, a na dźwięk jego głosu Semmens aż podskoczył.

– Ale jeszcze nie zszedł – rzucił. – Patrzcie, jeszcze żyje.

– Będzie użyteczny i w tym stanie – odpowiedział chirurg. – Przyda mi się chłopak nie do końca martwy.

– Niby nie moja sprawa – oświadczył Semmens – ale co zamierzacie zrobić?

– Zamierzam – powiedział chirurg – zapłacić ci cztery funty i posłać cię tam, skąd przyszedłeś. I nie wspomnisz nikomu, że byłeś tu dzisiejszej nocy.

Toteż Semmens nigdy nie pisał słowa, aż do ostatniej spowiedzi w więzieniu Newgate. Spowiedź wywołała znaczne poruszenie, przekonując Magistrat, by rozkopać teren za domem przy Crutched Friars, a następnie zerwać podłogę stajni, gdzie znaleziono tuzin zakopanych ciał oraz różne rzeczy osobiste. Pomiędzy nimi znajdowała się butelkowozielona kamizela, kiedyś własność hiszpańskiego chłopca, a także skórzana obróżka i cienki skórzany pasek, w sam raz na szyję małpki.

Tak więc była to prawda, ponad wszelką wątpliwość. Było tak, jak uparcie twierdził biedny William.

*

Powiesili Williama w obrzydliwy listopadowy poranek. Zacinający deszcz, wiatr wyjący z północy. „Na jasnego kutasa! – pomyślałem. – Będą wieszać go w poprzek, będzie powiewał jak chorągiewka”. Janet przyszła ze mną, choć prosiłem ją, by trzymała się z dala.

– Będiesz mnie potrzebował – powiedziała.

– Nie chcę, żebyś to widziała.

– Chrzanię, co chcesz, a czego nie.

Athertona nie było. Annie Smollet też nie.

Może Państwa zainteresować, że panna Smollet po tym wszystkim i tak wylądowała na czterech łapach. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem była na scenie, grając główną rolę w sztuce *Podwójna śmierć jejmości Łazarzowej, czyli Meg – furia z Fleet Ditch*. Scenariusz był kuriozalny, fabuła powiązana konopnym postronkiem, a w zakończeniu Furia odpływała ku brzegom Nowego Świata i otwierała piwiarnię w Bostonie z milczącym, zwalistym kochasiem – to jedna z najbardziej rozpowszechnionych plotek. Niemniej sztukę wystawiano sto siedemdziesiąt trzy razy, a Annie Smollet była niezwykle popularna. Cieszyła się potem długą karierą, by ostatecznie wyjść za jakiegoś przygłupa bez podbródka, za to z tytułem i trzema tysiącami rocznie. No i mają Państwo szczęśliwe zakończenie.

William chciałby, żeby się Państwo dowiedzieli... Nigdy nie chował urazy wobec panny Smollet. Wszedł na szafot odważnie i pewnie. Zadrzał na najwyższym schodku – ale to przez przenikliwe zimno. Wiatr łopotał płaszczem kata, a biedny William miał na sobie jedynie koszulę. Ale głowę

trzymał wysoko, gdy ustawiali go pod stryczkiem, i zobaczył nasze twarze, spoglądające na niego z frontu tłumu. Zobaczył wreszcie swoich przyjaciół, tuż przed tym, gdy twarz zasłonił mu biały kaptur. I, na Boga, naprawdę się uśmiechał.

Janet krzyknęła, gdy otworzyła się zapadnia. Zwyczajowe sześć cali, to wszystko – niewystarczająco, by złamać kark takiego chuchra. Oczywiście spodziewałem się tego. Wiedziałem, że kark nie pęknie.

*

Atherton był na cmentarzu trzy dni później, gdy składaliśmy trumnę do ziemi. Cichy i okryty żałobą, w czerni.

– Na Boga, że też ośmieliłeś się tu pokazać! – rzuciłem.

Janet uderzyłaby go z miejsca. Zacisnęła pięści i spurpurowiała.

– Straciłem syna – powiedział tonem głęboko zranionego człowieka.

Niemalże sam go pobiłem. Zamiast tego powiedziałem mu o papierach, które porządkowałem. O sprawozdaniu Williama z tego, co się stało. Krok po kroku.

Nachmurzył się.

– Uważaj, co upowszechniasz, Comrie. Bądź naprawdę ostrożny.

– Och, nie omieszka. Będę pedantyczny i bardzo rzetelny.

– Jeszcze raz cię ostrzegam, przez wzgląd na starą przyjaźń. Zniszczę cię.

Jednak do zniszczenia nie doszło, po żadnej ze stron. Ponieważ tego samego wieczoru Flitty Deakins zmarła w Bedlam, co przyniosło przedziwne konsekwencje.

Umarła na zapalenie płuc. Jej płuca nigdy nie powróciły do zdrowia po pożarze, a koniec przyszedł szybko. Przyszedł również łagodnie, jak to przy zapaleniu płuc, co było błogosławieństwem – o ile uważają Państwo, że zasługiwała na jakiegokolwiek błogosławieństwo. Biedna, szalona Phyllida, przykuta łańcuchem do wysmarowanego gównem muru i bełkocząca o nadchodzącym Dniu Ostatecznym.

Atherton nabył ciało. Nie było to trudne, skoro nie miał kto zainteresować się pogrzebem. Wystarczyło dyskretnie przekazać cztery funty odźwiernemu. Jeżeli miałbym gdybać, powiedziałbym, że bawiło go to – Flitty Deakins, śmiertelnie bojąca się sekcji, naga i rozciągnięta pod

jego skalpelem w Domu Śmierci. Szczury i wróble bijące się o ochłapy, gdy Nemezis rozcina jej ciało.

Tyle że nastąpiło opóźnienie. Ciało przechowywano przez jakiś czas w piwnicy Bedlam – niedługo, dwa lub trzy dni. Ale to wystarczy, by rozpoczął się proces gnilny, a anatom musi szczególnie uważać z zepsutym ciałem, rzecz oczywista.

Atherton nie uważał. Może to była aktorska nonszalancja – szermiercze cięcie na odlew skalpelem – a może również sztywność barku, uraz po ranie zadanej przez Williama. Ale myślę, że to było coś więcej. Nie był sobą od czasu aresztowania Williama, a przez tydzień od egzekucji nie wytrzeźwiał ani razu. Chwiał się na nogach podczas pogrzebu, a gdy ocierał twarz dłonią, widziałem, jak drżała. „To nie jest dłoń, którą mógłby pracować chirurg – pomyślałem wówczas. – Będzie musiał się pozbierać”.

W każdym razie zadrasnął palec podczas sekcji. Delikatne draśnięcie – zadra wyszczerbionej kości. Flitty Deakins gapiała się na niego, a jej usta były szeroko rozdziawione w grymasie. W cuchnącym mroku Domu Śmierci, w migotliwym świetle świec utoczonych z ludzkiego sadła, niemal sprawiało to wrażenie opętańczej wesołości.

Ból głowy przyszedł w ciągu godziny. Wtedy już wiedział.

– Ty obłąkana, żalсна suko! – powiedział. – Zamordowałaś mnie.

To potworna śmierć. W południe ból głowy stał się nieznośny, przed nocą przyszło delirium. Wył i tłukł się, krzyczał najżałośniej, by go zostawić w spokoju, najwyraźniej wierząc, że w kątach pokoju gromadzą się diabły. Wydawał się sądzić, że są pokraczne i wychudzone jak nietoperze. Rozpoczął się krwotok z organów wewnętrznych, bo krew utraciła krzepliwość. Godzinę przed świtem przyszedł koniec – najbardziej uzdolniony ze znanych mi ludzi rozstał się z życiem.

*

Konwulsje Williama ustały około dwudziestej minuty, a jego ciało zwisło bezwładnie. Dwadzieścia jeden minut po ósmej obecny chirurg nazwiskiem Inverarity stwierdził zgon. Dobry człowiek, znałem go ze studiów. Prawdę mówiąc, byłem u niego w domu na dzień czy dwa wcześniej. Mieszkał bardzo blisko Newgate, za szpitalem St Bart's. W dwudziestej trzeciej minucie ciało odcięto od stryczka.

Te parędziesiąt lat wcześniej to tłum uniemożliwił Johnowi Hunterowi uratowanie biednego wielebnego Williama Dodda. Ironia sytuacji. Niezliczony tłum wyległ, by zobaczyć wieszanie wielebnego Dodda, tak wielkie było współczucie dla niego. Setka tysięcy ludzi zatkała ulice wokół Tyburn, blokując przejazd dwukółki. Hunter ustalił wszystko z pobliskim grabarzem – przygotowano stół, wyłożono narzędzia – ale nie zdołali dotrzeć tam z ciałem Dodda przez prawie dwie godziny. W innym przypadku Hunter mógłby dać radę.

Największy chirurg naukowiec swoich czasów – jeżeli ktokolwiek miał wystarczające umiejętności, był to właśnie Hunter. Jego plan polegał na tym, by ogrzać ciało przy ogniu, a następnie nadmuchać płuca, jednocześnie aplikując stymulanty: sole trzeźwiące i gorący balsam włączany przez odbył. Następnie miano zastosować wstrząsy elektryczne z butelki lejdejskiej, co byłoby przydatne w przypadku zatrzymania akcji serca, choć nie niezbędne, przyjmując, że ciało zostało odcięte wystarczająco wcześnie, zanim śmierć stała się nieodwracalna. W konsekwencji przedwczesnego stwierdzenia zgonu przez obecnego chirurga, wynikającego z omyłki lub spisku. Ja sam przywróciłem do żywych utopioną dziewczynkę, niemal dwadzieścia minut po ustaniu oddychania. Skoro zatem można wskrzesić po dwudziestu minutach, to dlaczego nie trzydziestu, a nawet więcej? Pomaga, jeżeli ciało jest bardzo chłodne.

Na wieszaniu Willa było nie więcej niż pięć tysięcy ludzi, ze względu na paskudną pogodę. Wypełnili jedynie pół placu, a rozeszli się zaraz potem. Kiedy grupka zablokowała przejazd wózka, Janet pochyliła głowę i zaszarżowała, rycząc jak byk i przebijając się przez środek. „Na Boga! – mógłbym wykrzyknąć sam do siebie, gdybym nie miał tylu innych rzeczy na głowie. – Niech to jasny kutas strzeli, to była wyśmienita robota!”

*

Gdyby Hunterowi się udało, prawdopodobnie wywiózłby po cichu wielebnego Dodda z Londynu – w ogóle z Anglii, jeśli to byłoby możliwe. Dodd mógłby wtedy osiąść w jakimś miasteczku we Francji, ożenić się nawet z aktoreczką, jeżeli należał to tego rodzaju mężczyzn, którzy zakochują się w aktoreczkach. Któż wie? Może należał... Wiem bardzo

niewiele o biednym Williamie Doddzie. Mógłby korespondować regularnie ze starymi przyjaciółmi w Londynie, którzy byliby pokrzepieni wieścią, że ma się dobrze i żyje w zdrowiu w aptece na tyłach głównej ulicy, gdzie moglibyśmy wyobrazić go sobie w tym momencie: siedzący na skraju stołka, odmierzający i mieszający, z brzuszkiem, który pojawił się wraz z nadejściem wieku średniego. Wszystko to mogło w rzeczy samej być możliwe, gdyby wielki człowiek zatryumfował.

Ale oczywiście John Hunter poniósł porażkę.

Koniec

Podziękowania

Wczesne lata dziewiętnastego wieku były areną wielu kontrowersji w obszarze badań naukowych nad samą esencją życia, co przywodzi na myśl wczesne lata pewnego innego stulecia. Szczególnie wątpliwe były próby wskrzeszenia zmarłych. Latem 1816 roku, w którym odbywają się fikcyjne przygody bohaterów niniejszej powieści, Mary Shelley zebrała się z przyjaciółmi w szwajcarskiej willi, by opowiadać sobie historie z dreszczykiem, z których wyrosła idea napisania powieści *Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz*. Jej powieść naelektryzowała cały gatunek literacki, moja historia zaś rozwija się w długim cieniu, który nadal rzucają Victor Frankenstein i jego monstrum.

Co prawda *Trupiarz* jest dziełem beletrystycznym, ale opiera się na fundamencie badawczym i tutaj jestem winien wdzięczność źródłom zbyt licznych i różnorodnych, by je wszystkie wymienić. Wspaniałą panoramę wiedzy naukowej ery romantyzmu można znaleźć w książce Richarda Holmesa *Wiek cudów. Jak odkrywano piękno i grozę nauki*[18]. Tym, których interesuje historia medycyny i chirurgii, z całego serca polecam biografię Johna Huntera pióra Wendy Moore, *The Knife Man: Blood, Body Snatching, and the Birth of Modern Surgery*. Kolejnym błyskotliwym dziełem jest *Digging Up the Dead*, biografia chirurga z czasów Regencji, Astleya Coopera, spisana przez Druina Burcha. Ten prawdziwy skarbiec informacji o wczesnych chirurgach oraz praktyce chirurgicznej zawiera wstrząsający opis operacji usunięcia tętniaka aorty w 1817 roku, co stanowiło kanwę ponurej anegdoty Willa o takiej próbie podjętej przez Dionysusa Athertona. Wiedza Starlinga o miksturach i lekarstwach, w tym

rada udzielona Johnowi Keatsowi dotycząca cholery w fazie wstępnej, w dużym stopniu pochodzi z książki *Every Man His Own Doctor* z roku 1835. Stanowczo przestrzegam czytelników przed samodzielnym przeprowadzaniem takich praktyk w domu. Jeżeli podejrzewacie u siebie cholere w fazie wstępnej, zwróćcie się o poradę do lekarza.

Sztuka chirurgiczna dokonywała wielkich, krwawych kroków naprzód na polach bitewnych Półwyspu Iberyjskiego i w tym zakresie pozyskałem bezcenną wiedzę z biografii Dominique'a Jeana Larreya autorstwa Roberta Richardsona: *Larrey, Surgeon to Napoleon's Imperial Guard*. Istnieje wiele naocznych świadectw uczestników wojen napoleońskich; *Soldiers at War* pod redakcją Jona E. Lewisa zawiera takie świadectwo kapitana Alexandra Cavilie Mercera, artylerzysty walczącego pod Waterloo, który zobaczył tam konia pozostającego przy życiu po tym, jak dolną część jego głowy oderwała kula armatnia. Ten obraz pojawiał się potem w moich snach, by następnie nawiedzać sny mojego Narratora.

Sarah Wise w *The Italian Boy: Murder and Grave-Robbery in 1830s London* przedstawia dogłębne studium działalności Trupiarzy, koncentrując się w szczególności na działalności niesławnej bandy London Burkers. *The Diary of a Resurrectionist 1811–1812*, dostępny w kopii kserograficznej, jest rzeczowym dziennikiem anonimowej hieny cmentarnej.

Victorian CSI Williama A. Guya, Davida Ferriera i Williama R. Smitha daje fascynujący wgląd w wiedzę kryminalistyczną wczesnej epoki wiktoriańskiej, w tym analizę fizjologiczną śmierci przez prawomocne powieszenie. W kwestii tego, co się działo po śmierci – lub czego przynajmniej próbowali anatomowie okresu Regencji – tu mam wielki dług wobec niezwykle interesującej książki *Raising the Dead: the Men Who Created Frankenstein*. Inne wartościowe pozycje to: *The Regency Underworld* Donalda A. Lowa, *The Victorian Underworld* Kellowa Chesneya, *The Invention of Murder: How the Victorians Revelled in Death and Detection and Created Modern Crime* tego samego autora, *The Gaol: the Story of Newgate, London's Most Notorious Prison* Kelly Grovier oraz *Necropolis: London and Its Dead* Catharine Arnold. Co prawda Henry Mayhew rozpoczął swoją monumentalną pracę kronikarską londyńskiego lumpenproletariatu kilka lat po rozegraniu się fikcyjnych wydarzeń niniejszej powieści, można jednak poczuć jego wpływ na tę historię. Peter Ackroyd jest autorem wielu wspaniałych pozycji, a jego książka *Londyn*.

Biografia[19] jest wprost nadzwyczajna. Za wszelkie nieścisłości ponoszę wyłączną odpowiedzialność.

Co prawda wszystkie główne postaci są fikcyjne, ale w powieści epizodycznie występują również nazwiska historyczne. Edmund Kean był największym aktorem epoki, a jego portret żywo odmalował Raymund FitzSimons w jego biografii *Edmund Kean: Fire from Heaven*. Młody John Keats rzeczywiście był studentem chirurgii w Guy's Hospital w 1816 roku; John Abernethy i jego były uczeń William Lawrence byli wiodącymi chirurgami i zaciekłymi rywalami, a nazwisko Isaaca Blissa pojawia się na liście podrzutków w Coram's Hospital, choć poza tym historia o nim milczy. W powieści niejednokrotnie wspomina się Johna Huntera, a jego oszałamiająca kolekcja okazów – która stała się inspiracją dla kolekcji Athertona – jest wystawiona na widok publiczny w Royal Hunterian Museum w Londynie. No i Tim, Prawdziwy Tresowany Francuski Pies, w rzeczywistości tańczył za pieniądze w 1816 roku, choć wtedy nosił imię Bob.

Jestem dozgonnie wdzięczny Chrisowi Labonte i Scottowi McIntyre za słowa zachęty. Zawdzięczam bardzo wiele tym, którzy przeczytali rękopis i zasugerowali poprawki, w tym Susin Nielsen i Jude Weir. Mary Sandys zapewniła niezbędne porady w kwestiach lingwistycznych i historycznych; jej uważne podejście do książki przyniosło wiele ulepszeń, tak jak argusowa korekta Petera Normana. Moja redaktorka, Bethany Gibson, niezmiennie była mądra i wspinała. Gorące podziękowania należą się również Susanne Alexander i reszcie ekipy z Goose Lane, a także Chipowi Fleischerowi i Rolandowi Pease'owi ze Steerforth. Serdeczne dzięki kieruję ponadto do moich przyjaciół z Transatlantic, w tym do Davida Bennetta i Stephanie Sinclair, a w szczególności do Samantha Haywood, nadzwyczajnego agenta, który zawsze spełnia obietnice.

W długim procesie badań źródłowych i pisania powieści miałem nostalgiczną świadomość obecności cienia doktora O.A. Weira – pierwszego chirurga, jakiego kiedykolwiek poznałem – uśmiechającego się zza mojego ramienia. Tato, tak chciałbym, żebyś mógł przeczytać tę powieść.

Przypisy

- [1] Około pięćdziesięciu kilogramów [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].
- [2] *Bliss* (ang.) – szczęście; *rectitude* (ang.) – prawość; *friendly* (ang.) – przyjacielska.
- [3] Tom Lobster (ang. Tomasz Homar) – określenie weterana wojsk brytyjskich w XIX wieku ze względu na czerwony kolor kurtki od munduru.
- [4] *Obtusus* (łac.) – tępy.
- [5] John Hunter (1728–1793) – wybitny szkocki chirurg i anatom.
- [6] *Starling* (ang.) – szpak; admirał John Benbow (1653–1702) – dowódca angielskiej floty, bohater pieśni ludowych; *shovel* (ang.) – łopata; Edward Plantagenet – imię kilku królów Anglii z dynastii Plantagenetów (1133–1485); *female child* (ang.) – dziecko płci żeńskiej.
- [7] *Raison d'être* (fr.) – powód istnienia.
- [8] *Mirabile dictu* (łac.) – rzecz zadziwiająca.
- [9] W. Szekspir, *Król Henryk V*, akt 3, scena 1, tłum. S. Barańczak, Znak, Kraków 1999.
- [10] *Absit invidia* (łac.) – dosł. niech zła wola będzie nieobecna.
- [11] *Nemo me impune [laccessit]* (łac.) – Nikt nie będzie mnie obrażał.
- [12] Czarny pies – metafora melancholii (czyli dzisiejszej depresji), którą Will Starling zapożyczył najprawdopodobniej od swojego ulubionego leksykografa Samuela Johnsona.
- [13] *Por qué?* (hiszp.) – Dlaczego?
- [14] Chodzi o *The Revenger's Tragedy* autorstwa prawdopodobnie Thomasa Middletona.
- [15] W popularnej przypowieści Henry'ego z Huntington król Kanut Wielki, by pokazać swym dworzanom daremność władzy świeckiej wobec boskiej, próbował powstrzymać morski przypływ.
- [16] John Philip Kemble (1757–1823) – słynny aktor.
- [17] *Fons et origo* (łac.) – źródło i przyczyna.
- [18] R. Holmes, *Wiek cudów. Jak odkrywano piękno i grozę nauki*, tłum. E. Morycińska-Dzius, Prószyński i S-ka, Warszawa 2010.
- [19] P. Ackroyd, *Londyn. Biografia*, tłum. T. Bieroń, Zysk i S-ka, Poznań 2011.

Spis treści

Prolog

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

Część druga

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

Epilog

Podziękowania

Przypisy.